

OWSZEM, JEST PRZYSTOJNY.
TYLKO CO Z TEGO,
SKORO TRUDNO Z NIM WYTRZYMAĆ?

LUDKA
SKRZYDLEWSKA

GBUR W RAJU



Strona redakcyjna

Ludka Skrzydlewska

Gbur w raju

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/gburwr_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-8322-797-9

Copyright © Helion S.A. 2023

Poleć książkę

[Kup w wersji papierowej](#)

Oceń książkę

Księgarnia internetowa

Lubię to! » nasza społeczność

Rozdział 1

Mackenzie

Nienawidzę Harrisona Harta.

To naprawdę niezwykle jak na mnie. Należę do tych, którzy generalnie lubią innych ludzi, a inni ludzie lubią mnie.

Jestem wesoła, zabawna, uprzejma i przyjemnie się na mnie patrzy (podobno!). Uważam, że ludzie z natury są dobrzy, tylko czasami głupio się zachowują, i zawsze daję im drugą szansę. Nigdy wcześniej nikogo nie nienawidziłam.

Dlatego to takie nietypowe, że właśnie to uczucie żywię do Harrisona Harta, zwłaszcza po zaledwie godzinie znajomości.

Zacznijmy jednak od początku.

— Szkoda, że Penny nie mogła z nami lecieć — mówi mama, kiedy już udaje nam się przejść odprawę. — Przynajmniej miałabyś jakieś towarzystwo, które znasz.

Uśmiecham się do niej.

— Może i tak — przyznaję. — Tylko że Pen jest nie tylko moją przyjaciółką, ale też była dziewczyną Hudsona. To wydawałoby się dziwne.

— Kiedy to było. — Mama przewraca oczami. — Ze sto lat temu, oboje już na pewno o tym zapomnieli. Celia raczej nie czułaby się zagrożona?

Przezornie nie odpowiadam na to pytanie. Celia nie ma żadnego powodu, żeby czuć się zagrożona, ale goszczenie na własnym weselu byłej dziewczyny swojego męża tak czy

inaczej byłoby dziwne. Nawet nie przyszło mi do głowy, by zaproponować przyjaciółce bycie moją osobą towarzyszącą.

Zaczynam się denerwować, jak zawsze, gdy jestem na lotnisku. Nie boję się samego latania, za to obawiam się utraty bagażu, zagubienia się w hali odlotów i spóźnienia na lot. LAX to ogromne lotnisko, na którym nie jest łatwo się poruszać, zwłaszcza gdy ktoś lata tak rzadko jak ja. Z

powodu tych wszystkich mijających nas pospiesznie podróżnych udziela mi się atmosfera nerwowości.

Wzrokiem odnajduję tablicę ze wskazówkami dotarcia do poszczególnych bramek, po czym ciągnę mamę w odpowiednią stronę. Z pewnością będzie do przejścia jakiś milion korytarzy, zanim dotrzemy na miejsce, więc nie chcę marnować czasu. Wolę być tam godzinę za wcześnie niż pięć minut spóźniona.

— Wiesz, że ktoś powinien się zajmować hotelem, kiedy mnie nie ma — dodaję po chwili, żeby zamknąć temat mojej przyjaciółki. — Pen musiała zostać.

— Też sobie wymyśliłyście biznes, który nie może się bez was obejść przez pięć minut — narzeka mama. Zawsze miała pretensje, że nie zrobiłam oszałamiającej kariery jako lekarka albo prawniczka, i nie przyjmowała do

wiadomości, że nie mam do tego odpowiedniego charakteru. Pewnie załamabym się nerwowo po pierwszym tygodniu pracy w takim środowisku albo zginęliby przeze mnie ludzie. —

Mac, ale twój ojciec nie będzie leciał tym samym lotem co my, prawda?

Powstrzymuję westchnienie. Mój ojciec, oczywiście.

Dla mojej mamy fakt, że jej syn wziął ślub i że ona właśnie leci na jego wesele, nie ma aż tak dużego znaczenia jak to, że spotka na nim byłego męża, którego nie widziała może od pięciu lat, a wcześniej, kiedy chciał odwiedzić mnie albo Hudsona, umawiała się z nim przez maile. Mama ogromnie boi się tego spotkania, ale próbuje to ukrywać i udaje, że po prostu nie chce go widzieć, a ja jej na to pozwalam.

— Nie będzie — uspokajam ją. — Tata przyleci dopiero jutro.

Zapewne dlatego, żeby nie trafić do jednego samolotu z moją matką. To byłby gwarantowany przepis na katastrofę lotniczą.

Ciekawe, jak wytrzymają prawie tydzień na jednej wyspie.

— Och, to dobrze. — Wyraźnie słyszę ulgę w jej głosie. —

Nie chciałabym... No wiesz.

Doprowadzić do masowego ludobójstwa na pokładzie samolotu?

— Wiem. — Uśmiecham się do niej pocieszająco. —

Wszystko będzie dobrze, mamo.

Kiedy w końcu docieramy pod odpowiednią bramkę, okazuje się, że nie jesteśmy pierwsze. Spora grupa osób czeka w kolejce do odprawy, ale zanim zdążę się uważnie rozejrzeć, ktoś z piskiem rzuca mi się na szyję.

— No jesteście nareszcie! Klasa biznesowa zaraz wchodzi!

Odsuwam się ze śmiechem, gdy moją twarz łaskoczą rozwichrzone włosy Celi. Dziewczyna niechętnie mnie puszcza i obdarza szerokim uśmiechem.

Celia jest ode mnie dwa lata starsza, choć tego po niej nie widać. To słodka blondynka, równie niewysoka jak ja, ale nosząca ubrania przynajmniej o rozmiar mniejsze.

Poczułam do niej sympatię już na pierwszym spotkaniu. Jest pogodna, ale trochę nieśmiała i twierdzi, że ze mną dogadała się tak szybko tylko dlatego, że jestem jej „bratnią duszą”.

Moim zdaniem to mój brat, a jej mąż powinien być tą bratnią duszą, ale co ja tam wiem.

— Mamy bilety na ekonomiczną — przypominam jej. —

Gdzie reszta?

Zanim zdąży odpowiedzieć, podchodzi do nas Hudson i też zamyka w mocnym uścisku najpierw mnie, a potem mamę.

Jest od nas niemalże o głowę wyższy, szczupły i ma ten luzacki sposób bycia, który kobiety w nim kochają. Ma też nieco za długie ciemnobrązowe włosy w podobnym kolorze do moich i krzywy uśmiech, który pewnie uznałabym za seksowny, gdybym nie była jego siostrą.

Celia i Hudson pobrali się w Las Vegas po krótkiej znajomości. Rodzice Celi i moja mama byli oburzeni, kiedy się o tym dowiedzieli — chociaż głównie dlatego, że nie zaproszono ich na ceremonię. Ponieważ państwo Hart

posiadają chyba połowę Kalifornii, nie było żadnym problemem zafundowanie nam tygodnia na Hawajach. W

trakcie tego pobytu zostanie zorganizowane wesele, na które przybędą dodatkowi goście. Na razie jednak mamy dla siebie kilka dni wyłącznie w towarzystwie naszych rodzin.

Biorąc pod uwagę, jaki stosunek mają do siebie mama i tata, przeczuwam problemy, choć optymistyczna część mnie czeka na to w nadziei, że może wreszcie uda im się ze sobą pogodzić.

— Świetnie wyglądacie. — Hudson obdarza nas tym swoim asymetrycznym uśmiechem, po czym odsuwa się nieco, by objąć Celię, która wpatruje się w niego z zachwytem. — Ale co to za gadanie o klasie ekonomicznej? Mac, nie mów, że znowu wyszło z ciebie skąpiradło.

Unoszę dłonie w obronnym geście.

— Hej, nie zarabiam kokosów jak niektórzy! — tłumaczę się. — Wiesz w ogóle, ile kosztuje bilet w klasie biznesowej, czy pozwoliłeś ojcu Celi za wszystko zapłacić? Daj spokój, przeżyjemy w ekonomicznej.

— Ale przecież tata proponował, że zapłacą też za was. —

Celia robi smutną minę. — Zgodziłaś się na pobyt, to dlaczego na lot też nie?

— Pewnie właśnie dlatego. — Mama się uśmiecha. — To nic takiego.

Poważnie, damy radę.

— Ale to kilka godzin lotu, a ja miałam nadzieję, że przez ten czas porozmawiamy...

— To chociaż zamień się ze mną miejscami, mamo — proponuje Hudson. — Ja siądę z Mac w ekonomicznej.

Celia posyła mu takie spojrzenie, że od razu wiemy, iż według niej to nie jest dobre rozwiązanie. Nic dziwnego —

to jej świeżo poślubiony mąż, wiadomo, że chce mieć go obok siebie.

Próbuję uciąć temat, zapewniając, że będzie nam dobrze w klasie ekonomicznej, a mama mnie w tym wspiera. W

następnej chwili podchodzą do nas rodzice Celi i na szczęście udaje nam się zostawić za sobą kwestię biletów.

Hartów widziałam wcześniej tylko raz, gdy umówiłam się z Hudsonem na mieście. Oboje nadal trochę mnie onieśmielają. Matka Celi jest wysoka, posągowa i zawsze elegancko ubrana, ma idealnie ufryzowane krótkie blond włosy, ojciec natomiast wydaje się wiecznie nieobecny.

Nawet gdy stoi tuż obok, w szytym na miarę garniturze, ciemnowłosy, wysoki i postawny, wzrok ma utkwiony w telefonie, jakby nie umiał się z nim rozstać.

Ostatnim razem zamieniłam z nimi raptem parę słów i teraz, gdy witamy się z nimi przy Celi i Hudsonie, wygląda to podobnie.

— A gdzie jest Harrison? — pyta Olivia Hart z lekkim niezadowoleniem, rozglądając się dookoła. Jej mąż Anthony tylko wzrusza ramionami, nie odrywając oczu od ekranu

komórki. — To bardzo nieuprzejme tak zniknąć, kiedy wreszcie ma okazję poznać rodzinę Hudsona...

— Przed chwilą tu był — odpowiada Celia, marszcząc brwi.

— Nie mógł odejść daleko...

Poszukiwania Harrisona, starszego brata Celi, już po chwili zajmują całą rodzinę Hartów, wygląda jednak na to, że nie ma go nigdzie w pobliżu. Rozdzielamy się na chwilę, a wkrótce potem zaczynają wywoływać klasę biznesową i wszystko to razem tworzy zamieszanie, w którym z trudem się odnajduję.

Musimy chwilowo pożegnać się z Hartami, bo klasa ekonomiczna wchodzi na pokład później, i właśnie wtedy pojawia się syn Olivii i Anthony'ego. W samą porę, bo Celia już zaczęła panikować, że nie zdąży na samolot.

Nigdy wcześniej nie widziałam Harrisona Harta i na jego widok odbiera mi mowę. Wiem, że to on, już gdy do nas podchodzi, bo jest podobny do ojca — równie wysoki, postawny i ciemnowłosy, o ciemnoniebieskich oczach, których spojrzenie zdaje się przesywać na wylot. Mam wrażenie, że patrzy tylko na mnie, gdy się zbliża, ale to musi być wytwór mojej wyobraźni.

Czy może być inaczej, skoro mija mnie bez słowa, jakby w ogóle nie zauważył mojej obecności?

Jest przystojny w nieco szorstki, nie do końca klasyczny sposób i ma w sobie coś niepokojącego, jakąś aurę pewności siebie, którą rozciąga dookoła. Usta zacisnął w wąską kreskę, ale nawet to nie sprawia, że wygląda gorzej.

Ubrany w polo, marynarkę i dżinsy, absolutnie nie wygląda jak facet, który leci na wakacje na Hawaje — zresztą podobnie jak jego ojciec.

— No wreszcie — mówi Celia, która wydaje się nieco zawstydzona zachowaniem brata. — Harrison, to mama i siostra Hudsona, przywitasz się z nimi?

Mężczyzna obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakbym była przezroczysta, ale dzielnie uśmiecham się do niego i wyciągam dłoń.

— Mackenzie Allen, miło mi — szczebioczę. — A to moja mama, Susan.

Harrison spogląda na moją dłoń, mamrocze coś niezrozumiałego, po czym odwraca się i odchodzi.

Tak po prostu. Jakby właśnie nie zrobił ze mnie idiotki.

Uśmiech spęza mi z ust i cofam dłoń, czując się naprawdę głupio. Hartowie wymieniają znaczące spojrzenia.

— Co za niewychowany młody człowiek — mamrocze obok mnie mama tak, żeby nie słyszeli.

Pewnie jednak usłyszeli, ale są zbyt uprzejmi, by coś na ten temat powiedzieć.

— Strasznie was przepraszam za mojego brata — mówi desperacko Celia. — Jest... trochę zestresowany. Na pewno mu przejdzie, kiedy dolecimy na Hawaje.

— Nazywaj rzeczy po imieniu, moje dziecko — protestuje Anthony, chowając wreszcie telefon do kieszeni spodni. —

To dziwak. Chodźcie już, bo się spóźnimy.

Celia i jej mąż zostawiają nas niechętnie, chociaż sto razy zapewniamy ich z mamą, że to nic takiego. Chyba niespecjalnie mi wierzą, chociaż naprawdę nie mam problemu z lotem klasą ekonomiczną.

Nie lubię za to, kiedy ludzie zachowują się wobec mnie tak, jak zrobił to Harrison Hart. Od razu zaczynam się zastanawiać, czy coś jest ze mną nie tak. To silniejsze ode mnie — całe życie staram się być lubiana przez ludzi. Jeżeli zdarza się ktoś, kto mimo wszystko mnie nie lubi, odczuwam ten fakt jak osobistą porażkę.

Nie pozwolę, by brat Celi zmieniał się w jedną z nich.

Kiedy w końcu przychodzi nasza kolej, by wejść do samolotu, czeka nas niespodzianka.

— Zostały panie przeniesione do klasy biznesowej — informuje uśmiechnięta młoda stewardesa.

Wymieniamy z mamą skonsternowane spojrzenia.

— Ale... Jak to?

Stewardesa nie jest w stanie nam tego wyjaśnić, powtarza tylko, że taką informację widzi w systemie. Jestem tym faktem mocno zaskoczona, ale ponieważ nasza

przedłużająca się rozmowa blokuje kolejkę, po prostu przyjmujemy to do wiadomości i przechodzimy przez bramkę.

W samolocie okazuje się, że nasze nowe miejsca znajdują się tuż obok rzędu, który zajmują Hartowie i mój brat. Celia i Hudson są zdziwieni naszą obecnością, a kiedy mówię im, co się stało, Celia znacząco spogląda na ojca, który siedzi na fotelu przy oknie ze słuchawkami na uszach i z otwartym laptopem na kolanach.

— Dzięki, tato! — mówi podniesionym głosem.

On tylko macha ręką.

Marszczę brwi. Anthony Hart naprawdę załatwił mamie i mnie przejście do klasy biznesowej? Może i miał na to chwilę, zanim ruszyła odprawa, ale nie wydawał się w ogóle zainteresowany faktem, że będziemy lecieć w klasie ekonomicznej.

Celia jednak jest tak pewna, że to jej ojciec za tym stoi, że w końcu przyjmuję to wyjaśnienie. Uśmiecham się z wdzięcznością i zajmuję swoje miejsce, dużo szersze i wygodniejsze niż to w klasie ekonomicznej.

Obok mnie siada mama, a po mojej drugiej stronie, za wąskim przejściem, dostrzegam starszego brata Celi.

Spogląda na mnie, więc jemu również posyłam mój najlepszy uśmiech.

— Cieszę się, że będziemy mogli lepiej się poznać — mówię radośnie, starając się nie przejmować jego brakiem reakcji.

— Czuję się, jakbym dzięki Celi zyskała drugiego brata.

Harrison patrzy na mnie tak, jakby brakowało mi piątej kleпки. Przeklinam swoją jasną cerę, bo od razu czuję, jak na twarz wypełza mi rumieniec. Czekam na jakąś odpowiedź, ale on tylko taksuje mnie uważnie wzrokiem, robi minę, jakbym śmierdziała czy coś, po czym odwraca się do okna.

Krew uderza mi do głowy i przez chwilę nie mogę wydobyć z siebie słowa. Nie jestem przyzwyczajona do takiego traktowania. Jasne, zdaję sobie sprawę, że nie wyglądam jak seksbomba — mam ładnych parę kilogramów nadwagi, zwłaszcza w okolicach bioder i brzucha, jestem niska i ubieram się raczej jak

dziewczyna z sąsiedztwa — ale nie ma chyba żadnego sensownego powodu, żeby patrzeć na mnie z obrzydzeniem. Albo traktować mnie jak powietrze.

Ale nie mam w zwyczaju wszczynać publicznych awantur, dlatego odwracam się i pytam mamę, czy jej wygodnie.

Postanawiam zignorować zachowanie Harrisona. W końcu nie mam pojęcia, dlaczego taki jest. Może coś go zdenerwowało przed lotem, a może boi się latania? A może nie lubi niskich szatynek z nadwagą, które ubierają się w dżinsowe szorty i nie przejmują się prawdopodobnie widocznym cellulitem?

Nie mam w zwyczaju osądzać ludzi i jego też nie będę.

Lot trwa ponad dziewięć godzin i tylko dzięki wyższemu komfortowi jest znośny. Mam tu wygodny fotel, na którym mogę się zdrzemnąć, i dostaję dobre jedzenie, a nawet alkohol, co ja i Celia skrzętnie wykorzystujemy.

— Opowiedz mi jeszcze raz, jak się poznaliście z Hudsonem

— proszę w pewnej chwili, robiąc błagalną minę. — To takie romantyczne! Celia śmieje się cicho.

— To wcale nie było romantyczne i słyszałaś tę historię przynajmniej dwa razy.

— Więc chcę usłyszeć trzeci raz — nalegam. — Poza tym moja mama nie słyszała. Na pewno chętnie się dowie.

Celia zerka na moją mamę, która śpi w najlepsze z maską na twarzy. Posyłam jej psotny uśmiech, a ona kręci z rozbawieniem głową i oczywiście się poddaje.

— Magazyn, w którym pracuje Hudson, robił artykuł na temat kobiet, które w swojej pracy w niekonwencjonalny sposób pomagają innym. Ktoś ze znajomych wspomniał o mnie. — Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. — Zaprosili mnie na wywiad, a przy okazji na sesję. Zrobili kilka zdjęć, a Hudson był fotografem. Miałam problem, żeby się rozluźnić przed kamerą, więc on mi w tym pomógł. Najbardziej wtedy, kiedy zaprosił mnie na drinka.

Celia jest niesamowita. Uczy WF-u w szkole podstawowej, ale robi to w totalnie niezwykły sposób. Zamiast dręczyć dzieci ćwiczeniami, których nie są w stanie wykonać, i wzmagać w nich poczucie rywalizacji czy pogardy wobec słabszych, uczy je pracy w grupie i dbania o siebie nawzajem. Zabiera dzieci na wędrowniki po okolicy, wpaja im podstawowe zasady przetrwania, wyjeżdża z nimi na biwaki, pokazuje, jak rozbijać namiot, rozpalić ognisko, ustalić pòtnoc bez kompasu i takie tam. Dzieciaki uwielbiają jej zajęcia i żadne nigdy nie przynosi zwolnienia z lekcji.

— To była miłość od pierwszego wejrzenia, co? — dopytuję.

Celia poważnieje, kiedy kiwa głową.

— Hartowie, jak już się zakochują, to od pierwszego wejrzenia, na zabòj i na zawsze — mówi, a ja powstrzymuję się od parsknięcia śmiechem, chociaż mam na to ochotę, bo ona mówi tak serio. Chyba naprawdę w to wierzy. — Taka nasza uroda. Tak było z moim dziadkiem, z ojcem i teraz tak jest ze mną.

— I ty twierdzisz, że to nie jest romantyczne? — pytam z niedowierzaniem. — To najbardziej romantyczna historia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Wyobrażam

sobie, jak za trzydzieści lat będziesz ją opowiadać waszym wnukom.

— Za trzydzieści? — Celia patrzy na mnie przerażona. —

Nie przesadzasz trochę? Daj nam więcej czasu!

Zaczynamy się śmiać, ale po chwili mój dobry humor zostaje gwałtownie pogorszony przez niezadowolone prychnięcie z siedzenia obok.

— Czy mogłybyście być ciszej?

Spoglądam na Harrisona szeroko otwartymi oczami. Celia chichocze, ale ja nie mogę się powstrzymać przed wesołą ripostą.

— To ty jednak potrafisz mówić?

Dopiero wtedy Harrison podnosi na mnie wzrok. Jego ciemnoniebieskie oczy są chłodne, więc natychmiast poważnieję. Jest spokojny, wyraźnie zirytowany, a poza tym sprawia, że czuję się jak gówniara.

— To, że nie miałem bez sensu ozorem jak niektórzy, nie znaczy, że nie potrafię mówić — odpowiada.

Celia robi grymas, a ja rozchylam usta, zaskoczona tą odpowiedzią. Znowu czuję rumieniec. Aha, czyli ja bez sensu miałem ozorem? Co za palant.

Ostrzegawczo wyciągam w jego stronę palec.

— Słuchaj no, ty...

Macham na niego ręką, ale zapominam, że trzymam w niej kieliszek z czerwonym winem, którym raczymy się z Celią przez połowę drogi. Patrzę z przerażeniem, jak alkohol pokonuje drogę z mojego naczynia do nogawki spodni Harrisona, po czym rozpryskuje się na niej, tworząc spektakularny wzór.

Ups.

Zamieram, wpatrzona w powiększającą się czerwoną plamę. Mam ochotę wpełznąć pod fotel, schować się tam i nie wychodzić do końca życia, który pewnie nastąpi szybko, kiedy Harrison rozniesie ten samolot na strzępy. O dziwo, nic takiego się nie dzieje.

Harrison zrywa się z fotela, a ja kulę się odruchowo, na szczęście on nie robi ani jednego kroku w moją stronę.

Odwraca się i rusza przed siebie, zapewne do toalety, mrucząc pod nosem coś, co brzmi podejrzenie jak „głupia krowa”.

Och, po prostu cudownie.

— Przepraszam cię — odzywa się wyraźnie zażenowana Celia. — On na co dzień tak się nie zachowuje. To znaczy zawsze jest dosyć... zamknięty w sobie. Ale nie nieuprzejmy.

Krzywię się, lecz nie odpowiadam. To jasne jak słońce, że Harrison Hart z jakiegoś powodu mnie nienawidzi.

A ja, chociaż zazwyczaj nie pałam do nikogo takim uczuciem, mam ochotę powiedzieć o nim to samo.

Rozdział 2

Harrison

Kocham Mackenzie Allen.

To kompletna głupota, bo widziałem ją zaledwie raz, przed kilkoma godzinami, na lotnisku. Nawet nie pamiętałem wtedy, jak ona ma na imię. Ale zobaczyłem ją — ten olśniewający uśmiech, gdy przytulała Celię, te błyszczące zielone oczy, te zgrabne nogi odkryte przez poszarpane dżinsowe szorty, jakieś sto pięćdziesiąt pięć centymetrów uroku, który sprawił, że coś zakłuło mnie w sercu. A potem usłyszałem jej zachrypnięty śmiech i głos, przez które zrobiłem coś nieoczekiwanego.

Poszedłem przebukować jej bilety na klasę biznesową, chociaż kosztowało mnie to naprawdę dużo zachodu i pieniędzy.

Nigdy nie wierzyłem w te bzdury, o których wielokrotnie mówił ojciec. O tym, jak to Hartowie zakochują się raz a dobrze, jak to zorientuję się, gdy tylko spotkam „tę właściwą”. Drwiłem bezlitośnie z Celi, która twierdziła, że tak właśnie stało się z nią i z Hudsonem. Ale kiedy widzę przed sobą rozpromienioną twarz Mackenzie Allen, zaczynam wierzyć, że to wcale nie jest taka bzdura, jak sądziłem.

I mam problem.

Bo kompletnie nie wiem, jak postępować z tą kobietą.

Nie chodzi o to, że Mackenzie Allen jest jakoś wyjątkowo trudna lub skomplikowana. Nie znam jej jeszcze na tyle, by to stwierdzić. Ale jest kobietą, a ja nie umiem rozmawiać z kobietami. Fakt, że w ogóle zaliczam, zawdzięczam chyba wyłącznie swojemu wyglądowi (w końcu mam oczy i lustro w domu, nie będę udawał skromności).

Dlatego zachowuję się jak palant, kiedy Mackenzie mi się przedstawia. Nie mogę oderwać od niej wzroku i zupełnie nie ogarniam, co właściwie do mnie mówi, a kiedy dostrzegam jej wyciągniętą w moją stronę dłoń, jest już za późno. Ponieważ w głowie mam całkowitą pustkę, odwracam się i idę do okienka na odprawę, a ojciec rzuca jeszcze za mną, że jestem dziwakiem.

Świetnie. Ona na pewno to słyszała i teraz też będzie tak o mnie myśleć.

Powinienem być powiedzieć, że przebukowałem im bilety —

dochodzę do wniosku, zajmując miejsce w klasie biznesowej. Czy byłaby wdzięczna za taką przysługę? A może uznałaby, że niepotrzebnie się chwalam? Albo zaczęłaby się wściekać, że chciała być taką niezależną, silną kobietą, a ja wszystko popsuję?

Nie, chyba jednak lepiej, że nic na ten temat nie powiedziałem.

Problem polega na tym, że ja w ogóle nic nie powiedziałem.

Nawet nie uścisnąłem jej ręki!

Złośliwy los chce, że Mackenzie siada obok mnie. To znaczy po drugiej stronie przejścia, ale wystarczająco blisko, żebym mógł jej się ukradkiem

przyglądać. Więc to robię.

Dostrzegam piegi na nosie i policzkach, które pięknie kontrastują z jasną cerą, i stwierdzam, że pofalowane brązowe włosy sięgają dziewczynie do łopatek. Kiedy podnosi ramiona, żeby związać je w kitkę, o mało nie jęczę.

Ma cudowną łabędzią szyję, a gdy się wygina, jeszcze lepiej eksponuje piersi. Perfekcyjnie idealne piersi...

A ja się gapię jak jakiś zbok.

Mackenzie chyba coś do mnie mówi. Mam nadzieję, że nie strofuje mnie za gapienie się na jej piersi, ale jestem zbyt zafiksowany na jej pięknym, szerokim uśmiechu, by zrozumieć, o co jej chodzi. Zaraz... Powiedziała coś o bracie? Że czuje się tak, jakby miała drugiego BRATA?

Po prostu, kurwa, świetnie. Czy to robi ze mnie pojebanego kazirodcę, skoro mogę myśleć tylko o tym, jak

smakowałaby, gdybym ją pocałował?

Odwracam się od niej gwałtownie, bo za bardzo się boję, że coś z tych uczuć Mackenzie zobaczy na mojej twarzy.

Wprawdzie latami pracowałem nad obojętnymi minami, ale ona w ciągu godziny przełamała prawie wszystkie moje bariery, więc dlaczego i nie tę?

Wyglądam przez okno w samolocie, a myśli gnają niespokojnie w mojej głowie. Ona już na pewno uważa, że jestem świrem. Może nawet mnie nienawidzi. Mam marne szanse, żeby to zmienić.

W takim razie spróbuję o tym zapomnieć. To bzdura: nie można zakochać się w kobiecie, której w ogóle się nie zna, prawda? Jeśli będę wystarczająco długo ignorował to uczucie, na pewno minie.

Na pewno.

Jestem idiotą.

Mackenzie tak słodko szczebiotała z Celią o tym, jak moja siostra poznała się z Hudsonem, tyle razy powtórzyła słowo

„romantyczne”, że prawie trafił mnie szlag. Więc nie wytrzymałem i powiedziałem im, żeby się zamknęły.

Zupełnie się nie dziwię, że Mackenzie oblała mnie za to winem. Należało mi się.

Kiedy w toalecie próbuję sprać tę plamę, w głowie mam tylko jej waleczną minę i błyszczące oczy, gdy wycelowała we mnie palec i prawdopodobnie zamierzała powiedzieć coś niemitego. Powinno mnie to wkurzać, ale raczej mnie podnieca. Serio. Robię się twardy na wspomnienie jej groźnej miny, zmrużonych oczu i zaciśniętych ust. Mógłbym ciągle doprowadzać ją do szału, byleby tylko widzieć tę minę.

Coś musi być ze mną nie tak.

Gdy wracam na swoje miejsce, słyszę przyciszony głos Celi.

— Serio, on zazwyczaj nie zachowuje się tak źle. Może ma gorszy dzień...

Powiedziałbym raczej, że to najlepszy i równocześnie najgorszy dzień mojego życia, ale nie będę jej poprawiał.

Mackenzie odsuwa się gwałtownie z przejścia z powrotem na swój fotel. Widzę, że się rumieni.

Coś naprawdę jest ze mną nie w porządku. Serce wali mi zbyt szybko i nie bardzo wiem, co się wokół mnie dzieje.

Nie przejmuję się nawet plamą na spodniach, chociaż normalnie wściekałbym się z tego powodu. Kiedy zajmuję swoje miejsce, próbuję ignorować Mackenzie, bo ewidentnie jest źródłem wszystkich moich kłopotów, ale ona przechyla się do mnie.

— Przepraszam — mówi, wskazując na moje spodnie. —

Naprawdę nie chciałam...

Ma seksownie ochrypy głos i pachnie w całkowicie oszałamiający sposób. To chyba jakieś perfumy, czuję w nich cytrusy i coś słodkiego. Taki aromat pasuje mi do tej dziewczyny.

Gapię się na nią bezmyślnie. Kasztanowe włosy wiją się wokół jej twarzy, z tak niedużej odległości nie jestem pewien, czy jej oczy są bardziej zielone, czy piwne.

Wygląda, jakby nie miała na sobie ani grama makijażu.

Chyba powinienem coś odpowiedzieć?

— Nic się nie stało — mamroczę z trudem.

Znowu się do mnie uśmiecha. Już nie tak szeroko jak wcześniej, raczej nieśmiało, ale moje serce i tak robi fikołka

na ten widok. Chryste, pocą mi się dłonie. To się nigdy wcześniej nie zdarzało.

Mam trzydzieści dwa lata, na litość boską. Nie jestem jakimś szczeniakiem, który traci głowę dla pierwszej lepszej dziewczyny. Kompletnie nie rozumiem swojego zachowania!

Mackenzie otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ja odwracam się do okna i staram się ją ignorować.

Wyzywam się za to w myślach, ale nie umiem sobie z tym inaczej poradzić.

Nigdy nie byłem dobry w kontaktach z kobietami. Nawet gdy mi nie zależało, te związki wychodziły beznadziejnie. O

ile potrafię sobie poradzić w interesach, o tyle w sprawach prywatnych po prostu... nie. Ale nigdy nie czułem tego, co poczułem, gdy pierwszy raz spojrzałem na Mackenzie, i to jeszcze utrudnia całą sytuację. Denerwuję się, kiedy coś do mnie mówi, robię z siebie durnia i nie wiem, jak to naprawić.

I czy w ogóle powinienem? Przecież nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Może to tylko głupie zauroczenie, które mi przejdzie, jeżeli będę wystarczająco długo ignorował tę kobietę?

Tak. To chyba najlepsze wyjście.

Ten plan nie może się nie udać.

Stosuję się do niego przez resztę lotu. Próbuję zasnąć, ale cały czas słyszę jej cichy, jasny głos, który doprowadza mnie do gorączki, i oczywiście nie jestem w stanie. Kiedy w końcu lądujemy w Kahului, oddycham z ulgą.

Ponieważ musielibyśmy długo czekać na przesiadkę, ojciec wyczarterował prywatny samolot, który w pół godziny dowiezie nas do Lanai City, a ja w

myślach dziękuję mu za tę zapobiegliwość. Nie mam siły spędzać w tym towarzystwie więcej czasu, niż to absolutnie konieczne.

Mam ochotę zamknąć się w swoim pokoju i odpocząć, bo czuję zbliżający się ból głowy.

Czy gdybym powiedział Mackenzie, żeby tyle nie gadała, bo boli mnie od tego głowa, byłaby na mnie wkurzona?

Zamyślam się na moment. Hmm, pewnie tak.

Wyłączam się, kiedy opuszczamy rejsowy samolot i niewielkim busem udajemy się w kierunku cesseny, ale cały czas czuję obok obecność Mackenzie. Nie patrzę na nią i nie mam pojęcia, czy ona patrzy na mnie, ale wiem, że tam jest. Odnoszę wrażenie, że wyczuwam ciepło jej ciała i że jej zapach otula mnie całego. Chyba oszalałem i z każdą minutą coraz bardziej mnie to irytuje. Nie chcę się tak czuć.

— Podobno ten hotel, do którego jedziemy, jest piękny — odzywa się w pewnym momencie Mackenzie z wyraźnym podekscytowaniem. Przymykam oczy i opieram bolącą głowę o szybę. — Byliście tam już kiedyś?

— Rodzice lubią tam urządzać rocznice ślubu. — W głosie Celi słyszę rozbawienie. — Prawda, Harry?

Cholera, mówi do mnie.

Otwieram oczy i spoglądam na nią. Siedzi po drugiej stronie przejścia obok Mackenzie, a jej mąż z jego matką zajmują miejsca za nimi, a przed moimi rodzicami. Siostra Hudsona wygląda tak świeżo, jakby nie spędziła ostatnich kilku godzin na pokładzie samolotu. Jej pełen rezerwy uśmiech zdaje się zarezerwowany dla mnie.

Cóż, zasłużyłem na to.

— Taaa — mamroczę, po czym odwracam wzrok.

Czuję na sobie wzrok Mackenzie i zastanawiam się gorączkowo, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Że lubię to miejsce? To nie byłaby prawda. Że hotel jest pięknie położony? To fakt, ale musiałbym pewnie jakoś rozbudować

tę wypowiedź, a chyba nie jestem w stanie, gdy ona tak na mnie patrzy. Zapytać ją, czy już tu kiedyś była? Przecież jej słowa sugerują, że nie.

Chryste, to prawdziwa tortura. Jak się rozmawia z taką kobietą?

— Mój brat chciał powiedzieć — wtrąca Celia, zanim zdążę cokolwiek wymyślić — że to naprawdę świetne miejsce.

Four Seasons Resort zajmuje większość wyspy i jego budynki są rozrzucone wśród lasów deszczowych. Goście, którzy przyjadą na wesele, będą mieszkać w jednym z pawilonów, ale dla nas rodzice zarezerwowali osobne domki przy plaży. Każdy będzie miał własną przestrzeń.

— No, myślę, że ty i Hudson będziecie mieć przestrzeń wspólną — śmieje się Mackenzie.

Wiem, że nie powinienem o niej tak myśleć, zwłaszcza że znam ją od kilku godzin, ale instynktownie zaczynam się zastanawiać, jak by to było mieć z nią wspólną przestrzeń.

A przede wszystkim wspólne łóżko.

— I nieco bardziej odosobniony domek — potwierdza ze śmiechem Celia, a mnie robi się niedobrze. Nie chcę myśleć o mojej młodszej siostrze uprawiającej małżeński seks. —

Będzie fajnie, zobaczysz. Lanai to idealne miejsce, żeby wypocząć.

Moim zdaniem nie, ale oczywiście się nim nie dzielę.

Mam swój styl ubierania się, który nie obejmuje szortów. A bez szortów naprawdę trudno wytrzymać w klimacie Hawajów. Poza tym jest tam paskudnie wilgotno i piasek wchodzi dosłownie wszędzie. A ludzie są zawsze tak obrzydliwie uśmiechnięci i zdecydowanie za często próbują mnie zaczepiać.

Hmm, Mackenzie pewnie bardzo się tam spodoba.

Kiedy w końcu wysiadamy z busa, cessa, która ma nas zabrać na Lanai, już czeka na pasażerów, a bagażowi właśnie chowają do luku nasze walizki. Przesiadka przebiega sprawnie i szybko. Ociągam się, bo nienawidzę tych samolotów — jak na moje wymiary są zdecydowanie za ciasne — ale wiem, że prędzej czy później będę musiał

wsiąść do środka.

Tuż przede mną idzie Mackenzie, a ja odruchowo spuszczam wzrok na jej tyłek. Jest wyjątkowo apetyczny, a dół pośladków niemalże wystaje zza brzegu jej krótkich szortów.

Jezu, oszaleję przez tę kobietę i nastąpi to w ekspresowo szybkim tempie.

Widzę, jak Hudson pomaga wejść po chwiejnych schodkach najpierw swojej matce, a potem Celli, i marszczę brwi.

Wejście do samolotu rzeczywiście nie wygląda zbyt bezpiecznie. Może powinienem...

Zanim zdążę zdecydować, że to kiepski pomysł, wymijam Mackenzie i bez słowa podaję jej dłoń, kiedy dociera do schodków. Posyła mi zaskoczone spojrzenie, ale bierze mnie za rękę i pozwala się podtrzymać, wkraczając do środka.

Zostaję na moment z tyłu, przepuszczam moich rodziców i wsiamam ostatni, garbiąc się w wejściu.

Dotknąłem jej. Jestem idiotą, że to w ogóle robi na mnie wrażenie, ale palce Mackenzie zdawały się parzyć w zetknięciu z moją skórą. Wydaje mi się, że nadal je czuję, mimo że dziewczyna już dawno zajęła miejsce na tyle samolotu. Coś jest ze mną nie tak. Może powinienem umówić się do lekarza?

Pewnie do psychiatry.

Gardło mam ściśnięte, więc odpowiadam półśłówkami, gdy mama o coś mnie pyta. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje.

Nigdy nie zachowywałem się aż tak dziwacznie w towarzystwie jakiejś kobiety. Dlaczego właśnie Mackenzie Allen?

Znowu słyszę jej charakterystyczny śmiech i przymykam oczy, opierając głowę o zagłówek, chociaż to w niczym nie pomaga. Całe moje ciało krzyczy, że chce tej kobiety, i na tym polega problem. Znam ją od paru godzin. To jakieś szaleństwo, które trzeba mi będzie przerwać.

Nie muszę znać jej długo, by wiedzieć, że Mackenzie Allen kompletnie do mnie nie pasuje. W samolocie bez skrępowania rozmawiała z obsługą.

Uśmiecha się do każdego, z kim zamienia choćby słowo, a rozmówcy odpowiadają jej tym samym. Zdaje się, że lubi kontakt z ludźmi i sama jest lubiana. Nic dziwnego, skoro jest taka urocza i piękna.

Ale też właśnie przez to nigdy nie spojrzy na kogoś takiego jak ja.

— Harry wziął urlop pierwszy raz od dziesięciu lat — słyszę w pewnej chwili wesóły głos Celi. — Prawda, braciszku?

Odwracam się do niej i napotykam zaciekawione spojrzenie siedzącej obok Mackenzie.

— Bez przesady — mamroczę.

Celia chichocze.

— Tak? To kiedy ostatnio miałaś urlop?

Udaję, że się zastanawiam, chociaż wcale nie muszę. Nie lubię urlopów. Kojarzę mi się z szortami i piaskiem przyklejającym się do ciała.

— Ja też rzadko wyjeżdżam na urlop. — Mackenzie uśmiecha się słodko. Robi mi się dziwnie ciepło na myśl, że ona chyba przychodzi mi z pomocą. — Mam za dużo pracy i nie mogę zostawić hotelu bez nadzoru. Na szczęście jest Pen, zastępuje mnie.



Pen? To kobieta, prawda?

I dlaczego w ogóle założyłem, że Mackenzie nikogo nie ma?

Może jest tu sama, bo jej facet nie mógł przyjechać? A może ona w ogóle woli dziewczyny?

Jezu, nie! Nie mogę myśleć o niej w taki sposób, niezależnie od tego, jak wiele niepokoju czuję w tej chwili.

Mruczę coś niezrozumiałego i odwracam się, w żaden sposób jej nie odpowiadając. To oficjalne: jestem beznadziejnym przypadkiem.

Mackenzie Allen na pewno już mnie nienawidzi.

Rozdział 3

Mackenzie

Nie wierzę, że tu jestem!

Lanai rzeczywiście jest piękne, tak jak zapewniała mnie Celia. Już z lotu ptaka miejsce wygląda niesamowicie: błękitny ocean, otaczający skrawek ziemi w kształcie przecinka, stopniowo zamienia się w ciemny granat.

Przyglądam mu się jak urzeczona, chyba z rozchylonymi ustami, i nie przestaję ani na moment, nawet gdy lądujemy.

Nie mogę się doczekać tego tygodnia na Hawajach.

Mówiłam prawdę, kiedy wyznałam, że w zasadzie nie jeżdżę na urlopy. Lecznica i hotel nie poprowadzą się same pod moją nieobecność. Na szczęście Penny obiecała mi pomóc i wszystkim się zająć przez ten tydzień, a ja mogę się cieszyć... tym, co mam przed sobą.

Tylko na moment mój wzrok biegnie ku Harrisonowi. Jest naprawdę wysoki i z pewnością nie jest mu wygodnie w tak ciasnym samolocie, ale to go nie usprawiedliwia. To gbur, który z jakiegoś powodu mnie nie znosi. Jest jedynym ciemnym punktem w całym tym wakacyjnym planie, bo nie daje mi spokoju sposob, w jaki się wobec mnie zachowuje.

Wmawiam sobie, że tylko o to chodzi: że ludzie mnie lubią, a ten tutaj to najwidoczniej wybryk natury. I że wcale nie poczułam przedziwnego żaru, kiedy chwycił mnie za rękę, pomagając mi wsiąść do samolotu.

To przecież nie byłoby normalne, prawda?

Nasz lot trwa raptem pół godziny; wkrótce potem lądujemy na niewielkim lotnisku w Lanai City złożonym z kilku pawilonów z trójkątnym dachem. Cieszę się, że założyłam szorty, bo pogoda jest tu zupełnie inna niż w Los Angeles: duchota i wilgoć sprawiają, że od razu czuję na ciele warstewkę potu.

Kiedy wysiadamy z samolotu, nad okolicznymi szczytami wiszą ciemnoszare chmury, co robi naprawdę niesamowite wrażenie. Rozglądam się po płaskim terenie upstrzonym tu i ówdzie pojedynczymi palmami, zanim wchodzimy do hali przylotów, żeby odebrać bagaże.

Przed lotniskiem czekają na nas dwie taksówki w postaci aut z napędem na cztery koła. Jest nas siedmioro, więc musimy się jakoś podzielić.

— To może my pojedziemy z rodzicami, a pani z Mac i Harrym? — proponuje Celia, zwracając się do mojej mamy.

Mama już zaczyna odpowiadać, że w porządku, kiedy słyszę dziwny dźwięk po mojej prawej. Odwracam się i stwierdzam, że Harrison patrzy na siostrę tak, jakby właśnie zabiła jego ukochanego szczeniaczka. Znowu oblewam się rumieńcem.

Cholera! Tym razem przynajmniej mogę to zrzucić na pogodę.

Co ja robiłam temu facetowi? Dlaczego zachowuje się tak, jakby nie chciał zbliżyć się do mnie na odległość kija od szczotki? Śmierdzą czy co?

A może Harrison Hart ma jakąś awersję do kobiet o pełniejszych kształtach?
Celia posyła bratu piorunujące spojrzenie, którym ten w żaden sposób się nie przejmuje.

— Dobra — decyduje ze złością moja bratowa. — W takim razie ja i Hudson pojedziemy z Mac i jej mamą, a wy jedźcie w trójkę drugą taksówką. Zgoda?

Ulga, którą przez sekundę widzę w oczach Harrisona, niemalże łamie mi serce. Dlaczego on ma ze mną taki problem?!

Odwraca się bez słowa i rusza w kierunku jednej z taksówek, więc upokorzona idę do drugiej. Jest mi tak bardzo przykro, że aż zaczynają mi się trząść ręce. Nie radzę sobie dobrze z odrzuceniem i niechęcią innych ludzi, zwłaszcza gdy przychodzi od kogoś takiego jak Harrison.

Dobra, może to i zarozumiały dupek, ale wygląda niesamowicie. Pewnie wrywa laski na wygląd, zanim poznają jego charakter — chyba że przy innych zachowuje się lepiej niż przy mnie.

Problem polega na tym, że przy takich ludziach jak Harrison uaktywniają się moje kompleksy. Od razu wracają do mnie wspomnienia z liceum, w którym ludzie mnie ignorowali albo śmiali się ze mnie, mimo że bardzo się starałam, żeby mnie polubili. A najgorsze jest to, że wystarczyło zrzucenie kilkunastu kilogramów i zamiana okularów na soczewki, by zaczęli na mnie patrzeć inaczej.

Ludzie są tacy płytki.

Niestety najwyraźniej ja także, skoro wciąż przejmuję się takimi rzeczami jak to, czy idealny Harrison Hart nie ma ochoty na mnie patrzeć ze względu na rozmiar mojego tyłka.

— Nie przejmuj się nim — mówi po raz tysięczny Celia, zajmując miejsce w samochodzie przede mną. Posyła mi błagalne spojrzenie niebieskich oczu, bardzo podobnych do oczu jej brata. — On naprawdę zazwyczaj tak się nie zachowuje. Może po prostu...

— Może po prostu mu nie pasuję — przerywam jej.

Moja mama się irytuje.

— No wiesz! Niby dlaczego miałabyś komuś nie pasować?!

Jesteś najładniejszą dziewczyną pod słońcem!

Hudson, który właśnie wsiada za nami do samochodu, marszczy z niezadowolaniem brwi.

— Mam z nim porozmawiać?

— Nie! — wykrzykuję zdecydowanie zbyt głośno, dlatego biorę się w garść i nieco się uspokajam. — Nie potrzebuję niczyjej pomocy. Jeśli Harrison mnie nie lubi, trudno, jakoś to przeżyję. Nie róbcie z tego afery.

Nie potrzebuję, żeby starszy brat znowu się za mną wstawiał. Nie mam już dwunastu lat.

Wtedy robił to bardzo często.

— Po prostu nie podoba mi się, że on tak cię traktuje. —

Hudson nie wydaje się przekonany moimi słowami. —

Myślałem, że jest w porządku, kiedy Celia nas sobie przedstawiła, więc nie rozumiem, z czym ten człowiek ma problem.

— Z niczym — zapewnia go Celia. — Słuchajcie, to mój brat.

Jeśli ktoś ma z nim rozmawiać, to tylko ja.

— My chcemy jedynie bronić naszej małej dziewczynki — oświadcza mama, obejmując mnie lekko ramieniem.

Uśmiecham się do nich z wdzięcznością.

— Dzięki, ale wasza mała dziewczynka już dawno dorosła i potrafi się obronić sama — odpowiadam zdecydowanie. —

Dajcie spokój, to naprawdę nic takiego. W ogóle się nie przejmujcie, dam sobie radę. Poważnie.

Nie wyglądają na przekonanych, na szczęście odpuszczają.

W następnej chwili ruszamy w drogę i mogę się skupić na podziwianiu okolicy. To lepsze od zadręczania się powodami, dla których Harrison Hart mnie nie znosi. Może

powinam mu odpowiadać tym samym i udać, że mnie to nie rusza?

Nawet jeżeli to nie jest dla mnie normalne zachowanie.

Teren hotelu, w którym będziemy mieszkać, to najpiękniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam.

Jestem zachwycona już od początku. Dzięki temu, że zabudowania są poukrywane w lesie deszczowym, wydają się kameralne i odosobnione, chociaż cała posiadłość to ogromny kompleks. Meldujemy się w głównym budynku, a potem jeden z pracowników

krętymi ścieżkami wyznaczonymi między palmami prowadzi nas bliżej brzegu oceanu, gdzie między drzewami ukryte są nasze domki.

Nigdy wcześniej nie nocowałam w czymś takim i nie mogę się napatrzeć. Jestem tak podekscytowana, że z głowy wylatują mi nieprzyjemne myśli o Harrisonie. Kto by się tym przejmował, skoro jestem na Hawajach, w hotelu, na który w normalnych warunkach nigdy nie byłoby mnie stać?

Chyba tylko jakiś idiota!

Zajmujemy z mamą osobne domki, więc w którymś momencie musimy się rozłączyć, żeby pójść każda do swojego. Zagaduję wesoło prowadzącego mnie pracownika, a on odpowiada mi ze śmiechem, co jest naprawdę miłe.

Dobrze wiedzieć, że jeszcze potrafię zjednywać sobie ludzi.

W końcu trafiam do mojego domku, który jest niesamowity.

Składa się z salonu i oddzielonej przepierzeniem sypialni, niewielkiego aneksu kuchennego i łazienki. Wysoko na drewnianym suficie wiszą duże wiatraki o łopatach w kształcie liści palmowych; jasne meble są wygodne i typowe dla domku przy plaży. Tylne ściany salonu składa się z panoramicznych okien wysokich od podłogi do sufitu i wychodzi na obszerne lanai, z którego rozciąga się urzekający widok na błyszczącą między drzewami jasnoniebieską toń oceanu.

Z westchnieniem siadam na sofie w salonie, zapatrzona na wodę w oddali. To miejsce jest przepiękne.

Nikt ani nic nie zepsuje mi tego tygodnia.

Z całym towarzystwem spotykam się ponownie na kolacji, po tym jak udało mi się rozpakować, odpocząć i wziąć prysznic w niesamowitej łazience, którą chciałabym mieć we własnym domu w Los Angeles. Niestety, to raczej nierealne.

Restauracja hotelowa jest ogromna i znakomicie zaopatrzona. Pod drewnianym zadaszeniem znajdują się stoły zastawione jedzeniem i świeżymi owocami, a przy stolikach roi się od gości. Siadamy przy ośmioosobowym stole na uboczu, a pan Hart zamawia wino. Pierwszy raz widzę go bez telefonu czy tabletu w dłoni.

Wzięłam ze sobą chyba wszystkie moje letnie sukienki i na kolację założyłam jedną z nich — zielono-żółtą, zwiewną, sięgającą przed kolano i ze sporym dekoltem na plecach.

Związałam włosy w dwa francuskie warkocze, a na nogi włożyłam sandały na słupku.

Czuję się świetnie, dopóki po dotarciu na miejsce nie napotykam badawczego spojrzenia Harrisona.

Nadal ma na sobie dżinsy i koszulę, jest całkowicie poważny, wręcz ponury. Jezu, ten człowiek chyba urodził się z kijem w tyłku!

— Ślicznie wyglądasz, Mac. — Celia uśmiecha się do mnie z przeciwnej strony stołu, po czym odwraca się do brata i posyła mu twarde spojrzenie. — Prawda, Harry?

Harrison mamrocze coś pod nosem i spuszcza wzrok na swój talerz. Od razu rzędnie mi mina. Po co ona go prowokuje?

Równocześnie zaczynam mieć wątpliwości i zastanawiam się nad swoim strojem. Czy plisy w tej sukience sprawiają, że moje biodra wyglądają na jeszcze szersze?

— Oczywiście, że tak. — Hudson obejmuje żonę ramieniem.

— Wokół Mac zawsze kręci się mnóstwo facetów. Ale mało który jest jej wart.

Kręcę z niedowierzaniem głową. Odkąd ojciec od nas odszedł, to Hudson wziął na siebie obowiązek pilnowania młodszej siostrzyczki. Czasami jednak mocno z tym przesadza.

— No właśnie, zdziwiło mnie, że przyleciałaś sama — dodaje Celia. — Nie masz nikogo?

Hudson próbuje ją strofować, szepcząc, że nie powinna mnie pytać o takie rzeczy, ale ja tylko wzruszam ramionami.

Zerkam na mamę, pogrążoną w rozmowie z rodzicami Celi, po czym odpowiadam:

— Rozstałam się z ostatnim partnerem kilka miesięcy temu.

Chodzę na randki, ale nie chciałam przywozić ze sobą kogoś, z kim nie łączy mnie nic poważnego. To rodzinne wydarzenie, nie pasuje tu nikt obcy.

Gdyby mama nas słuchała, dodałaby od siebie kilka pełnych wyrzutu słów na temat Erica, mojego ostatniego chłopaka.

Mam chyba pecha do mężczyzn albo przyciągam samych nieodpowiednich, bo Eric był świetnym przykładem faceta, dla którego nigdy nie byłam dość dobra. Kiedy w końcu zaczęłam to sobie uświadamiać, tkwiłam już głęboko w związku, w którym robiłam wszystko, żeby go zadowolić, a jemu to i tak nie wystarczało.

Hudson doskonale o tym wie, bo to on pomógł mi wyprowadzić się od Erica, gdy psychicznie było ze mną kiepsko. Pozwolił mi pomieszkać u siebie kilka tygodni, zanim znalazłam coś własnego. Od tego czasu staram się dystansować do facetów, bo mam wrażenie, że moja intuicja jest w tej kwestii naprawdę marna.

— Na pewno jeszcze kogoś znajdziesz, masz czas. — Celia nie drąży, za co jestem jej wdzięczna.

— Nikogo nie szukam — zapewniam ją. — Serio. Jest mi dobrze tak, jak jest. Mam bardzo udane życie: rodzinę, przyjaciół i pracę, którą kocham. Nie potrzebuję niczego więcej.

Celia uśmiecha się dziwnie, ale nie odpowiada, dzięki czemu kończymy ten temat. To dobrze, bo nie lubię, jak skupia się na mnie uwaga otoczenia.

Zwłaszcza że przez całą tę wymianę zdań Harrison siedzi obok Celi z wzrokiem utkwionym w talerz; nawet jeśli ma nas gdzieś, z pewnością słyszy, o czym rozmawiamy.

Wgryzam się w soczysty kawałek melona, Celia tymczasem klaszcze i zaczyna z innej beczki:

— No dobrze, więc mamy przed sobą wspaniały tydzień na jednej z najpiękniejszych wysp Hawajów. Ja nie lubię siedzieć w miejscu i jestem pewna, że wy też nie, dlatego sporządziłam listę atrakcji, których możemy spróbować podczas pobytu tutaj. Byłoby super, gdybyśmy umówili się na nie wspólnie, ale jeśli ktoś z was będzie chciał posiedzieć na plaży albo zrobić coś innego, to oczywiście nie będzie z tym problemu.

Natychmiast zapominam o Harrisonie i czuję wielkie podekscytowanie. Chcę spróbować wszystkiego!

— Możliwości jest mnóstwo — kontynuuje Celia. — Możemy polecieć na wycieczkę krajoznawczą i zwiedzać wyspę z

lotu ptaka, pojechać do parku linowego, nauczyć się wakeboardingu albo paddleboardingu, iść na trekking w góry, spróbować nurkowania, wypożyczyć skutery, zagrać w tenisa albo golfa albo pójść na degustację win w tutejszych winnicach... co tylko chcemy! Sugeruję jednak zacząć dzisiaj na spokojnie, od tańców. Organizują je wieczorem w hotelowym barze przy plaży. Będzie ekstra!

Nie zdążyłam jeszcze zobaczyć plaży, więc przyjmuję tę propozycję z entuzjazmem. O dziwo, są nią zainteresowane także moja mama i pani Hart. Jej mąż zbywa nas pobłażliwym uśmieszkiem, ale obiecuje, że przyjdzie, choćby po to, by posiedzieć nad drinkiem. Hudson lubi tańczyć i potrafi to robić, wiem to nie od dziś (zapewne to jeden z powodów, dla których Celia zaproponowała właśnie taniec), i tylko Harrison milczy, sprawiając wrażenie, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej ponurego.

Dlaczego mnie to nie dziwi?

Niechęć do tego faceta powoli się we mnie rozrasta. To przez niego zaczynam znowu kwestionować swoją atrakcyjność i w ogóle zastanawiać się, co ktoś myśli o moim wyglądzie. Powtarzam sobie, że nie zamierzam się nim przejmować, ale to trudne, bo nie jestem przyzwyczajona do ignorowania mnie. Lubię ludzi i lubię, jak oni lubią mnie. Jeśli ktoś zachowuje się wobec mnie tak jak Harrison bez żadnego wyraźnego powodu, zaczyna mnie to nurtować i nic na to nie poradzę.

Tym razem przynajmniej jego niechęć nie jest wymierzona we mnie, a raczej w pomysł pójścia na tańce.

— Ty też masz iść. — Celia mierzy palcem w swojego brata.

— Możesz siedzieć z ojcem przy barze, ale musisz przyjść.

To mój ślubny wypad i będziesz robił to, co chcę.

Hudson parska śmiechem.

— A co z „jeśli ktoś będzie chciał zrobić coś innego, to nie będzie z tym problemu”?

— To nie dotyczy dzisiejszego wieczoru — decyduje Celia.

— Dzisiaj wszyscy mają być w barze na plaży. Pozwalam nie tańczyć tym, którzy nie mają na to ochoty.

— Ludzka pani — mamrocze Hudson, a ja parskam śmiechem.

Zjadam jeszcze kawałek ananasa, aż sok cieknie mi po brodzie. Ścieram go chusteczką, lecz efekt jest taki, że cała się lepię.

Spinam się, czując na sobie badawcze spojrzenie Harrisona. Czy on musi się tak gapić? Może to jakiś psychopata? Może w myślach zastanawia się, w jaki sposób najlepiej byłoby mnie zabić na tej wyspie?

— Mac na pewno będzie ze mną tańczyć. — Celia mruży zabawnie oczy. — Prawda, Mac?

Śmieję się ze skrępowaniem, ale w tej chwili do rozmowy włącza się moja mama.

— Kiedyś bawiła się z koleżankami w jakimś barze w centrum — opowiada, a mnie od razu robi się głupio, bo wiem, czym się to skończy. — Tańczyły synchronicznie na samym środku knajpy, ktoś je nagrał, a potem bar wrzucił to nagranie na swój fanpage. Nigdy wcześniej ani później nie mieli tylu lajków!

— Mamo! — strofuję ją, ale ona nic sobie z tego nie robi.

— No co? Byłyście świetne! Więc tak, Mac na pewno będzie tańczyć. A ja też może do was dołączę.

Mama uśmiecha się tajemniczo, co wywołuje sporo śmiechów w towarzystwie. Chyba nigdy nie widziałam jej tańczącej, więc to byłoby coś.

Po kolacji zbieramy się, żeby wrócić do domków i ogarnąć się przed spotkaniem w barze na plaży. Przy okazji dowiaduję się, że domki mamy i Harrisona znajdują się najbliżej mojego, natomiast obok domku mamy stoi ten, który jutro ma zająć mój tata. Obawiam się, że nie wyniknie z tego nic dobrego, ale żywię nadzieję, że ze względu na Celię i Hudsona jakoś się dogadają.

Chociaż nie udało im się to przez piętnaście lat.

Zanim wejdę na ścieżkę prowadzącą do mojego domku, Celia podchodzi, żeby mnie objąć.

— Ubierz się seksownie — szepcze mi do ucha. — Może znajdziemy dla ciebie jakiegoś przystojniaka.

Spoglądam na nią ze zdziwieniem, po czym parskam śmiechem.

Bo o czym innym może myśleć świeżo poślubiona kobieta, jak nie o tym, żeby sparować wszystkie samotne koleżanki w swoim otoczeniu?

Rozdział 4

Mackenzie

Kiedy chodziłam do liceum, nie byłam królową popularności. Wielu uczniów w szkole mnie kojarzyło, ale tylko dlatego, że niektóre osoby wzięły mnie sobie na celownik i bezlitośnie ze mnie drwiły. Każda impreza była wtedy katorgą — nie wiedziałam, czy zaszyć się na czas jej trwania w domu, czy iść i udawać, że nieprzyjemne komentarze nie robią na mnie wrażenia (choć robiły).

Od lat się tak nie czułam, chociaż przeszłam daleką drogę, żeby sobie z tym poradzić. Ale kiedy szykuję się na wieczorną imprezę na plaży, z jakiegoś powodu te wątpliwości do mnie wracają.

To naprawdę głupie, z czego doskonale zdaję sobie sprawę.

Próbuję się więc nie przejmować, kiedy zgodnie ze wskazówkami Celi wybieram odpowiedni strój. Frustracja jednak we mnie rośnie, gdy orientuję się, co — albo raczej kto — jest powodem takiego zachowania.

Spojrzenia Harrisona Harta mnie deprymują. Są oceniające i cały czas mam wrażenie, że coś mu się we mnie nie podoba. To budzi dawne kompleksy, co nie jest dobre. Lubię siebie taką, jaką jestem obecnie, i nie chcę przez niego wracać do przeszłości.

Dlatego w końcu się buntuję i wybieram najbardziej odważną kreację, jaką udaje mi się znaleźć w walizce.

Ta sukienka, ciemnozielona, połyskliwa, pasująca kolorem do moich oczu, ledwie zakrywa mi tyłek. Jest dopasowana, z

lejącym dekoltem, który ładnie podkreśla piersi. Podkręcam lekko włosy i robię nieco ostrzejszy makijaż, muskając oczy cieniem do powiek.

Kiedy jestem już gotowa, wzdycham, przeglądając się w lustrze. Sandałki na słupku i będę mogła wychodzić.

Wyglądam nieźle, ale instynktownie zaczynam się zastanawiać, co tym razem może się we mnie nie spodobać Harrisonowi.

Chryste, powinnam przestać myśleć w ten sposób.

Przed domkiem spotykam się z mamą, która rozmawia z Celią i Hudsonem. Celia jest ubrana nieco skromniej niż ja, ale wygląda pięknie, za to mama się odstrzeżiła. Brat posyła mi niezadowolone spojrzenie.

— Co znowu? — pytam zirytowana.

— Czy przez cały wieczór będę musiał odpędzać od ciebie tabuny facetów? — fuka.

Uśmiecham się do niego szeroko.

— Nie, ale dziękuję za komplement, braciszku.

— To wcale nie był komplement!

Wymieniamy z Celią znaczące spojrzenia.

— Zdecydowanie był — wyrokuje. — Mnie nic takiego nie powiedziałaś.

— Ty masz na palcu obrączkę — broni się Hudson. — Jeśli ktokolwiek zacznie cię podrywać, powinien być świadomy, że masz zazdrosnego męża, który chętnie złamie mu nos.

Mac jest sama i nie chce, żeby ktoś ją skrzywdził.

— Jesteś kochany — zapewniam go z rozbawieniem — ale przesztam kurs samoobrony i potrafię sama o siebie zadbać.

Idziemy?

Hudson posyła mi pełne wątpliwości spojrzenie — pewnie ma ono wiele wspólnego z tym, co stało się w trakcie mojego ostatniego związku — ale nie ciągnie dyskusji, tylko posłusznie rusza z nami w kierunku plaży.

Kiedy podchodzimy do baru, impreza trwa w najlepsze.

Hudson znajduje dla nas kilka miejsc, ale swoje oddaję mamie, po czym staję obok brata i proszę barmana o jakiegoś kolorowego drinka. Całkiem przystojny facet taksuje mnie spojrzeniem, po czym kiwa głową i zabiera się za przygotowanie zamówienia.

— O, idą — słyszę obok głoś Celii. — Harry też. Nie sądziłam, że go przekonam!

Odwracam się w stronę, którą wskazuje głową, i mam wrażenie, że serce na moment mi staje.

Rzeczywiście idą ku nam państwo Hart wraz z synem.

Oboje wyglądają bardzo elegancko, ale to Harrison przyciąga mój wzrok. I nie tylko mój — kobiety patrzą na niego wyraźnie zainteresowane, czemu wcale się nie dziwię. To przystojny skurczybyk, a ta ponura aura, którą wokół siebie rozciąga, tylko dodaje mu mrocznego uroku.

Dobrze, że nie wiedzą, jak się zachowuje, kiedy otwiera usta.

Ma na sobie białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, włożoną do czarnych dżinsów. Większość ludzi w barze jest ubrana bardziej na luzie, ale Harrison pasuje do swoich eleganckich rodziców. Nie to jednak sprawia, że cała sztywnieję.

Chodzi o to, że on gapi się prosto na mnie. I wydaje się w cholerę niezadowolony.

Po czym to poznaję? Klasyczne oznaki: mocno zaciśnięte usta, pociemniałe oczy ciskające gromy, grymas, który byłby seksowny, gdyby nie wydawał mi się tak niepokojący.

O co temu facetowi chodzi, na litość boską?!

Odwracam się pospiesznie do baru i łapię spojrzenie barmana.

— Zmieniłam zdanie — oświadczam beztrąsko. — Proszę zrobić shoty.

Celia jest wyraźnie zachwycona takim rozwojem sytuacji, a ja czuję gorące spojrzenie na karku. Harrison nadal się na mnie gapi. Może zastanawia się, jak by to było utopić mnie w oceanie, którego szum słyszczyć nawet mimo głośnej muzyki?

Wiem, gdzie jest, nawet bez patrzenia w jego kierunku.

Staję przy barze nieopodal, obok swoich rodziców, i zamawia coś dla całej trójki u innej barmanki. W tym momencie przede mną pojawia się zestaw kolorowych shotów.

— Miles. — Barman wyciąga do mnie rękę, którą ściskam, również mu się przedstawiając. — Jakby co, kończę za godzinę.

Moja bratowa zaczyna chichotać, a ja tylko wpatruję się w opalonego, brodatego, szeroko uśmiechniętego chłopaka, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. W końcu powoli kiwam głową.

— Dobrze wiedzieć, Miles. Może będę potrzebowała partnera do tańca.

Barman odchodzi, żeby zająć się kolejnymi zamówieniami, a Celia obok wzdycha głęboko. Spoglądam na nią pytająco.

— Czasami za tym tęsknię — mówi, na co Hudson prychnie.

— Ty nigdy nie podrywałaś barmanów ani w ogóle nikogo w barach — wypomina jej bezlitośnie, po czym spogląda na mnie. — A ty nie będziesz tańczyła z jakimś obcym typem.

Skąd wiesz, jakie ma zamiary?

— Myślisz, że mógłby zamordować mnie w tańcu? — Robię przerażoną minę. — Masz rację, chyba jednak wybiorę żywot pustelniczki i zamknę się w domku na cztery spusty, żeby przypadkiem nie spotkać kogoś, kto potencjalnie mógłby mnie skrzywdzić.

Celia parska śmiechem, lecz Hudson posyła mi niezadowolone spojrzenie. Pokazuję mu język, po czym podsuwam im shoty.

— No dobra, Hudson w jednym ma rację — stwierdza Celia, biorąc swój kieliszek. — Rzeczywiście nigdy nie podrywałam nikogo w barze. Właściwie nigdzie nikogo nie podrywałam. Właśnie dlatego za tym tęsknię. Zazdroszczę Mac, że jest taka otwarta na ludzi i nie boi się zagadać do faceta. To super.

— Właściwie to on do niej zagadał — przypomina Hudson, na co znowu pokazuję mu język.

— Nie nudź, tylko się napij — odpowiadam.

Wypijamy kolejkę, po czym natychmiast bierzemy drugą.

Kiedy już kieliszki są puste, proszę barmana, żeby znowu nam polał.

Zapowiada się rozrywkowy wieczór.

Kilka kolejek później jestem już tak rozluźniona, że bez oporów pozwalam Celi zaciągnąć się na parkiet, chociaż moje buty są na tyle niewygodne, że muszę je zrzucić, by móc swobodnie tańczyć na piasku.

Impreza się rozkręca, a z głośników lecą pełne głośnych bitów utwory, idealne na letni wieczór na plaży. Zatracam się w tańcu, czuję melodię całą sobą, kręcąc biodrami i zarzucając włosy na ramię. Hudson z jakiegoś powodu do nas nie dołącza, za to donosi nam na parkiet shoty, które nadal pijemy we trójkę.

Przyjemnie szumi mi w głowie i wiem, że to dzięki procentom krążącym w żyłach. W ustach mam słodki smak grenadyny i ostry alkoholu i nie protestuję, gdy ktoś porywa mnie do tańca. Czuję dotyk obcych rąk na biodrach, robię krok do tyłu, uwalniając się na tyle, żeby mój partner nie poczuł się odtrącony. Spoglądam na niego: to facet w hawajskiej koszuli, który kompletnie mnie nie interesuje.

Tańczę z nim przez chwilę, ale kiedy zdaje sobie sprawę, że nie pozwolę mu posunąć się dalej, znika w tłumie.

Odwracam się do Celi, by stwierdzić, że Hudson zmienił zdanie i pojawił się na parkiecie. Przyglądam się im przez chwilę z zazdrością: tak doskonale do siebie pasują. Mój brat obejmuje ją od tyłu, kotysze się z nią w jednym rytmie, a Celia kładzie mu głowę na ramieniu, wyraźnie szczęśliwa.

Zastygam na moment, czując dziwne ukłucie w sercu.

Chciałabym doświadczyć tego, co oni, ale nie wiem, czy tak potrafię. Większość facetów nie jest jak Hudson.

Kiedy po jakimś czasie wracam do baru, żeby zamówić kolejne shoty, zauważam, że na parkiet ruszyła również moja mama z jakimś ciemnoskórym wysokim mężczyzną, a nawet państwo Hart. Przy barze robi się jeszcze tłoczniej, rozglądam się za wolnym stołkiem, bo z moim wzrostem może mi być trudno zwrócić na siebie czyjąś uwagę z drugiego rzędu. I właśnie wtedy odwraca się do mnie mężczyzna stojący tuż przy kontuarze, robiąc mi miejsce.

To Harrison. Kiedy to sobie uświadamiam, moje serce przyspiesza. Waham się przez chwilę, ale w końcu uśmiecham się z wdzięcznością i przeciskam się, by stanąć obok niego. Jest tak blisko, że ocieram się ramieniem o jego ramię, gdy stoję na palcach, by przyciągnąć uwagę barmana. Miles natychmiast mnie zauważa i tylko kiwa głową, doskonale wiedząc, czego chcę.

Nie odwracam się do Harrisona, ale czuję na sobie jego spojrzenie. Mam też wrażenie, że jest wkurzony, no i wygląda na ponurego. Zbieram się w sobie i próbuję jednak przemóc niechęć i nerwy, żeby zainicjować jakąś rozmowę.

— Nie lubisz tańczyć? — pytam, przekrzykując muzykę.

Kiedy nie odpowiada, zerkam na niego. Muszę podnieść głowę, bo znajduje się zdecydowanie za blisko. Coś w jego ciemnych oczach sprawia, że wstrzymuję oddech.

Wmawiam sobie, że jego obecność po prostu mnie denerwuje, lecz w głębi duszy wiem, że chodzi o coś więcej.

Nie tylko o niechęć czy nienawiść. Nie mam pojęcia dlaczego, ale bliskość Harrisona wyprowadza mnie z równowagi.

Może to dlatego, że zawsze wybierałam niewłaściwych facetów. Eric był tego klasycznym przykładem. Z jakiegoś powodu — pewnie jest to związane z faktem, że mój ojciec był wiecznie nieobecny — ciągle trafiałam na mężczyzn, którzy mnie nie szanowali. Może w głębi duszy uważałam, że nie zasługuję na kogoś lepszego, a może powielalam schemat mojej matki — trudno powiedzieć. Odnoszę jednak wrażenie, że Harrison Hart doskonale wpisuje się w ten schemat, i dlatego powinnam trzymać się od niego z daleka.

Mężczyzna kręci głową, ale nie odpowiada. Gdybym na własne uszy nie słyszała, jak mruczy coś pod nosem, zaczęłabym się zastanawiać, czy nie jest niemową.

— Zupełnie tego nie rozumiem. — Uśmiecham się do niego zachęcająco. — Taniec pozwala uwalniać emocje. Dodaje endorfin. To jak wysiłek fizyczny, tylko dużo lepiej.

Miles stawia przede mną kolejne shoty, więc bez namysłu wychylam jednego z nich, próbując w ten sposób zapomnieć, jakie głupoty gadam przy starszym bracie Celi.

Zwłaszcza że ten nadal się nie odzywa, po prostu uważnie mnie obserwując. Nie rozumiem, co jest nie tak z tym facetem.

Zabiłoby go, gdyby chociaż spróbował przeprowadzić ze mną normalną konwersację?

Podsuwam mu shota, ale ponownie kręci głową. Wzruszam ramionami i już mam odejść, gdy wpada na mnie jakiś podchmielony klient, który akurat przechodzi obok. Cofam się i nagle coś twardego wyrasta za moimi plecami, po czym czyjeś dłonie chwytają mnie za ramiona.

Zamieram, orientując się, że to Harrison. Przyciąga mnie do siebie bliżej, aż plecami opieram się o jego klatkę piersiową, a moją skroń owiewa jego ciepły oddech. Serce skacze mi aż do przetyku, gdy jego palce zaciskają się na moich przedramionach. Czuję piżmowy zapach jego perfum i to sprawia, że całkiem tracę równowagę.

Wyswobadzam się gwałtownie, a on nie próbuje mnie powstrzymać. Opieram się ciężko o bar i odwracam do niego.

— Nie chciałem, żebyś upadła — mówi, jakby się tłumaczył.

Przyglądam mu się ze zdziwieniem. Wygląda na niezadowolonego. Czy mój dotyk jest aż tak obrzydliwy?

Ze zdziwieniem zauważam, że Harrison sięga po shota i wypija go jednym haustem. Okej. Zaraz potem przy barze znowu robi się ciasno i z powodu tłumu muszę znaleźć się jeszcze bliżej tego mężczyzny. Chyba powinnam uciekać, tylko dokąd? Na parkiet?

To całkiem niezła opcja.

Wypijam alkohol z dwóch pozostałych kieliszków, chociaż wiem, że to nie jest najmądrzejszy pomysł. Już teraz szumi mi w głowie, a co będzie za kilka następnych kolejek?

Dawno nie zdarzyło mi się upić, ale przecież jestem na wakacjach, prawda?

I pod ciągłym ostrzałem niezadowolonych spojrzeń młodego Harta. Chyba każdy w takiej sytuacji potrzebowałby rozluźnienia.

— Nie masz już dość? — pyta znienacka Harrison.

Podnoszę na niego spojrzenie. Coś dziwnie błyszczą w jego ciemnoniebieskich oczach.

— Dopiero się rozkręcam — uświadamiam mu i znowu odwracam się do baru.

Miles akurat zdejmuje fartuch i ponad głowami ludzi podchwytuje moje spojrzenie. Uśmiecham się, a on odpowiada mi tym samym. Wygląda na to, że jest już wolny, a to dobrze, bo potrzebuję partnera.

Obchodzi kontuar, po czym zbliża się do mnie i bez namysłu chwyta moją rękę.

— Zatańcz ze mną — mówi po prostu i ciągnie mnie, a ja mu się poddaję, zostawiając Harrisona przy blacie.

Miles tańczy świetnie. Ma poczucie rytmu i dopasowuje się do mnie, jakbyśmy znali się od dawna. Nie jest nachalny, a jego dłonie nie lądują tam, gdzie nie powinny. Trzymają się moich pleców, gdy przyciąga mnie do siebie w tańcu, i nawet nie próbują zsunąć się na tyłek.

Kładę mu dłonie na ramionach i pozwalam, by kotłował mnie do rytmu muzyki. Miles zachęca mnie do kilku obrotów, jego uchwyt jest pewny, ani przez chwilę nie wypuszcza mnie z rąk. Uśmiecha się seksownie, aż czuję ścisk w dole brzucha.

Sama nie wiem, jak daleko chcę się posunąć. Lecąc na Hawaje, nie planowałam żadnego przelotnego romansu.

Wprawdzie skończyłam z Erikiem wystarczająco dawno temu, umawiałam się już na randki, ale w przyjeździe na Lanai chodziło o Celię i Hudsona, nie o mnie. Dopiero słowa

bratowej o tym, że trzeba mi znaleźć jakiegoś przystojniaka, coś we mnie obudziły.

Nie chodzi o nic poważnego. To tylko przypadkowy facet z baru, który zwrócił na mnie uwagę. Ale on wydaje się sympatyczny, a ja...

Naprawdę chciałabym poznać jakiegoś sympatycznego mężczyznę.

Nie jestem jednak dziewczyną od jednorazowych numerków. Nigdy mnie to nie bawiło, bo seks nie jest dla mnie czymś, dzięki czemu mogę osiągnąć satysfakcję.

Taniec jest fajny, ale nie zamierzam pozwolić sobie na więcej.

Po kilku kawałkach odsuwam się od Milesa i na migi daję mu znać, że muszę iść do toalety. Krzyczy do mnie, czy chcę towarzystwa, ale kręcę głową i zostawiam go na parkiecie.

Kiedy wydostaję się z największego tłumu, w moją rozgrzaną skórę uderza wiatr znad oceanu, przyjemnie ją chłodząc.

Wdycham przesycone solą powietrze i ruszam przed siebie, trochę się chwiejąc. Nie wiem, gdzie są moje buty, bo odkąd ruszyłam do tańca, biegam boso, ale nie zamierzam się tym teraz przejmować. W głowie mi wiruje i czuję się trochę niedobrze, zapewne od nadmiaru alkoholu, poza tym nie mam pojęcia, gdzie szukać tutaj toalety. Jestem pewna, że gdybym teraz spróbowała coś powiedzieć, plątałby mi się język.

Upiłam się. Świetny początek mojego hawajskiego tygodnia.

Parskam śmiechem, gdy to sobie uświadamiam, i o mało nie wpadam na jakiegoś idącego do baru klienta. Oglądam się za siebie, dostrzegając na parkiecie przytulonych Celię i Hudsona. Naprawdę chciałabym przeżywać coś takiego.

Wzdycham żałośnie.

Może po prostu jestem zepsuta?

Idę znowu przed siebie, rozglądając się dookoła. Szukam wzrokiem toalet, ale poza barem, parkietem, mnóstwem ludzi, pasem plaży i ciemnym brzegiem oceanu nie widzę zbyt wiele. Może powinnam odejść chociaż kawałek...

Znowu na kogoś wpadam, co sprawia, że zaczynam chichotać. Chwytają mnie czyjeś dłonie i dopiero wtedy stwierdzam, że znam już ten dotyk. Moje

ciało rozpoznaje go, reagując gęsią skórą i przyspieszonym oddechem.

Podnoszę głowę, by napotkać badawcze spojrzenie Harrisona. Mrugam, chcąc zogniskować wzrok, ale z jakiegoś powodu okazuje się to niewykonalne.

— Dlaczego jest was dwóch? — pytam bełkotliwie.

Harrison wzdycha, po czym ujmuje mnie za ramię i zaczyna dokądś prowadzić. Zapieram się nogami.

— Puść mnie w tej chwili! — Nie wiem, ile rozumie z tego, co mówię, ale mam nadzieję, że niewiele, i właśnie dlatego się nakręcam. — Nie dam się zaciągnąć do twojej pieczary, żebyś mógł mnie pożreć jak smok dziewicę. Wiś sobie sam w kącie, ponury nietoperzu...

— Dobra, chyba na dzisiaj już ci wystarczy — mamrocze z niesmakiem. — Uspokój się, kobieto.

Ups.

Chyba jednak zrozumiał wszystko to, co do niego mówiłam.

Rozdział 5

Mackenzie

Budzi mnie potworny ból głowy. W ustach mam saharę, a czaszka łupie mnie tak, jakby przebiegło po niej stado słoń.

Czy na Hawajach są słońce?

Oczywiście, że nie, idiotko, przemyka mi przez głowę, gdy próbuję się podnieść do pozycji siedzącej. Słońce są za duże na tak małe wyspy jak te z archipelagu Hawajów.

W końcu siadam na łóżku i jęczę, gdy okazuje się, że do pulsowania głowy dołącza też ból oczu, które zaczynają łzawić. Słońce mnie razi i czuję pod powiekami piasek.

Dopiero po chwili orientuję się, że nie zdjęłam soczewek na noc.

— Cholera — mamroczę, po czym wyskakuję z łóżka.

Niemal na oślep pokonuję drogę do łazienki, po drodze uderzając palcem o róg jakiegoś mebla. Wyrwa się ze mnie kolejne przekleństwo, ale dzielnie kuśtykam dalej. Przy blacie z umywalkami odnajduję moje krople do oczu i pojemnik z płynem. Na wszelki wypadek najpierw zapuszczam sobie krople, bo spojówkę z pewnością mam przesuszone po nocy w szklach kontaktowych. Po chwili ostrożnie zdejmuję soczewki.

Świat natychmiast rozmazuje mi się przed oczami, a ja klnę raz jeszcze, gdy uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie położyłam okulary. Super. Teraz będę ich szukać na oślep jak ostatnia kretynka!

Z trudem, lekko kulejąc, bo stopa boli mnie od uderzenia, wracam do sypialni i zaczynam poszukiwania. Po kilku minutach na szczęście udaje mi się znaleźć okulary w torebce, więc wsuwam je z ulgą na nos. Pierwsze, co widzę, gdy znowu wyostrza mi się wzrok, to że na stoliku nocnym przy łóżku stoi butelka wody i słoiczek leków przeciwbólowych.

Marszczę brwi. Byłam wczoraj pijana jak bela — czy to możliwe, że sama zostawiłam to sobie na rano? Nawet nie pamiętam, jak wróciłam do domku.

Siadam ciężko na łóżku, wyężając umysł. Pamiętam, że szukałam toalet i że natknęłam się na Harrisona. Pamiętam, że nagadałam mu coś nieprzyjemnego... i właściwie tyle.

Potem już nic. Czarna dziura.

Od dawna nie upiłam się tak jak wczoraj w barze przy plaży.

Jestem beznadziejna.

Ale są wakacje, a poza tym mam dwadzieścia siedem lat.

Jestem wystarczająco dorosła, by czasami się upić, jeśli mam na to ochotę. Hm, skoro tak, to jestem też wystarczająco dorosła, żeby zmierzyć się z konsekwencjami, prawda?

Na przykład powinnam przeprosić Harrisona. Nie wiem dokładnie, co mu powiedziałam, ale z pewnością nic miłego.

Wzdycham rozzdzierająco i biorę dwie tabletki ze stoiczka.

Popijam je łykiem przyjemnie chłodnej wody, po czym się rozglądam, chcąc się zorientować, co powinnam zrobić, by przygotować się na ten dzień. Mój wzrok pada na zegar na ścianie i to sprawia, że gwałtownie podrywam się z łóżka.

Cholera! Jest za dziesięć dziewiąta, a na dziewiątą umówiliśmy się na wspólne śniadanie!

Biorę ekspresowy prysznic, a potem wkładam pierwsze ciuchy, jakie wpadną mi do ręki. Różowa koszulka,

dżinsowe szorty, japonki — to wszystko. Zero makijażu, bo nie mam na to czasu, nie suszę nawet włosów, tylko upycham je pod kolorową czapkę z daszkiem. Nadal z okularami na nosie kieruję się do wyjścia, gdzie zatrzymuję się na moment.

Pod drzwiami na podłodze stoją moje sandały na słupku, te same, które zgubiłam wczoraj w barze. Skąd się tu wzięły?

Ktoś je znalazł i mi oddał, zanim wróciłam? Przyniosłam je sobie sama?

Jezu, właśnie dlatego nie lubię się upijać. Nie dlatego, że czuję się teraz tak, jakbym potrzebowała wychłęptać wiadro wody, nie dlatego, że głowa potwornie mnie łupie, ale dlatego, że nie pamiętam, co się działo. Nienawidzę tracić kontroli.

Słońce razi mnie okropnie, gdy wychodzę na zewnątrz, poza tym tam jest bardziej duszno i wilgotno niż w domku.

Szybko pokonuję drogę do restauracji, gdzie czekają już na mnie Celia z Hudsonem.

— Ooo, jesteś — mówi na mój widok rozbawiona Celia. —

Wydajesz się jakaś... blada?

— Pewnie dlatego, że wczoraj wlała w siebie litr wódki —

mruży niezadowolony Hudson. — Gdzie zniknęłaś? Miałem cię pilnować.

Wzruszam ramionami, zajmując miejsce naprzeciwko nich.

— Byliście bardzo zajęci sobą — zauważam z przekąsem. —

Nie chciałam wam przeszkadzać.

— Daj spokój, nie przeszkadzałybyś nam — zapewnia Celia natychmiast. — Martwiliśmy się o ciebie.

— Niepotrzebnie — uspokajam ją. — Nie zniknęłam, po prostu wróciłam do domku. Byłam zmęczona.

Oboje parszczą śmiechem.

— Zmęczona, jasne — mruży Hudson. — Tak to się teraz nazywa, co? A gdzie ten facet, który lepił się do ciebie na parkiecie?

Uśmiecham się na wspomnienie flirtującego ze mną Milesa.

To było zaskakująco przyjemne. Może powinnam z nim pogadać, jeśli jeszcze gdzieś się na niego natknę? Nie będę go szukać specjalnie, ale gdyby tak przypadkiem?

To ciekawa perspektywa, choć równocześnie jest w niej coś, co mi nie pasuje. Nie analizuję jednak swoich uczuć zbyt głęboko.

— Dzień dobry.

Drgam, gdy słyszę za sobą ten głęboki męski głos. Mam ochotę się odwrócić, ale nie robię tego, choć doskonale wiem, kto za mną stoi.

— Harrison, postanowiłeś dołączyć? — Hudson uśmiecha się do mężczyzny za moimi plecami. — Ty pewnie się wypałeś, co? Widziałem, że nie bawiłeś się wczoraj zbyt dobrze. Wcześniej się zmyłeś.

Harrison obchodzi stół, by usiąść obok mnie. Wrusza ramionami i nie odzywa się więcej, zatem próbuję zmienić temat.

— A twoi rodzice, Celio? I nasza mama? — Patrzę pytająco na Hudsona. — Zjedzą z nami?

— Bawili się do późna i uznali, że chcą dłużej pospać —

odpowiada mój brat. — Pomyślałem, że moglibyśmy do południa wybrać się sami do parku linowego. Starsze pokolenie pewnie i tak nie będzie chętne, a ja chciałbym wrócić wcześniej, żeby zdążyć odebrać tatę z lotniska.

Kiwam głową, chociaż to wywołuje w niej kolejną falę bólu.

Park to całkiem niezła perspektywa.

— Brzmi super — odpowiadam w nadziei, że nie porzycam się w trakcie tej zabawy. — Nigdy nie byłem w parku linowym. Coś powinnam wiedzieć?

— Koniecznie włóż inne buty. Najlepiej takie nad kostkę. —

Hudson przygląda mi się uważnie, jakby chciał mnie prześwietlić na wylot. — Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Mac. Co z tym facetem z parkietu? Wróciłaś z nim do domku?

Ale drąży. Celia uderza Hudsona pięścią w ramię, ale ten nic sobie z tego nie robi i nadal nie spuszcza ze mnie wzroku. Czuję, jak na policzki wypełza mi rumieniec.

Nic takiego się nie stało, prawda? Zostawiłam Milesa na parkiecie. W drodze do toalety spotkałam Harrisona. Ale co było potem? Równie dobrze mogłam wrócić do baru i...

Nie. Niemożliwe. To zupełnie nie w moim stylu.

— Nie, nie wróciłam z nim do domku — odpowiadam ze złością i z większą pewnością siebie, niż faktycznie czuję. —

I to w ogóle nie twoja sprawa, Hudson. Jeśli zechcę, będę się rznąć z każdym mężczyzną na tej wyspie, a to nadal nie będzie twoja sprawa!

Kiedy milknę, orientuję się, że za bardzo podniosłam głos.

Rozglądam się dyskretnie i stwierdzam, że ludzie przy sąsiednich stolikach patrzą na mnie z niesmakiem. Jezu, ale wstyd!

Kątem oka spoglądam też na Harrisona, który z nieodgadnionym wyrazem twarzy wpatruje się w swoją filiżankę z kawą. Dzięki temu uświadamiam sobie, czego naprawdę potrzebuję.

— Kawy! — krzyczę, podnosząc się z krzesła. — Idę po kawę. Przynieść coś komuś?

Odprawdzają mnie dziwne spojrzenia Harrisona i mojego brata oraz śmiech Celii, ale nie zatrzymuję się, chcąc jak najszybciej uciec z zasięgu ich wzroku.

Świetne zagranie, Allen, nie ma co.

Wiszę jakieś siedem metrów nad ziemią.

Właściwie to słowo „wiszę” nie najlepiej oddaje moją sytuację. Trzymam stopy na pojedynczej linie, która jest tak niestabilna, że w każdej chwili mogę stracić to oparcie.

Nogi mi dygoczą, a ręce mam kurczowo zaciśnięte na linie nade mną, i zastanawiam się, jakim cudem uznałam, że park linowy będzie dobrym pomysłem.

Myślałam, że zapną mnie w uprząż, spuszczą w dół tyrolką i polecę sobie chwilę w powietrzu. Nie przypuszczałam, że każą mi pokonywać jakiś tor przeszkód!

— Dasz radę, Mac! — dobiega z drugiego końca liny okrzyk Hudsona. — Nie patrz pod nogi i idź przed siebie, krok po kroku!

— Jakim cudem mam trafić nogami w linę, jeśli nie będę na nią patrzeć?! — drę się histerycznie.

Weź się w garść, Allen, polecam sobie stanowczo. Jesteś przypięta pieprzoną uprzężą, a na dole znajdują się siatki, które nie pozwolą na upadek na ziemię. Nic ci, do diabła, nie grozi!

Robię kolejny sztywny krok do przodu, a lina huśta się tak, że ledwie utrzymuję równowagę. Serce podchodzi mi do gardła, ale uparcie prę przed siebie, przeklinając Hudsona za wybranie bardziej wymagającej trasy.

— Jeszcze trochę, Mac!

— Nienawidzę cię! — krzyczę na cały głos. O dziwo, to sprawia, że zaczynam się czuć nieco lepiej.

Mój brat rechocze.

— Ty nie jesteś zdolna do nienawiści, Mac — odpowiada, dowodząc, jak dobrze mnie zna. — No już, dalej, jeszcze tylko kilka kroczków!

Patrzę przed siebie. Odcinek trasy złożony z dwóch lin rozpostartych między dwoma drzewami kończy się drewnianą platformą, na której stoją już mój brat i Harrison. Obaj wpatrują się we mnie, o ile jednak Hudson mnie dopinguje, o tyle Harrison zdaje się wyłącznie zniecierpliwiony. Nic dziwnego: sam przeszedł ten kawałek w kilka sekund niczym mała, czym mnie zmylił i pozwolił

wierzyć, że ja też sobie poradzę.

Jego za to też nienawidzę.

Ale nic dziwnego, że dałam się nabrać. Nie sądziłam, że on, z tym kijem w dupie, którego jak się zdaje, nigdy nie wyjmuje, potrafi sprawnie się poruszać!

Zaciskam mocno szczęki i z trudem pokonuję resztę trasy.

Kiedy docieram na platformę, cała się trzęsę i z wysiłkiem staję na nogach. Ktoś podtrzymuje mnie za ramię i po reakcji mojego ciała na ten dotyk natychmiast się domyślam, że to nie Hudson. Szarpię się do tyłu, na szczęście Harrison mnie nie puszcza, bo inaczej chyba spadłabym z platformy. Przyciąga mnie do siebie bliżej, kiedy jestem już na jej skraju.

— Co ty robisz, wariatko? — warczy.

Wariatko? Goń się, palanciel!

Opieram się plecami o drzewo i uwalniam ramię z jego uścisku. Harrison rzuca mi ponure spojrzenie, po czym się odwraca. W tej samej chwili dobiega

nas spanikowany głos Celi:

— Jeśli Mac ledwie sobie poradziła, to ja na pewno nie przejdę! Idę dołem! Hudson zaczyna ją przekonywać, żeby chociaż spróbowała, dzięki czemu nie zwraca uwagi na mnie i na Harrisona.

Zerkam na brata Celi, ale on już wpatruje się w dalszą trasę do kolejnego drzewa.

— Idźcie dalej, jeśli chcecie — mówi Hudson. — Ja wrócę po Celię i do was dołączymy.

Harrison tylko kiwa głową, a mnie żołądek kurczy się w supeł. Świetnie. Mam zostać z nim sam na sam?

Trudno. Przecież sobie poradzę, nie?

Harrison pokazuje mi, żebym szła przodem, więc wymijam go z trudem, ocierając się o jego ramię, i ruszam przed siebie. Przepinam się na kolejną linę, ale ta część trasy jest prostsza — dół składa się z drabinki linowej, górą idą dwie liny do podtrzymania się. Bułka z masłem.

Rozglądam się dookoła. Park linowy urządzono w samym sercu lasów deszczowych na Lanai, dzięki czemu cały czas znajdujemy się wśród zieleni. To sprawia, że jest tu jeszcze bardziej wilgotno i parno niż na otwartym terenie, a ja na tym etapie jestem już porządnie

spocona. Nie przejmowałabym się tym, gdyby nie spojrzenia Harrisona, który wyraźnie ocenia mnie nawet w takiej sytuacji.

Ostrożnie stawiam pierwsze kroki na drabince. Zamieram, gdy zaczyna się huścić; to Harrison na nią wszedł i obecnie znajduje się tuż za mną.

To chyba jedyny właściwy moment, żeby podjąć ten temat.

— Przepraszam za wczoraj — zaczynam niechętnie.

Harrison milczy przez chwilę, więc stawiam kolejne kroki na drabince linowej. Wreszcie odpowiada:

— Za co?

— Na pewno powiedziałam coś głupiego, kiedy na ciebie wpadłam.

Marszczę brwi, próbując sobie to przypomnieć. Coś o ponurym nietoperzu? Ups, to musiało zabrzmieć wrednie, nawet jeśli jest prawdziwe. — Byłam pijana. Przemawiał przeze mnie alkohol. Nie chciałam powiedzieć nic przykrego.

— Nie było mi przykro.

— Och. — Zatrzymuję się na moment i spoglądam na niego przez ramię. Wydaje się spokojny i niewzruszony, a poza tym nie ma nawet przyspieszonego oddechu. Twarde ciało tego faceta to chyba nie przypadek, musi być bardziej wysportowany, niż sądziłam. — W porządku. Tak czy inaczej... przepraszam.

Spuszczam wzrok na drabinkę i robię następny krok, ale wtedy dobiega mnie pytanie Harrisona:

— Ile właściwie pamiętasz z wczorajszej nocy?

Te słowa tak bardzo wytrącają mnie z równowagi — brzmią, jakby Harrison sugerował, że coś się wtedy wydarzyło — że robię jeden fałszywy krok. Nie trafiam nogą w szczebel drabinki i noga ucieka mi w dół, a ja wrzeszczę, gdy tracę równowagę.

Czuję zaciskające się wokół mnie silne ramiona i Harrison podrywa mnie do góry, zanim zdążę spaść. Odwracam się do niego, rozpląszczam się na jego twardej klatce piersiowej i oboje o mało nie tracimy znowu równowagi; na szczęście ja łapię się jego koszuli, a on przytrzymuje jednym ramieniem liny nad nami.

— Wszystko w porządku?! — krzyczy z oddali Hudson.

Chyba usłyszał, jak się drę. Podnoszę wzrok na Harrisona, który wpatruje się we mnie pytająco; bez słowa kiwam głową, bo mam wrażenie, że chce sprawdzić, czy nic mi nie jest.

— Jest okej! — odkrzykuje Hart do mojego brata, a ja się wzdygam, bo pierwszy raz słyszę, jak wydaje z siebie tak głośny dźwięk. — Idziemy dalej!

Dopiero po chwili orientuję się, że nadal zaciskam kurczowo dłonie na jego koszuli, a on wciąż obejmuje mnie mocno ramieniem w pasie. Jego obecność zdaje się wyciągać z otoczenia całe powietrze, bo nagle brakuje mi tchu.

Przez krótką jak mgnienie oka chwilę wpatrujemy się w siebie bez słowa: ja z rozchyłonymi w zdziwieniu ustami, on tym spojrzeniem bez wyrazu, którego nie potrafię zrozumieć. Zaraz potem Harrison puszcza mnie i cofa się o krok, a ja z trudem utrzymuję równowagę.

— Patrz pod nogi — poleca mi szorstko.

To całkiem niezła rada. Dużo lepsza niż ta Hudsona.

Odwracam się i ruszam znowu przed siebie, dużo ostrożniej niż wcześniej. Słyszę dopingującego Celię Hudsona —

chyba jednak namówił ją, by weszła na linę — ale skupiam się na własnej trasie i na milczącym mężczyźnie za mną.

Dopiero po chwili przypominam sobie, że zanim prawie zleciałam z drabinki, zadał mi pytanie.

Chyba wypadłoby coś powiedzieć? Problem w tym, że nie mam pojęcia co.

— Wszystko pamiętam — odpowiadam po chwili niefrasobliwie.

Właściwie nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Chcę wydawać się poważniejsza i bardziej odpowiedzialna, niż jestem w rzeczywistości? Wolę nie przyznawać, że upiłam się tak bardzo, aż urwał mi się film? A może nie chcę, by Harrison uznał, że moja wizyta w parku linowym na ciężkim kacu to nie jest dobry pomysł?

Za mną wciąż panuje cisza. Mam ochotę się odwrócić i na niego spojrzeć, ale nie robię tego, koncentrując się na



kolejnych krokach po drabince. Nie mam pojęcia, dlaczego Harrison mnie o to zapytał i co sądzi o mojej odpowiedzi.

— Yhm — mamrocze w końcu, co nie jest nawet żadnym sensownym słowem.

Zaciskam zęby, żeby nie powiedzieć czegoś pochopnego. O co chodzi temu facetowi?

Docieram do następnej platformy, gdzie nareszcie mogę odetchnąć. Siadam na jej brzegu i opuszczam nogi w dół, po czym zaczynam nimi machać. Potrzebuję odpocząć chociaż chwilę, bo już cała się trzęsę.

Harrison przykuca obok mnie, ale nic nie mówi. Boże, ten człowiek jest taki dziwny.

— Idź dalej beze mnie — odzywam się. — Muszę chwilę odpocząć.

Kątem oka dostrzegam, że kręci głową.

— Poczekam — odpowiada jedynie.

To mnie trochę zaskakuje, ale pozytywnie. Uśmiecham się do siebie, wpatrując się w las. Koszulka bez rękawów lepi mi się do ciała, a szorty są już całe brudne, ale w tej chwili mam to gdzieś. Całkiem dobrze się bawię.

Właściwie to naprawdę dobrze się bawię.

Rozdział 6

Mackenzie

Po powrocie do hotelu czuję, że zaczynają mnie boleć wszystkie mięśnie. Naprawdę nie sądziłam, że głupi park linowy będzie tak wyczerpujący fizycznie, ale nie jestem z tego powodu zła.

Zmęczenie to dobre uczucie, a w tej chwili mam ochotę na długą kąpiel w wolno stojącej wannie, która obok prysznicza zajmuje sporo miejsca w mojej łazience.

— Byliście ekstra — mówi Hudson, kiedy wysiadamy z taksówki. Celia jęczy z bólu, a ja ledwie powstrzymuję się, żeby nie iść w jej ślady. — Mam nadzieję, że wam się podobało!

— Było super — przyznaję mimo wszystko z entuzjazmem.

Celia kładzie dłoń na moim ramieniu.

— Było super, ale jutro rano idę z Mac na masaż w hotelowym spa — dodaje. — Inaczej nie będziesz miał ze mnie pożytku do końca wyjazdu, Hudson.

Oboje się śmieją i tylko mnie robi się odrobinę niedobrze, gdy słyszę aluzję erotyczną skierowaną do mojego brata.

Harrison jak zwykle stoi w milczeniu obok, więc raczej nie mam co liczyć na pomoc z jego strony.

— To co, widzimy się za godzinę, Mac? — Hudson spogląda na mnie pytająco. — Pojedziemy na lotnisko.

Kiwam głową, choć w głębi duszy przeczuwam kłopoty.

Wprawdzie mama wie, że ojciec przyjeżdża, ale podejrzewam, że nie zareaguje dobrze na jego obecność.

Zwłaszcza że mają domki jedno obok drugiego.

Uciekam do siebie; już w środku rozbieram się i wskakuję do wanny, ledwie zdąży się napełnić. Wzdycham z zadowoleniem. Tak bardzo tego potrzebowałam!

Przymykam oczy, opieram szyję o brzeg wanny i pozwalam sobie na relaks. Później będę się martwić rodzicami, Harrisonem i całą resztą; na razie chcę mieć chwilę spokoju. Pozwalam mięśniom się odprężyć, a gdy słyszę sygnał komórki, po prostu go ignoruję.

Chyba zasypiam w wannie, bo kiedy otwieram oczy, woda jest już całkiem zimna. Moja komórka już nie dzwoni, słyszę za to pukanie do drzwi.

Wychodzę z wanny i owijam się ręcznikiem, który ledwie zakrywa mi tyłek. Mam mokre włosy i cała jestem wilgotna, ale nie przejmuję się tym, idąc do drzwi. Pukanie rozlega się ponownie.

— No już idę, spokojnie! — krzyczę, po czym otwieram drzwi na całą szerokość.

W progu stoi Harrison. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Natomiast ja jestem tak zaskoczona, że robię krok w tył, ślizgam się, tracę równowagę i lecę na tyłek, piszcząc po drodze.

Łąduję na podłodze, w ostatniej chwili łapiąc ręcznik, który zaczyna się rozwiązywać na piersiach. Potem gorączkowo łączam nogi, bo obawiam się, że w tej pozycji Harrison mógłby dostrzec coś, czego nie zamierzam mu nigdy pokazywać. Spoglądam na niego do góry, zażenowana, ale on po prostu gapi się na mnie, po czym przejeżdża wzrokiem wzdłuż mojego ciała. To naprawdę niegrzeczne.

Dopiero po chwili robi krok do przodu i wyciąga dłoń, żeby pomóc mi wstać. Staram się zrobić to z jak największą

gracją, co jest raczej niemożliwe, biorąc pod uwagę pokaz, jaki mu przed chwilą zaprezentowałam. Szybko poprawiam ręcznik, którego mam zdecydowanie za mało.

Kiedy cisza między nami się przedłuża, próbuję jakoś ją przerwać.

— Tak? — ponaglę. Rozumiem, że go rozproszyłam, ale w końcu to on do mnie przyszedł.

Wzrok Harrisona wraca do moich oczu.

— Rozmawiałaś z Hudsonem?

Tym razem to ja otwieram usta w zdumieniu. Kręcę głową, odwracam się i ruszam do sypialni, gdzie zostawiłam komórkę. Tak jak sądziłam — kilka nieodebranych połączeń od mojego brata, a także dwa od Celi. Więc to oni dzwoniли, gdy zasnąłam w wannie.

— Dzwonił do mnie — mówię bardzo inteligentnie. — Nie odebrałam, brałam kąpiel.

— Widzę. — Ten głęboki głos rozbrzmiewa dziwnie blisko za moimi plecami.

Wzdrygam się i odwracam do Harrisona, stwierdzając, że nie tylko wszedł do mojego domku, ale jest też w mojej sypialni. Tej samej, w której na łóżku leży jedwabna czarna piżamka wykończona koronką. Harrison może ją sobie bardzo dokładnie obejrzeć z miejsca, w którym stoi.

— Wiesz, o co tu chodzi? — Poprawiam ręcznik, czyniąc sobie w myślach wyrzuty, że nie ubrałam się inaczej, zanim otworzyłam. Nie zapowiada się, żeby Harrison miał się stąd prędko wynieść.

— Hudson kiepsko się czuje — wyjaśnia beznamiętnie. Nie wygląda na to, by zwrócił uwagę na moją piżamę. —

Poprosił, żebym pojechał z tobą po waszego ojca.

Mrugam ze zdziwieniem.

— Kiepsko się czuje? — powtarzam z niedowierzaniem. —

Jak to?

Bez namysłu wybieram numer brata i nawiązuję połączenie.

Przeczekuję kilka sygnałów, ale nie dostaję żadnej odpowiedzi. Hudson nie odbiera.

— Daj mu spokój — mamrocze Harrison, cofając się o krok.

— Wiesz, co to znaczy.

Wiem?

Momentalnie oblewam się rumieńcem. Czy Harrison sugeruje, że mój brat rzucił mu mnie na pożarcie i zrezygnował z odebrania ojca na lotnisku, żeby uprawiać seks ze swoją świeżo poślubioną żoną?

No dobrze, pewnie nie byłoby to dla mnie jakieś bardzo szokujące, gdyby nie fakt, że chodzi o Hudsona. Mojego brata, którego nie mam ochoty wyobrażać sobie w intymnych sytuacjach. To obrzydliwe.

Rzucam komórkę na łóżko, jakby mnie parzyła.

— Boże — wzdycham z zażenowaniem. — Nie wierzę, że oni właśnie teraz to robią.

Harrison unosi brew.

— „To” — powtarza z drwiną. — Masz na myśli seks, Mackenzie?

Cofam się o krok, aż kolanami uderzam w łóżko. Dobrze, że już wcześniej byłam zarumieniona, bo po tych słowach gorąco uderza we mnie z podwójną siłą.

Pierwszy raz słyszę z jego ust takie słowa. Po pierwsze, Harrison wspomina o seksie; po drugie, nigdy wcześniej nie wypowiedział mojego imienia. A to wszystko w jednym zdaniu, co już całkiem mnie oszałamia!

Chryste, weź się w garść, Allen, strofuję się w myślach.

Gdybyś miała majtki, już byś z nich wyskoczyła!

— Niekoniecznie chcę myśleć o seksie, gdy w grę wchodzi mój brat — warczę.

W jego ciemnoniebieskich oczach pojawia się błysk, którego nie potrafię właściwie określić. Harrison robi krok w moim kierunku.

— Zamierzasz założyć na siebie jakieś ubranie i pojechać ze mną na lotnisko?

— To chyba najdłuższe zdanie, jakie od ciebie słyszałam — wrywa mi się.

Natychmiast żałuję tych słów, ale nie mogę ich już cofnąć.

Harrison krzywi się i odwraca, by wyjść z sypialni.

— Zaczekam w salonie — mówi, po czym znika mi z oczu.

Cholera. Chyba go obraziłam, a nawet nieobrażony Harrison Hart to groźny przeciwnik. Powinnam go przeprosić czy coś?

Nie no, jeszcze całkiem nie oszałam.

Rzucam się do szafy i wyciągam stamtąd ciuchy. Wybór pada na długą różową sukienkę i jasne adidas; daruję sobie makijaż i suszenie włosów, które w tutejszym klimacie i tak zaraz przestaną być mokre. Ubranie się zajmuje mi minutę.

Harrison czeka na mnie, stojąc na środku salonu, a na jego widok znowu przypominam sobie, że mój brat zrezygnował z odebrania ojca z lotniska na rzecz maratonu seksu.

Wzdycham żałośnie. Właściwie mu się nie dziwię. Też wolałabym uprawiać seks, niż być świadkiem awantury pomiędzy rodzicami, którzy nie widzieli się od lat.

— Jestem gotowa — oświadczam z niezadowoleniem, ściągając tym na siebie spojrzenie Harrisona.

Jest chłodne i oceniające. Drzę pod nim, podczas gdy Harrison przesuwa po mnie niespiesznie wzrokiem, a z jego

twarzy znowu nic nie mogę odczytać. Wydaje mi się jednak, że robi się jeszcze bardziej ponury, czego kompletnie nie rozumiem.

— Jedźmy — mruczy pod nosem, po czym odwraca się i wychodzi z mojego domku.

Przez moment gapię się za nim z niedowierzaniem i urazą.

Robi mi się naprawdę przykro. Wyglądam aż tak źle?

Powinnam się przebrać? Może jednak sandały na obcasie byłyby lepsze od adidasów?

Ale właściwie... dlaczego miałabym się przejmować, co ten facet o mnie myśli?

Wychodzę za nim i pozwalam się zaprowadzić do stojącego pod głównym pawilonem auta z napędem na cztery koła.

Sądzę, że to kolejna taksówka, ale ku mojemu zdziwieniu Harrison wsiada za kierownicę, mnie zostawiając miejsce pasażera. Wdrapuję się na nie i ruszamy w drogę na lotnisko krętą drogą prowadzącą skrajem lasu deszczowego.

Przez dłuższą chwilę w samochodzie panuje cisza. Kiedy sięgam dłonią do radia, żeby je włączyć, Harrison mówi szybko:

— Zostaw.

Krzywię się, ale zgodnie z jego prośbą — czy to w ogóle była prośba? — nie włączam radia. Jeśli on woli ciszę przez całą drogę na lotnisko, która trochę potrwa, to proszę bardzo. Może tylko dla mnie to istna tortura.

Może on po prostu lubi być milczącym, nietowarzyskim gburem.

Wyglądam przez okno, podziwiając widoki i nadaremnie czekając, aż Harrison zacznie rozmowę. Tylko że on tego nie robi. Dobra, rozumiem, że może mnie nie lubić, ale jednak jestem siostrą jego szwagra. Będziemy się widywać od czasu do czasu prawdopodobnie do końca życia, o ile nie zakładamy wcześniejszego rozstania Celi i Hudsona (ja absolutnie nie zakładam). Fajnie byłoby przynajmniej trochę się dogadywać.

— Masz ze mną jakiś problem? — pytam znienacka, kiedy nie wytrzymuję dłużej.

Widzę, jak drga mu mięsień w policzku, ale poza tym Harrison nie okazuje, że to pytanie jakkolwiek go ruszyło.

Waha się przez chwilę, by w końcu odpowiedzieć:

— Tak.

Och.

Cóż, sama jestem sobie winna. Mogłam nie zadawać trudnych pytań, jeśli tak naprawdę nie chciałam znać na nie odpowiedzi!

— Jesteś w stanie sobie z nim poradzić? — drążę nieco ostrzej, niż zamierałam.

Powinnam pewnie zapytać, jaki konkretnie to problem, ale za bardzo się boję. Boję się, że usłyszałabym coś na temat swojego wyglądu, który nie spełnia jego wyśrubowanych norm estetycznych, albo jak to nie wyglądam na siostrę

Hudsona, albo coś w ten deseń. Nie wiem, czy z moją samooceną bym to zniosła.

— Nie wiem — odpowiada jednak Harrison i to jest chyba jeszcze gorsze.

W samochodzie znowu zapada cisza. Robi mi się niedobrze.

Chryste, jak to mi ciąży! Mogę milczeć, nie widzę w tym problemu, ale nie wtedy, kiedy milczę akurat z tym człowiekiem, który jak sam przyznał, ma ze mną jakiś problem. Mogłabym roztrząsać temat, ale próbuję o tym zapomnieć, choć trudno puścić w niepamięć słowa, które

naprawdę mocno ranią. Staram się jednak wziąć się w garść i znaleźć jakiś neutralny temat do rozmowy.

— Jak ci się podoba Lanai? — Może tędy droga?

To niezbyt zręczna zmiana wątku, ale wolę, żeby mi opowiadał o swojej skomplikowanej relacji z Hawajami niż ze mną. Harrison jednak marszczy brwi i nie odpowiada.

Boże, to prawdziwy koszmar!

— Mnie bardzo się tutaj podoba — kontynuuję desperacko.

— Jest egzotycznie, ocean jest piękny, widoki spektakularne, a jedzenie przepyszne. Prawie nie zaglądam do telefonu, od kiedy tu przyjechałam.

Cisza.

Chyba zaraz dostanę jakiegoś ataku.

— Mogłbyś teraz powiedzieć, że sam wolisz wakacje w mieście — dodaję z przekąsem. Bo Harrison na takiego wygląda. Faceci z kijem w dupie, którzy nawet na urlopie ubierają się w białe koszule, z pewnością wolą spędzać wakacje bliżej cywilizacji. — W ten sposób moglibyśmy uznać, że prowadzimy rozmowę. Wiesz, to coś takiego, co zazwyczaj robi dwójka ludzi, kiedy przebywają razem przez jakiś czas i wypadaloby, żeby chociaż trochę lepiej się poznali.

Chociaż ja wiem już o Harrisonie chyba wszystko, czego potrzebuję, żeby trzymać się od niego z daleka, gdy tylko to będzie możliwe.

— Nie lubię Lanai — wydusza z siebie wreszcie.

Dobry Boże, przemówił! To jakiś pieprzony cud!

— Okej, na razie tyle mi wystarczy — zauważam, a w moim głosie rozbawienie walczy z irytacją. — Za moment może jeszcze dodam, że to moje pierwsze wakacje od wielu lat, ty mogłbyś mi konwencjonalnie przytaknąć i wtedy możemy

już się nie odzywać do końca drogi, jeśli taką masz ochotę.

Milczenie będzie bardzo przyjemne.

Harrison wdycha, chyba z ulgą.

— Owszem, będzie — zgadza się ku mojemu zdumieniu.

Czy on naprawdę nie słyszał sarkazmu w moim głosie? A może celowo go zignorował?!

Na szczęście na lotnisko mamy tylko kilkanaście kilometrów, w dwadzieścia minut powinniśmy być na miejscu. Droga jest prosta, niemal pusta i prowadzi przez płaskie łąki, więc nie przewiduję żadnych opóźnień.

Dam radę nie odzywać się przez pozostały kwadrans, prawda?

Staram się robić dobrą minę do złej gry, ale to wyjątkowo trudne, kiedy ten facet podkopyuje moją wiarę w siebie prawie na każdym kroku. Najpierw stwierdził, że stanowią dla niego problem, a teraz, że woli milczeć, zamiast ze mną rozmawiać. To naprawdę nie jest miłe! I sprawia, że zaczynam się zastanawiać, co jest ze mną nie tak, chociaż wiem, że nie chodzi o mnie.

To lekcja, którą wyniosłam ze związku z Erikiem. „Jeśli facetowi coś się w tobie nie podoba, to jego problem, nie twój”. Niestety dużo łatwiej przyjąć tę zasadę w teorii niż w praktyce.

Harrison marszczy czoło, spoglądając we wsteczne lusterko. Patrzę za siebie i widzę, że zbliża się do nas drugi samochód. Jedzie szybko, bez trudu nas doganiając, i mruga światłami, jakby chciał, żebyśmy zjechali na pobocze.

— Co się dzieje? — pytam niespokojnie.

— Chyba po prostu chcą nas wyprzedzić — zgaduje Harrison. — Zwolnię trochę, bo wąsko tu.

Nie mam głowy, by zachwycać się długością jego wypowiedzi. Obserwuję przybliżające się auto, które wyskakuje gwałtownie na lewy pas, żeby nas wyprzedzić.

Harrison zwalnia, zgodnie z tym, co mi powiedział, a potem wszystko wydarza się błyskawicznie.

Samochód zrównuje się z nami i wtedy zarzuca nim nagle na bok, po czym uderza prosto w nas. Drę się, gdy auto, którym jedziemy, odbija mocno w prawo, słyszę rozdzierający zgrzyt metalu i huk pękającej opony. Szarpie mnie w obie strony, przymykam oczy i wtedy najpierw słyszę przekleństwo z ust Harrisona, a potem czuję kolejne uderzenie, w wyniku którego eksplodują poduszki powietrzne i któreś szyby. Po chwili przestajemy się poruszać, a wokół zapada cisza.

Serce wali mi jak szalone, ale otwieram oczy, by sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Działają mi nogi?

— Mackenzie! — tuż obok słyszę niespokojny głos Harrisona. — Nic ci nie jest?!

To pewnie byłoby niefortunne, gdyby w podróży poślubnej Celi i Hudsona zabił siostrę własnego szwagra, myślę niezupełnie trzeźwo. A potem kiwam głową, choć wcale nie jestem pewna, czy wszystko w porządku.

Ale nogi najwyraźniej mi działają, to z resztą też musi być okej, prawda?

Harrison ciągnie mnie za ramię, a po chwili czuję dotyk jego palców na twarzy. Odwraca moją głowę do siebie i zagląda mi w oczy.

— Hej, odezwij się — prosi. — Wszystko w porządku?

— Teraz ci się zebrało na pogawędki? — pytam słabo.

Bez słowa sięga do mojego pasa i rozpina go, po czym robi to samo ze swoim. Przesuwa się ku mnie i kładzie mi dłoń

na karku, od czego mimo okoliczności przechodzi mnie dreszcz.

Ale co poradzę na to, że jego dotyk jest taki gorący?

— Wsiądź z auta — poleca. — Musimy zadzwonić po pomoc.

Kiwam głową i posłusznie sięgam do klamki. Wydaje mi się, że jestem w lekkim szoku, bo inaczej nie byłabym tak spokojna, ale nadal nie bardzo

rozumiem, co tu się stało.

Mieliśmy wypadek? Nigdy wcześniej nie miałam żadnego wypadku!

W dodatku Harrison wyglądał tak pewnie za kółkiem. Jakby miał sobie ze wszystkim poradzić. Jakby...

Dopiero po chwili coś do mnie dociera. Ten drugi samochód w nas wjechał. To nie była wina Harrisona.

Oczywiście że nie, on z pewnością jest idealnym kierowcą.

— Nie wiem, gdzie mam komórkę — jęczę.

Harrison tylko kręci głową.

— Zadzwoń ze swojej — mówi stanowczo. — Wsiadaj.

Już otwieram drzwi, żeby wykonać jego polecenie, gdy nagle słyszę dobiegający gdzieś zza Harrisona obcy męski głos.

— Lepiej, żeby nie przyszło wam do głowy gdziekolwiek dzwonić.

Spoglądam w tamtą stronę i zamieram.

Może i nie życzę Harrisonowi najlepiej, może i wkurza mnie jego postawa i sposób bycia, a najbardziej to, jakie uczucia we mnie budzi. Ale mimo wszystko nie podoba mi się to, co widzę tuż za nim.

Przy samochodzie, obok rozbitej szyby po stronie kierowcy, stoi jakiś facet.

Z pistoletem wycelowanym w głowę Harrisona.

Rozdział 7

Harrison

To nie może być takie skomplikowane. Na pewno dam radę.

Powtarzam to sobie od chwili, gdy Hudson zadzwonił do mnie z prośbą o zastąpienie go w drodze na lotnisko, by odebrać jego ojca. Nie byłoby w tym nic trudnego, gdyby nie fakt, że na siedzeniu pasażera ma jechać Mackenzie.

Nie wiem, w co ta dziewczyna gra. Czy gdyby pamiętała, co zrobiła poprzedniego wieczoru, byłaby taka beztroska i rozluźniona w moim towarzystwie? Naprawdę mocno się upiła. Z trudem udało mi się zapakować ją do łóżka. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby miała czarną dziurę zamiast wspomnień z tamtego czasu.

Ale czy wtedy by tego nie przyznała? Dlaczego miałaby kłamać?

Kiedy w końcu stoję pod drzwiami jej domku, przekonuję sam siebie, że będzie dobrze. Całkiem miło spędziliśmy czas w parku linowym i przez moment miałem wrażenie, że Mackenzie wcale mnie nie nienawidzi, mimo że zapewniała mnie o tym ostatniego wieczoru. Dam radę przejechać z nią w jednym samochodzie kilkadziesiąt kilometrów, prawda?

Może nawet uda mi się zmusić do rozmowy z nią.

Chociaż skręca mnie w żołądku na samą myśl o tym.

Problem w tym, że Mackenzie otwiera mi drzwi w samym ręczniku, po czym z jakiegoś powodu ląduje na podłodze.

Nie mogę przestać się w nią wpatrywać, zwłaszcza że ręcznik podjeżdża jej zdecydowanie zbyt wysoko na udach i

prawie rozwiązuje się na biuście. Dziewczyna robi, co może, chcąc opanować tę katastrofę, więc w końcu przemagam się i wyciągam dłoń, żeby pomóc jej wstać, chociaż mam ochotę jedynie przyciągnąć ją do siebie.

Ma wilgotne włosy i znowu jest bez makijażu; wygląda świeżo i apetycznie. Muszę się uspokoić, bo mózg podszyta mi obrazy, z których Mackenzie na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby się o nich dowiedziała. Sporo z nich przedstawia ją nagą w łóżku, pode mną.

Ona mnie nienawidzi, przypominam sobie. Uważa mnie za smoka i ponurego nietoperza czy coś w tym stylu.

Powiedziała mi wczoraj wprost, co o mnie myśli, i chociaż złamała mi tym serce, nawet jej się nie dziwię. Nie potrafię zachowywać się w jej towarzystwie normalnie.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że ona coś mówi.

Wydaje się zaskoczona moim widokiem, przez co czuję się jeszcze bardziej niekomfortowo. Czyżby Hudson jej nie uprzedził?

— Rozmawiałaś z Hudsonem?

Mackenzie kręci głową, po czym bez słowa odwraca się i idzie do sypialni, więc niczym ciągnięty na niewidzialnym sznurku podążam za nią. Odbywamy

krótką, ale bardzo krępującą rozmowę o jej bracie i powodach, dla których nie może jej towarzyszyć w drodze na lotnisko, a kiedy w jednym zdaniu używam słowa „seks” i jej imienia, robi mi się niewygodnie w spodniach.

Chryste. Powinienem coś z tym zrobić, ale obawiam się, że ulżenie sobie samodzielnie nie byłoby w żaden sposób pomocne.

W końcu jednak udaje mi się wsadzić Mackenzie do wynajętego samochodu, po czym ruszamy w drogę.

Delektuję się ciszą między nami, co chwila zerkając na dziewczynę kątem oka. Nadal ma wilgotne włosy, przez co

wydają się ciemniejsze niż zwykle, i założyła okulary — nie wiedziałem, że je nosi, ale wygląda w nich uroczo. Podobnie jak w tej długiej różowej sukience. Nigdy nie sądziłem, że spodoba mi się kobieta ubrana w coś takiego koloru, ale do Mackenzie to pasuje.

No dobrze, to jest twój moment, myślę gorączkowo.

Porozmawiaj z nią. Powiedz cokolwiek. To nie może być takie trudne, prawda?

Mackenzie chyba chce zagłuszyć ciszę muzyką, ale nie pozwalam jej na to, bo przecież mamy rozmawiać, a nie słuchać jakichś wyjędów. Zanim jednak zdążę coś wymyślić i zebrać się na odwagę, ona wali prosto z mostu:

— Masz ze mną jakiś problem?

A ja, ponieważ ona najwyraźniej całkiem już pomieszała mi w głowie, odpowiadam:

— Tak.

Chyba jest urażona moją odpowiedzią. Otwieram usta, żeby się wytłumaczyć, ale nie wiem, co mógłbym dodać. „Kiedy tylko cię zobaczyłem, zrozumiałem, że cię kocham i chcę z tobą spędzić resztę życia, i teraz nie wiem, co mam robić”?

Raczej nie byłaby zadowolona, gdybym to powiedział, prawda?

— Jesteś w stanie sobie z nim poradzić?

Czy jestem w stanie poradzić sobie z Mackenzie Allen? Z

tym, co do niej czuję? Próbuję z całych sił, ale z każdą chwilą jest tylko gorzej. Obawiam się, że trzymanie się z daleka od niej w moim przypadku nie wchodzi w grę.

— Nie wiem — odpowiadam więc zgodnie z prawdą.

Mackenzie po tych słowach milczy przez chwilę, a ja próbuję wydusić z siebie coś więcej. Mam jednak

kompletną pustkę w głowie i nie wiem, co powiedzieć, chociaż usilnie nad tym myślę. To naprawdę jest trudne!

Spoglądam na nią ze zdziwieniem, kiedy zaczyna opowiadać o tym, że podoba jej się Lanai. Wygląda to tak, jakby desperacko próbowała wypełnić czymś tę rozciągającą się między nami ciszę. Gdy mnie o coś pyta, nadaremnie staram się ułożyć odpowiedź.

Jezu, to prawdziwa tortura.

Coś w końcu udaje mi się wykrztusić, z czego jestem ogromnie dumny. Proszę, to jednak nie jest takie trudne!

Uznaję nawet, że idzie mi całkiem nieźle.

— Okej, na razie tyle mi wystarczy — mówi Mackenzie z wyraźną irytacją. — Za moment może jeszcze dodam, że to moje pierwsze wakacje od wielu lat, ty mógłbyś mi konwencjonalnie przytaknąć i wtedy możemy już się nie odzywać do końca drogi, jeśli taką masz ochotę. Milczenie będzie bardzo przyjemne.

Potwierdzam z ulgą, ale szybko dochodzę do wniosku, że to nie była właściwa reakcja. Ona się ze mnie wyśmiewa, bo sama nie lubi milczeć. To jednak wcale nie idzie tak dobrze, jak myślałem.

Chryste, jestem w tym beznadziejny...

Prawie decyduję się już na włączenie tego radia, kiedy we wstecznym lusterku widzę zbliżający się do nas samochód.

Początkowo się nie przejmuję, tylko obserwuję go kątem oka, bo jedzie naprawdę szybko, zdecydowanie za szybko jak na tutejsze wąskie drogi. Zwalniam, żeby pozwolić mu nas wyminąć, ale właśnie wtedy auto uderza w nas bokiem.

Robię wszystko, żeby utrzymać kontrolę nad pojazdem, lecz nie jestem w stanie. Najeżdżamy na coś, pęka któraś opona, a chwilę później znajdujemy się w rowie, z przednią maską

wbitą w słup, poduszkami powietrznymi na wierzchu i zbitymi szybami.

Niech to szlag!

Przerażony odwracam się do Mackenzie, bo muszę się upewnić, że nic jej nie jest. Wygląda na oszołomioną, ale chyba nic poza tym jej nie dolega. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie dotknąć; nie protestuje, gdy zamykam jej twarz w dłoniach. Jezu, niewiele brakowało, żebym przez swoją nieudolność ją zabił!

Każę jej wysiąść z auta, bo nie wiem, jakie dokładnie są uszkodzenia i czy coś jeszcze nam nie grozi. Rozglądam się za moją komórką. Nagle słyszę za sobą czyjś głos, równocześnie Mackenzie sztywnieje z przerażenia.

— Lepiej, żeby nie przyszło wam do głowy gdziekolwiek dzwonić.

Odwracam się powoli, by zobaczyć wycelowaną we mnie lufę pistoletu. Kurwa.

To chyba ktoś z tego samochodu, który w nas uderzył.

Instynktownie unoszę dłonie, a facet cofa się o krok, po czym macha pistoletem, pokazując nam, żebyśmy wysiadali.

Mackenzie musi obejść auto, aby do nas dotrzeć, więc przez sekundę jestem sam na sam z napastnikiem.

Facet ma może czterdziestkę, jest niewysoki i żylasty, rozczochrany i ubrany w pomięte ciuchy. Ze skroni spływa mu strużka krwi. Spoglądam w kierunku jego samochodu; stoi krzywo w rowie po drugiej stronie drogi. Ktoś chyba siedzi na tylnym siedzeniu.

— To wy w nas wjechaliście — mówię spokojnie. — Nie masz za co się mścić.

Czuję obecność Mackenzie obok, jeszcze zanim ją zobaczę.

Odruchowo wyciągam ramię i kieruję ją za siebie, a ona staje z tyłu za mną i mocno przytrzymuje się mojej ręki.

Czuję, jak się trzęsie, i zamierzam zrobić wszystko, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Facet z pistoletem śmieje się gniewnie.

— Tak, wiem, ale nie zrobiłem tego celowo — warczy. —

Jeśli oczekujesz przeprosin, człowieku, to się ich nie doczekasz.

Potrzebuję waszej pomocy. Dajcie mi samochodową apteczkę.

Marszczę brwi.

— Nie wyglądasz na tak groźnie rannego, żebyś potrzebował apteczki.

— To nie dla mnie! — Mackenzie za mną wzdryga się, kiedy facet podnosi głos. Staram się zachować spokój i rozsądek, chociaż wszystko w moim ciele krzyczy, żeby zabrać ją jak najdalej od typa wymachującego bronią. — Mam rannego.

Wiozłem go do naszego człowieka, spieszyłem się, dlatego w was wjechałem. Muszę mu jakoś pomóc, zanim kogoś wezwę, bo inaczej się wykrwawi! Dawajcie tę apteczkę!

— Mackenzie — odzywam się, lekko odwracając do niej głowę. — Apteczka jest w bagażniku, pod gaśnicą. Przynieś ją, proszę.

Dziewczyna odrywa się ode mnie, a ja niechętnie ją puszczam, chociaż wiem, że będzie bezpieczniejsza, jeśli przejdzie za samochód. Ponownie spoglądam na faceta z pistoletem.

— Mogę wezwać karetkę — proponuję. — Zawiezie was do szpitala.

— Żadnej karetki i żadnego szpitala! — wrzeszczy natychmiast. — Rozumiesz? Kiwam głową. Rozumiem doskonale.

Skoro istnieje niebezpieczeństwo, że jego ranny się wykrwawi, to zapewne chodzi o postrzał. A ci ludzie, kimkolwiek są, zapewne robią coś nielegalnego, skoro odmawiają wizyty w szpitalu. Personel miałby obowiązek zawiadomić policję o postrzale, a wtedy pewnie ci kolesie mieliby problemy.

Kurwa, czy musieliśmy się wpakować w aż takie kłopoty?

Czy naprawdę jedyne auto, jakie napotkaliśmy na tej drodze, musiało należeć do jakichś oprychów?!

Mackenzie wraca z apteczką. Chcę ją od niej przejąć, ale mi na to nie pozwala: robi krok do przodu i staje przede mną.

Próbuję ją złapać za ramię, jednak wyrwa mi się.

— Co dolega twojemu rannemu? — pyta napastnika, choć słyszę, jak drży jej głos. Kurczowo trzyma w dłoniach apteczkę, jakby była jakimś kołem ratunkowym.

Facet obrzuca ją uważnym spojrzeniem, od czubka głowy po buty, a ja odruchowo zaciskam pięści na ten widok. Jeśli choćby tknie ją palcem...

— Postrzał w udo — odpowiada rzeczowo. — Masz przeszkolenie medyczne? Mackenzie waha się, ale kiwa głową.

— Jestem weterynarzem — informuje go. — Mogę pomóc.

Coo? Weterynarzem? Przecież mówiła coś o prowadzeniu hotelu!

Facet robi krok w jej kierunku, lecz wtedy szarpnię ją za ramię i przesuwam z powrotem za siebie. Napastnik ostrzegawczo podnosi pistolet, na szczęście nie próbuje nim ponownie celować w któreś z nas. Mackenzie syczy i chce się

uwolnić, ale trzymam ją mocno, po czym odwracam się do niej tak, by stać bokiem do sprawcy kolizji.

— Oszalałaś? — szepczę wściekle. — Nie będziesz pomagać jakimś zbirom!

— Tam jest człowiek, który może się wykrwawić —

odpowiada ze złością, a jej oczy zdają się ciskać błyskawice.

— Jeśli mu nie pomogę, być może nikt inny nie zdąży i będę winna jego śmierci. Postrzały w udo mogą być niebezpieczne.

— Właśnie — podchwytyję półgłosem. — Masz tylko apteczkę. A jeśli mu nie pomożesz, a on i tak umrze?

Myślisz, że jego kumpel będzie ci wdzięczny?

Widzę, że Mackenzie się waha, ale po chwili zadziera wyżej podbródek i wzrusza ramionami.

— I tak muszę spróbować — oświadcza ku mojemu niedowierzaniu. — Zobaczę chociaż, w jakim stanie jest tamten człowiek.

Wrywa mi się, a ja nie próbuję jej dłużej zatrzymać —

rozumiem, że stoję na przegranej pozycji. Serce mi zamiera, gdy patrzę, jak podchodzi bliżej do faceta z pistoletem.

Cholera. Jeśli coś jej się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Zaprowadź mnie do tego rannego — mówi do mężczyzny.

Jestem pełen podziwu, bo głos już prawie jej nie drży. Ta kobieta jest niesamowita. — Spróbuję pomóc, jeśli tylko będę w stanie.

Syczę, kiedy widzę, że facet podnosi rękę, jakby chciał ją złapać.

— Tylko ją dotknij, a zapomnę, że masz pistolet, i tego pożałujesz — warczę. Facet znowu śmieje się gniewnie.

— Spokojnie, twoja dziewczyna wróci do ciebie cała i zdrowa, pod warunkiem że pomoże mojemu szefowi —

odpowiada drwiąco. — Trzymaj kciuki, żeby jej się udało.

W jego głosie słyszę ostrzeżenie, które bardzo mi się nie podoba. Robię krok do przodu i stoję tuż za Mackenzie, po czym chwytam ją za ramiona. Czuję, jak drży pod moim dotykiem, ale chyba nie ze strachu.

Chociaż nie wiem, co powiedzieć, ilekroć muszę się zbliżyć do kobiety — co jest sto razy trudniejsze przy Mackenzie Allen — inne konfrontacje nie stanowią dla mnie żadnego kłopotu. Nawet te stresujące, kiedy jakiś facet niemal trzyma mnie na muszce.

— Kiedy już jej się uda — kładę nacisk na to pierwsze słowo

— puścisz nas wolno. Jasne?

— Jasne — cedzi przez zęby mój rozmówca. — Zostawię was w spokoju, ale lepiej, żebyście nikomu nie wspomnieli, co tu widzieliście. Uwierz mi: potrafimy znaleźć i ukarać ludzi, którzy nas zdradzili.

Twarz Mackenzie robi się nagle blada. Obawiam się, czy da sobie radę, ale ona najwyraźniej nie ma takich wątpliwości, bo wyswabada się z mojego uścisku i rusza za mężczyzną na drugą stronę drogi, ku dżipowi w rowie. Przyglądam się temu z rosnącym niepokojem.

Naprawdę niewiele wystarczy, żeby coś się zjechało. Droga jest pusta, ale pierwsze przejeżdżające auto zatrzyma się, chcąc zobaczyć, co się stało, i

upewnić się, że nikt nie potrzebuje pomocy. Czy takiego przypadkowego gapia nasz nowy znajomy też zamierza zastrzelić?

Ja pierdolę, w co my się wplątaliśmy?!

Słyszę jęk dobiegający z tylnego siedzenia dżipa, więc ruszam powoli w tamtą stronę, żeby przypadkiem nie zaalarmować mężczyzny z pistoletem. Wolałbym, żeby nie strzelił do mnie tylko dlatego, że poczuł się zagrożony.

Widzę, jak Mackenzie pochyla się nad otwartymi drzwiami, ale jej sylwetka zastania mi widok na pacjenta. Czy jako weterynarz jest w stanie mu pomóc? Wątpię, żeby wśród zwierząt często miała do czynienia z postrzałami. Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby zamiast tego zaszkodziła rannemu.

Ale nie odezwałaby się, gdyby sądziła, że może go skrzywdzić, prawda? Musi być pewna, że będzie w stanie pomóc.

— Harrison! — woła do mnie Mackenzie. Pewnie powinienem się cieszyć z faktu, że pierwszy raz słyszę swoje imię z jej ust, ale w tej chwili zajmują mnie inne sprawy. — Chodź tutaj. Będę potrzebowała twojej pomocy.

No dobrze. Mogę to zrobić.

Od tego zależy nasze życie.

Rozdział 8

Mackenzie

To naprawdę nie jest proste. Postrzał był paskudny, a mój pacjent stracił sporo krwi, sądząc po stanie jego ubrań i tapicerki, ale wspólnie z Harrisonem udaje nam się go ustabilizować.

Na szczęście tętnica nie została uszkodzona, czego na początku się obawiałam. Chociaż nie jest to idealne rozwiązanie, udaje mi się wyjąć pocisk z nogi postrzelonego faceta, a potem zatamować krwawienie, zdezynfekować ranę i nałożyć opatrunek. W apteczce znalazłam też jednorazowe rękawiczki, mimo to po całej operacji i tak wyglądam, jakbym chwilę temu wyszła z rzeźni.

Mężczyzna, którego opatruję, cały czas jest przytomny. Pije alkohol i klnie jak szewc, ale współpracuje i nie próbuje mnie powstrzymać ani kwestionować moich umiejętności. Chociaż byłam przerażona, kiedy zdarzył się wypadek, a potem koleś zaczął wymachiwać bronią, teraz koncentruję się na pracy, a ręce w ogóle mi nie drżą. Znowu wchodzę w ten stan, który pojawia się zawsze w takich sytuacjach.

No dobrze, zazwyczaj leczę zwierzęta, pierwszy raz zdarza mi się opatrywać ranę postrzałową u człowieka, ale to w gruncie rzeczy prawie to samo.

Kiedy wreszcie kończę, kręgosłup mnie boli, a po czole spływa mi pot. Próbuję się wyprostować, ale wtedy mężczyzna chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie.

Dopiero wtedy spoglądam mu w twarz, a moje serce zaczyna niespokojnie bić.

Ma około czterdziestki, jest śniady, ciemnowłosa, a jego szczękę porasta kilkudniowy zarost. Pewnie można by go uznać za przystojnego, gdyby nie fakt, że jest w nim coś, co mnie przeraża. Może chodzi o ciemne, niemal czarne oczy, które próbują skupić się na mojej twarzy. Kiepsko mu to idzie, pewnie dlatego, że pił alkohol i z pewnością boli go jak cholera. Nie przyjął ode mnie żadnych tabletek, a nic lepszego nie znalazłam w apteczce.

— Już po wszystkim? — pyta nieco bełkotliwie.

Kiwam głową. Słyszę za sobą ostrzegawcze syknięcie Harrisona, ale facet nie zwraca na niego uwagi.

— Jak ci na imię? — pyta mężczyzna. — Chciałbym wiedzieć, jak mogę tytułować piękną kobietę, która uratowała mi życie.

Posyłam mu zaskoczone spojrzenie. Co takiego? Czy on właśnie nazwał mnie piękną?

Pewnie dlatego, że jest pijany.

— Mackenzie — odpowiadam niechętnie.

Facet kiwa głową, a potem ujmuje moją dłoń, nie przejmując się tym, że nadal mam na sobie rękawiczki ubrudzone jego krwią. Nic dziwnego, w końcu on cały jest nią poplamiony.

— Miło mi cię poznać, Mackenzie — mówi, uśmiechając się zawadiacko. Mam wrażenie, że w tym uśmiechu jest coś niebezpiecznego. — Ja jestem Miguel.

Còż, fajnie.

Wyrywam mu dłoń i cofam się, a on nie próbuje mnie zatrzymać. Taksuje mnie tylko spojrzeniem w sposób, który mi się nie podoba — jakby oceniał towar na wystawie.

Widzę w jego oczach zainteresowanie, co sprawia, że mam ochotę natychmiast stamtąd pryskać.

Ściągam zabrudzone krwią rękawiczki i czuję na ramionach znajomy, ciepły dotyk, który nieco mnie uspokaja. To zabawne, jak szybko w tej sytuacji Harrison stał się moim jedynym sojusznikiem i moją ostoją. Jeszcze godzinę temu go nie znosiłam, a teraz oddycham z ulgą, gdy jest tak blisko, bo czuję się przy nim bezpiecznie.

Ale co w tym dziwnego, skoro w towarzystwie tych zbirów przeszedł kompletną metamorfozę? Zupełnie go nie poznaję. Normalnie z nimi rozmawia, nie to co ze mną.

Może ze mną po prostu nie ma ochoty, ale to kłóci mi się ze sposobem, w jaki mnie bronił i zastaniał własnym ciałem.

Jakby naprawdę się martwił, że coś może mi się stać.

— Pomogliśmy mu — słyszę za sobą jego ponury głos. Nie kieruje jednak tych słów do mnie, tylko do typa z pistoletem. — Teraz nas puśćcie.

Mężczyzna kiwa głową, ale w tej samej chwili słyszę warkot silnika nadjeżdżającego

samochodu. Odwracamy niespokojnie głowy w tamtym kierunku, nasz towarzysz jednak macha lekceważąco ręką.

— To mój człowiek — informuje spokojnie. — Wyciągnie mnie z rowu. Słuchajcie, jesteście naprawdę wdzięczni za waszą pomoc. Pozwólcie, że zapłacimy za lawetę i naprawę samochodu...

— Nie — przerywa mu ostro Harrison. — Sam to załatwię.

Nie chcę mieć nic wspólnego z waszymi pieniędzmi.

W zasadzie mu się nie dziwię. Te zbiry raczej nie zarobiły ich legalnie.

— No to chociaż podwieziemy was do Lanai City — nie ustępuje tamten. — Będziecie tu czekać na lawetę?

Kątem oka widzę, że Harrison już otwiera usta — pewnie, żeby znowu zaprotestować — ale wtedy ja zgadzam się bez namysłu:

— Dobra. Zabierzcie nas do miasta.

Harrison posyła mi niedowierzające spojrzenie. Kiedy niedaleko nas zatrzymuje się ośmioosobowy dżip, a ze środka wysiada jakiś mężczyzna, by porozmawiać z tym, który celował do nas z broni, Harrison chwyta mnie za ramię i odciąga nieco na bok, zapewne chcąc obrzucić wymówkami. Uprzedzam go.

— Nie mogę w takim stanie pokazać się w hotelu — szepczę, wskazując na siebie. Sukienkę mam całą we krwi.

— Wszyscy zaczną wypytywać, co się stało, a przecież nie powiemy im prawdy. Muszę kupić sobie jakieś ciuchy i się przebrać, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Pojedziemy do miasta, zatratwimy auto zastępcze, wezwiemy lawetę i dopiero wtedy wrócimy do hotelu.

— A twój ojciec? — pyta Harrison.

Dopiero wtedy przypominam sobie, po co wybraliśmy się w tę podróż. Cholera!

— Zadzwoń do niego po drodze i wyjaśnię, że zepsuł nam się samochód — proponuję. — Poproszę, żeby wziął taksówkę do hotelu.

Jeśli to możliwe, Harrison zasępią się jeszcze bardziej.

Zaciska mocno szczękę, a w jego ciemnoniebieskich oczach błyszczy gniew.

— Nie chcę, żebyś spędzała z nimi więcej czasu, niż to konieczne — mówi ku mojemu zdziwieniu. — Nie podoba mi się, jak oni na ciebie patrzą.

Mnie też nie, ale przezornie mu tego nie zdradzam.

Uśmiecham się słabo.

— Warto było, skoro dzięki temu wreszcie zaczęłaś ze mną rozmawiać.

Wydaje z siebie niezadowolony, niski pomruk, który jakimś cudem sprawia, że zaciska mi się podbrzusze.

— To nie jest zabawne, Mackenzie.

— Dobra, wiem. — Wyrzucam ręce do góry w geście poddania. — Ale nie widzę innego wyjścia. Każdy, kto zobaczy mnie w takim stanie, uzna, że coś mi się stało i potrzebuję pomocy. Zaczną pytać, skąd tyle krwi. Nie zamierzam nikomu pisać słowa o tym, co tu widzieliśmy, bo wolalabym jeszcze trochę pożyć. Ty nie?

Harrison milczy przez chwilę, w końcu niechętnie przyznaje mi rację. Idziemy do jego samochodu po nasze rzeczy, mentalnie przygotowując się na kilkunastominutową podróż z niebezpiecznymi zbirami.

Będzie ciekawie.

Właściwie to jest normalniej, niż sądziłam.

Siedzimy z Harrisonem w ostatnim rzędzie sztywno, jakby on pożyczył mi swój kij albo raczej go rozmnożył. Przed nami na siedzeniach leży półprzytomny Miguel, a jeszcze przed nim bezimienny zbir kieruje samochodem, nucąc do puszczonej na cały regulator lokalnej muzyki. Linką do samochodu przyczepiony został drugi pojazd, ten, który zepchnął nas z drogi, prowadzony przez znajomego kolesia z pistoletem.

Chociaż pewnie oni wszyscy mają pistolety, więc to kiepskie rozróżnienie.

Przed wyjazdem dzwonię do ojca, ale włącza się poczta głosowa; chyba jeszcze nie uruchomił telefonu po wyjściu z samolotu. Zostawiam mu wiadomość z prośbą, żeby wziął

taksówkę. To prostsze niż bezpośrednia rozmowa, która z pewnością by się przeciągnęła.

I tak oto jesteśmy w drodze: Harrison obok mnie jest napięty aż do bólu, a ja z każdą chwilą denerwuję się coraz mniej zamiast bardziej. Chyba uspokaja mnie,

że nie widzę nigdzie wyciągniętej broni.

W końcu dojeżdżamy do Lanai City. Zatrzymujemy się przy długim parterowym budynku, który mieści wypożyczalnię samochodów. Harrison otwiera drzwi, ale w tej samej chwili odzywa się Miguel:

— Dziewczyna zostaje.

Mój towarzysz momentalnie sztywnieje jeszcze bardziej.

— Słucham?

— Chcesz ją zabrać do wypożyczalni samochodów umazaną krwią? — dziwi się mężczyzna, podnosząc się nieco na łokciach, by lepiej nas widzieć. — To na pewno wzbudzi sporo pytań, a tego nie chcemy, prawda? Więc Mackenzie poczeka tutaj, zanim załatwisz jakiś środek transportu.

— Mackenzie nie zostanie sama z wami nigdzie nawet na sekundę — warczy w odpowiedzi Harrison. — Wysiada ze mną. Nie musicie się martwić jej wyglądem.

Chwyta mnie za rękę, jakby chciał w ten sposób pokazać, że mnie nie zostawi, a ja jestem mu za to ogromnie wdzięczna.

Ostatnie godziny były mocno stresujące i tylko jego obecność stanowi coś pozytywnego w tym całym gównie.

Hm, nie spodziewałabym się, że powiem coś podobnego.

— Jak chcecie — rezygnuje Miguel. Kiedy Harrison wysiada, ciągnąc mnie za sobą, dodaje w moją stronę: — Do zobaczenia, Mackenzie.

Nie odpowiadam, bo w następnej chwili znajduję się już na ulicy, ale jest w tym pożegnaniu coś niepokojącego, co mi się nie podoba. Czy Miguel sugeruje, że jeszcze się spotkamy?

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo zaraz potem Harrison prowadzi mnie w kierunku zabudowań, zaciskając jeszcze mocniej palce na moim ramieniu. Na szczęście za sobą słyszymy warkot silnika i po chwili samochód ze zbirami odjeżdża. Oddycham z ulgą.

— Zaczekaj tu — poleca Harrison, puszczając mnie, kiedy docieramy do drogi prowadzącej do wypożyczalni. Rośnie tu kilka drzew, mogę więc się między nimi schować, żebym nie była zbyt dobrze widoczna z drogi. — Wrócę najszybciej jak się da.

Kiwam głową i obejmuję się ramionami, bo znowu zaczynam dygotać. Harrison odwraca się, żeby odejść, ale spogląda na mnie przez ramię, jakby się wahał i nad czymś zastanawiał. Czekam, czy powie coś jeszcze, lecz oczywiście on milczy, a po chwili rusza ku wypożyczalni.

Zostaję sama.

Siadam na ziemi i obejmuję podkurczone nogi ramionami, bo kolana zrobiły się zbyt słabe, by utrzymać mnie w pozycji pionowej. Szczękam zębami, nadaremnie próbując się uspokoić. Chyba schodzi ze mnie napięcie.

Ostatnie doświadczenie całkowicie odbiega od tego, jak wyobrażałam sobie te wakacje. Jest nieprzyjemnym dysonansem w ciągu chwil wypełnionych słońcem, śmiechem, piaskiem i drinkami, dlatego chcę natychmiast wyrzucić je z pamięci. Kiedy jednak przypominam sobie oceniające spojrzenie Miguela, dochodzę do wniosku, że on może nie tak szybko zapomnieć o mnie.

Ale to przecież zbir, który z pewnością ma lepsze rzeczy do roboty, niż latać za jakąś przypadkową laską, tłumacząc sobie. Wszystko będzie dobrze, a za parę dni wrócę do Los

Angeles i zapomnę, że babrałam się w ranie postrzałowej nieprzyjemnego typu.

Harrison wraca bardzo szybko, aż jestem zdziwiona, że czekałam tak krótko. Wypożyczył dużego czarnego dżipa, a teraz otwiera drzwi po stronie pasażera, kiwając na mnie, żebym wsiadła do środka. Robię to bez wahania, po czym ruszamy przed siebie.

Zapinam pas bezpieczeństwa, czując się dużo lepiej niż chwilę temu, kiedy byłam sama. Obecność Harrisona przestaje być uciążliwa, a staje się wręcz pożądana.

Ponieważ mój towarzysz kluczy uliczkami Lanai City bez słowa, postanawiam coś z niego wyciągnąć.

— Nie robili problemów z powodu tamtego samochodu?

Harrison kręci głową. Aha, więc wracamy do tego?

— Ściągną go lawetą?

Dla odmiany kiwa głową, ale nadal nie odpowiada. Poczucie bezpieczeństwa szybko zostaje ze mnie wyparte przez rosnącą irytację. Co jest z tym człowiekiem?

Byłoby miło, gdyby chociaż zapytał, czy dobrze się czuję.

Dlaczego tego nie robi? Nie może mnie nienawidzić tak bardzo, jak wcześniej myślałam, skoro ewidentnie troszczył się o mnie po wypadku.

A może robił to tylko ze względu na Hudsona?

— Zgaduję, że odpowiednia ilość pieniędzy wszystko załatwi — dodaje kąśliwie.

— Tak — odpowiada bez skrępowania. Albo nie zauważył mojego tonu, albo go zignorował.

Skręca w inną ulicę i zatrzymuje się na parkingu między dwoma parterowymi budynkami. Jeden ma niebieską elewację i dach, drugi — ściany z pomalowanych na żółto desek i niewielką czerwoną werandę, na którą wchodzi się

po kilku stopniach. Harrison parkuje tuż obok wysokiego drzewa, po czym odwraca się do mnie.

— Gdzie jesteśmy? — pytam nerwowo.

— Zostań tutaj — poleca. — Kupię ci jakieś ubrania, żebyś mogła się przebrać.

Na werandzie budynku przed nami rzeczywiście widać stojaki z ciuchami. Więc dlatego tu przyjechalіśmy.

Kiwam głową, a Harrison wychodzi, po czym zamyka mnie w samochodzie. Znowu zostaję sama, ale tym razem czuję się nieco pewniej, bo nie jestem tak bardzo na widoku.

Przeglądam się, jak mój towarzysz przechodzi obok tablicy ustawionej przed sklepem z napisem The Local Gentry — to chyba nazwa tego miejsca — po

czym znika w środku.

To nie supermarket, raczej sklepik z pamiątkami i miejscowymi ciuchami, ale widocznie na nic lepszego nie można liczyć w Lanai City. Nie będę wybredna, chcę po prostu pozbyć się zakrwawionej sukienki.

Czekam jakieś dziesięć minut, zanim Harrison wraca.

Niesie ze sobą papierową torbę, dlatego w pierwszej chwili nie jestem w stanie stwierdzić, co kupił. Wsiada za kierownicę i podaje mi pakunek.

— Przesiądź się na tylne siedzenie — proponuje. — Możesz się przebrać, kiedy wyjedziemy z miasta. W torbie masz też butelkę wody i coś do wytarcia się.

Wow. Pomyślał o wszystkim, w dodatku wypowiedział trzy piękne, długie zdania. Jestem pod wrażeniem.

Ponieważ już ruszył, nie wysiadam z auta, tylko gramolę się między fotelami na tylne siedzenie, ciągnąc za sobą torbę z rzeczami. Dopiero kiedy zajmuję tylną kanapę, zaglądam do środka, żeby poznać gust Harrisona Harta.

Wyciągam luźną białą bluzeczkę z wielobarwnym haftem i koralowe szorty. Spodziewałam się, że Harrison kupi raczej coś podobnego do tego, co mam na sobie, żeby nikt nie zauważył, że wracam w innych ciuchach, może jednak nie znalazł niczego przypominającego moją sukienkę. Tak czy inaczej wygląda to fajnie i chyba na mnie pasuje. Nawet nie dbam o to, że mam na sobie różowy stanik, który zapewne będzie prześwitywał spod białej bluzki.

Mam opory przed rozebraniem się przy Harrisonie, ale dochodzę do wniosku, że to przecież tak, jakbym paradowała przy nim w bikini, co pewnie mi się jeszcze zdarzy. Dlatego ściągam z siebie sukienkę, kiedy tylko wyjeżdża z miasta, i sięgam po butelkę wody i chusteczki, żeby zmyć resztki krwi ze skóry. Przez moment siedzę na tylnym siedzeniu w samej bieliźnie i cisza panująca w tym czasie w samochodzie zdaje się mnie dusić. Czy tylko mi się wydaje, czy atmosfera między nami staje się coraz bardziej napięta?

Czy Harrison gapi się na mnie we wstecznym lusterku? A może ma gdzieś to, że się przebieram i siedzę na tylnej kanapie w majtkach i biustonoszu?

Nie odważam się podnieść wzroku i sprawdzić. Urywam metki z ciuchów, które mi przyniósł, i pospiesznie je zakładam. Pasują, tylko szorty są nieco zbyt obciśnięte na tyłku. Koszulka na szczęście jest na tyle długa, że zakrywa co trzeba.

Zwijam brudną sukienkę i chowam ją do torby po nowych ciuchach, po czym ostatni raz sprawdzam, czy nie pominęłam jakichś śladów krwi. Dopiero wtedy napotykam w lusterku spojrzenie Harrisona, który puka się palcem w prawy policzek.

— Tu coś zostało — mówi, po czym wraca spojrzeniem do jezdni przed nami.

Wyciągam komòrkę i z pomocą lusterka w niej oczyszczam twarz. Dopiero potem wracam na przednie siedzenie, z trudem przeciskając się obok kierowcy. Kiedy stykam się z nim ramieniem, znowu czuję ciarki i przeszywa mnie fala gorąca.

To na pewno ze wstydu, że przed chwilą rozbierałam się przy nim do bielizny, prawda?

— Spróbujmy o tym zapomnieć — mówię, kiedy już zapinam pas na fotelu pasażera. Harrison patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami. — Mam na myśli spotkanie z tymi zbirami. Nie chcę, żeby mi to zepsuło urlop.

Przez chwilę nie odpowiada, aby wreszcie kiwnąć głową.

Na tym kończy się aktywność z jego strony.

Zupełnie tego nie rozumiem. Potrafił przecież normalnie wypowiadać się w obecności tych zbirów, więc dlaczego przy mnie ma taki problem? A może to nie problem? Może on po prostu nie chce ze mną rozmawiać?

Brzmi paskudnie prawdopodobnie.

W milczeniu docieramy z powrotem do hotelu. Chwytam za klamkę, ledwie Harrison zatrzyma się na podejździe, ale waham się i patrzę na niego.

On też wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale z jego ust nie wydobywa się żadne słowo. Dlatego w końcu uśmiecham się z trudem, drżąc, po czym mówię:

— Dziękuję.

I uciekam z samochodu.

Nie oglądam się na niego, kiedy idę ścieżką między palmami w stronę naszych domków. Jestem pewna, że ojciec zdążył już dojechać, i chcę pojawić się na miejscu w miarę szybko, gdyby była potrzebna jakaś moja pomoc. W

ciągu sekundy zapominam, że kilka godzin temu udawałam lekarza, ratując życie jakiegoś oprycha.

Już z daleka orientuję się, że coś jest nie tak. W okolicach mojego domku słychać podniesiony głos mamy, co oznacza, że tata jest na miejscu. Konfrontacja podczas podróży poślubnej własnego syna nie jest wprawdzie najmądrzejszym pomysłem, ale wątpię, żeby taka drobna kwestia powstrzymała moją mamę.

Gdy między drzewami dostrzegam wreszcie domek, który ma zająć ojciec, już wiem, w czym problem. Tata rzeczywiście przyjechał, ale nie to jest powodem, dla którego mama się na niego wydziera.

Tata przyleciał z kobietą, którą obejmuje ramieniem.

Rozdział 9

Mackenzie

Od razu zaczynam działać, aby szybko rozładować napięcie i opanować sytuację. Uśmiecham się szeroko i podchodzę do moich rodziców, udając, że nie dostrzegam niczego niepokojącego.

— Tato, cześć! — szczebioczę. — Cieszę się, że dojechałeś!

Przepraszam, że nie mogliśmy cię odebrać.

Stojąca tyłem do mnie mama milknie, po czym się odwraca.

Tata i jego partnerka, którzy stoją na ścieżce przed drzwiami do domku, też zwracają na mnie uwagę. Na widok tej kobiety rzadnie mi mina, ale nadludzkim wysiłkiem udaje mi się utrzymać uśmiech na twarzy.

Jest młoda. Dałabym jej trzydzistkę, może parę lat więcej, co oznacza, że jest tylko trochę starsza ode mnie. No i piękna: z równą opalenizną, czarnymi włosami kręcącymi się wokół szczupłej twarzy, wąską talią i długimi nogami.

Ma na sobie krótką czerwoną sukienkę, więc doskonale mogę je obejrzeć.

Za to moja mama jest trochę taka jak ja, tylko z wiekiem jeszcze przytyła. Niewysoka, raczej okrągła, ubiera się w zwiewne tuniki i szorty. Pod względem wyglądu totalnie się różni od seksbomby, którą najwyraźniej zabrał tu ze sobą ojciec.

Tata z kolei jest bardziej podobny do Hudsona — wysoki, o szpakowatych włosach, z uśmiechem pełnym uroku. Zawsze łamał kobietom serca i przez całe życie z tego korzystał. Po fiasku, jakim się okazało małżeństwo z naszą mamą, miał jeszcze dwie żony i dwie narzeczone, ale z żadną nie spędził więcej niż kilka lat. To seryjny monogamista, przez którego mama cierpiała jeszcze długo po rozwodzie.

Przynajmniej nie mam żadnego przyrodniego rodzeństwa.

— Mac! — Tata się rozpromienia i zamyka mnie w mocnym uścisku. Przytulam się do niego, a jego niski głos grzmi gdzieś obok mojego ucha. — Wszystko w porządku?

Mieliście wypadek?

— Wypadek?! — powtarza mama z lekką histerią.

Odsuwam się i posyłam jej uspokajający uśmiech.

— To nie był żaden wypadek — zapewniam ją. — Po prostu wpadliśmy do rowu, musieliśmy załatwić lawetę i wynająć inne auto. Dlatego tata przyjechał taksówką.

— Nic ci nie jest?! — Mama nie wydaje się ani trochę uspokojona. — To musiało być okropne!

— To nic takiego...

— Hudson wjechał do rowu? Nie wierzę — stwierdza tymczasem tata. — Przecież to doskonały kierowca.

— Nie jechałam z Hudsonem — wyjaśniam. — Tylko z Harrisonem. To brat Celi.

Mama prycha, kiedy to słyszy.

— Czy ten człowiek specjalnie próbuje cię skrzywdzić? —

pyta ze złością. — Rozumiem, że cię nie lubi, ale to już naprawdę przesada!

Zaczynają się przekrzykiwać, bo tata chce wiedzieć, kim jest mężczyzna, który chce zrobić krzywdę jego córce, a mama, o dziwo, mu wtórzy. Może to i dobrze, że przestali się na siebie wydierać, ale nie chcę, żeby ich gniew zwrócił się przeciwko Harrisonowi, więc próbuję ich przekonać, że nie było w tym nic celowego.

Przecież to niedorzeczne!

— Czy możecie przestać gadać bzdury?! Proszę! —

Podnoszę w końcu głos, a oni odruchowo milkną. — To był głupi wypadek. Koniec tematu.

— Porozmawiam sobie z tym człowiekiem — obiecuje tata surowo. — Skoro miał, jak to mówisz, „głupi wypadek”, to znaczy, że nie potrafi prowadzić i nie powinien cię ze sobą zabierać. Naraził cię na niebezpieczeństwo.

— Właśnie — podchwytuje mama. — Celia to taka miła dziewczyna, ale ma naprawdę okropnego brata!

— Przestańcie, błagam — jęczę z rezygnacją. — Jestem dorosła i nie potrzebuję, żeby ktokolwiek załatwiał za mnie moje sprawy z kimkolwiek. To nie była wina Harrisona, okej? Po prostu... dajcie spokój.

Rodzice wymieniają spojrzenia, a potem mamie najwyraźniej się przypomina, że była wściekła na tatę, bo mówi oskarżycielsko:

— Twój ojciec zapomniał nas uprzedzić, że kogoś ze sobą przywiezie.

— A, właśnie! — Tata spogląda na kobietę obok niego, która milczała przez całą tę dyskusję, przyglądając nam się dziwnie. — Mac, poznaj Isabellę. Bello, kochanie, to jest właśnie moja córka, Mackenzie.

Uśmiecham się do niej z trudem, ale ona nawet nie próbuje odpowiedzieć mi tym samym. Ściska moją dłoń, po czym stwierdza:

— Rzeczywiście jest taka, jak opowiadałeś.

Natychmiast jeżę się na te słowa, bo nie wydaje mi się, by znaczyły coś dobrego, lecz tata śmieje się ze skrępowaniem i nie pozwala mi nic wtrącić.

— Bella do ostatniej chwili nie wiedziała, czy będzie mogła przyjechać, dlatego was o tym nie uprzedziłem — dodaje, obejmując swoją partnerkę w talii i kładąc dłoń na jej biodrze. Mama robi minę, jakby miała zaraz wymiotować.

— Jest bardzo zajęta, pracuje jako dziennikarka. Ledwo co udało jej się wyrwać na ten tydzień.

Posyła jej zachwycony uśmiech, a ona oczywiście też się do niego szczerzy. Więc jednak potrafi, tylko widocznie ja nie jestem dość dobra, by na to zasłużyć.

— Och, jasne — mruczy mama pod nosem tak, żeby oni nie usłyszeli. — Na pewno nie wiedziała. Na pewno nie ma to nic wspólnego z faktem, że chciała nas zaskoczyć.

Wbijam jej łokieć między żebra, a ona posłusznie milknie.

Chwytam ją za ramię i próbuję odciągnąć do tyłu.

— Cudownie — mówię, nadal z uśmiechem przyklejonym do twarzy. — To może my was teraz zostawimy, żebyście mogli się rozpakować, a potem spotkamy się... na obiedzie?

— Pora obiadowa już minęła — oznajmia mama jadownicę.

— Możemy się zobaczyć na kolacji.

— Świetnie — stwierdza tata z entuzjazmem. — Akurat do tego czasu trochę odpoczniemy. Może zajrzemy na plażę.

Co ty na to, kochanie?

Isabella przytakuje, a mnie robi się niedobrze. Niełatwo patrzeć, jak ojciec z kryzysem wieku średniego mówi

„kochanie” do kobiety niewiele starszej ode mnie. Z drugiej strony...

Czy to na pewno kryzys wieku średniego, skoro on zawsze taki był?

Z tym że jego poprzednie żony i narzeczone były bardziej dopasowane do niego wiekiem. Isabella na tym tle naprawdę się wyróżnia.

Odciągam mamę od ich domku, po czym idę z nią w stronę baru. Mam wrażenie, że przyda jej się odrobina alkoholu.

— Widziałaś ją? — syczy, przynajmniej pilnując się, żeby nie mówić za głośno.

— Przecież ta lafirynda jest w twoim wieku! Twój ojciec nie ma wstydu!

— Mamo, nie nazywaj jej tak. — Wzdycham. — Całe życie mnie uczyłaś, że my, kobiety, powinnyśmy się trzymać razem i nie używać wobec innych określeń, których nie chciałybyśmy usłyszeć na nasz temat.

— Ta zasada nie tyczy się lafirynd twojego ojca — odpowiada mama ze złością.

Przewracam oczami. Przy każdej nowej partnerce ojca reagowała źle, ale nigdy aż tak. Ale też nigdy wcześniej tata nie przywiózł na wesele syna kobiety, która mogłaby być jego córką.

— Wiesz, że to, co mówisz, nie jest w porządku — upominam ją łagodnie.

— To nie jest w porządku? — powtarza z oburzeniem. — A w porządku jest, że jakaś obca kobieta zdecydowała się przyjechać, wiedząc, że będzie tu cała rodzina twojego ojca? Że to wesele jego syna?! To ma być w porządku?

Bar przy plaży na szczęście jest otwarty i prawie pusty.

Siadam na jednym ze stołków, na drugim sadzam mamę i zamawiam nam po drinku. Wprawdzie jestem głodna, a głowa nadal odrobinę mnie boli, ale nie zamierzam się tym przejmować. Muszę ją jakoś uspokoić.

Obawiam się, że trochę mi z tym zejdzie.

Kiedy nieco spóźniona pojawia się na kolacji, największy stół jest już zajęty przez nasze rodziny. Mama siedzi w najdalszym jego krańcu, oddzielona państwem Hart od taty

i jego nowej dziewczyny, a po przeciwnej stronie widzę wolne miejsce dla mnie między Celią a Harrisonem.

Nakładam sobie jedzenie i idę do nich z talerzem pełnym mięsa i owoców — może to nietypowe połączenie, ale właśnie na to mam ochotę. Wtedy zaczepia mnie Hudson, pytając:

— To prawda, że w drodze na lotnisko mieliście z Harrisonem wypadek?

Spoglądam na Harrisona, który przecież był tu przede mną i mógł to wytłumaczyć, ale on milczy jak zaklęty i wpatruje się w swój talerz. Pewnie nie zdołali niczego z niego wyciągnąć. Wzdycham i zajmuję miejsce obok niego.

— To nie był żaden wypadek — powtarzam. — Po prostu wjechaliśmy do rowu. Nic się nie stało i nie ma o czym rozmawiać.

— Jesteś aż tak kiepskim kierowcą? — grzmi mój ojciec.

Państwo Hart przerywają rozmowę, żeby postać mojemu tacie oburzone spojrzenia, którymi ten w ogóle się nie przejmuje. Wszedł już w tryb obrońcy swojej jedynej córeczki, co zdarza mu się zawsze, kiedy tylko mu się podoba.

— Harrison wcale nie jest kiepskim kierowcą — protestuje Olivia.

Tata jednak dodaje:

— Mimo to byłbym zobowiązany, gdybyś więcej nie narażał w ten sposób życia mojej córki.

Czuję, że na policzki wypęta mi rumieniec, ale w żaden sposób nie komentuję tych słów i Harrison też tego nie robi. Po prostu dalej gapi się w talerz, jakby w ogóle nie słyszał mojego ojca.

Chryste, ten facet jest megadziwny.

— Może chcielibyście po kolacji wybrać się na spacer po plaży? — wtrąca się niespodziewanie do rozmowy Celia.

Posyłam jej pełen wdzięczności uśmiech. — Nocą ocean wygląda bosko. Będzie super.

Wszyscy przytakują i zapewniają, że chętnie się wybiorą, ja również. Cieszę się, że Celia zmieniła temat, to było bardzo miłe z jej strony. Mam naprawdę fajną bratową.

Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak rozdmuchują temat naszej przygody w drodze na lotnisko. Wypadki się zdarzają, często poważniejsze niż nasz, i to nie zawsze jest wina kierowcy. Wolałabym, żeby po prostu dali spokój.

Chociaż może powinnam się cieszyć, że się o mnie troszczą.

— Domek jest całkiem przyjemny — odzywa się zniecierpliwiona Isabella, siedząca obok mojego ojca, a naprzeciwko Harrisona. — Rozpościera się z niego piękny widok na plażę. Fajne miejsce. Pewnie było drogie?

Harrison podnosi na nią wzrok, marszcząc brwi, a państwo Hart wymieniają znaczące spojrzenia. Czy ona serio właśnie o to zapytała?

— Pieniądze nie grają roli, gdy chodzi o szczęście naszej córki — odpowiada Olivia z wymuszonym uśmiechem.

Isabella kiwa z roztargnieniem głową, po czym jej wzrok koncentruje się na Harrisonie. Wcale się nie dziwię, bo wygląda naprawdę dobrze, nawet jeśli nadal ma na sobie białą koszulę. Chyba przynajmniej spodnie założył do niej jakieś lepsze, Iniane.

To przystojny mężczyzna, nic dziwnego, że przyciągnął wzrok Isabelli. Zdziwiłaby się jednak, gdyby spróbowała z nim porozmawiać.

Albo i nie. Może tylko wobec mnie jest takim nieuprzejmym gburem?

Przy stole zaczyna się toczyć rozmowa, w której nie uczestniczę, bo jestem zajęta jedzeniem. Nic na to nie poradzę, że jestem głodna; nie jadłam od rana i przez pomaganie zbirom straciłam obiad. Isabella za to bez entuzjazmu gmera widelcem w swoim daniu, nieustannie śląc Harrisonowi spojrzenia spod rzęs. Wkurza mnie to.

Czy ona nie powinna się raczej skupić na moim ojcu?

Raz czy dwa ich wzrok się krzyżuje, ale nie wiem, czy na Harrisonie robi to jakiegokolwiek wrażenie. Mimo to czuję się dziwnie żałośnie — w porównaniu z piękną, smukłą Isabellą wyglądam jak niedojrzała dziewczynka. I nadal mam na nosie okulary, bo nie odważyłam się jeszcze włożyć soczewek po ostatniej nocy.

— Podałbyś mi sól? — pyta Harrisona w pewnym momencie Isabella.

Próbuję się skupić na opowieści Celi o jej najnowszych pomysłach na zajęcia w szkole, w której pracuje, żeby nie patrzeć na tę kobietę wdzięczącą się do Harrisona. To jednak trudne, zwłaszcza gdy on wyciąga rękę, żeby podać jej pojemnik, a przy tym ociera się ramieniem o moje ramię.

Przesuwa się cała, aż jego udo uderza w moje udo, a ja momentalnie sztywnieję.

Wiem, że robi to przypadkiem, ale nic nie poradzę na gorący dreszcz, który przeze mnie przechodzi. Ten facet może mnie nienawidzić, lecz moje ciało najwyraźniej na to nie zważa i ma na jego temat własne zdanie.

Nie wiedzieć czemu w głowie pojawia mi się wspomnienie z tego popołudnia, jak rozebrałam się do bielizny w samochodzie, z nim na przednim siedzeniu. Ciekawi mnie, czy patrzył wtedy na mnie. Może z ciekawości? A może miał

mnie gdzieś?

Tak, pewnie miał mnie gdzieś.

— Słuchajcie, jutro idziemy w góry — informuje w pewnym momencie ekipę Hudson. — Wybraliśmy Munro Trail, biegnie tuż obok hotelu i podobno są stamtąd niezwykłe widoki. Buty trekkingowe wymagane. Kto się pisze?

— A kiedy będziemy mogli po prostu posiedzieć na plaży? —

pyta moja mama uprzejmie.

Hudson się śmieje.

— Obecność nie jest obowiązkowa. Jeśli ktoś woli plażę, proszę bardzo.

Ponieważ spędziłam na plaży całą godzinę dziś po południu w towarzystwie mamy, oczywiście wybieram szlak. Poza mną to samo robi Harrison, mój tata i Isabella. Rodzice Celi i moja mama wolą zostać w hotelu.

Dobrze, że przynajmniej przez jakiś czas mama i tata nie będą na siebie skazani. Prawdopodobieństwo karczemnej awantury wzrasta w ich przypadku wprost proporcjonalnie do zmniejszania się odległości między nimi.

Pan Hart zamawia wino, więc rozlewamy je między siebie i wznosimy toast. Potem prędko kończę jedzenie, czując na sobie uważne spojrzenie Harrisona, które jak zwykle mnie peszy. Wkurza mnie, kiedy ktoś próbuje mi liczyć kalorie i pouczać, ile mogę jeść, ale rzecz jasna nie odzywam się ani słowem.

Po kolacji wybieramy się na zaplanowany wcześniej spacer.

Nie wracam nawet do domku, tylko z Celią i Hudsonem idę z restauracji w stronę brzegu oceanu. Już z daleka słyszę kojący szum fal.

Robi się zupełnie ciemno, zanim docieramy na plażę. Jest łagodnie oświetlona, ale latarnie ustawione są raczej obok wejścia, nie przy wodzie, dokąd zmierzamy. Lekki wiatr nasycony słoną wilgocią rozwiewa mi włosy, gdy zanurzam stopy w piasku.

Palmy poruszają się leniwie w podmuchach wiatru. Fale liżą piasek, Celia ucieka przed nimi z piskiem, po czym daje się porwać Hudsonowi, który ciągnie ją do wody. W półmroku ledwie ich widzę, ale ruszam powoli za nimi, kątem oka dostrzegając, że mama stara się trzymać jak najdalej od ojca i Isabelli.

Nagle czuję łagodny, ale gorący dotyk w dole pleców, od którego krew uderza mi do głowy. Od razu wiem, kto pojawia się obok mnie.

— Wszystko w porządku? — słyszę niski pomruk Harrisona.

Jestem tak zaskoczona, że myślę krok i o mało nie tracę równowagi. Przytrzymuje mnie w ostatniej chwili. Nagle jego twarz znajduje się tak blisko mojej, że czuję ciepły oddech na policzku. Serce podchodzi mi do gardła.

Prostuję się i odsuwam, a on nie próbuje mnie zatrzymać.

Wstrzymuję na chwilę oddech, żeby Harrison nie zauważył, jaki jest przyspieszony.

— To ty potrafisz zacząć jakąś rozmowę? — wrywa mi się.

Kątem oka widzę, jak marszczy brwi.

— Robiłem to wielokrotnie.

— Chodzi mi o mnie — uściślam. — Ze mną nigdy tego nie robiłeś.

Wbijam wzrok w idących przed nami i śmiejących się wesoło Celię i Hudsona, cały czas jestem jednak świadoma obecności Harrisona obok siebie. Mój towarzysz w ogóle nie odpowiada na moją uwagę, tylko ponuro milczy, co utwierdza mnie w przekonaniu, że palnęłam coś głupiego.

— Tak, wszystko w porządku — odpowiadam więc po chwili ciszy. — Dlaczego zapytałeś?

Harrison wzrusza ramionami.

— Uznałem, że dzisiejsze wydarzenia... mogły zostawić po sobie jakiś ślad.

Och, więc to miał na myśli. Przez szaloną sekundę przypuszczałam, że zorientował się, jak dziwne uczucia we mnie wzbudza.

— Już mówiłam, że chcę to wyrzucić z pamięci —

przypominam mu. — Wracanie do tematu może mi w tym przeszkodzić. Nie musisz mnie więcej o to pytać. Naprawdę wszystko ze mną w porządku.

Po tych słowach znów zapada między nami cisza.

Harrison nadal idzie obok, ale się nie odzywa, co już właściwie przestaje mnie dziwić. Mokry piasek pod stopami chłodzi skórę, a ja wystawiam twarz do wiatru i spoglądam na ciemny ocean. Ale tu cudownie!

W następnej chwili dobiega mnie wesoły pisk Celi.

— To co, kto odważy się wejść do wody?!

Rozdział 10

Mackenzie

Sprośne słowa szeptane prosto do mojego ucha, gorące wargi na mojej szyi, słodki ciężar między moimi nogami.

Wiję się i jęczę, prosząc o więcej, a niecierpliwe dłonie zdzierają ze mnie koszulkę do spania. Och, tak...

Budzę się gwałtownie, w skopanej pościeli, spocona i rozgrzana. Półprzutomnie rozglądam się dookoła, zanim stwierdzam, że jestem w sypialni sama, a to był tylko sen.

Sen. Pieprzony erotyczny sen, pierwszy w moim dwudziestosiedmioletnim życiu.

Jestem podniecona, co sprawia, że czuję się bardzo dezorientowana. Mnie się to przecież nie zdarza. Do tej pory myślałam, że jestem raczej oziębła. Każdy mój były facet w końcu mi to mówił.

W domku panuje półmrok, musi być bardzo wcześnie, ale nie mam ochoty wracać do snu. Zamiast tego wstaję i postanawiam wziąć chłodny prysznic, żeby się nieco otrzeźwić. Dobrze to zrobi mojej rozpalonej skórze.

Poświęcam trochę czasu na ułożenie włosów i lekki makijaż, chociaż wiem, że na trekkingu w górach to wszystko ze mnie spłynie. Czuję taką potrzebę, bo cały czas mam w głowie wygląd Isabelli poprzedniego wieczoru. Chociaż nie jest moją rywalką, nie mogę się powstrzymać przed zrobieniem czegoś, by prezentować się lepiej.

Wkładam oddychającą granatową koszulkę, szorty i buty nad kostkę, po czym splatam włosy w dwa warkocze francuskie; chcę od razu po śniadaniu być gotowa do drogi.

Kiedy opuszczam domek, jest już szarówka. Natychmiast wpadam na pomysł, by pójść na spacer po plaży.

O tej porze jest całkowicie pusta i absolutnie zniewalająca.

Mieszkamy na południowym krańcu wyspy, więc nie widzę słońca wyłaniającego się z oceanu, za to mam przed sobą pomarańczowo-różowe niebo, które zdaje się zatapiać w kolorowej wodzie. Siadam na piasku i obejmuję kolana ramionami, przyglądając się krajobrazowi przede mną.

Wieje lekki wietrzyk, który porusza palmami pochylającymi się nad plażą. Piasek jeszcze nie zdążył się nagrzać i jest przyjemnie chłodny.

W pewnej chwili słyszę za sobą kroki i po chwili obok mnie siada Hudson.

— Nie możesz spać? — zagaduje, uderzając lekko ramieniem o moje ramię.

— Chciałam zobaczyć wschód słońca — kłamię.

Hudson od razu pojmuję, że nie mówię prawdy. Zawsze miałam problem z ukryciem przed nim rzeczy, o których nie chciałam, żeby wiedział.

— To przez tatę? — pyta, na co wzruszam ramionami. —

Nie powiedział nikomu, że zamierza kogoś ze sobą zabrać, zwłaszcza takiego kogoś.

— Isabella wydaje się... miła — mówię bez przekonania.

Hudson parska śmiechem.

— Tak, jasne. Jakby chlamydia mogła być miła.

— Hej, nie mów tak o niej — protestuję. — Ojciec nie jest bogaty ani nic w tym stylu. Jeśli ona z nim jest, to z pewnością dlatego, że coś do niego czuje, a nie dla pieniędzy. To nie jej wina, że tata ma kryzys wieku średniego. Może Isabella po prostu lubi starszych facetów?

— Akurat — prycha mój brat. — Widziałaś, jak gapiła się na Harrisona podczas kolacji? Założę się, że już wyczuła, że Hartowie są dziani i ich syn również. Zanim minie ten tydzień, zostawi tatę i zagnie parol na mojego szwagra.

Zobaczysz.

To dziwnie nieprzyjemna wizja. Nagle czuję się tak, jakby w moim brzuchu obudziło się stado węży.

— Myślisz, że ma u niego jakieś szanse? — pytam, starając się brzmieć na rozbawioną.

— Jezu, nie wiem i chyba nie chcę wiedzieć. — Hudson wzdryga się z obrzydzeniem. — Wczoraj, kiedy już poszliśmy, próbowała wyciągnąć go na drinka. Serio. Nie zostałem, żeby obserwować efekty, ale moim zdaniem laska jest zdeterminowana.

Chryste. Dlaczego tak źle myśli mi się o Harrisonie i Isabelli razem? Fizycznie przecież do siebie pasują. I może on wypowiada do niej więcej słów niż do mnie.

Próbuję sobie wmówić, że to przez tatę i że nie chcę, żeby jakaś laska, nawet dwa razy od niego młodsza, puszczała go kantem. W gruncie rzeczy jednak wiem, że nie o to chodzi.

Podboje ojca nigdy specjalnie mnie nie dotykały, a on szybko otrząsał się po każdym związku i natychmiast zaczynał planować kolejny. Jestem pewna, że z Isabellą będzie tak samo, gdyby zmieniła obiekt zainteresowań.

— Pięknie tu — mówi po chwili Hudson. — Zrobisz zdjęcie?

Parskam śmiechem.

— Niestety nie wzięłam telefonu. Przestań się gapić w ekran i zacznij doceniać to, co masz wokół siebie.

— Masz rację, ale jestem fotografem, więc nie dziw się, że często myślę o robieniu zdjęć. — Hudson wyszczerza się do mnie, po czym wyciąga dłoń, żeby mnie poczochrąć po

włosach. Odsuwam się. — No już, nie bocz się, złość piękności szkodzi.

— Palant — mamroczę, przez co Hudson znowu wybucha śmiechem.

Chwilę później powoli ruszamy w stronę restauracji.

Hudson cały czas wygląda, jakby nad czymś się zastanawiał.

— Tak czy inaczej myślę, że najlepiej będzie trzymać ich z daleka od siebie — mówi w pewnej chwili. — Chodzi mi o rodziców. Dobrze, że tylko tata wybiera się z nami dzisiaj na trekking.

— I Isabella — dodają złośliwie.

Siadamy przy stoliku, a potem Hudson idzie po kawę.

Tymczasem dołącza do nas Celia, która nazywa swojego męża dziwakiem.

— Wiesz, że on zawsze tak wcześnie wstaje? — woła, gdy mąż przynosi kawę także dla niej, całuje ją w czubek głowy i siada obok. — Ja mogłabym leżeć w łóżku do południa, a ten wariat ciągnie mnie na jogging po plaży o szóstej rano.

On jest szalony!

— Dopiero teraz się zorientowałaś? — Unoszę brew.

Oboje się śmieją, a ja wgrzynam się w słodkiego rogalika dostarczonego mi przez brata. Hudson spogląda ku wejściu do restauracji i nagle zamiera.

Gdy podążam za jego spojrzeniem, stwierdzam, że do środka wchodzi Harrison w towarzystwie Isabelli. Ona ma na sobie dopasowany czerwony kombinezon z krótkimi nogawkami, a on... dresy i koszulkę. Nie wiem, co bardziej mnie zaskakuje: jego ubiór czy towarzystwo.

Isabella coś do niego mówi, uśmiechając się szeroko, ale on jedynie kiwa głową i nic nie odpowiada. Dobrze wiedzieć,

że nie tylko ja mam przy nim taki problem. Harrison rozgląda się po restauracji, po czym wyławia mnie wzrokiem.

Jego twarde, oceniające spojrzenie przesuwa się po mnie całej, a moje głupie serce od razu przyspiesza. Pewnie chodzi o to, że po prostu się go obawiam, prawda? Bo znowu wygląda tak ponuro, że wszyscy, którzy stają mu na drodze, automatycznie się odsuwają.

Taa, na pewno chodzi o to.

Obserwuję ich kątem oka, jak razem podchodzą do stołu z jedzeniem; podczas gdy Harrison nakłada sobie solidną porcję, Isabella bierze tylko kawę. No jasne, dlatego ja mam nadwagę, bo się obżeram, a ona przestrzega jakiejś diety.

Isabella siada obok Hudsona, zapewne z nadzieją, że Harrison zajmie wolne miejsce po jej drugiej stronie.

Jednak on przechodzi obok niej, jak gdyby nigdy nic, i siada po mojej lewej. Sztynnieję, a Isabella posyła mi niezadowolone spojrzenie.

Czego ta kobieta ode mnie chce? Przecież to tylko pieprzone miejsce przy stoliku. Nie jesteśmy w podstawówce!

Może z mojej strony przechodzi mniej osób, a Harrison nie wygląda na wielkiego miłośnika ludzi.

Czerwienię się, gdy przypominam sobie sen z dzisiejszej nocy. Nie widziałam twarzy mężczyzny, ale poznałam ten niski, głęboki głos. Fakt, że miałam bardzo wyraźny sen erotyczny z Harrisonem Hartem w roli głównej, podczas gdy teraz on siedzi obok mnie przy śniadaniu, je bekon i zupełnie nie zdaje sobie sprawy z moich uczuć, trochę mnie deprymuje.

A właściwie bardzo.

— No dobra, gotowi na dzisiejszą pieszą wędrówkę? — pyta Hudson z entuzjazmem. — Isabello, gdzie mój ojciec?

Parskam cichym śmiechem. Bardzo subtelnie, Hudson.

— Och, jeszcze śpi — odpowiada Isabella. — Z nas dwojga to raczej ja jestem rannym ptaszkiem. Ale nie martw się, ustawiłam mu budzik, na pewno wstanie o czasie.

No mam nadzieję. Wolalabym, żeby Isabella nie próbowała wymiksować ojca z trekkingu tylko po to, by móc robić maślane oczy do Harrisona, bo to oznaczałoby, że moi rodzice zostaliby razem w jednym hotelu bez nadzoru. Po powrocie moglibyśmy zastać same zgliszcza.

Na szczęście ojciec pojawia się pod koniec naszego śniadania, po czym szybko nadrabia stracony czas. Na zewnątrz powoli się przejaśnia, aż Celia, ziewając szeroko, oznajmia, że możemy ruszać.

— Dajemy wam po kwadransie w domkach i spotykamy się na podjeździe pod głównym budynkiem hotelu — oznajmia, po czym ciągnie Hudsona do wyjścia.

Chyba nie chcę wiedzieć, na co spożytkują swój kwadrans.

Wracam do domku, żeby umyć zęby i zabrać wcześniej przygotowany plecak. Jestem zaskoczona, kiedy obok mnie materializuje się Harrison; nic nie mówi, po prostu idzie jak przyklejony do mojego boku. Isabella z ojcem zostają gdzieś z tyłu, więc jesteśmy właściwie sami.

No dobrze, wiem, że do naszych domków prowadzi ta sama droga, ale i tak mi z tym nieswojo.

— Lubisz trekking? — zagaduję Harrisona, chociaż prawdę mówiąc, nie liczę na odpowiedź. — Bo ja nie mogę się doczekać. Chcę już być na szczycie i zobaczyć te wszystkie widoki.

Harrison mamrocze coś w odpowiedzi, ale nie mam pojęcia, czy to w ogóle jakieś normalne zdanie. Może po prostu mnie sptawia.

— Może to ty powinieneś wybrać następną rozrywkę — podsuwam mu. — Wtedy przynajmniej miałbyś pewność, że będziemy robić coś, co tobie się spodoba.

Nie wiedzieć czemu przed oczami znowu staje mi scena z nocnego snu. Chryste, weź się w garść, Allen!

— Jesteś weterynarzem? — pyta mnie znienacka.

To tak nieoczekiwana zmiana tematu, że przez moment nie wiem, co odpowiedzieć.

— Tak, jestem weterynarzem — potwierdzam w końcu. —

Prowadzę z przyjaciółką lecznicę i hotel dla zwierząt.

Chodzi ci to po głowie od wczoraj?

Harrison wzrusza ramionami, co nie jest żadną odpowiedzią. Chrzanić go.

— A ty? Czym się zajmujesz? — Uznaję, że skoro on zapytał mnie o profesję, ja jego też mogę.

Znowu mruży coś niezrozumiale, ale tym razem nie zamierzam odpuścić.

— Mógłbyś mówić wyraźniej? — proszę uprzejmie. — Nie nauczyłam się jeszcze twojego języka.

Drga mu mięsień w policzku, jakby bardzo chciał powstrzymać jakąś reakcję. Chyba nie zamierzał się roześmiać?!

Zatrzymujemy się pod wejściem do mojego domku, ale z jakiegoś powodu zwlekam z otwarciem drzwi, a Harrison z odejściem. Gapi się na mnie, by w końcu odpowiedzieć z trudem:

— Prowadzę rodzinną firmę.

— Czyli przejąłeś schedę po ojcu? — dopytuję. — W jakiej branży działacie? Widzę jakiś błysk w oczach Harrisona, gdy o to pytam.

— Inwestujemy w różne firmy, pomagając im przejść restrukturyzację, albo je przejmujemy — wyjaśnia. —

Robimy fuzje, organizujemy przejęcia, pomagamy firmom wydostać się z długów. Ojciec niedługo przechodzi na emeryturę, więc już jakiś czas temu oddał mi pateczkę.

Wow. Nie tego się spodziewałam po słowach „rodzinna firma”.

Ale też powinnam była, skoro wiem, na co stać Hartów, choćby biorąc pod uwagę ten hotel!

— Celia nie chciała się w to angażować?

— Ależ skąd. — Harrison kręci głową. — Jej to w ogóle nie interesuje. Ona lubi swoje dzieciaki.

Tak jak ja lubię moje zwierzątka. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że te słowa w ustach Harrisona brzmią trochę protekcjonalnie.

— Dobra, powinnam... — Wskazuję kciukiem na domek za sobą, a Harrison kiwa głową i odwraca się, by odejść.

Przyglądam mu się ze zmarszczonymi brwiami.

Ten facet czasami naprawdę dziwnie się zachowuje.

Szlak nie należy do najłatwiejszych, ale przejście go to prawdziwe wyzwanie uwalniające pokłady adrenaliny.

Najlepiej radzi sobie Celia i to w zasadzie nie powinno być zaskoczeniem dla kogoś, kto wie, że na co dzień uczy WF-u.

Prze do góry, nie zwracając uwagi na żadne przeciwności, które co jakiś czas zatrzymują resztę naszej grupy.

Isabella zaczyna jęczeć już przy pierwszym postoju, co jest bardzo niefortunne, bo mamy do przejścia jakieś piętnaście kilometrów — w jedną stronę — i spore przewyższenie. Tata próbuje jej pomagać, niesie nawet jej plecak, ale wkrótce utyskiwania jego laski stają się irytujące dla wszystkich.

Chyba dla wszystkich, bo Harrison oczywiście nawet nie mrugnie okiem.

To jednak nie zmniejsza mojej frajdy z wędrowki i widoków, jakie możemy podziwiać po drodze. Ściska mnie w dołku, kiedy widzę z góry wąwóz Maunalei, gdzie dwa górskie zbocza schodzą w dół do siebie, tworząc ogromny, zielony, odwrócony trójkąt, nad którym wiszą jasnoszare chmury.

Później wędrujemy wąską drogą w górę przez las deszczowy pełen eukaliptusów, sosen i wiecznie zielonych drzew. Jest tu niesamowicie duszno, wilgotno i gorąco, aż pot zaczyna po mnie spływać, ale każdy kolejny krok jest tego wart.

Wspinamy się na Lanaihale, najwyższy szczyt Lanai o wysokości tysiąca sześćdziesięciu metrów. W tych warunkach atmosferycznych to wymagająca

wyprawa, pod koniec której bolą mnie już wszystkie mięśnie, a przecież musimy jeszcze wrócić. Stopniowo cichnie większość rozmów, nawet Isabella się zamyka, dochodząc do wniosku, że chyba woli oszczędzać siły na marsz. Tym razem cisza wyjątkowo mi nie przeszkadza, zwłaszcza że dzięki niej słyszymy odgłosy dochodzące z lasu. Co jakiś czas spotykamy na trasie innych podróżnych, ale jest ich stosunkowo niewielu.

— Jutro leżymy na plaży — dyszy w pewnym momencie Hudson, który robi co jakiś czas przerwy na zdjęcia. — Nie zamierzam nigdzie się ruszać.

— A wieczorem impreza w Lanai City? — Celia robi błagalną minę, po czym zerka na mnie. — Mac na pewno ze

mną pójdzie. Jeśli nikt więcej nie chce, to poradzimy sobie we dwie!

— Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że puszczę was same —

prycha Hudson. — Ale dobra, niech będzie impreza!

Czekam, aż Harrison się odezwie, ale on — niespodzianka!

— milczy. Może w ogóle nas nie słucha, a może ma to gdzieś. On na pewno nie lubi imprez.

Po jakichś stu godzinach marszu docieramy na szczyt.

Jesteśmy tam sami, wokół jest cicho i spokojnie, a z góry rozciągają się niesamowite widoki. Hudson krzyczy na całe gardło, ale Celia szybko ucisza go uderzeniem z łokcia między żebra.

— Aua, kobieto! Pogrzało cię?!

Kątem oka widzę, że Isabella podchodzi do Harrisona, chyba prosząc o zrobienie jej zdjęcia. Nie mogę patrzeć na jej przymilny uśmiezek, więc odchodzę na bok, żeby na chwilę zostać sama.

Przedzieram się między drzewami, aż znajduję swój kawałek miejsca, z niesamowitym

widokiem na rozciągający się poniżej krajobraz. Nad okolicznymi górskimi szczytami wiszą szare chmury, a zieleń terenu na dole w pewnym miejscu zmienia się w ciągnący się po horyzont błękit oceanu. W oddali widzę inne wyspy, ale najbardziej interesuje mnie tu i teraz.

Nogi mi się trzęsą z wysiłku i cała się spociałam, dlatego po namyśle kładę się na ziemi, żeby trochę odpocząć.

Zdecydowanie warto było tutaj przyjść, ale jestem wykończona. Zazdroszczę kondycji Celi, jednak nie chce mi się nic robić, by poprawić swoją. Jestem beznadziejna.

W pewnym momencie gdzieś za sobą słyszę kroki, ale się nie przejmuję, przekonana, że to któryś z członków naszej

wyprawy — może Celia albo tata. Jestem zaskoczona, gdy obok mnie na ziemi siada Harrison.

Przez chwilę się nie ruszam, czekając, czy coś zrobi albo powie. Może uciekał przed Isabellą i w ten sposób tutaj trafił? Jezu, mam nadzieję, że ona nie przyjdzie za nim.

Niech mój ojciec się nią zajmie!

Ponieważ Harrison standardowo nic nie mówi, podnoszę się w końcu do pozycji siedzącej i spoglądam na niego kątem oka.

— Wszystko w porządku? — Tym razem to ja go o to pytam, w dodatku wyjątkowo podejrzliwie.

— Wiem, że mnie nienawidzisz — mówi ku mojemu zdziwieniu.

To brzmi jak wstęp do jakiejś dłuższej tyrady, ale po tych słowach Harrison znowu milknie. Nie wiem, co o tym myśleć.

— Nie nienawidzę cię — protestuję.

— Tak powiedziałaś — odpowiada, wzruszając ramionami.

— Kiedy byłaś pijana.

Marszczę brwi. Serio tak powiedziałam? Pamiętam tekst o ponurym nietoperzu i smoku czy czymś takim, ale nie przypominam sobie, żebym mówiła, że go nienawidzę. To nie w moim stylu.

— Nie pamiętam — wyznaję niechętnie.

Ciemnoniebieskie oczy Harrisona lśnią po tych słowach, jakby z rozbawienia.

— A podobno wszystko pamiętasz.

— No dobra, może jednak nie pamiętam wszystkiego —

prycham. — Nie jestem tobą, nie muszę mieć zawsze sytuacji pod kontrolą.

— Zaprowadziłem cię do domku, a ty powiedziałaś, że mnie nienawidzisz.

Rozpromieniam się jak ostatnia idiotka.

— Hej, to ty znalazłeś i przyniosłeś moje buty?

Harrison wzrusza ramionami, jakby to nie było nic takiego, ale tym razem mnie nie oszuka. On naprawdę to zrobił!

Prawdziwi bohaterzy nie noszą peleryny!

— Ojej, dziękuję! — Podnoszę się do klęczek i bez namysłu chwytam go za ramię. Dopiero kiedy Harrison sztywnieje, dochodzę do wniosku, że to nie był najlepszy pomysł. —

Cofam to, co wtedy powiedziałam. Wcale cię nie nienawidzę. I cokolwiek głupiego jeszcze mi się wyrwało...

to przepraszam. Nie miałam tego na myśli. Za dużo wypiałam.

— Naprawdę? — pyta, na co kiwam głową. — To dobrze.

Serce zaczyna mi bić podejrzenie szybko. Próbuję cofnąć dłoń, ale Harrison mi na to nie pozwala, kładąc na niej swoją. Jezu, ma taki silny, gorący uścisk.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie, aż rozchyłam w zdziwieniu usta. Czuję napięcie w podbrzuszu i chyba robię się czerwona. Chcę go zapytać, czy on mnie nienawidzi, ale słowa wyjątkowo nie chcą mi przejść przez gardło.

A potem Harrison kładzie drugą dłoń na moim karku, przyciągając mnie do siebie bliżej.

Mam wrażenie, że zaraz udławię się własnym sercem. Co on wyrabia?! Jego skupione na mojej twarzy spojrzenie sprawia, że nie mogę odwrócić wzroku. To takie...

niespodziewane.

Z oddali dobiega mnie głos ojca.

— Mac, jesteś tu gdzieś?!



Wyrwam się gwałtownie z uścisku Harrisona i lecę do tyłu, tracąc równowagę. Drę się na całe gardło, gdy nie czuję pod sobą podłoża, i przez jedną szaloną sekundę boję się, że za mną znajduje się przepaść, w którą zaraz spadnę.

Wtedy jednak Harrison podrywa się zwinnie z ziemi i łapie mnie mocno za ramię.

W tej samej chwili spomiędzy drzew wybiega mój ojciec. Z początku jest przestraszony, ale kiedy dostrzega Harrisona, w jego oczach pojawia się wściekłość.

— Natychmiast zostaw moją córkę w spokoju, młody człowieku!

Rozdział 11

Harrison

Młody człowieku.

Poważnie. Tak właśnie powiedział do mnie Richard Allen.

Od dwudziestu lat nikt mnie tak nie nazywał.

— Tato! — Mackenzie robi krok do przodu i wrywa się z mojego uścisku. Jezu, jej krzyk był ogłuszający. — Co ty tu robisz?

To chyba oczywiste. Darta się, jakbym ją co najmniej zamierzał tu zgwałcić.

— Chcieliśmy się zbierać — mówi Richard, posyłając mi spojrzenie, które chyba powinno mnie zdeprymować. Może to działa na innych, bo na pewno nie na mnie. — Ale widzę, że muszę tu interweniować.

Robi krok do przodu, w moją stronę, więc prostuję się i ostrzegawczo zakładam ramiona na piersi. Mackenzie prychnie z oburzeniem.

— Mam dwadzieścia siedem lat, tato. Potrafię sama o siebie zadbać, nie potrzebuję teraz twojej troski.

Dwadzieścia siedem lat? To tylko dwa lata mniej od Celi.

Dałbym jej jeszcze mniej, ale nigdy nie byłem dobry w ocenianiu wieku kobiet, zwłaszcza że wiele z nich w pewnym momencie zaczyna robić, co może, by wyglądać młodziej.

Ale Mackenzie w ogóle nie musi się o to starać.

— A ja myślę, że jesteś zbyt grzeczna i zbyt uprzejma, żeby się odezwać — odpowiada Richard. Przyglądam mu się z dystansem, kiedy zwraca się do mnie. — Słuchaj, nie wiem, jaki masz problem z moją córką, ale oczekuję, że przestaniesz ją straszyć i będziesz się trzymał od niej z daleka.

Straszyć?! Tego faceta chyba pojebało.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — odpowiadam chłodno.

Mackenzie próbuje go powstrzymać, ale jej ojciec idzie jak taran.

— Rozmawiałem z Hudsonem i okazuje się, że nie tylko ja to zauważyłem — kontynuuje. — Podobno odkąd tu przylecieliście, jesteś dla niej niemiły. Ignorujesz ją i zachowujesz się, jakby była od ciebie gorsza. Rozumiesz, że jest jej z tego powodu przykro? Potem była kwestia tego wypadku w drodze na lotnisko, a teraz Mac przez ciebie krzyczy tak, że słyszała ją prawdopodobnie jej matka w hotelu. Nie wiem, co ci w niej nie pasuje, ale lepiej zostaw ją w spokoju.

Po prostu w to nie wierzę.

Mackenzie jest przykro? Czy powiedziała coś takiego Hudsonowi?

Dobra, zdaję sobie sprawę, że ją ignorowałem i byłem nieuprzejmy. Ale przecież nie dlatego, że mam z nią jakiś problem. Oni nie mogą wiedzieć, że ją...

Cholera. A ja z całą pewnością nie zamierzam im tego tłumaczyć.

— Nie wiem, za kogo mnie macie, ale nie jestem tu jakimś czarnym charakterem — oświadczam spokojnie. —

Naprawdę sądzicie, że zaryzykowałbym własne życie i wypożyczony samochód, żeby zrobić krzywdę Mackenzie?

Richard mruży ze złością oczy. No dobrze, może to nie zabrzmiało najlepiej.

— Słuchaj, ty...

— Tato, dosyć tego — wchodzi mu w słowo Mackenzie. —

Nie potrzebuję twojej pomocy.

— Ty zawsze wszystko znosisz w milczeniu...

— A dlaczego się tego nauczyłam? — Tym razem to ona podnosi głos. To będzie ciekawe. — Dlatego że dwadzieścia lat temu znosiłam w milczeniu płacz mamy i twoją wyprowadzkę, chociaż chciałam cię błagać, żebyś nas nie zostawiał. I dlatego że piętnaście lat temu znosiłam w szkole wyśmiewających się ze mnie uczniów, chociaż niczym sobie na to nie zasłużyłam. I wiesz co? Wtedy cię naprawdę potrzebowałam, ale cię nie było. Teraz już cię nie potrzebuję.

Po tych słowach na moment zapada cisza. Richard wpatruje się w córkę z niedowierzaniem, jakby nikt wcześniej nie wypomniął mu czegoś podobnego. Ja jestem jednocześnie wkurwiony, że ktokolwiek się odważył wyśmiewać się z Mackenzie, i poruszony jej odwagą, że tak wprost o tym mówi. Ta kobieta jest niesamowita.

Wiedziałem, że jest nieustraszona, już wtedy, gdy zaproponowała pomoc zbirom i ani razu nie drgnęła jej powieka podczas wyciągania kuli z uda jednego z nich.

Teraz utwierdzam się w tym przekonaniu, co sprawia, że moje uczucia do niej wydają się jeszcze bardziej realne.

Uwielbiam tę kobietę. Mogłbym cały dzień słuchać, jak tak peroruje, gdybym równocześnie mógł patrzeć na jej piękną, zaczerwienioną z oburzenia twarz. Jezu, jest cudowna.

I chyba bym ją pocałował, gdyby jej ojciec nam nie przeszkodził.

Jestem zaskoczony, że to w ogóle przeszło mi przez głowę. I nie mam pojęcia, jak ona by zareagowała. Jest dla mnie miła, ale ona jest dla wszystkich miła, nawet dla tej dziewczyny jej ojca, która zamiast trzymać się Richarda, wodzi za mną wzrokiem. To jeszcze nie dowód na to, że jakkolwiek interesuję Mackenzie.

Zwłaszcza po tym, co powiedział jej ojciec. Może i mnie nie nienawidzi, ale czy swoim zachowaniem wszystkiego nie zepsułem? Wszyscy teraz uważają, że mam z nią jakiś problem.

I w zasadzie to prawda.

Zanim ktòreś z nas się odezwie, słysząc trzask gałęzi i po chwili zjawia się Isabella. Świetnie, jeszcze tej tu brakowało.

— Hej, no co jest, idziemy? — pyta, chwytając Richarda za ramię. — Tak strasznie boli mnie noga, że chcę jak najszybciej wrócić do hotelu. Mogę się na tobie wesprzeć w drodze powrotnej, prawda, Ricky?

Richard otwiera usta i spogląda na Mackenzie z frustracją, ale nie odpowiada nic na jej tyradę, tylko kiwa na còrkę głowà.

— Chodźmy, kochanie.

Chociaż Isabella ciągnie go z powrotem w stronę naszej grupy, on czeka, aż Mackenzie pierwsza opuści to miejsce.

Zaciskam pięści w bezsilnej złości. Ten człowiek nadal uważa, że zamierzam skrzywdzić jego jedynà còrkę.

Co za palant.

Mackenzie w końcu wraca na ścieżkę pierwszà, za nią podąża Richard z uwieszonà u ramienia Isabellà, a dopiero potem ja. Jeśli między cudownà szwagierkà mojej siostry a mnà naprawdę coś w tamtym momencie było, zostało bezpowrotnie zniszczone.

Znając moje tempo, mogę nie znaleźć kolejnej takiej okazji do końca wyjazdu.

Po powrocie do hotelu każde z nas jak zwykle idzie w swoją stronę. Potrzebujemy odświeżyć się przed obiadem, a na popołudnie większość towarzystwa umawia się na plażę.

Plaża uosabia wszystko to, czego nie znoszę: piasek, upał i olejek do opalania, więc chyba podziękuję. Przyglądam się w milczeniu, jak Mackenzie z entuzjazmem gawędzi z Celià i Hudsonem, i zastanawiam się, czy może być lepszy dowòd na to, że do siebie nie pasujemy.

— A ty? — pyta mnie Mackenzie zaczepnie. — Nie zamierzasz iść z nami na plażę?

Wzruszam ramionami, a Celia parska śmiechem.

— Harry? Wolałby, żeby go wbito na pal.

Ciekawy dobòr alternatywnego zajęcia.

— Nie lubię plaży — wyjaśniam cierpko. — Ani słońca.

Mackenzie robi wielkie oczy.

— Jesteś wampirem czy co? — dziwi się. — No wiesz: boisz się słońca, zamieniasz się w wiszącego pod sufitem nietoperza i jesteś krwiopijcà bez krztyny litości.

Auc. Kocham cię, Mackenzie, ale to było naprawdę wredne.

Wszyscy dookoła się śmieją i tylko ja pozostaję poważny. I Mackenzie, która wprawdzie się uśmiecha, ale patrzy mi wyzywająco w oczy. Chce mnie do czegoś zmusić czy jak?

A, dobra, pieprzyć to.

— W porządku, pòjdę na plażę — zgadzam się niespodziewanie.

Moja siostra jest tak zszokowana, że właściwie nie chce w to uwierzyć. Warto było się zgodzić choćby dla jej miny.

Potem odwracam się i idę do mojego domku, bo muszę się mentalnie przygotować. Nigdy w czasie poprzednich pobytów na Lanai nie siedziałem na plaży. Raz czy dwa zdarzyło mi się zajrzeć na basen, ale to wszystko. Celia doskonale o tym wie i dlatego jest zaskoczona.

Zwykle nie lubię zaskakiwać ludzi, ale tym razem sprawiło mi to sporą satysfakcję.

Kiedy jednak docieram do domku, staje przede mną kolejne wyzwanie. Mam wprowadzić szorty do kąpieli (coś okropnego!) i olejek do opalania (tak samo, ale czasami, na przykład podczas wędrówki górskim szlakiem w słońcu, niestety niezbędny), ale ręcznik kąpielowy czy czego się tam używa na plaży? Chyba mi tego brakuje.

Na szczęście hotel jest porządnie wyposażony. W moim domku znajduję wszystko, czego potrzebuję.

Biorę szybki prysznic i ubieram się do obiadu. Wkładam dresy i rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś koszulki, gdy nagle coś przykuwa mój wzrok.

Domek Mackenzie znajduje się niedaleko. Z otwartego na oścież okna — po raz pierwszy otworzyłem okiennice, bo wcześniej polegałem głównie na klimatyzacji — widzę okno jej salonu. Mimo odległości dostrzegam w nim Mackenzie

— z mokrymi włosami spiętymi w kok na czubku głowy, w uroczej różowej króciutkiej sukience, ledwie sięgającej jej za tyłek, kręci biodrami i miota się po pomieszczeniu, aż chwilami tracę ją z zasięgu wzroku. Marszczę brwi i dopiero po chwili orientuję się, że ona tańczy.

Zapewne włączyła jakąś muzykę, której nie słyszę, i kręci tymi kształtnymi biodrami. Zupełnie tak, jak robiła na tej imprezie, na której chciałem obić mordę każdemu, kto jej dotykał.

Jęczę, przypominając sobie, że jutro też chcę na jakąś iść.

Nie odezwałem się, ale to oczywiste, że pòjdę, jeśli ona tam będzie. Za bardzo się boję, że znowu znajdzie sobie jakiegoś Milesa z lepкими łapami.

Kurwa. Staje mi, kiedy tak ją obserwuję. Jestem pieprzonym stalkerem.

W pewnej chwili Mackenzie zatrzymuje się, a jej spojrzenie łączy się z moim. Czuję się tak, jakby oblała mnie kubłem zimnej wody.

Przez chwilę po prostu wpatrujemy się w siebie, a ja odczuwam rozprzestrzeniające się po moim ciele gorąco.

Odnoszę wrażenie, że nie dzieli nas odległość, że w każdej chwili mogę wziąć ją w ramiona i przycisnąć do najbliższej ściany. Spinam się, gdy Mackenzie sięga do włosów i nie odrywając ode mnie wzroku, rozpuszcza je, aż wilgotnymi falami spływają jej na plecy.

O Chryste.

Czy ona mnie prowokuje?

Sądząc po wyzwaniu błyszczącym w jej zielonych oczach, tak właśnie jest. Mam ochotę natychmiast do niej iść i potrzebuję całej swojej silnej woli, żeby tego nie zrobić.

Męczy mnie, że nie wiem, czy ona zdaje sobie sprawę, że zamierzałem ją pocałować, gdy byliśmy na szczycie, i że nie mam pojęcia, jak by na to zareagowała.

Zachowuję się jak idiota. Przecież ja nie wiem, jak się postępuje z kobietami! Nawet gdyby Mackenzie też tego chciała, prędzej czy później coś bym spierdolił, a to nie jest jakaś przypadkowa laska. To szwagierka Celi, będziemy

się z nią widywać przez długie lata. Nie mogę pozwolić, żeby mnie znienawidziła.

Chociaż... czy w tym momencie pokazuję się z dobrej strony? Mackenzie wprawdzie twierdzi, że mnie nie

nienawidzi, ale słowa jej ojca mocno zapadły mi w pamięć.

Allenowie serio myślą, że mogłem spowodować ten wypadek celowo, i to powinno mi dać do myślenia. Już teraz robię wszystko nie tak, a oni uważają, że jej nie lubię.

Mackenzie spuszcza wzrok wzdłuż mojego ciała i dopiero wtedy dociera do mnie, że nadal jestem bez koszulki. Czuję dziwne zadowolenie, gdy jej spojrzenie prześlizguje się po krzywiznach mojej klatki piersiowej. Wiem, że wyglądam dobrze, i teraz ona też o tym wie.

Co zamierzasz z tym zrobić, Mackenzie?

Przymykam oczy, ale nadal słyszę ich piski i śmiechy. Bez pudła rozpoznaję jasny, pełen radości głos Mackenzie.

Nie spojrziałem w jej stronę, odkąd weszliśmy na plażę.

Oglądam widoki, próbuję się skupić na książce, której tę samą stronę mam otwartą na czytniku od pół godziny. Boję się spojrzeć na Mackenzie, bo wiem, że ma na sobie bikini, a zobaczenie jej w tak skąpych ciuszkach odebrałoby mi do reszty rozum.

Już wystarczy, że nie mogę pozbyć się z głowy obrazu tego, jak rozczochrana i z szeroko otwartymi oczami siedziała w samej bieliźnie na tylnej kanapie wynajętego dżipa.

Tak, podglądałem. Jestem żalonym gnojkiem.

— Harry, chodź do nas! — krzyczy z wody moja siostra.

Kręcę głową, udając zajętego lekturą. — Nie bądź takim sztywniakiem!

Podczas gdy wszyscy poszli się kąpać w oceanie, ja zostałem w strategicznym miejscu — na leżaku, w cieniu rzucanym przez parasol, z butelką schłodzonego piwa na stoliku obok i okularami przeciwsłonecznymi na nosie.

Całkowicie wystarczy to, że musiałem założyć kretyńskie szorty i japonki, bo półbuty raczej nie nadają się na plażę.

Już mam wszędzie piasek, cholera.

Nie podnoszę wzroku, ignorując zbliżające się kroki, i wzdrygam się dopiero, gdy padają na mnie zimne krople. Z

niezadowoleniem spoglądam w górę.

— To urządzenie elektryczne — uświadamiam moją siostrę, wskazując na czytnik. — Psuje się od wody, wiesz?

— Jezu, Harry, wyjmij wreszcie ten kij z dupy — jęczy Celia, przewraca oczami, po czym siada mokra na piasku przy moim leżaku. Przyglądam się temu z niesmakiem. —

Dlaczego nie chcesz wejść do wody?

— Bo tego nie lubię.

Godzinami szorowałbym się potem z soli.

Celia pochyla się w moją stronę. Ma na sobie tak skąpe bikini, że na miejscu Hudsona już okrywałbym ją ręcznikiem, ale na szczęście to tylko moja siostra. A Hudson najwyraźniej w najlepsze bawi się w wodzie.

— Dobra, i tak wiem, że nie wejdiesz. — Poprawia czarne paseczki gòry od kostiumu. — Tak tylko powiedziałam, bo chciałam z tobą pogadać.

Marszczę brwi. Ciekawe, o czym tym razem.

— O co ci właściwie chodzi z Mac?

Ze złością wyłączam czytnik i rzucam go na stół obok piwa.

— O nic mi nie chodzi — cedzę przez zęby.

— Aha, jasne. — Celia w ogóle nie wygląda na przekonaną.

—

Robisz jej przykrość za przykrością, odkąd przyjechaliśmy. Pytała cię o coś, kiedy wchodziliśmy na plażę, a ty odwróciłeś się i odszedłeś. Ignorujesz ją i jesteś nieprzyjemny. I ta akcja dzisiaj w górach — co to było? Co jej zrobiłeś?

Jezu, czy oni nigdy nie odpuszczają?!

— Nic jej nie zrobiłem — syczę, siląc się na spokój. — I niczego nie muszę ci tłumaczyć, Sissy.

— Ależ musisz — zapewnia mnie. — Mac jest moją szwagierką i bardzo ją lubię. To najbardziej życzliwa, najstodsza istota, jaką znam, oczywiście poza mną. — Po tych słowach uśmiecha się szeroko, ale szybko poważnieje.

— Nie rozumiem, jak można jej nie lubić. Nie chcę, żeby czuła się przy tobie źle, bo to zepsuje jej cały wyjazd.

Posyłam jej nieżyczliwe spojrzenie.

— Sissy — warczę ostrzegawczo. — Odpuść.

Celia przez chwilę milczy, a jej spojrzenie powinno mi chyba wypalić dziurę w czaszce. Odwracam wzrok, trafiając akurat na grupę moczącą się w wodzie niedaleko brzegu; dostrzegam Mackenzie i sztywnieję.

Rzeczywiście ma na sobie bikini. Zielono-brązowe, idealnie pasujące do koloru jej włosów i oczu. Robię się pobudzony od obserwowania jej lekko opalonego, pòtnagiego ciała.

Mogę dostrzec zarys piersi, miękki brzuch i ten idealny tyłek, gdy odwraca się do mnie plecami. Chryste.

Naprawdę mam ochotę zakryć ją ręcznikiem. Albo siebie, żeby nikt nie zauważył, że znowu mi staje.

— Jezu, Harry — odzywa się nagle Celia i dopiero wtedy przypominam sobie o jej obecności. Spoglądam na nią; jest zaskoczona i przygląda mi się z niedowierzaniem. — Ty nie masz z nią problemu. Ty ją kochasz!

Co takiego?!

— Oszalałaś? — pryham.

Celia śmieje się radośnie.

— Och, już mnie nie oszukasz — zapewnia chętnie. —

Widziałam to tęskne spojrzenie. Ty ją kochasz. Dlatego

zachowujesz się tak dziwnie! Harry, co jest z tobą nie tak?!

Dobra, poddam się. Ona już nie kupi żadnego mojego kłamstwa.

— Ani słowa, Sissy — ostrzegam ją. — Jeśli komukolwiek o tym powiesz, ujawnię wszystkie twoje nagrania z dzieciństwa. Mam je bezpiecznie schowane u siebie.

Chodzi o nagrania z czasów, gdy moja siostra myślała, że będzie z niej świetna piosenkarka. Wiem, że to cios poniżej pasa, ale muszę się jakoś ratować.

Celia posyła mi oburzone spojrzenie, ale nie próbuje się kłócić.

— Oczywiście, że nikomu nie powiem — obiecuje. — To sprawa między wami, ale na litość, Harry, dlaczego zachowujesz się tak, że wszyscy myślą, że jej nie znosisz?

Sama pchałabym was ku sobie, gdybym nie uznała, że totalnie do siebie nie pasujecie!

— No właśnie — mamrocze. — Nie pasujemy.

— Wiem, że nie wierzysz w to całe „Hartowie zakochują się od pierwszego wejrzenia” — mówi protekcyjnie. — Ale gwarantuję ci, że to prawda. Jeśli cię trafiło, to nie pozbędziesz się tego tak po prostu. Więc przestań się tego wypierać i spróbuj o nią powalczyć.

Wzdycham i postanawiam wziąć jej słowa na serio. Choćby nie wiem, jak niedorzeczne mi się wydawały.

— Mackenzie mnie nie chce — uświadamiam ją.

Celia przewraca oczami.

— A wiesz to, bo tak bardzo się starałeś i nic z tego nie wyszło? — podsuwa bezlitośnie. — Harry, przestań się zachowywać jak dupek i dopiero wtedy zobacz, jaki będzie efekt. Mac od początku próbuje być dla ciebie miła.

— Bo ona taka jest — protestuję. — Jest miła dla wszystkich. To żadne wyróżnienie.

— Możliwe — zgadza się niechętnie. — Ale ma dobre intencje, a ty nie. Trzymasz ją na dystans, bo się boisz.

Boże, to dlatego ją ignorujesz?! No nie wierzę. Czy ty na pewno nie zostałeś adoptowany? Bo nie mieści mi się w głowie, że można być aż tak nieogarniętym, jeśli chodzi o kobiety.

No coż, wieści z ostatniej chwili, siostrzyczko. Można.

— Nie umiem postępować z kobietami — wyznaję niechętnie.

Jeśli to możliwe, po tych słowach Celia robi się jeszcze bardziej rozbawiona.

— Jejku, nie wierzę, że wreszcie zobaczyłam cię w takim stanie! — piszczy. — Mac jest świetna, naprawdę. Gdybym miała wybierać dla ciebie dziewczynę spośród wszystkich naszych znajomych, bez wahania postawiłabym na nią, chociaż wiem, że się różnicie. Ona jest super, więc byłoby fajnie, gdybyś tego nie spieprzył. Ale to naprawdę nic trudnego, braciszku. Zaproś ją na kolację, postaraj się ją lepiej poznać, zostań z nią sam na sam i po prostu porozmawiaj. Na pewno dasz radę!

Serio? Mam poważne wątpliwości.

Celia chyba wyczytuje to z mojego sceptycznego wyrazu twarzy, bo wybuchając śmiechem i uderza mnie pięścią w przedramię. Posyłam jej cierpki uśmiech.

— To naprawdę bardzo pomocne, Sissy.

— Poradzisz sobie — zapewnia beztróska. — Będę trzymać kciuki. Serio, nie spieprz tego, Harry.

Po tych słowach podnosi się i wraca do reszty grupy, do wody, śmiejąc się po drodze. Zostaje sam z własnymi myślami.

Super. Zero presji, Harrison.

Rozdział 12

Mackenzie

Większość kolejnego dnia spędzamy bardzo leniwie na plaży, co zapewne jest torturą dla Harrisona. „Zapewne”, bo nie mam pewności, skoro ten facet od wczoraj nie odezwał się do mnie ani słowem.

Nie żeby mnie to obchodziło. Wcale nie czuję się znowu zignorowana. Zwłaszcza po tym, jak gapił się na mnie, gdy tańczyłam w moim domku. Poczułam się wtedy jak ostatnia idiotka i chyba chciałam go w jakiś sposób sprowokować...

sama nie wiem do czego. Więc mi się udało: teraz Harrison już w ogóle na mnie nie patrzy.

To trwa drugi dzień i jest strasznie wkurzające. Przez większość czasu dobrze się bawię, opalając się, grając z Celią i Hudsonem w karty albo pluskając się w oceanie, ale co jakiś czas wracam myślami do szwagra mojego brata i zastanawiam się, o co mu znowu chodzi. Jeszcze wczoraj podczas trekkingu wyraźnie szukał mojego towarzystwa.

Zrobiłam coś nie tak?

Tak bardzo nie rozumiem tego faceta.

Opalam się, leżąc na brzuchu, a do moich uszu dobiegają plażowe odgłosy, które uwielbiam: szum fal, pisk bawiących się ludzi, plusk wody. Nie potrzebuję muzyki, gdy jestem w takim miejscu, tutejsza atmosfera w zupełności wystarczy, żebym się zrelaksowała.

— Mac, idziesz do wody?! — słyszę obok siebie głos Celi. —

Będziemy grać w piłkę!

— Idźcie, za chwilę do was dołączę — mamroczę, bo nie chce mi się wstawać.

Towarzystwo się zbiera, ktoś kopie piaskiem w moją stronę, ale niespecjalnie się tym przejmuję. Wygrzewam się na słońcu jak jaszczurka i jest mi zbyt dobrze, by ktokolwiek mógł mi zepsuć humor. Słyszę ich oddalające się kroki i głosy, po czym na oślep sięgam po olejek do opalania. Jeśli nie chcę sobie spalić pleców, powinnam nałożyć nową warstwę, zanim pòjdę do wody.

Zamiast olejku napotykam jednak czyjąś ciepłą skórę.

Cofam odruchowo dłoń, a butelka ucieka z zasięgu moich palców.

— Może cię posmaruję? — słyszę niski pomruk Harrisona.

— Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

Odwracam głowę tak gwałtownie, że o mało nie skręcam sobie karku. Harrison klęczy na ręczniku obok mnie, w ręce ściska butelkę z moim olejkiem. Wpatruje się we mnie pociemniałym spojrzeniem; ma na sobie koszulkę i szorty, a na twarzy stylowe ray-bany. Jezu, ten facet jest taki atrakcyjny.

— Dziękuję, poradzę sobie — odpowiadam pospiesznie i wyciągam rękę, żeby odzyskać olejek.

Harrison jednak z jakiegoś powodu nie kwapi się, by go oddać. Kolejnym niespiesznym spojrzeniem obrzuca moje plecy.

— Nie wyglądasz, jakbyś sobie radziła — stwierdza obojętnie. — Jesteś czerwona tam, gdzie sama nie możesz dosięgnąć.

Przewracam oczami. Och, dobra, pieprzyć to!

— W porządku — odpowiadam, posyłając mu wyzywające spojrzenie. — Dajesz, ponuraku.

W żaden sposób nie reaguje na moją uwagę, a ja szybko dochodzę do wniosku, że może to nie był najlepszy pomysł.

Zaczyna od rozwiązywania sznurków przy moim bikini; spadają na ręcznik. Wstrzymuję oddech, choć przecież strategiczne części mojego ciała i tak są zastonięte.

Harrison po prostu ułatwił sobie zadanie z plecami. Potem przysuwa się nieco bliżej, nakłada trochę specyfiku na dłonie, po czym w skupieniu zaczyna go rozsmarowywać na mojej skórze.

Przymykam oczy, z trudem powstrzymując się od głośnego jęku. Chryste, to takie dobre! Lepsze od najlepszego masażu. Harrison ma zaskakująco delikatne, duże, ciepłe dłonie, które umiejętnie rozprowadzają olejek na moich plecach. Sztynnieję nieco, bo mam ochotę drzeć pod jego dotykiem. Mój oddech robi się ciężki, czuję mrowienie między udami, chociaż się za to nie znoszę.

Całkiem mnie pojebało? On tylko smaruje mnie olejkiem do opalania!

— Myślę, że już wystarczy — mówię, starając się brzmieć na opanowaną, kiedy palce Harrisona zsuwają się po moich bokach, niemalże dotykając piersi. Nie chodzi o to, że próbuje mnie obmacywać, raczej po prostu ma duże dłonie.

— Dziękuję!

Mężczyzna się cofa, a mnie mimo temperatury robi się nagle jakoś tak chłodno bez jego dotyku. Chryste, jestem idiotką. Co się ze mną dzieje?!

Prawie podrywam się z ręcznika, ale w ostatniej chwili przypominam sobie, że mam niezawiazane bikini. Ponownie czuję delikatny dotyk palców Harrisona na plecach i ze zdziwieniem stwierdzam, że zawiązuje mi troczki.

— Teraz możesz iść do wody — oświadcza. — Chyba że chciałaś wybrać się topless. Ale nie mam pewności, jakie jest zdanie lokalnych władz na temat obnażania się.

Mrużę oczy i podnoszę się, siadając z nim twarzą w twarz.

— Nie uważasz, że to mocno niesprawiedliwe? — pytam. —

Dlaczego mężczyźni mogą zawsze bez obaw paradować z odkrytymi suttami, a kobiety nie?

Harrison robi minę, jakby ta rozmowa była dla niego mocno niekomfortowa.

— No cóż, chyba dlatego że przyjęto się, że kobiece piersi to obiekty seksualne.

— Kobiece sutki są takim samym źródłem satysfakcji seksualnej jak męskie — pouczam go. — Co więcej, w przeciwieństwie do męskich służą też innym celom, jak na przykład karmienie dzieci, a jednak tylko one są seksualizowane.

Harrison spogląda na mnie z zainteresowaniem.

— I jak myślisz, co jest tego przyczyną?

— Jak to co? Fakt, że tak to ułożył patriarchalny świat. —

Mrugam do niego, na co on powoli kiwa głową.

— A więc jesteś feministką.

— Czy przez to wydaję ci się mniej atrakcyjna? — Unoszę brew. — Bo jeśli tak, to ty mnie też.

Podnoszę się z ręcznika i otrzepuję z piasku, cały czas czując na sobie gorące spojrzenie Harrisona. Próbuję je ignorować, ale jakimś cudem ono jeszcze bardziej mnie rozgrzewa. Jest w tym facecie coś takiego, przez co nie potrafię pozostać spokojna, gdy oferuje mi choć odrobinę swojej uwagi.

Chociaż nie zawsze to pozytywne uczucia. Na przykład wtedy, gdy patrzy na mnie z obrzydzeniem.

— Nie — słyszę za sobą jego pełen napięcia głos, kiedy już zbieram się, by odejść. Spoglądam przez ramię. — Nie

mogłabyś zrobić nic, żeby wydawać mi się mniej atrakcyjna, Mackenzie.

Rozchyłam usta i przekrzywiam w zamyśleniu głowę. Wow.

Czy on właśnie powiedział mi komplement?

Harrison Hart, facet, który zdaje się nie zność mojego wyglądu, prawi mi komplementy?

— Mniej atrakcyjna niż już jestem, tak?

Marszczy brwi, jakby nie rozumiał, o co mi chodzi. Kiedy nie odpowiada, wzruszam ramionami i idę do wody, skąd entuzjastycznie macha do mnie Celia. Odpowiadam jej tym samym i uśmiecham się szeroko.

Moje niebiesko-żółte bikini jest mocno wycięte i sama absolutnie bym go nie kupiła, gdyby nie Penny, która wmówiła mi, że wyglądam w nim gorąco, a potem osobiście spakowała mi je do walizki. Oblewam się rumieńcem, gdy przypominam sobie, co jeszcze mi spakowała.

Znalazłam go dopiero dzisiaj, tak dobrze był ukryty między resztą rzeczy, których nie wyjęłam z walizki. Penny od lat uważa, że sama jestem winna swojej seksualnej frustracji, dlatego kupiła mi prezent, żebym, jak napisała na karteczce, „jeszcze lepiej bawiła się na wyjeździe”. Tak, spakowała mi... wibrator.

Na samą myśl, że jakimś cudem mógł zostać znaleziony przy rutynowej kontroli na lotnisku, robi mi się słabo.

Wprawdzie była przy nim karteczka, ale mimo wszystko...

Żadnych nielegalnych substancji, szefie. Tylko różowy wibrator.

Tak, jest różowy. Poważnie. Wiem nie tylko dlatego, że tak wygląda na pudełku, ale też dlatego, że sprawdziłam.

Nigdy nie miałam wibratora. Ja się nawet nie masturbuję.

Moje kontakty z mężczyznami i własne próby sprzed lat utwierdziły mnie w przekonaniu, że jestem oziębła i że po prostu nie mogę mieć orgazmu. Więc po co w ogóle próbować?

Wchodzę do wody, która jest przyjemnie chłodna, i dołączam do Celii leniwie kołyszącej się na falach na różowym dmuchanym flamingu. Nie wiem, jak ona utrzymuje równowagę, ale robi to bez trudu.

— Mieliliśmy grać w piłkę — przypominam.

Woda jest cudowna, chłodzi rozpalone ciało; dryfuję w niej bez trudu. Mój chwilowy spokój niszczy jednak rozbawione spojrzenie Celi, które posyła gdzieś nad moim ramieniem.

— Zaraz będziemy. Chyba w większym składzie, niż myślałam.

Odwracam się, by zobaczyć, że Harrison wchodzi do wody.

Mimowolnie rozchylam usta. Z tego, co mówiła Celia, on nie cierpi plaży i kąpieli w oceanie, dziwiła się, że w ogóle udało się go tu wyciągnąć. A teraz brnie ku nam ze zdeterminowaną miną?!

— Nie to miałem na myśli, Mackenzie — mówi z daleka.

Jezu. Nie chcę, żeby wszyscy dookoła wiedzieli, o czym rozmawialiśmy, więc trochę panikuję i robię pierwszą rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

Rzucam się do wody i odpływam krytym kraulem na głębinę.

W Lanai City właściwie nie ma klubów. Ewidentnie ta wyspa nie jest rajem dla gości spragnionych imprez.

Kiedy jednak Celia się na coś uprze, zawsze udaje jej się osiągnąć cel — i tak jest również tym razem. Wieczorem trafiamy więc do jednego z niewielu barów w mieście, gdzie puszczana jest też klubowa muzyka i znajduje się niewielki parkiet. Nie jest to może impreza z prawdziwego zdarzenia, ale na miejscu spotykamy całkiem sporo turystów.

Zajmujemy duży stolik niedaleko parkietu i zamawiamy kolorowe drinki z palemkami. Zamierzam znowu się upić, bo dobija mnie nie tylko dziwne napięcie między mną a Harrisonem, ale także fakt, że na tej samej imprezie znaleźli się moja mama i mój ojciec z Isabellą. Tylko rodzice Celi zostali w hotelu.

Wlewam w siebie dwa drinki, zanim Celia z Hudsonem porywają mnie na parkiet. Leci akurat jakiś house'owy letni kawatek, do którego zaczynam się bujać. Udaje mi się wmieszać w tłum i już po chwili brat z żoną znikają mi z oczu.

Czuję się tak dobrze, kiedy mogę po prostu przymknąć oczy, dać się ponieść muzyce przepływającej przez moje ciało i lekkiemu szumowi alkoholu w głowie. Beztroska sprawia, że tymczasowo zapominam o wszystkich swoich problemach i cieszę się tą chwilą. Jestem na wakacjach, piję drinki z palemką i tańczę w lokalnym barze do piosenek, do których biodra same się ruszają. Czy może być coś lepszego?

Tańczę z jakimś mężczyzną, potem z drugim. Trzeci próbuje zsunąć dłoń na mój tyłek, ale stanowczo podsuwam je z powrotem do góry, a on nie protestuje. Przynajmniej w tej chwili.

— Jesteś piękna! — wykrzykuje, próbując przekrzyczeć muzykę, i głupawo się uśmiecha.

Posyłam mu cierpki uśmiech. Może zamierza mnie poderwać, a może chce być miły, ale to nie działa.

Doskonale wiem, jak wyglądam, i chociaż jestem przyjemna dla oka, to na pewno nie piękna. Tani flirtiarz.

Facet pochyla się, próbując mnie pocałować, na co odwracam głowę, aż jego wargi ocierają się o mój policzek.

Blee.

— Nie! — Odsuwam go od siebie stanowczo, ale typ nie daje za wygraną. Ściska mnie mocniej w tali i szepcze:

— Daj spokój, kochanie. Dobrze się bawimy, nie?

Już mam mu wbić obcas w stopę, gdy obok nas pojawia się ktoś, kto bez trudu wyrywa mnie z objęć natręta. Odrzuca go do tyłu niczym szmacianą lalkę, a ja wpatruję się w to ze zdumieniem, nie wierząc, że Harrison pojawił się na parkiecie.

Ale to ewidentnie jego umięśniona klatka piersiowa, którą widziałam dzisiaj bez ubrań, a która teraz jest zastonięta materiałem koszuli. A gdy podnoszę wzrok, widzę jego ostry, nieogolony podbródek, zaciśnięte w wąską kreskę usta i oczy ciskające pioruny. Chyba jest wkurzony na typa, który próbował mnie pocałować, ale na mnie też.

Tamten usiłuje coś tłumaczyć, ale Harrison tylko ponownie go odpycha, w dodatku jedną ręką, bo drugą już otacza mnie w tali. Bez słowa przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno ramionami, po czym porusza w rytm muzyki biodrami, niemo każąc mi dotrzymywać sobie tempa.

Moje serce wali jak szalone. Ręce mi się pocą i mam wrażenie, że śnię. Czy Harrison naprawdę przyszedł do mnie na parkiet?!

— Myślałam, że nie tańczysz — mówię nieco zbyt głośno.

Posyła mi pobłażliwe spojrzenie.

— Nie lubię tańczyć, ale to nie znaczy, że nie umiem — warczy, po czym obraca mnie w swoich ramionach.

W połowie obrotu chwytą mnie za biodra i z powrotem do siebie przyciąga, aż opieram się plecami o jego tors.

Ramiona Harrisona znów oplatają mnie w tali, czuję jego gorący oddech na karku i dłonie na moim nie do końca

płaskim brzuchu. Niemalże dławię się powietrzem, kiedy jeden z kciuków zaczyna zataczać niewielkie kółka na mojej skórze — wprowadzie wciąż przykrytej materiałem sukienki, ale to niczego nie zmienia. Przechodzi mnie dreszcz i chyba wstrzymuję na chwilę oddech.

Harrison tańczy tak, jak robi wszystko inne: płynnie, zdecydowanie, z wdziękiem i pewnością siebie. To całkowicie upajająca mieszanka.

Chryste, o czym ja właściwie myślę?!

Moje ciało znowu robi się ciężkie, nadwrażliwe, zupełnie jak wtedy, gdy smarował mnie olejkiem. Kciuk mężczyzny rysuje coraz szersze kręgi na moim brzuchu, prawie czuję jego usta na włosach. Staram się opanować urywany oddech, ale o ile mogę udawać, że to nie robi na mnie wrażenia, o tyle nie jestem w stanie zignorować kumulującego się między moimi udami podniecenia.

Właściwie mogłam przewidzieć, że to się tak skończy, dochodzę do wniosku, kołyszając biodrami tuż przy biodrach Harrisona. Zawsze z jakiegoś powodu ciągnęło mnie do facetów, którzy nie mieli o mnie dobrego zdania. Psychiatra pewnie powiedziałby, że to ma jakiś związek z moim wiecznie nieobecny ojcem, ale wolę nie pytać go o zdanie.

Tym bardziej jednak to, co w tej chwili robię, jest po prostu głupie. Komplikuję tym sytuację nie tylko sobie, ale także Celi i Hudsonowi. Muszę dobrze z nimi żyć przez kolejne lata, a jak to będzie możliwe, jeśli zepsuję sobie relację z Harrisonem?

Piszczę, kiedy on obraca mnie znowu, aż ląduję przodem do niego. Instynktownie kładę mu dłoń na piersi i zerkam w górę, na pochyloną nade mną surową twarz. Przeszywa mnie dreszcz; mój wzrok krzyżuje się z jego ciemnym, gorącym spojrzeniem i już nie mogę się odwrócić. Oblizuję

spierzchnięte usta, a oczy Harrisona natychmiast kierują się właśnie na nie.

Krew szumi mi w uszach tak mocno, że ledwie słyszę muzykę. Nie obchodzi mnie już, kto nas obserwuje i czy ktoś z moich bliskich zobaczy tę scenę. Liczy się tylko Harrison, jego niski pomruk, jego błyszczące oczy i oplatające mnie ciasno ramiona. Wydaje mi się, że nigdy w życiu nie byłam tak podniecona, a ja tylko z nim tańczę!

W pewnej chwili Harrison zatrzymuje się, po czym rusza przez tłum, ciągnąc mnie za sobą. Nie próbuję protestować, tylko chwytam mocno jego dłoń i pozwalam się prowadzić obok tańczących, którzy rozstępują się, gdy tylko Harrison się do nich zbliża. Wcale mnie to nie dziwi, bo jest w nim jakiś autorytet, który mnie też pewnie kazałby się odsunąć, gdybym stała mu na drodze.

Nie wiem, dokąd idziemy, i mam zbyt ściśnięte gardło, by o to zapytać. Harrison prowadzi mnie obok parkietu i wzdłuż baru do wyjścia z lokalu, nie odzywając się ani słowem; nie wydaje mi się to dziwne, bo jest tu zbyt głośno, by rozmawiać. Wreszcie wychodzimy na świeże powietrze. Na zewnątrz nadal jest gorąco i wilgotno mimo późnej godziny i braku słońca. Dookoła jest pusto, a większość dźwięków dochodzi ze środka lokalu. Harrison łapie mnie za ramię i ciągnie pod najbliższą ścianę, po czym pochyła się nade mną.

Serce zaraz chyba wyskoczy mi z piersi. Patrząc na niego do góry i nie przychodzi mi do głowy żaden zabawny komentarz, jakimi często pokrywam zdenerwowanie. Po prostu się na niego gapię, a on gapi się na mnie.

— Wyjaśnijmy sobie jedno — mówi Harrison zachrypniętym głosem, opierając ramię o ścianę tuż obok mojej głowy. —

Nie wiem, dlaczego to powiedziałaś, ale to bzdura.

— Co? — Marszczę brwi.

— „Mniej atrakcyjna niż już jestem” — powtarza po mnie.

— Co to w ogóle miało znaczyć?

Wzruszam ramionami, bo nie zamierzam z nim o tym rozmawiać. Harrison chyba jednak nie odpuści. Teraz mu się zebrało na gadanie?!

— Jesteś atrakcyjna, Mackenzie — przekonuje mnie, kiedy nie odpowiadam. — Niezależnie co na siebie włożysz, co zrobisz z włosami czy jaki będziesz mieć makijaż. Czy to jasne?

Rozchyłam w zdziwieniu usta, ale kiwam głową. Harrison wygląda jednak tak, jakby jeszcze nie skończył.

— Jesteś najbardziej atrakcyjną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem — dodaje szorstko. — Rozumiesz?

Mrużę ze złością oczy. Wiele można mi wmówić, ale nie jestem idiotką. Wiem, kiedy facet próbuje mnie bajerować, i nie dam sobie wciskać głodnych kawałków.

Odpycham Harrisona, który odruchowo robi krok w tył, chociaż z pewnością jest wystarczająco silny, by w ogóle nie zareagować na mój ruch. W jego oczach widzę niezrozumienie, mężczyzna patrzy na mnie z pretensją.

— Mackenzie, co...

— Jeśli masz się odzywać tylko po to, żeby mnie okłamywać, to sobie daruj! — przerywam mu zezłoszczona.

— Nie chcę tego słuchać!

Harrison wydaje się zaskoczony, ale mam to gdzieś. Facet, który patrzył na mnie jak na robaka, gdy się poznaliśmy, będzie mi wciskał takie kity? Chyba oszalał, jeśli sądzi, że w to uwierzę!

— Ja wcale nie...

— Po prostu sobie daruj — znowu wchodzę mu w słowo. —

Daj mi spokój. I nie dotykaj mnie więcej!

Odwracam się, po czym idę z powrotem do baru, chociaż tak naprawdę mam ochotę wrócić do hotelu i zaszyć się w swoim domku. Czuję się żałośnie. I zupełnie nie rozumiem Harrisona Harta.

Może niepotrzebnie na niego nawrzeszczałam?

Rozdział 13

Mackenzie

Nie mogę usnąć.

Przewracam się z boku na bok, męcząc się i patrząc w sufit, aż w końcu się poddam. Z westchnieniem sięgam po komórkę i spoglądam na zegarek.

Jest po północy. Niby nie tak późno, ale postanowiłam wrócić wcześniej z imprezy, na której i tak nie bawiłam się dobrze po zejściu z Harrisonem, i prawie od razu położyłam się spać. Udało mi się nawet na chwilę zasnąć, ale wtedy pojawił się ten sen, obudziłam się i teraz już mogłabym chodzić po ścianach.

Harrison sam dostarcza mi materiału, który potem pojawia się w moich snach. Tym razem wiem już, jak to jest tkwić w jego ramionach, opierać się o jego klatkę piersiową, czuć jego dłonie na brzuchu i biodrach. Wiem to wszystko i wcale mi to nie pomaga, bo kiedy się budzę, jestem podniecona i nie potrafię się uspokoić.

Nareszcie włączam latarkę w telefonie, żeby nie zapalać górnego światła, i na dnie walizki odnajduję prezent od Penny, po czym wracam z nim do łóżka.

Różowy, sporych rozmiarów wibrator dobrze leży w mojej dłoni. Kładę się z powrotem na plecach i zamykam oczy, wyobrażając sobie, że jest ze mną mężczyzna. Ale nie byle jaki mężczyzna.

No dobra, wyobrażam sobie Harrisona.

Podniecenie napływa do mnie falą, kiedy przypominam sobie, jak mnie obejmował w trakcie tańca. Jak odsunął tego faceta, który próbował mnie pocałować, jakby tamten był bezwolną kukłą. Jak obracał mnie do siebie przodem albo tyłem, dokładnie tak, jak miał ochotę. Przypominam sobie jego miękkie pomruki, od których natychmiast robi mi się gorąco.

Zaczynam się pieścić, najpierw palcami, a później powoli wsuwam w siebie wibrator. Jęczę, wyobrażam sobie, że to nie jest kawałek gumy, tylko żywy członek konkretnego mężczyzny, po czym włączam wibracje.

Och, jak przyjemnie. Och, jak mi dobrze. Poruszam wibratorem, masturbując się powoli, wzdycham i wyobrażam sobie, że to Harrison się mną zajmuje. Wsuwa się we mnie, szepcze mi do ucha sprośne słowa, zupełnie jak w moim śnie. Czuję rosnące napięcie u zbiegu ud, które błaga o uwolnienie. Chcę orgazmu tak bardzo, że zaraz zacznę skamleć.

I właśnie wtedy słyszę pukanie do drzwi domku.

Zamieram, otwieram oczy i przez moment wpatruję się w ciemność, zastanawiając się, czy jeśli zignoruję pukanie, ten ktoś sobie pójdzie. Naprawdę nie chcę przerywać.

Wprawdzie nadal wątpię, żeby udało mi się doprowadzić do finału, ale chyba jeszcze nigdy nie byłam tak blisko.

Wystarczyło samo wspomnienie o Harrisonie, żebym zaszła dalej niż kiedykolwiek. To nie wróży dla mnie nic dobrego.

Pukanie się powtarza. Dochodzę do wniosku, że muszę spławić tego kogoś, a potem wrócić do zabawy. Wysuwam z siebie wibrator z jękiem, wyłączam go, rzucam na łóżko i staję na miękkich nogach, po czym idę do salonu. Uderzam się w stopę, więc przeklinam pod nosem i włączam światło, bo nie mam ochoty zabić się po drodze.

Otwieram w końcu drzwi i zamieram. W progu stoi Harrison.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie bez słowa, aż Harrison mruży oczy i zaciska mocno szczęki. Cały czas próbuję unormować oddech i czuję gorąco na policzkach, ale wątpię, żeby o to mu chodziło.

— Ktoś u ciebie jest, Mackenzie? — pyta w końcu.

Rozchyłam w zdziwieniu usta. Co takiego?

— Skąd ci to przyszło do głowy? — warczę.

Harrison bez słowa napiera na drzwi i wciska mi się do domku, zanim zdążę choćby krzyknąć, żeby się na to nie ważył. Piszczę, gdy je za sobą zamyka, po czym rusza w głąb salonu. Chwytam go za ramię i próbuję powstrzymać.

— Harrison, co ci odbiło?! Zatrzymaj się w tej chwili!

Staje gwałtownie w miejscu i odwraca się do mnie. Obrzuca mnie wściekłym spojrzeniem.

— Nie jesteś sama, prawda?

Co za bzdury!

Dopiero po chwili to do mnie dociera. Rozczochrane włosy, przyspieszony oddech, czerwone policzki i zapewne błyszczące oczy. Harrison wie, co przed chwilą robiłam, i sądzi, że robiłam to z jakimś mężczyzną. Dlatego się wkurzył i dlatego wlaż mi do domku.

A gdybym była z kimś, to co, wyrzuciłby go?! Co ten facet odwala?

— To nie twoja sprawa — odpowiadam, bo prędzej wymyślę sobie kochanka, niż przyznam mu się, że próbowałam się zaspokoić wibratorem, myśląc o nim.

Harrison wyrывa mi się i rusza dalej. Przyspieszam kroku i zastawiam mu drogę, zanim dojdzie do parawanu oddzielającego salon od sypialni.

— Przysięgamy, Mackenzie, nie ręcę za siebie, jeśli znajdę tam jakiegoś palanta — cedzi przez zęby. — Rozumiesz?

— Nie, nie rozumiem! — wykrzykuję spanikowana. — Nie chcę, żebyś zaglądał mi do sypialni. Nie masz do tego żadnego prawa!

Harrison chwyta mnie za nadgarstki i obrzuca intensywnym spojrzeniem. Drżę pod nim, a moje policzki robią się jeszcze bardziej rozpalone.

— Jesteś podniecona — stwierdza. — Nie jestem ślepy, prawda? Naprawdę jesteś podniecona.

Słyszę w jego głosie coś jakby... oskarżenie? Żal? Zupełnie jakby uważał, że to przez jakiegoś faceta, i jakby mu się to nie podobało. Na myśl o tym moje serce zaczyna bić w jeszcze dzikszym rytmie.

To kompletne szaleństwo!

— Słuchaj, to naprawdę nie jest twoja...

Ale Harrison już mnie omija i wchodzi za przepierzenie, gdzie znajduje się moja część sypialna. Uwieszam się jego ramienia, zdeterminowana, by nie zobaczyć zostawionego na łóżku wibratora, a kiedy nic to nie daje, wyprzedzam go, żeby dotrzeć tam pierwsza.

Czuję jego mocne ramiona obejmujące moją talię i po chwili oboje wpadamy za parawan. Nogi mi się plączą, tracę równowagę i z krzykiem leczę na łóżko, a Harrison, który nadal mnie trzyma, upada za mną.

Zderzenie z materacem jest miękkie, ale przygnięcie męskim ciałem już niekoniecznie. Natychmiast zaczynam wierzcąc, próbując się spod niego wydostać, ale osiągam jedynie tyle, że udaje mi się do Harrisona odwrócić.

— Złaż ze mnie, kłodo drewna!

Zamieram, kiedy orientuję się, że uwaga Harrisona nie jest skupiona na mnie. Przygląda się leżącemu nieopodal nas na pościeli wibratorowi, który ewidentnie wygląda na niedawno używany.

Kurwa.

Potem jego spojrzenie przenosi się powoli na moją twarz, a ja zastygam w bezruchu. Stwierdzam nagle, że po tym, jak obróciłam się do niego przodem, jego kolano znajduje się między moimi udami, a jego udo naciska na moją cipkę.

Ostoniętą jedynie cienkim materiałem pizamy, w której śpię, i nadwrażliwą po niedawnych pieśczołach.

— Czyli byłaś tu sama — zgaduje, a mnie robi się głupio.

Ale to raczej jemu powinno być głupio, skoro zrobił mi całkowicie bezpodstawną awanturę o wibrator, chociaż nawet nie ma do tego prawa!

— Tak, byłam sama — pryham. — A ty nie powinieneś się wtrącać, zwłaszcza że nie miałam ochoty ci o tym mówić, jaskiniowcu! Po co w ogóle tu przyszedłeś?!

Przez chwilę Harrison wygląda na nieco rozproszonego, ale potem mruga i jego wzrok znowu się na mnie ogniskuje.

— Po to — odpowiada, po czym nachyla się, żeby mnie pocałować.

Właściwie powinnam być wkurzona, no bo halo, świadoma zgoda i tak dalej, ale jestem zbyt oszołomiona i podekscytowana, by o tym pamiętać. Zwłaszcza że to nie jest leniwy, powolny pocałunek, jakich spodziewałabym się po Harrisonie (nie żebym o tym myślała). Skąd, to raczej natarcie wojsk zmuszające do kapitulacji. Harrison zachowuje się tak, jakby brał, co do niego należy, i nie zostawiał jeńców.

Całuje mnie od razu głęboko, wsuwając język do moich ust ostro i namiętnie. Splatam swój język z jego, zarzucam mu

ręce na kark i przyciągam do siebie bliżej, a Harrison bez wahania korzysta z tego zaproszenia. Jego dłoń obejmuje mój policzek pewnym siebie gestem posiadacza; podnosi nieco moją głowę, a ja mu na to pozwalam, dając do siebie lepszy dostęp. Usta ma miękkie, gorące i natarczywe, zupełnie nie takie, jak się spodziewałam. Całowanie go to słodka tortura!

Krew uderza mi do głowy, a chwilowo przytłumione pożądanie eksploduje we mnie z podwójną mocą. Ramię Harrisona oplata się wokół mojej talii,

mężczyzna przyspila mnie do materaca biodrami. Dreszcz przebiega przez moje ciało, a napięcie kumuluje się u zbiegu ud, gdy orientuję się, jak bardzo Harrison jest podniecony.

Zsuwa wargi w dół, uwalniając moje usta, aż mogę spazmatycznie wciągnąć powietrze. Jego gorączkowe pocałunki znaczą ścieżkę przez mój podbródek i szyję aż do obojczyka, gdzie Harrison natyka się na dekolt koszulki.

Wyprężam się w jego stronę, błagając o więcej...

I znowu słyszę pukanie do drzwi.

Zastygam, a Harrison unosi głowę, rozglądając się dookoła półprzytomnym wzrokiem. W oczach ma ogień, który stopniowo gaśnie, gdy z zewnątrz dobiega mnie radosny głos Celi.

— Otwórz, Mac, wiem, że nie śpisz, widzę światło! Na pewno się nudzisz, więc chodź zagrać z nami w brydża!

Kurwa! Po prostu w to nie wierzę.

Wpatruję się bez słowa w Harrisona, który też wydaje się zdezorientowany. Poza tym chyba jest zły.

Dlatego, że ktoś nam przerwał?

Dopiero wtedy wylewa się na mnie kubek zimnej wody. Czy ja całkiem

oszalałam?!

Mam

jakieś

skłonności

autodestrukcyjne?! Ten facet mnie nawet nie lubi! Pewnie

zobaczył we mnie jakąś słabość i teraz próbuje ją wykorzystać, żeby zaliczyć. To wszystko!

Naprawdę mocno muszę sobie tłumaczyć, że tylko o to chodzi, bo w głębi duszy wcale w to nie wierzę.

Odpycham Harrisona, kładąc mu dłonie na klatce piersiowej, a on bez słowa wstaje z łóżka. Przeczesuje włosy palcami w pełnym frustracji geście, podczas gdy ja umykam z sypialni, błagając go w myślach, żeby się schował, kiedy będę rozmawiała z jego siostrą.

Może powinnam włożyć na głowę jakiś worek, żeby ona też nie domyśliła się, co robiłam jeszcze przed chwilą?

— Mac, hej — wita się Celia, kiedy wreszcie jej otwieram.

Patrzy na mnie z zaniepokojeniem. — Wszystko w porządku?

— Tak, jest cudownie — odpowiadam histerycznie. —

Mówiłaś coś o brydżu?

— Tak, chcielibyśmy zagrać, Hudson mówił, że umiesz. —

Celia marszczy brwi. — Na pewno wszystko w porządku?

Nie jesteś chora albo coś?

Parskam słabym śmiechem.

— Miłabym złapać przeziębienie na Hawajach? Nie, nie ma mowy. — Macham lekceważąco ręką. — Nic mi nie jest, naprawdę.

— To dobrze. — Celia się uśmiecha. — Może nie zjadłaś wystarczająco dużo na kolację. Mówiłam ci, żebyś spróbowała tych ostryg, były pyszne!

Jedli je wszyscy poza Harrisonem i mną, bo podczas kolacji niewiele mogłam przetknąć, a Harrison najwyraźniej nie uznaje spożywania tego, co pochodzi z morza. Ciekawe, czy podobny stosunek ma wobec filetów rybnych.

Nie żebym zamierzała go o to pytać.

— Może następnym razem — odpowiadam, przytrzymując drzwi, aby stojąca w progu Celia nie zobaczyła zbyt wiele.

— A w karty chętnie zagram, jasne. Dasz mi kilka minut?

Ubiorę się i do was wpadnę.

Zgodziłabym się nawet na przebiegnięcie po rozżarzonych węglach, byleby ją spławić, ale Celia nie ma o tym pojęcia, więc tylko uśmiecha się radośnie i odchodzi. Z

westchnieniem zatraskuję drzwi.

Gdy się odwracam, stwierdzam, że Harrison stoi obok, pod drzwiami do łazienki, w miejscu, z którego nie widać go od wejścia. Czuję odrobinę ulgi. Przynajmniej tyle.

— Idę na brydża — mówię lekko tylko drżącym głosem. —

Potem możesz mi wyjaśnić, co to właściwie było i dlaczego odwiedzasz mnie w domku o tak późnej godzinie. Teraz powinieneś już sobie pójść.

Harrison kiwa głową i bez słowa rusza do wyjścia. Ale chociaż nic nie mówi, niemalże staję w płomieniach, bo obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakbym była całkiem naga. Aż muszę sprawdzić, czy dół od piżamy nadal trzyma mi się na tytku.

Co za facet!

Ledwie wychodzi, padam na kanapę w salonie, bo nogi mam jak z galarety. Zawsze wydawało mi się, że to tylko takie wyrażenie, które nie ma odzwierciedlenia w prawdziwym życiu, ale cholera jasna, właśnie się dowiedziałam, że jednak ma!

Opuszkami palców dotykam ust, które nadal palą od pocałunków Harrisona. Co mu odwaliło? Przecież ten człowiek mnie nie lubi! Większość jego spojrzeń to te, które rzuca się robakowi chodzącemu po butach. No dobrze, miał

też parę dobrych momentów — jak wtedy, gdy zbliżył się do mnie na szczyście Lanaihale — ale to wciąż za mało, żeby usprawiedliwić takie zachowanie.

Wstaję w końcu i idę do łazienki, gdzie ochlapuję twarz chłodną wodą, żeby przestać wyglądać, jakbym przed chwilą przeżyła gorący numer pod ścianą. Potem na wszelki wypadek chowam jeszcze wibrator — chociaż mleko już się rozlało, a mnie jest głupio na samą myśl, że Harrison go zobaczył — po czym wkładam szlafroczek pasujący do piżamy, którą nadal mam na sobie, wychodzę z domku i ruszam ciemną ścieżką w kierunku tego zajmowanego przez mojego brata i jego żonę.

Pukam do drzwi, a kiedy Celia krzyczy, żebym weszła, otwieram je i zastygam w bezruchu.

Przy stoliku kawowym ustawionym między dwiema sofami siedzą Celia, Hudson i... Harrison.

— No nareszcie, ale się guzdrałaś — mamrocze mój brat. —

Gramy?

Oboje też są w piżamach, dzięki czemu nie czuję się niezręcznie w swoim stroju, zwłaszcza że Harrison jest ubrany w dresy i koszulkę. Podchodzę bliżej i stwierdzam, że jedyne wolne miejsce zostało dla mnie na sofie obok niego.

No dobrze. Dam radę, prawda?

Zaciskam zęby i siadam, po czym z trudem uśmiecham się do Harrisona.

— Ty też grasz?

Mężczyzna milczy, wpatrując się we mnie natarczywie, więc po chwili odpowiada mi Celia.

— Kiedyś grywaliśmy z rodzicami — wyjaśnia, a ja przesuwam na nią spojrzenie. — Spotkałam Harry'ego, kiedy wracałam do siebie, i okazało się, że on też nie może spać. Więc mamy komplet i nie muszę szukać nikogo innego. Super, nie?

Tak. Po prostu świetnie.

Naturalnie dzielimy się w pary: Celia i Hudson kontra Harrison i ja. Jeszcze lepiej, na pewno mamy z nimi ogromne szanse — małżeństwo kontra dwójka nieznających się ludzi, gdzie jedno jest patologicznym gburem, a drugie w ogóle go nie rozumie.

Dzięki temu zmieniamy miejsca, tak żebym mogła siedzieć naprzeciwko Harrisona, co jednak nie przynosi mi spodziewanej ulgi, bo teraz on może wlepić we mnie to swoje gorące spojrzenie, kiedy tylko ma ochotę. Czyli cały czas. Powinnam chyba zacząć się martwić, czy on w ogóle wie, jakie karty ma na ręce.

Zaczynamy grać i równocześnie rozmawiamy o jutrzejszej wyprawie, którą nie mogę się doczekać. Państwo Hart wynajęli helikopter z przewodnikiem i mamy zobaczyć Hawaje z lotu ptaka, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, to możliwe, że nawet gdzieś wylądujemy, na przykład w okolicy jakiejś niedostępnej z lądu, pustej, pięknej plaży.

— Włóżcie kostiumy kąpielowe i zabierzcie olejki do opalania — poleca Hudson z uśmiechem, zgarniając lewę i wistując. — Na pewno się przydadzą.

— Zwłaszcza Harry'emu — dodaje Celia, po czym parska śmiechem.

Mój partner do gry nie odpowiada, tylko ze zmarszczonymi brwiami śledzi rozgrywkę. Ciekawi mnie, czy w ogóle usłyszał przytyk siostry.

— W prognozie pogody mówili coś o huraganie — mówi po chwili, a Celia i mój brat posyłają mu zaskoczone spojrzenia.

Chyba nie spodziewali się, że odpowie.

Wygrywamy kolejną lewę, aż uśmiecham się szeroko, ale Harrison jest skoncentrowany i całkowicie niewzruszony.

Chyba traktuje tę grę dużo poważniej niż my wszyscy razem wzięci. Może jednak on jako partner do brydża to nie taki najgorszy wybór.

— Przewodnik i równocześnie pilot, ten, który ma z nami lecieć, twierdzi, że przejdzie bokiem — odpowiada Hudson beztrąsko. — A to tubylec, z pewnością

wie, co mówi. Nic nam nie będzie, a gdyby pogoda się pogorszyła, najwyżej zawrócimy na Lanai. Możecie na wszelki wypadek wziąć też kurtki przeciwdeszczowe.

Mruga do nas, a ja przewracam oczami. Jasne, bo przecież pierwsze, co spakowałam do walizki przed podróżą na Hawaje, to kurtka przeciwdeszczowa!

Wygrywamy z Harrisonem rozdanie, co niezwykle mnie zaskakuje.

— Powinniśmy was uprzedzić — mówi Celia ponuro. — Mój brat występował w młodzieżowych mistrzostwach świata w brydżu poniżej dwudziestego pierwszego roku życia.

Dawno, ale nadal się na tym zna.

Ja i Hudson spoglądamy na niego z niedowierzaniem, ale Harrison nie odwzajemnia spojrzenia. Jest zbyt zajęty profesjonalnym tasowaniem kart.

Mogłabym jednak przysiąc, że na jego ustach pojawia się cień pełnego zadowolenia uśmiešku.

Rozdział 14

Mackenzie

Rano okazuje się, że mamy problem.

Jest on związany z wyjątkowo kiepskim samopoczuciem wszystkich członków grupy poza Harrisonem i mną. Celia z Hudsonem rzygają jak koty, podobnie, ku mojej paskudnej radości, Isabella, a moja mama jest na tyle słaba, że nie chce nawet wyjść z domku. Państwo Hart i mój tata również źle się czują i chyba wszyscy mają biegunkę (choć niekoniecznie chcą się do tego przyznać).

Biegam od domku do domku z wszystkimi lekami, jakie znalazłam we własnych zapasach (bo jestem jedną z tych turystek, które na wakacje wybierają się zawsze z pełną apteczką) i jakie udało mi się zdobyć w hotelu. Przy okazji próbuję dociec, jak to się stało, że tylko Harrison i ja czujemy się dobrze.

— Ostrygi — jęczy Celia, pòtłęcząc na sofie w salonie, podczas gdy mój brat okupuje łazienkę. — To na pewno przez nie. Tylko wy dwoje ich nie jedliście.

Muszę przyznać jej rację. To rzeczywiście może być sprawka tych podstępnych ostryg.

Zapominam o własnym śniadaniu — w otoczeniu wymiotujących ludzi niekoniecznie chce mi się jeść — i o planach na dzisiaj, ale o tym wkròtce przypomina mi Celia.

Patrzy na mnie zbolatym wzrokiem i dodaje:

— Leć na wycieczkę po Hawajach, Mac.

Kręcę głowę, poprawiając zimny okład na jej czole. Hudson jęczy z fotela, w którym z trudem siedzi.

— Celia ma rację, Mac. Nie ma sensu, żebyś traciła tu czas, zajmując się nami.

— Nie tracę czasu! — protestuję stanowczo. —

Potrzebujecie pomocy i ja zamierzam wam jej udzielić. Na wycieczkę możemy się wybrać, kiedy poczujecie się lepiej.

— Pilot miał wolny tylko ten jeden dzień — tłumaczy Celia.

— I ma zapłacone z gòry. Szkoda, żeby te pieniądze się zmarnowały.

— Mam gdzieś te pieniądze...

— Mackenzie ma rację — słyszę dobiegający od wejścia do domku znajomy męski głos. Zastygam na chwilę, orientując się, że do środka wszedł Harrison. — Nie możemy was zostawić.

No tak, on też dobrze się czuje, więc zaczynam rozumieć, co oznaczałaby ta wycieczka. Ja i Harrison jedynie z pilotem jako przyzwoitką? Nie ma mowy!

— Dajcie spokòj. — Hudson macha ręką, a Harrison podchodzi bliżej i staje obok mnie. Nie patrzę na niego, ale czuję jego obecność tak blisko, że gdybym się odrobinę przechyliła, prawdopodobnie dotknęłabym go ramieniem. —

Nie umieramy i damy sobie radę. Pieniądze i tak przepadną, więc równie dobrze możecie zrobić użytek z zaplanowanej wycieczki.

Gdy kątem oka spoglądam na Harrisona, widzę, jak zaciska zęby.

— Chyba się nie boisz, że będziesz się kłócić z moją siostrą?

— Hudson spogląda na Harrisona podejrzliwie. — Jeśli zamierzasz ją wyrzucić z samolotu...

— Odbiło ci? — krzyczę. — Nic głupszego już nie mogłeś wymyślić?!

Hudson uśmiecha się do mnie przeprasząco.

— To miał być kiepski żart.

— Rzeczywiście był kiepski — mamroczę, a w tym samym momencie Celia mówi:

— Mac będzie w towarzystwie Harry'ego całkowicie bezpieczna. — Posyła bratu porozumiewawcze spojrzenie, które niezbyt rozumiem, ale dochodzę do wniosku, że widocznie nie muszę. — Mac, proszę. Nikt z nas nie ma ochoty, żebyście oglądali nas w takim stanie. Jesteś kochana, że tak się troszczysz, ale nie przejmuj się już, poradzimy sobie. Zróbcie za nas coś fajnego, żeby potem pokazać nam zdjęcia.

Posyła mi błagalne spojrzenie, pod wpływem którego zaczynam się łamać. Ku mojemu zdziwieniu pierwszy odpowiada Harrison.

— No dobra — decyduje, po czym odwraca się, żeby wyjść.

— Przygotuj się, Mac, musimy wyjechać w ciągu pół godziny.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, ale nikt nie chce przyjść mi z pomocą. Wygląda na to, że decyzja została podjęta za mnie.

Ostatecznie maszeruję więc do mojego domku, żeby się przyszykować. Wkładam koszulkę na ramiączkach, szorty i adidas, a pod ciuchy bikini (w końcu słyszałam coś o plaży), i pakuję do niewielkiego plecaka wszystko, co może mi być potrzebne po drodze. Ręcznik, parę batoników, wodę, olejek do opalania, na wszelki wypadek także kurtkę, gdyby jakimś cudem zaczęło padać i temperatura się obniżyła. Biorę też aparat i przenośną lornetkę, bo może mi się przyda, kiedy będziemy podziwiać wyspy z lotu ptaka.

Choć i tak mam wątpliwości, czy będę w stanie dobrze się bawić na tej wycieczce, wiedząc, w jakim stanie są moi bliscy.

Związuję włosy w luźny francuski warkocz i ruszam do wyjścia. Obchodzę po kolei domki Hudsona, mamy i taty, żeby ostatni raz upewnić się, że niczego im nie trzeba, po czym spotykam się z Harrisonem obok głównego wejścia do hotelu.

— Może powinniśmy wezwać do nich lekarza — proponuję mu.

Harrison jak zwykle wygląda świetnie, choć sztywno, jakby ktoś przypiął mu do pleców deskę. Ma na sobie dresy i koszulkę, a na nogach adidas, a ja zaczynam się zastanawiać, czy jemu nigdy nie jest gorąco. Wygląda tak, jakbyśmy wcale nie znajdowali się w tropikach.

Również ma ze sobą plecak, czego się po nim nie spodziewałam. Nie sądziłam, że on w ogóle nosi plecaki.

— Już to załatwiłem — odpowiada, po czym wskazuje mi miejsce na siedzeniu pasażera wynajętego przez niego džipa. Zajmuję je posłusznie. — Hotel kogoś wezwie.

Zaczęli to traktować serio, kiedy zagroziłem im pozwem.

—

Zagroziłeś im pozwem?! — powtarzam z niedowierzaniem.

Harrison wzrusza obojętnie ramionami, po czym wsiada na miejsce kierowcy i rusza spod hotelu. Dobrze, że przynajmniej on wie, dokąd jechać.

— Oczywiście — potwierdza. — To ich wina, że nasi bliscy chorują.

To prawda, ale beznamiętny sposób, w jaki to mówi, wcale mi się nie podoba. Nie komentuję tego jednak, bo nie mam ochoty na kłótnie.

Przypominam sobie za to, co zaszło między nami w nocy, i czuję, że się czerwienię. Odwracam wzrok do okna i spoglądam na znajome już płaskie krajobrazy przemykające mi przed oczami w drodze do Lanai City.

— Jedziemy do stolicy?

— Tak — odpowiada zdawkowo. — Musimy wystartować z lotniska.

No tak. To ma sens. Aż zaczynam się czuć jak idiotka, że zapytałam.

Zapada między nami cisza. Harrison milczy, radio znowu jest wyłączone. Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie, jak skończyła się ostatnia podróż, którą w ten sposób odbywaliśmy. Jeśli mam myśleć o zbirach, przez których byłam cała we krwi, to wolę chyba porozmawiać o naszym pocałunku.

— Czy możesz mi wyjaśnić... — No proszę, już zaczynam się jąkać. — To... w nocy? Dlaczego... do mnie przyszedłeś?

Harrison zerka na mnie kątem oka, po czym wraca do obserwowania drogi przed nami.

— Wiesz dlaczego.

— Nie lubię zgadywanek. — Krzywię się. — Nie możemy o tym normalnie pogadać? Wiem, że potrafisz.

Mój towarzysz milczy przez chwilę; widzę, jak drga mu mięsień w policzku. Wyraźnie nie czuje się z tym komfortowo, ale naciskam, bo nie mam pojęcia, jak inaczej mogłabym poradzić sobie z mętlikiem w głowie.

— Przyszedłem, bo zamierzałem wyjaśnić ten epizod w barze — tłumaczy w końcu. — A pocałowałem cię, bo tego chciałem.

Te słowa działają na mnie tak, jakby ktoś podłączył mnie do prądu. Spoglądam na niego z bijącym mocno sercem.

— Dlaczego?

Harrison marszczy brwi.

— Czy zawsze szukasz racjonalnego wyjaśnienia dla tego, co czujesz?

— A ty nie? — dziwię się. — Wydajesz się zdecydowanie bardziej racjonalny ode mnie. Przynajmniej wtedy, kiedy nie chodzi...

— ...o ciebie — kończy za mnie.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie chciałam kończyć tego zdania w taki sposób, ale może on ma rację?

Harrison wzdycha i tym razem to on odzywa się pierwszy po dłuższej chwili milczenia.

— Wtedy w barze mówiłem szczerze. Nie okłamałem cię, Mackenzie.
Przypominam sobie moją reakcję na tamte komplementy i robi mi się wstyd.
Przewracam oczami.

— Nie musisz mi poprawiać humoru.

— Nie robię tego — protestuje. — Mówię prawdę. Chcę, żeby to było jasne.

Wygląda na szczerego. I jest poważny, nawet jeśli nadal patrzy na drogę, a nie na mnie. Cóż, chyba nie mogę mieć do niego pretensji o bycie odpowiedzialnym kierowcą.

— Jakoś trudno mi w to uwierzyć — mamroczę.

— Dlaczego?

Zaczynam rozumieć, jak bardzo irytujące mogło być moje pytanie chwilę temu. Ponieważ jednak jestem dorosłą osobą, zamierzam w taki właśnie sposób odpowiedzieć.

— Bo wiem, jak wyglądam. — Wskazuję na siebie. — W porządku, ale na pewno nie aż tak.

Harrison wygląda na niezadowolonego.

— Ktoś ci nakładł do głowy głupot — informuje mnie. —

Powinnaś bardziej w siebie wierzyć, Mackenzie.

Łatwo powiedzieć.

— Po prostu nie musisz...

— Jesteś piękna — przerywa mi, aż w zdziwieniu rozchylam usta. — Nie mam żadnego powodu, żeby cię okłamywać, więc po prostu przyjmij do wiadomości, że to prawda.

Ktokolwiek powiedział ci inaczej, nie miał racji.

Wow.

Harrison skutecznie zamyka mi tymi słowami usta. Od razu przechodzi mi chęć do dalszej kłótni, bo on brzmi na tak pewnego siebie, jakby naprawdę tak uważał. Nie zmienia to mojego niedowierzania, ale pozostaje faktem.

— Okej — mówię powoli, gdy wjeżdżamy na teren lotniska.

— Po prostu... zachowywałeś się tak, że trudno mi było w to uwierzyć. Jakby coś ci się we mnie... nie podobało.

Marszczy czoło, po czym zatrzymuje samochód na parkingu i na moment się do mnie odwraca. Czuję się głupio, wspominając o jego wcześniejszym zachowaniu, ale chciałabym go zrozumieć. Chciałabym wiedzieć, co chodzi mu po głowie i dlaczego tak się zachowuje.

— Wydawało ci się — bagatelizuje, po czym wysiada z samochodu.

Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść w jego ślady.

To wyjaśnienie w ogóle mnie nie satysfakcjonuje, ale postanawiam chwilowo dać Harrisonowi spokój, bo wygląda na wycieńczonego. Chyba tak długa rozmowa to dla niego zbyt wiele. Byłoby kiepsko, gdyby zszedł mi tu na zawał.

Zwłaszcza że chciał mnie pocałować. A we mnie musi być coś z masochistki, skoro chciałabym, żeby to powtórzył.

Nikt wcześniej tak mnie nie całował. Jakbym już należała do niego!

Nasz pilot i przewodnik w jednym już czeka. To chyba ten sam facet, który wiozł nas na Lanai z Maui, gdy przylecieliśmy. Ma około trzydziestki, jest

ogorzały, żylasty i pełen życia. Przedstawia się jako Caleb i od razu przechodzi do rzeczy.

— Najważniejsza zasada: we wszystkim się mnie słuchacie

— mówi, prowadząc nas płytą lotniska w odpowiednie miejsce. — Zdajcie się na mnie, a zagwarantuję wam najpiękniejsze chwile waszego życia. Hawaje są cudowne, ale niektóre miejsca są tak trudno dostępne, że spędzilibyście godziny, próbując dotrzeć do nich

samochodem. Ja oferuję wam szybką alternatywę, którą zapamiętacie na długo.

Mimo niesprzyjającej sytuacji udziela mi się w końcu jego entuzjazm. Mój uśmiech gaśnie jednak po zobaczeniu pojazdu, którym polecimy.

Spodziewałam się cenny, tak jak podczas podróży z Maui.

Tymczasem Caleb prowadzi nas do helikoptera.

— To dużo lepszy środek transportu — zapewnia, widząc moją powątpiewającą minę. — Można nim bliżej podlecieć i więcej zobaczyć. Sami się przekonacie: nie będziecie chcieli wracać.

Posyłam Harrisonowi porozumiewawczy uśmiešek, ale on pozostaje poważny. Oczywiście.

Zapowiada się świetna zabawa.

Caleb zasadniczo miał rację: widoki z helikoptera są niezwykłe i to z pewnością jedne z lepiej spędzonych godzin w moim życiu. Przestaję nawet mieć wyrzuty sumienia, że w hotelu zostawiłam cierpiących bliskich.

Siedząc bezpiecznie na fotelach za pilotem, oglądamy najpierw wygasły wulkan na Lanai, by następnie skierować się ku kolejnej wyspie, niezamieszkaną Kaho'olawe. W

porównaniu z zieloną Lanai wygląda jak złotobrzowy placek rzucony na ocean. Rozpościerają się nad nią szarosine chmury, którymi jednak nasz przewodnik zupełnie się nie przejmuje.

— W czasie drugiej wojny światowej i po niej amerykańskie wojsko używało tej wyspy do testów bombowych —

informuje nas przez słuchawki, które mamy na uszach. —

Zaprzestano ich dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. To jeden z powodów, dla których wyspa tak wygląda. Nie jest to raj dla turystów jak Lanai, to pewne. Tutejsze władze próbują przywrócić ją do życia, ale nie mają szczęścia, bo niedawno ogień strawił jakieś trzydzieści procent powierzchni.

Przelatujemy nisko nad niezamieszkaną wyspą; w większości jest spalona do gołej ziemi, tylko gdzieś tam widać pojedyncze drzewa i krzaki. Nie zostajemy tam jednak długo, bo wkrótce potem Caleb skręca helikopterem na wschód, w stronę Maui.

Ta druga co do wielkości wyspa Hawajów oferuje dużo ciekawsze widoki. Rozciągający się przed naszymi oczami krajobraz jest niesamowity: zielone zbocza gór opadające w stronę ciemnoniebieskiej wody, oddzielone od niej złotymi pasmami plaż. Chyba wrywa mi się westchnienie, gdy przyglądam się

temu z gòry, bo Harrison spogląda na mnie, zamiast na wyspę w dole, a jego rysy twarzy wygładzają się trochę.

Na horyzoncie widzę coraz więcej chmur, Caleb jednak nadal je ignoruje, dochodzę więc do wniosku, że możemy się cieszyć wycieczką i nie przejmować pogodą.

— Wulkan Haleakala — mówi Caleb, wskazując na szczyt zasnuty chmurami. — Leży na terenie parku narodowego.

Nazwa oznacza Dom Słońca. Jest związana z legendą o półbogu, który podobno z tego właśnie szczytu złapał

promienie słoneczne, żeby dłużej świeciły nad wyspą.

— Jest wygasły?! — pytam nieco zbyt głośno.

— Ostatnio wybuchł gdzieś w osiemnastym wieku — wyjaśnia przewodnik, odwraca się do mnie na moment i puszcza oko. — Więc myślę, że możemy czuć się bezpiecznie.

Uśmiecham się, a obok słyszę niezadowolony pomruk Harrisona. Zerkam na niego kątem oka, by stwierdzić, że przygląda mi się ponuro.

Zaraz. Czy on jest o mnie zazdrosny?!

Caleb mówi coś o kolejnych atrakcjach, które widzimy na dole, ale nie skupiam się na jego głosie, bo fiksuję się na tej jednej myśli dotyczącej Harrisona. Czy on serio może być zazdrosny? Czy to dlatego odciągnął mnie wczoraj od tego typu w barze z lepкими łapami? Czy...

Nie. Nie chcę nawet o tym myśleć. Nie powinnam w ogóle o tym myśleć!

Z roztargnieniem zerkam na piękne białe plaże Maui pod nami; w miarę jak lecimy na północ, pogoda pogarsza się z każdą chwilą. W końcu Harrison nie wytrzymuje i pyta o to Caleba.

— Wyluzuj, przyjacielu, wszystko będzie dobrze — zapewnia nas przewodnik, prezentując szeroki uśmiech. —

Wróćcie do domu, zanim się rozpada.

— A rozpada się? — pytam. Mój głos przypomina pisk, może dlatego, że wcześniej nie było mowy o deszczu.

— Na pewno. — Caleb parska tak, jakbym zadała wyjątkowo głupie pytanie. — W okolicy szaleje cyklon tropikalny, ale spokojnie, nie dotrze do nas.

Wcale nie czuję się po tych słowach spokojna. I gość o niczym nam nie powiedział, tak po prostu zabrał nas na wycieczkę?!

— Chyba sobie żartujesz, człowieku — odzywa się Harrison.

Jest spokojny, w jego głosie słyszę tylko niesmak. Zupełnie jakby mu się nie podobało, że ktoś śmiał coś przed nim zataić.

Caleb tylko lekceważąco macha ręką.

— Damy radę — stwierdza. — Nie gorączkujcie się tak, tylko patrzcie w dół!

Białe plaże otoczone jasnoniebieską wodą przelatują nam przed oczami, gdy Caleb kieruje maszyną na północ.

Przestaję się kłócić i próbuję się uspokoić, bo wiem, że tylko tak będę mogła cieszyć się tą wycieczką. Skoro przewodnik mówi, że jesteśmy bezpieczni, to z pewnością tak właśnie jest.

Przelatujemy nad kanałem Pailolo, kierując się ku Molokai, ostatniej z wysp, które mamy zobaczyć na naszej trasie.

Ciemnoniebieska woda wygląda na wzburzoną i widzę na niej całkiem spore fale.

— Idealna pogoda na surfing! — krzyczy Caleb. — Tu niedaleko, na północnym brzegu Maui, są najlepsze tereny do surfowania, Peahi. Nazywają je Szczęki!

Mam nadzieję, że nikt nie surfuje tam w tej chwili, bo fale wyglądają na wystarczająco duże, by móc kogoś zabić.

W końcu dolatujemy nad Molokai. Ponownie jestem zaskoczona i oczarowana, bo ta wyspa nie przypomina poprzednich, które widzieliśmy. Tutaj nie ma plaż, są tylko

pokryte zielenią ostre klify schodzące prosto do oceanu.

Wyrastają w górę tak wysoko, że helikopter musi nieco podwyższyć lot.

Caleb opowiada o tutejszym rezerwacie, ale słucham go jednym uchem, cały czas wpatrzona w zielenie pod nami. Na nierównym terenie jak okiem sięgnąć rosną lasy tropikalne, nigdzie nie widzę żadnego życia. Czy ta wyspa jest w ogóle zamieszkała?

A potem wszystko wydarza się nagle.

W sekundę uderza w nas gwałtowna fala ostrego, ulewnego deszczu, która sprawia, że helikopter zbacza z kursu, gdy znosi go na lewo. Caleb klnie, próbując wyrównać, a wtedy mocny podmuch wiatru, który słyszę nawet przez słuchawki, unosi helikopter ze sobą, by po chwili ściągnąć go w dół.

W kokpicie wybucha kakofonia alarmów; chwytam się mocno fotela przed sobą i wrzeszczę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Caleb woła coś do nas przez słuchawki, ale nie jestem w stanie rozpoznać słów.

Przeciążenie wbija mnie w fotel i po chwili orientuję się, że spadamy.

Spadamy!

A potem nie pamiętam już nic.

Rozdział 15

Mackenzie

Przytomność wraca mi powoli i pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, jest bardzo pozytywna.

Wciąż żyję!

To naprawdę spory sukces, biorąc pod uwagę, co pamiętam jako ostatnie. Zaraz potem zdaję sobie sprawę z kolejnej kwestii.

Charakterystyczne kołysanie helikoptera ustało. A nade mną pochyła się wyraźnie przestraszony Harrison.

— Mackenzie! — krzyczy, ale i tak z trudem go słyszę.

Mrugam, żeby zogniskować wzrok. — Mackenzie, nic ci nie jest?!

Kurwa. Straciłam przytomność, nie wiem, gdzie jestem, a ostatnie, co pamiętam, to spadający helikopter. A on pyta, czy nic mi nie jest!

Siadam gwałtownie, aż zaczyna kręcić mi się w głowie.

Dopiero wtedy orientuję się, że gdziekolwiek jesteśmy, spadają na nas strugi deszczu. Uderza we mnie fala bólu, a gdy chwytam się tam, gdzie mnie boli, na ręce zostaje mi krew.

Chyba jednak nie wszystko ze mną w porządku.

— Uderzyłaś się w głowę, gdy spadaliśmy! — krzyczy Harrison, chwytając mnie za ramię i próbując podnieść.

Jestem jednak bardzo oporna, bo nadal nie rozumiem, co

się wokół mnie dzieje. — Straciłaś przytomność, wyniosłem cię!

Rozglądam się dookoła w popłochu. Znajdujemy się na ziemi, niedaleko klifu nad brzegiem oceanu, w otoczeniu szarpanych silnymi podmuchami wiatru drzew tropikalnych. Pytam o pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

— Gdzie Caleb?!

Harrison zaciska usta i nie odpowiada. W ogóle nie dostrzegam nigdzie helikoptera, przez co tym bardziej nie wiem, co się wydarzyło — wylądowaliśmy awaryjnie?

Spadliśmy? Przeżyłam katastrofę lotniczą?!

A zawsze miałam wrażenie, że jeśli wezmę w jakiejś udział, to przez moich rodziców.

— Musimy znaleźć schronienie! — odzywa się po chwili mój towarzysz, ciągnąc mnie za ramię. — Możesz wstać?!

Pomaga mi, a ja stoję chwiejnie na nogach. Jedną z nich przeszywa fala bólu, ale zaciskam zęby i staram się nic po sobie nie pokazać. Nie chcę nawet patrzeć, w jak złym jest stanie; wystarczy, że będę mogła iść.

Harrison prowadzi mnie głębiej w las, z dala od klifu, co wydaje mi się rozsądne — nieco słabiej wieje tam wiatr. Po niedługim marszu docieramy do gęstwiny drzew

tworzących coś w rodzaju naturalnego baldachimu, gdzie zatrzymujemy się na chwilę. Jest tu nieco ciszej i spokojniej, a ulewa przynajmniej częściowo zostaje zatrzymana przez gałęzie.

Jestem przemoczona i trzęsę się z zimna, co jest naprawdę zaskakujące, biorąc pod uwagę klimat Hawajów. Opieram się o pień jednego z drzew i zsuwam się po nim, siadając na ziemi, a Harrison kuca obok i bierze moją twarz w dłoń.

— Jesteś oszołomiona — stwierdza z niepokojem. — Możesz mieć wstrząśnienie mózgu...

— Noga mnie boli.

Przenosi wzrok na moją łydkę i ostrożnie obejmuje ją ręką.

Uparcie odwracam wzrok.

— Jak źle jest?

— Będziesz żyła — wyrokuje poważnie. — Ale muszę oczyścić ranę i założyć bandaż. Mam apteczkę w plecaku, zaczekaj chwilę.

Dopiero wtedy spostrzegam, że sama również wciąż mam plecak na sobie. Dobrze, że go nie zdjęłam w trakcie podróży, co raz nawet przeszło mi przez głowę.

Harrison przygotowuje opatrunek, a ja opieram czoło o kolana i próbuję się nieco uspokoić. Jest mi niedobrze i nadal kręci mi się w głowie, ale czuję się odrobinę lepiej.

Dlatego po chwili powtarzam pytanie:

— Co z Calebem?

Mój towarzysz posyła mi ponure spojrzenie.

— Rozbiliśmy się na brzegu klifu — wyjaśnia. — Tylko ja byłem przytomny. Wyniosłem cię, jego już nie zdążyłem.

Rozszerzam oczy, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz mi powiedzieć, że... helikopter spadł z klifu do oceanu?!

Harrison tylko kiwa głową. Nie odpowiada, zamiast tego zajmuje się moją łydką.

Nawet nie czuję bólu, bo jestem zbyt przerażona i oszołomiona. Harrison wyniósł mnie z helikoptera, zanim ten spadł do oceanu. Uratował mi życie! Niewiele brakowało, żebym naprawdę je straciła!

I Caleb... Wprawdzie to przez jego ignorancję znaleźliśmy się w tej sytuacji, ale absolutnie nie zasłużył na taki los!

Milczę, kiedy Harrison opatruje mi nogę. Wszystko, włącznie z bandażami, mamy przemoczone, ale się tym nie przejmuję. Szczękam zębami i nadaremnie próbuję się opanować.

Drzę, kiedy mimo osłony z drzew uderza w nas kolejna fala ostrego wiatru. Harrison kończy mnie opatrywać, a potem pyta:

— Masz jakąś kurtkę albo cokolwiek, co możesz na siebie włożyć?

Kiwam głową i zdejmuję z ramion plecak. Harrison natychmiast mi go zabiera i znajduje w nim okrycie.

— Załóż to. — Podaje mi kurtkę. — Musimy poszukać lepszego schronienia. Rozbiliśmy się w rezerwacie, do najbliższego miasta mamy stąd kawałek drogi,

nie dotrzemy tam teraz.

— Ale... — waham się. — Musimy kogoś zawiadomić, co się stało! Zadzwoń po pomoc...

Harrison z krzywą miną pokazuje mi swoją komòrkę. Ma rozbity, czarny ekran. Chyba nie działa.

Biorę od niego plecak i znajduję w nim mòj telefon. Ma ponad połowę baterii i jest sprawny, przez co czuję odrobinę ekscytacji. Szybko mi jednak przechodzi, gdy przekonuję się, że nie mam zasięgu.

— Tak — kwituje Harrison cierpko. — To kolejna kwestia.

Prawdopodobnie nie złapiemy tu sygnału.

Kurwa, po prostu świetnie!

Zabezpieczam telefon i chowam go z powrotem do plecaka, pewna, że jeszcze się przyda. Na razie mamy inne priorytety, na przykład znalezienie schronienia. Potem możemy się martwić wezwaniem pomocy.

— Kiedy chciałem zostać z tobą sam na sam, nie o tym myślałem — mamrocze Harrison, pomagając mi wstać.

Serce podskakuje mi do gardła, ale nie odpowiadam na tę uwagę, bo nie uważam, żeby to był właściwy moment. On naprawdę o tym myślał?!

Ruszamy przed siebie. Prowadzi Harrison, a ja idę za nim, nie zadając nawet jednego pytania. Jestem zbyt przerażona i chyba nadal w szoku, żeby podejmować jakąś dłuższą konwersację, zwłaszcza że on nie wygląda na skorego do rozmowy i pewnie karmiłby mnie pòstòwkami.

Caleb nie żyje. Z trudem to sobie uświadamiam, ale kiedy wreszcie to do mnie dociera, wszystko robi się aż zbyt realne. Zagrożenie jest prawdziwe i fakt, że udało nam się przeżyć katastrofę, nie oznacza, że niebezpieczeństwo już minęło. Harrison z pewnością doskonale o tym wie, bo cały czas jest spięty i uważny.

Czy w lesie tropikalnym są jakieś dzikie zwierzęta?!

— Nie spotkamy tutaj żadnych tygrysów, prawda? — pytam nerwowo.

Harrison zatrzymuje się przy jednym z drzew i spogląda na mnie przez ramię z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie rozpoznaję. Czy on jest rozbawiony?

— Nie wiem, czy pytasz serio, czy próbujesz mnie rozśmieszyć — mówi.

Ledwie go rozumiem przez padający deszcz, ale kiedy rusza w dalszą drogę, biegnę za nim.

— Oczywiście, że pytałam serio! Chcę wiedzieć, czy jest tu coś, co mogłoby nas zjeść na kolację!

— Tygrysy żyją w Azji, Mackenzie — informuje mnie protekcjonalnie. Robi mi się wstyd. — Jeśli nie boisz się

biegających po lasach dzikich świń, to raczej nic ci nie grozi.

Uff. Co za ulga. Przynajmniej tyle.

Co nie oznacza, że jesteśmy bezpieczni! Nadal możemy tu zginąć z wyziębienia, braku pożywienia, wycieńczenia albo cholera wie, czego jeszcze.

— Powinnaś o tym wiedzieć, biorąc pod uwagę twoje wykształcenie — dogryza mi.

Przewracam oczami.

— Jestem weterynarzem, nie zoologiem!

Harrison prowadzi nas przez las, a ja nawet nie pytam, czy idzie w jakimś konkretnym kierunku, czy po prostu tam, gdzie drzewa rosną nieco rzadziej. Przedzieram się za nim przez gęstwinę, a on co jakiś czas przytrzymuje dla mnie gałęzie albo mówi o nierównościach w podłożu. To bardzo pomocne, bo przez ulewę mam znacznie ograniczoną widoczność, poza tym bardzo szybko zaczynam opadać z sił.

No dobra, nie jestem typem sportowca, ale zdarzało mi się trochę biegać. Problem polega na tym, że wygodna trasa po asfalcie w żadnym wypadku nie przypomina przedzierania się przez tropikalny las w trakcie huraganu!

Harrison wygląda jednak, jakby nic go nie ruszało i jakby w ogóle nie był zmęczony. Ten facet chyba jest z kamienia...

ale czy wtedy poruszałby się tak zwinnie?

— Jezu, czy ten las się kiedyś kończy?! — sapię w pewnej chwili, na co Harrison kręci głową.

— Wiesz, że nie przeszliśmy nawet kilometra? —

odpowiada, przekrzykując deszcz. — Musisz się jeszcze trochę postarać, Mackenzie!

Noga mnie boli, podobnie jak głowa, i to naprawdę nie jest proste. On chyba nie zdaje sobie sprawy, że do przodu

pchają mnie jedynie resztki adrenaliny, które jakimś cudem nie opuściły jeszcze mojego ciała. Może się w nim zagubiły.

— Idziemy w jakimś konkretnym kierunku?! — pytam głośno.

Naprawdę chcę usłyszeć, że tak. Że Harrison wie o kimś, kto mieszka tu w okolicy i będzie w stanie nam pomóc. Że zna jakieś domostwo, do którego możemy zajrzeć, żeby się ogrzać i zjeść coś ciepłego. Nie wiem, jakim cudem to mogłoby być prawdą, ale przez kilka sekund pozwalam sobie się łudzić.

Potem Harrison boleśnie zabija moje nadzieje.

— Na pewno znajdziemy jakieś schronienie — odkrzykuje mało konkretnie. — Musimy się tylko dostać na szlak...

— Na szlak?! — powtarzam z niedowierzaniem. — Tu są jakieś szlaki?!

— Tak, a strażnicy patrolują rezerwat — wyjaśnia, pomagając mi przejść nad powalonym drzewem. — Muszą mieć gdzieś chatki, do których w razie konieczności mogą się udać. Zostawiają w nich prowiant dla turystów na szlaku, którzy mogliby znaleźć się w tarapatach!

Brzmi na przekonanego, że to prawda, więc tylko kiwam głową i milczę, nie mając zamiaru kwestionować jego słów.

Jestem przekonana, że Harrison wie, co robi.

A może po prostu w tej sytuacji chcę pozwolić mu przejąć kontrolę? Gdybym to ja miała dowodzić, pewnie już biegałabym po lesie bez sensu niczym kurczak bez głowy.

Albo skuliła się pod jakimś drzewem i płakała.

Nie wiem, jak długo idziemy. Mimo wczesnej godziny zdąża się odrobinę ściemnić, co wywołuje we mnie mały atak paniki — co jeśli zastanie nas tu

noc?! Deszcz nie chce zelżeć ani na chwilę, a ja coraz częściej ślizgam się na mokrym podłożu; noga dokucza mi bardziej, co Harrison od razu zauważa, chociaż idzie przede mną. Chyba ma oczy z tyłu głowy.

W końcu, po jakichś stu latach, wychodzimy na coś w rodzaju polanki w lesie. Natychmiast pojmuję, że powodem, dla którego powstała, jest przepływający tędy strumień, który na środku polanki formuje niewielki staw. To naprawdę piękne miejsce i zachwyciłabym się nim, gdyby sytuacja była inna.

Zanim zdążę się dobrze napatrzeć, Harrison chwytą mnie za ramię i prowadzi gdzieś, aż ruszamy wzdłuż strumienia w dół jego biegu. Po chwili moim oczom ukazuje się mała, nieco zniszczona drewniana chatka.

Nie wierzę, że on miał rację!

Jestem jeszcze bardziej zaskoczona, gdy okazuje się, że drzwi chatki są otwarte. Harrison bez wahania wchodzi do środka, ciągnąc mnie cały czas za sobą, aż deszcz przestaje we mnie uderzać.

Nareszcie.

Zatrzymuję się zaraz za drzwiami, bo w środku jest ciemno.

Raczej nie ma tu prądu.

— Zaczekaj tutaj — poleca Harrison.

Mam ochotę za nim iść, ale boląca noga skutecznie mnie zniechęca. Opieram się o ścianę obok drzwi i patrzę, jak mój towarzysz niczym duch porusza się zręcznie w półmroku panującym w chacie. Podchodzi do okien i uchyla okiennice, ale do środka wpada niewiele światła. Nic dziwnego — jesteśmy w lesie, w trakcie ulewy, a silne poddmuchy wiatru uderzają w dach chatki tak mocno, że obawiam się, iż w końcu go zwieją.

Harrison wyjmuję z plecaka latarkę i omiata jej promieniem wnętrze. To niewielka izba z niskim sufitem, zaopatrzona w pojedyncze polowe łóżko, stolik turystyczny z dwoma

krzesłami, kuchenkę z małą butlą gazową i kilka ustawionych pod jedną ze ścian szafek. Gdy mój towarzysz zagląda do którejś, znajduje racje żywnościowe. Nie ma ich może jakoś specjalnie dużo — miesiąca tu pewnie nie przeżyjemy — ale wystarczająco, żebyśmy nie umarli z głodu, zanim huragan minie.

Z lekką zgrozą uzmysławiam też sobie, że za potrzebą będę musiała wyjść na zewnątrz. Cóż, na taką pogodę człowiekowi od razu odechciewa się sikać.

Harrison otwiera kolejną szafkę i wyjmuję z niej jakieś koce. Jeden z nich rzuca mnie, a ja odruchowo go łapię.

Pachnie, jakby długo nie był używany.

— Zdejmij mokre ciuchy — radzi mi mężczyzna. —

Wprawdzie jesteśmy w tropikach, ale nadal możesz się przeziębić. Włączymy potem kuchenkę i wysuszymy je nad ogniem.

Chcę protestować, ale słowa zamierają mi na języku, gdy w następnej chwili Harrison jednym ruchem zdejmuję z siebie przemoczoną koszulkę.

Serce podchodzi mi do gardła i przez chwilę gapię się na niego idiotycznie, nie mogąc oderwać wzroku. Wow. Po prostu wow! Wiedziałam, że ten facet ma kondycję, po tym, jak pruł przez las, aż ledwo dotrzyzymałam mu kroku (a

nie miał nawet przyspieszonego oddechu). Za każdym razem, gdy widzę go bez koszulki, nie mogę się napatrzeć na jego twardą klatkę piersiową. Chyba powinnam jej dotknąć bez ubrań...

Stop, Mac, opanuj się! , polecam sobie stanowczo.

— Skończyłaś się gapić? — dociera do mnie jego cierpkie pytanie.

Podnoszę wzrok na jego twarz, czując się tak, jakby przytąpał mnie na czymś nielegalnym. Znowu ma ten

dziwny wyraz, który widziałam, kiedy zapytałam o tygrysy.

Mam wrażenie, że on się ze mnie nabija i bardzo nie chce tego po sobie pokazać.

— Jakby było na co — pryham, ale oboje wiemy, że to nieprawda.

Właściwie nie mam większych oporów przed rozebraniem się przy nim, bo przypominam sobie, że już raz to zrobiłam.

Ruszam się wreszcie spod drzwi i podchodzę do łóżka, tylko raz potykając się o coś po drodze. Nic nie poradzę, że mało co widzę! Tu jest zdecydowanie za ciemno.

Ściągam koszulkę, pod którą mam górę od bikini, a potem szorty, i owijam się szczelnie kocem. Wyciągam na wierzch mokre włosy i próbuję choć trochę wyżyć je z deszczu, ale niewiele to daje.

Harrison uruchamia kuchenkę gazową, po czym zabiera moje rzeczy, żeby rozwiesić je na krześle przysuniętym do źródła ciepła. Podobnie robi ze swoimi ubraniami, a dopiero potem do mnie wraca. Wszystko to oczywiście bezszelestnie i zręcznie, bo zapewne korzysta w tym czasie ze swoich nietoperzych zmysłów.

— I co teraz? — pytam słabo.

— Teraz czekamy, aż deszcz przejdzie, a potem szukamy drogi do najbliższej miejscowości — wyjaśnia. — Sugeruję też, żebyś wysłała SMS do Hudsona. Nawet jeżeli tutaj nie masz zasięgu, wiadomość zostanie dostarczona, kiedy tylko telefon jakiś złapie.

Kiwam głową, ale w tej chwili nie mam na to siły. Harrison siada obok mnie na łóżku, również szczelnie przykryty kocem.

Szkoda. Tak fajnie wyglądał bez niego.

— Dobrze się czujesz? — pyta ostrożnie.

— Nie, nie czuję się dobrze — odpowiadam nieco histerycznie. — Po raz pierwszy w życiu przeżyłam katastrofę lotniczą i musiałam uciekać przed huraganem przez las tropikalny! Zginął człowiek, Harrison, w ogóle cię to nie rusza?! My też mogliśmy zginąć!

Materac ugina się pod nami, gdy Harrison wsuwa się głębiej na łóżko. Dochodzę do wniosku, że to całkiem niezły pomysł, i już po chwili siedzę wygodnie na pościeli, opierając się plecami o ścianę domku. Mieścimy się oboje w poprzek na wąskiej połowce, ale moja ręka styka się z ramieniem mojego towarzysza.

Standardowo już dostaję od tego ciarek.

A może to z zimna i dlatego, że wciąż jestem mokra?

— Wszystko będzie dobrze, Kenzie — zapewnia mnie łagodnie Harrison. — Huragan raczej przejdzie bokiem, to tylko obfita ulewa. Przeczekamy ją, a potem wrócimy do cywilizacji. Dla nas obojga to było traumatyczne przeżycie, ale powinnaś się cieszyć, że nie zginęliśmy. Istniała taka realna szansa.

Dzięki, Harrison, to było naprawdę pomocne.

— Już poczułam się lepiej — mamroczę.

— Będzie ci lepiej, jak zmienię ci opatrunek i cię nakarmię

— uściśla, na co nie mam odpowiedzi.

Po tych słowach zapada między nami cisza. Harrison się trzyma, żeby mnie opatrzyć i nakarmić, a ja nie ruszam się z łóżka, bo nie mam sił. Cały czas się trzęsę i jest mi trochę niedobrze. To albo wstrząśnienie mózgu, albo opuściły mnie resztki adrenaliny.

Harrison ma rację. Żyjemy. Z tego powinnam się cieszyć.

Naprawdę niewiele brakło, żeby to skończyło się inaczej.



Zafiksowana na tej myśli dopiero po dłuższej chwili przypominam sobie, jak Harrison mnie nazwał.

Rozdział 16

Mackenzie

Spadam w dół jak kamień wśród resztek helikoptera. Ktoś krzyczy. Wiatr wpycha mi do ust moje własne wrzaski.

Jestem bezwładna i nie czuję ciała.

Zaraz zginę!

— Kenzie, to tylko sen! Obudź się!

Otwieram nagle oczy i mrugam, żeby zogniskować wzrok.

W chacie nadal panuje półmrok, nadal słyszę deszcz bębniący wściekle o dach. W ciągu sekundy przypominam sobie wydarzenia ostatnich godzin i robi mi się słabo.

Próbuję opanować mdłości, w czym pomaga mi uświadomienie sobie, w jakiej pozycji się znajduję. Leżę pod ścianą na wąskim łóżku, a Harrison jest tuż obok mnie.

Kiedy zśliśmy spać, chciał się położyć na podłodze, ale przekonałam go, że to kiepski pomysł. Materac wprawdzie nie zapewnia nam dużo miejsca, szczęśliwie zmieściliśmy się na nim oboje, choć nie było to specjalnie wygodne.

Wtedy jednak byłam potwornie zmęczona i nie zwróciłam większej uwagi na jego bliskość; zasnęłam prawie natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Teraz za to czuję aż nazbyt wyraźnie, jak mocno jestem do niego przytulona.

Leżymy twarzami do siebie, moja głowa znajduje się na ramieniu Harrisona, nasze nogi są ze sobą splecione. Czuję dotyk jego dłoni na talii, a sama ręce trzymam na jego

klatce piersiowej. Nawet gdybym chciała się odsunąć, nie mam dokąd, bo za mną znajduje się już tylko ściana.

W dodatku nadal mam na sobie jedynie bikini, a on szorty kąpielowe. Wprawdzie kiedy kładłam się spać, oboje byliśmy owinięci kocami, ale teraz są zrolowane między naszymi ciałami i nic nas od siebie nie oddziela. Półnaga tulę się do Harrisona, a on do mnie.

Chryste, chyba powinnam uciekać!

Nie mam jednak siły, bo nadal jestem słaba i odrętwiała po koszmarze, który mnie nawiedził. Może i nie pamiętam zbyt wiele z katastrofy, ale najwyraźniej coś w moim mózgu zachowało te wspomnienia i wróciło do mnie we śnie.

Cudownie.

Drżącą ręką odgarniam włosy z twarzy i spoglądam w wyraźnie zaniepokojoną twarz mojego towarzysza.

— Wszystko w porządku?

On naprawdę się o mnie martwi. Dlaczego cały czas jestem tym zaskoczona?

Z trudem kiwam głową. Wzdycham drżąc i zanim zdążę się przekonać, że może to nie jest najlepszy pomysł, opieram czoło o jego klatkę piersiową.

Harrison zamyka mnie w swoich ramionach i przyciąga do siebie jeszcze bliżej. Przeszywa mnie dreszcz, ale jego dotyk jest zaskakująco przyjemny, a ten uścisk wzbudza we mnie poczucie bezpieczeństwa. Nie wiem, jak to się dokładnie stało, ale chcę być przy nim blisko.

Pewnie dlatego, że nie ma tu nikogo innego, a ja po prostu nie chcę być sama, przemyka mi przez głowę, choć za bardzo sobie nie wierzę. To tylko wymówki.

Milczymy przez chwilę i tym razem jest to całkiem przyjemne. Nie czuję tego napięcia, które towarzyszyło nam

wcześniej, za to stopniowo rozluźniam się w ramionach Harrisona. Zaczynam oddychać miarowo, a on wydaje z siebie zadowolone mruknięcie.

Jezu, ten facet nie potrafi wypowiadać się jak człowiek.

— Jak długo będzie padać? — pytam, zupełnie jakby on mógł to wiedzieć. Harrison wzrusza ramionami.

— Trudno powiedzieć. Dzień, może dwa. Myślę, że jutro będzie trochę lepiej, ale zobaczymy.

Wzdycham.

— Dlaczego teraz normalnie ze mną rozmawiasz, a wcześniej tylko ponuro milczałeś?

Odpowiada mi cisza. Odsuwam nieco głowę i podnoszę na niego wzrok.

Harrison wpatruje się we mnie pociemniałym spojrzeniem.

Widzę w jego oczach jakiś błysk, który sprawia, że robi mi się gorąco.

Przesuwa nieco nogę, wkładając kolano między moje uda, a mnie serce podchodzi do gardła. Mam wrażenie, że on nie robi tego tylko ze względu na ciasnotę.

— A ty zawsze odczuwasz potrzebę mówienia?

— Nie, właściwie to wolę być małomówna i nietowarzyska

— fukam złośliwie.

Harrison marszczy brwi.

— Nie brzmi to jak dokładny opis twojego charakteru.

Zaczynam niekontrolowanie chichotać.

Jego wzrok przechodzi na moje usta, gdy się uśmiecham.

Zamieram, wstrzymuję oddech i przez moment nie wiem, jak się zachować.

Znowu zaczynam być boleśnie świadoma wszystkich tych miejsc, w których moje ciało styka się z jego ciałem.

Dłoń Harrisona przesuwa się z mojego biodra wyżej, aż dotyka policzka. Jego palce wsuwają się w moje włosy, a kciuk przyciska się do warg, które odruchowo rozchylam.

Serce bije mi jak szalone. Widzę napięcie we wzroku Harrisona, gdy wsuwa palec do moich ust.

Otoczam go wargami i zaczynam ssać. Dotykam go językiem, nie odrywając spojrzenia od oczu mężczyzny.

Przemyka mi przez głowę, że robię coś bardzo głupiego, ale odpycham od siebie te myśli, bo naprawdę tego chcę.

Harrison podsuwa nieco wyżej kolano, które zostało uwięzione między moimi nogami, aż ociera się o moje krocze. Wstrzymuję oddech, a krew uderza mi do głowy.

Chyba znowu robię się czerwona.

— Nie potrafię z tobą rozmawiać — mruczy Harrison. — Za bardzo rozpraszają mnie inne rzeczy, które chciałbym z tobą robić.

Wysuwa kciuk z moich ust, dlatego mogę zareagować.

— Jakie to rzeczy? — pytam.

— Na przykład takie — odpowiada, po czym pochyla się, żeby mnie pocałować.

Chwytam go za szyję i przyciągam bliżej w obawie, że się rozmyśli. Rozchylam wargi, wpuszczając do środka jego język. Jęczę, bo usta Harrisona są natarczywe i gorące, a pocałunek mocny i absolutnie elektryzujący. Przechylam głowę, żeby dać mu do siebie lepszy dostęp, a on chętnie korzysta z zaproszenia, mrużąc z zadowoleniem.

Rozsuwam nogi szerzej, bo czuję, jak męczyzna zawisa nade mną, zmieniając nieco pozycję. Kładzie się między nimi i zamyka mnie w swoich ramionach, ani na chwilę nie przerywając pocałunku. Jego dotyk jest zachłanny, gorączkowy i rozpala mnie bardziej niż hawajskie słońce.

Podnoszę biodra i ocieram się o niego, a Harrison

mamrocze jakieś przekleństwo prosto w moje usta, po czym łapie mnie za biodro i przytrzymuje przy materacu.

Zsuwa usta w dół, ku mojej szyi i dekolтови, znacząc skórę kolejnymi pocałunkami. Jego palce wędrują od talii, wzdłuż żeber aż do skraju góry od bikini. Zamiera na moment i odsuwa się ode mnie o centymetr, żeby spojrzeć na mnie pełnym pożądania wzrokiem.

— Nie przestawaj — proszę, ciągnąc go do siebie z powrotem.

Harrisonowi moje słowa całkowicie wystarczają za zaproszenie. Całuje mnie ponownie, od razu głęboko i mocno, a jego dłoń wsuwa się pod miseczkę stanika. Jęczę i wyprężam się ku niemu, gdy zamyka palce na mojej piersi.

Zaczyna mnie pieścić mocno, zdecydowanie, w taki sposób, jakby długo nie mógł się tego doczekać. Mam wrażenie, że ręka mu drży, kiedy dotyka mnie zachłannie, bada moje ciało, jakby był go bardzo ciekaw. Zsuwam dłoń na jego ramiona, gładzę je i wreszcie pozwalam sobie przejechać palcami po umięśnionym torsie.

Czuję jego twardego penisa tuż przy wejściu do mojej cipki; dzielą nas jedynie dwie warstwy cienkiego materiału. Krew szumi mi w głowie, serce łomocze i mam wrażenie, że kompletnie nie kontroluję swojego ciała.

— Powiedz mi, czego chcesz, Kenzie — mruczy Harrison w moje usta.

Och. Ten facet, który tak uwielbia milczeć, właśnie teraz będzie mnie zmuszał do rozmowy?!

— Chcę... och. Tak... Chcę jeszcze... — jęczę, a on zsuwa się w dół, by dłoń zastąpić ustami.

Gorące wargi na moim sutku, wilgotny język — tego jest dla mnie za dużo. Wpłatał mu palce we włosy i przytrzymuję

go przy sobie, gdy pieści mnie z pasją, ssie brodawkę i drażni ją zębami. Jezu. Cofam to, co myślałam o Harrisonie. Kobiety nie mogą lecieć na niego tylko ze względu na powierzchowność! Ma tak niesamowity dotyk, że niemal się pod nim rozptywam.

Nie odrywając ust od mojej piersi, Harrison schodzi dłonią w dół mojego ciała, do podbrzusza. Kiedy natrafia na brzeg majteczek od bikini, waha się, wsuwając pod spód jedynie końcówkę palca. Wstrzymuje się przez chwilę, nie posuwając się dalej, podczas gdy wolną dłoń zamyka na mojej drugiej piersi.

— Czego chcesz, Kenzie? — powtarza uparcie jak natrętna mucha, dmuchając na mój sutek.

Drżę i jęczę, niemo wysuwając w jego kierunku biodra.

Harrison jednak nadal nie reaguje, jakby czekał na werbalne potwierdzenie, że tego chcę.

— Tego — mówię bez tchu. — Tak, proszę, zrób to...

Uśmiecha się z zadowoleniem, wsuwając palce głębiej pod materiał. Jeden z nich wchodzi gładko do mojego wnętrza, bo jestem już kompletnie mokra. Zaciskam się na nim, a Harrison wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby.

Dotyka kciukiem łechtaczki, a przez moje ciało przechodzi fala przyjemności. Łapczywie biorę kolejne oddechy, gdy zaczyna ją delikatnie masować; dodatkowo pieprzy mnie palcami, równocześnie wciąż ssąc mój sutek. Czuję zaciskający się w moim podbrzuszu węzeł i, o Boże, jest mi tak dobrze... Tak dobrze, że mogłabym prawie...

— Dojść dla mnie, Kenzie — szepcze Harrison, a mnie nagle oblewa zimny pot.

Nie dam rady. Jezu. Jest mi tak dobrze, tak cudownie, jestem tak blisko, jego dotyk rozpala mnie jak niczyj, ale nie

potrafię! Cały czas balansuję na krawędzi i nie wiem, jak z niej spaść.

To napięcie jest nieznośne, czuję, że jestem naprawdę niedaleko orgazmu, ale nie umiem po niego sięgnąć. Nigdy wcześniej nie było mi tak wspaniale...

Ale to wciąż nie wystarczy.

Palce Harrisona poruszają się we mnie coraz szybciej, kciuk uciska moją łechtaczkę, usta pieszczą piersi, a ja nagle zaczynam gorączkowo myśleć, co robić. On nie może się dowiedzieć...

Postanawiam, że chcę zmienić pozycję. Kładę mu ręce na torsie, napieram na niego i próbuję nas odwrócić, aż Harrison odrywa się na moment i spogląda na mnie zamglonym z pożądania wzrokiem.

— Kenzie, co...

Popycham go mocniej. Niestety zapominam, że materac jest wąski, więc kiedy próbuję nas odwrócić, plecy Harrisona zamiast na łóżko natrafiają na powietrze i staczymy się na podłogę. Drę się zaskoczona, ale Harrison przyjmuje uderzenie w milczeniu, trzymając mnie ramieniem, żebym wylądowała na nim. Krzywi się, zapewne z bólu, a ja momentalnie zapominam, że jeszcze chwilę temu byłam krok od orgazmu.

— Jezu, Harrison, nic ci nie jest?! — piszczę. —

Przepraszam!

— Wszystko w porządku, wariatko. — Wzdycha. — Nie mogłaś chociaż poczekać, aż wyciągnę z ciebie palce?

Chichoczę idiotycznie. No fakt, dobrze, że nie zrobił mi krzywdy.

— Przepraszam. — Pochylam się i całuję go przelotnie. —

Na pewno nic cię nie boli?

Spojrzenie Harrisona jest nieodgadnione. Z jednej strony nadal tli się w nim pożądanie, a z drugiej widzę w nim coś, co podejrzenie przypomina czułość. Po chwili porusza palcami, które nadal trzyma w moim wnętrzu, a ja jęczę i instynktownie odpowiadam mu ruchem bioder.

— Boli mnie jedynie, że nam przerwałaś. — Marszczy czoło.

— Chcę, żebyś doszła, Kenzie.

Jezu, znowu to mów!

Rozsuwam szerzej nogi, obejmując udami jego biodra, i pozwalam mu dalej penetrować mnie palcami, chociaż nie taki był mój zamiar. Podnoszę się nieco, opieram dłonie na jego klatce piersiowej i sunę nimi w dół, delektując się elektryzującym dotykiem gorącej skóry, aż docieram do skraju jego kąpielówek.

Harrison z szybkością pieprzonego węża chwyta wolną dłońią oba moje nadgarstki.

— Najpierw ty — warczy.

Przyspiesza ruchy, a ja kręcę głową, chociaż znowu buduje się we mnie znajome napięcie. Siadam na nim okrakiem, a gorące spojrzenie Harrisona natychmiast przesuwa się z mojej twarzy do piersi. Kotyszają się, pozbawione podtrzymującego je stanika, i przez moment mam ochotę się zakryć, ale zmieniam zdanie na widok głodu w jego oczach. On wcale nie uważa, że wyglądam źle.

Dlaczego kiedykolwiek sądziłam, że on może tak o mnie myśleć? Że mu się nie podobam?

Harrison nadal porusza we mnie palcami, a drugą dłoń kładzie mi na piersi i ściska ją mocno. Jęczę niekontrolowanie i odchylam głowę do tyłu, bo znowu czuję się tak, jakbym miała za chwilę wybuchnąć. Jakbym...

Jestem już tak blisko...

— Proszę — wrywa mi się, a potem słyszę samczy pomruk Harrisona, od którego dostaję ciarek.

To trwa i trwa, ale nie mogę. Nie potrafię. Serce zaraz wyskoczy mi z piersi, jest mi tak dobrze, że chcę błagać o więcej, ale to na nic. Nie dojdę.

Harrison podnosi się nieco i obejmuje mnie za szyję, po czym całuje zachłannie, głęboko. Poddaję mu się i pozwalam penetrować się językiem, ocieram się o niego, ale z każdą chwilą jestem coraz bardziej sfrustrowana.

Co ja właściwie robię? Chryste, przecież to jest brat Celli.

Ja go nawet nie lubię! Co my wyprawiamy?!

Ogarnia mnie panika, gdy przychodzi mi do głowy, że Harrison mógłby się dowiedzieć tego, co ukrywam przed wszystkimi. A jeśli powiedziałby o tym moim bliskim?!

Nie, nie zrobiłby tego. Poza tym to nie jest temat, który przypadkiem wyływa w rozmowie, prawda? „A wiesz, Hudson, że kiedy ostatnio pieściłem

się z twoją siostrą, okazało się, że ona nie może mieć orgazmu?".

Nie. Nigdy w to nie uwierzę.

— Przystań — sapię między kolejnymi pocałunkami.

Harrison zamiera. Patrzy mi w oczy, a w jego spojrzeniu widzę niepokój.

— Wszystko w porządku?

— Tak — potwierdzam nieco rozpaczliwie, bo czuję ucisk w gardle, który grozi mi rychłym rozptakaniem się. — Po prostu... przestań, proszę.

Drgam, kiedy Harrison wyjmuję ze mnie palce i odsuwa się odrobinę. Więcej nie może zrobić, bo nadal to ja na nim siedzę. Nogi trzęsą mi się tak, że nie bardzo jestem w stanie się ruszyć; on obrzuca mnie uważnym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, po czym sięga na łóżko i ściąga stamtąd koc, którym mnie okrywa.

Ciekawe, czy robi to bardziej dla mnie, czy dla swojego świętego spokoju.

— Co się dzieje?

Otwieram usta, ale nie wiem, co odpowiedzieć. Otulam się kocem, a Harrison przygląda mi się zamglonymi z pożądania oczami, próbując unormować oddech. Nadal na nim siedzę i czuję, jaki twardy i gotowy jest jego penis, i po prostu nie wierzę, że pozwoliłam, by to zaszło tak daleko. O czym ja sobie myślałam?!

A, tak, o niczym. O niczym poza jego gorącymi wargami i natarczywym dotykiem.

— To jest... Jezu. — Nerwowym gestem przeczesuję włosy palcami. — Zupełnie nie wiem, co o tym myśleć.

— A musisz coś myśleć?

— Tak już mam. — Wzdycham. — Zdarza mi się, i to często.

Na przykład wtedy, gdy niespodziewanie zaczynam uprawiać seks z facetem, który mnie nie znosi, a w dodatku jest bratem mojej bratowej.

Harrison jeszcze bardziej marszczy brwi.

— To nieprawda, że cię nie znoszę. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo od początku tak się zachowujesz — odpowiadam ze złością. On poważnie każe mi to tłumaczyć?! — Gapisz się na mnie, jakby coś ci się nie podobało, odchodzisz bez słowa i zachowujesz się jak gbur. Co to ma być? Myślisz, że możesz mnie tak traktować, a potem rzucać się na mnie i oczekiwać, że rozłożę przed tobą nogi?!

Milczy, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby myślał, że jeszcze nie skończyłam. Ja jednak mam dość. Próbuję się

podnieść, ale wtedy Harrison chwyta mnie za biodra i przytrzymuje w miejscu. Posyłam mu pytające spojrzenie.

— Przepraszam — mówi po prostu. — Nie chciałem sprawiać takiego wrażenia.

— Więc dlaczego...

— Nie potrafię rozmawiać z kobietami — wyznaje, a ja posyłam mu zaskoczone spojrzenie. — Peszysz mnie swoimi zachowaniami, sposobem, w jaki się wystawiasz, i tym, jak często i łatwo się śmiejesz. Jesteś słodka, radosna i dobra dla wszystkich dookoła, a poza tym odważna i pewna siebie.

Ja taki nie jestem, Kenzie.

Krzywię się, słysząc ton jego głosu. Przypominam sobie własne słowa na temat ponurego nietoperza i wampira.

Harrison się myli: wcale nie jestem dobra dla wszystkich dookoła. Dla niego z pewnością nie byłam.

Równocześnie zaskakuje mnie to, co od niego słyszę.

Sądziłam, że on po prostu nie ma ochoty ze mną rozmawiać, że uważa mnie za kogoś gorszego albo coś w tym stylu. Tymczasem on...

Po prostu jest nieśmiały?

Nie może mi się to pomieścić w głowie. Czy on aby nie próbuje mnie z jakiegoś powodu okłamać? Bo w życiu nie powiedziałabym, że Harrison Hart jest nieśmiały!

Małomówny, gburliwy, ponury, budzący przestach — jasne.

Ale nieśmiały?

— I co z tego? — Wzruszam ramionami. — Wszyscy jesteśmy różni. To jeszcze nie powód, żeby patrzeć na kogoś z odrazą.

Harrison wpatruje się we mnie z niedowierzaniem. Znowu powiedziałam coś nie tak.

— Nigdy nie patrzyłem na ciebie z odrazą — zapewnia.

I brzmi szczerze.

— Ale...

— Lepiej sprawdzę, jak wygląda sytuacja na zewnątrz — przerywa i pomaga mi zejść ze swoich kolan. Ledwie mogę stanąć na nogach, takie są miękkie. — Może chociaż trochę się przejaśniło.

Chcę go zatrzymać, zapytać, co miał na myśli, wyjaśnić jakoś to wszystko — ale Harrison nie czeka, aż to zrobię.

Porywa swoje ubrania, które pospiesznie zakłada, po czym ucieka z chatki, a ja zostaję sama.

Świetnie.

Rozdział 17

Harrison

Czy to naprawdę przed chwilą się stało?

Czy ja naprawdę omal nie doprowadziłem Mackenzie Allen do orgazmu?

Uciekam z chatki, jakby goniło mnie stado wilków. A zostawiłem tam tylko jedną małą kobietę, która patrzyła na mnie zamglonymi z pożądania oczami, z rozchyłonymi ustami i zaróżowioną skórą. Musiałem wyjść, inaczej znowu bym się na nią rzucił, a ona chyba sobie tego nie życzy.

Chociaż... nie jestem pewien. Mam mętlik w głowie.

Niemalże doszła, zanim zaczęła protestować. Dlaczego zmieniła zdanie w takim momencie?

Chciałbym powiedzieć, że nie rozumiem kobiet, ale ja nie rozumiem przede wszystkim Mackenzie. Mam wrażenie, że chodziło o coś więcej niż tylko o to, że się przestraszyła.

Wychodzę na zalaną deszczem polanę i natychmiast jestem przemoczony. Spędziłem pół nocy na suszeniu ciuchów, a teraz wszystko na nic. Mam to gdzieś. Muszę się odseparować, pomyśleć i choć trochę się uspokoić. Bo kiedy przypominam sobie widok idealnych piersi Mackenzie, znowu mi staje.

Wystawiam twarz do deszczu i pozwalam, żeby ostudził mój zapach. Muszę traktować tę kobietę z większym szacunkiem, zamiast rzucać się na nią jak jakieś zwierzę. Nic dziwnego, że się wycofała! Nawet nie dałem jej wprost znać, że jestem nią zainteresowany.

Ale nie zatrzymała mnie. Wyraźnie jej się podobało. Jej ciało reaguje na mnie fantastycznie. To dobrze nam wróży na przyszłość.

Na szczęście, bo gdyby nic do mnie nie czuła, to dopiero byłaby tortura.

Ruszam przed siebie, wymijając kolejne drzewa. No dobrze, wiem, że ona na razie nie jest tak do mnie przywiązana, jak ja do niej. Nie kocha mnie. Ale po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że może to kwestia czasu. Może mam u niej szansę, jeśli to dobrze rozegram. Może zamiast udawać, że ona mnie nie obchodzi, powinienem...

Spróbować ją zdobyć.

Na samą tę myśl mam ochotę się roześmiać, ale jestem zbyt nabuzowany, by to zrobić. Jasne. Harrison Hart zdobywający taką kobietę. To byłby komiczny widok.

Co nie oznacza, że nie zamierzam spróbować.

Docieram w końcu do brzegu polanki i opieram się plecami o pień jednego z drzew, rozglądając się wokół. Okolica jest całkiem ładna, ale byłoby znacznie lepiej, gdyby nie lały się na mnie strumienie wody. Cóż. Przynajmniej nie będę mógł

ukrywać się za długo przed Mackenzie.

Cholera, prawie umarłem ze strachu, kiedy się rozbiliśmy, a ona była nieprzytomna. Powinienem być uratować też pilota, niezależnie od tego, jak bardzo mnie irytował, podrywając Mackenzie. Wciąż mam przed oczami jego twarz. Kiedy o nim myślę, czuję się, jakby coś zjadało od środka mój żołądek.

Czy gdybym mniej skupił się na dziewczynie, o którą tak bardzo chciałem zadbać, mógłbym pomóc też jemu?

Odsuwam od siebie te myśli, bo nie mają już znaczenia. Nie cofnę czasu, więc po co rozpamiętywać przeszłość? W

dodatku mam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Muszę zadbać o bezpieczeństwo mojej kobiety i sprawić, by bez problemów trafiła do domu.

Mojej kobiety. Naprawdę tak właśnie pomyślałem o Mackenzie?

Cóż, dyskusowanie z własnymi myślami chyba nie ma już sensu.

Podnoszę wzrok, gdy wydaje mi się, że dostrzegam coś między drzewami.

Mrużę oczy, jakbym dzięki temu mógł

wyraźniej zobaczyć, co tam się znajduje. Czyżbym widział jaśniejszy punkt na tle ciemnych drzew? Czy to możliwe, że...

Tak. To ludzie! Jacyś mężczyźni.

Idą powoli, ostrożnie, jest ich przynajmniej dwóch. Kluczą między drzewami ubrani w kurtki przeciwdeszczowe — to właśnie je zobaczyłem w pierwszej chwili. Ożywiam się i już chcę ruszyć w ich kierunku, żeby uzyskać pomoc, ale wtedy dostrzegam twarz jednego z nich i martwieję.

Znam tego człowieka. To ten sam, który groził nam bronią po wypadku na drodze do Lanai City.

Kurwa!

Cofam się i wracam do chatki. Myślałem, że ona należy do tutejszych strażników, ale co jeśli się myliłem? Co jeśli przypadkiem weszliśmy na teren tych zbirów? Może to ich kryjówka. Może właśnie tu idą, a ja zostawiłem w środku Mackenzie, samą, i w dodatku półnagą!

Przerażenie zalewa mi umysł, ale zachowuję wystarczająco dużo przytomności, by poruszać się dyskretnie. O dźwięki nie muszę się martwić, ulewa wygłusza wszystkie, ale skoro ja mogłem dostrzec tych ludzi, oni mogą też dostrzec mnie.

Na szczęście mam ciemniejsze ciuchy i lepiej wtapiam się w tło.

Docieram w końcu do chatki i wpadam do środka.

Mackenzie spogląda na mnie z łóżka, na którym siedzi, ma na sobie wilgotne wciąż ubrania.

— Zbieraj nasze rzeczy — polecam jej bez zwłoki. —

Musimy stąd spadać.

Posyła mi pytające spojrzenie, na które nie odpowiadam.

Jestem zbyt spanikowany, ale staram się tego nie okazywać.

Wprawdzie ostatnio pomogliśmy tym ludziom i istnieje niewielka szansa, że mogliby chcieć oddać przysługę, ale nie zamierzam ryzykować, żeby się przekonać. Są niebezpieczni, a skoro mają tu kryjówkę, pewnie składają gdzieś

w okolicy nielegalny towar. Czym się zajmują, przemytem? Broni, narkotyków? Nie chcę wiedzieć i nie mam zamiaru mieszać w to Mackenzie.

Pakuje swój plecak, a potem zabieram się za rzeczy Mackenzie, która nadal wpatruje się we mnie zdziwiona.

— Co cię ugryzło? — pyta ze złością. — Dalej leje jak z cebra, nie zamierzam wychodzić na zewnątrz! Możesz przestać?

Chwyta mnie za ramię, więc odwracam się do niej i łapię ją za kark, zmuszając, żeby na mnie spojrzała.

— Właśnie idą tutaj te same zbiry, które groziły nam po wypadku w drodze do Lanai City — wyjaśniam śmiertelnie poważnie. — To chyba ich kryjówka. Mamy tylko chwilę, zanim się tu pojawią. Chcesz jeszcze o czymś dyskutować?

Oczy Mackenzie rozszerzają się w przerażeniu, kiedy kręci głową. Puszczam ją z ponurym uczuciem satysfakcji.

Wreszcie sprawiłem, że zamilkła.

Wspólnie zbieramy resztę jej rzeczy i wynosimy się stamtąd. Niestety nie mamy czasu, by zatrzeć ślady naszej obecności, więc ludzie tego całego Miguela na pewno się domyślą, że ktoś był w ich kryjówce, ale nic na to nie poradzimy. Musimy jak najszybciej stąd pryskać, żeby nas nie znaleźli.

Chwytam Mackenzie za ramię, ciągnąc ją między drzewa, z daleka od chatki. Ledwie chowamy się za pierwszymi z nich, gdy zza domku wyłaniają się dwie osoby. Pokazuję jej, by została na miejscu, ukryta za pnem, a ona kiwa głową; w jej oczach widzę obawę. Chyba nie ja jeden mam wątpliwości, czy zbiry powitałyby nas z otwartymi ramionami.

Są blisko, ale ulewa zagłusza ich rozmowę. Przyglądam się, jak otwierają drzwi i wchodzi do środka, po czym daję znak Kenzie, żebyśmy uciekali. Wycofujemy się powoli, a potem zaczynamy biec.

Deszcz leje się na nas jak z cebra, w dodatku nadal jest bardzo wcześnie i w lesie panuje kiepska widoczność, więc ucieczka nie idzie nam zbyt sprawnie. Trzymam Mackenzie mocno, może nawet trochę zbyt mocno, zaciskając palce na jej ramieniu, ale nic nie poradzę na to, że się o nią martwię.

Chcę tylko zapewnić jej bezpieczeństwo.

Cała ta sytuacja to jakiś koszmar, nad którym kompletnie nie mam kontroli. Jestem tak wyprowadzony z równowagi, jak już dawno nie byłem.

Nie wiem, jak długo przedzieramy się przez las. Cały czas pilnuję Mackenzie, ale ona chyba tego nie dostrzega.

Znowu jesteśmy przemoczeni, mimo że mamy na sobie kurtki przeciwdeszczowe; podłóże jest śliskie, a moją towarzyszkę z pewnością wciąż boli noga, bo co chwila się potyka i opiera na mnie. Z każdą chwilą dyszy coraz bardziej i wiem, że długo nie wytrzyma takiego tempa.

Najwidoczniej nie ma takiej kondycji jak ja, więc muszę się do niej dostosować.

— Myślisz, że nas znajdą i zrobią nam krzywdę?! —

Mackenzie przekrzykuje w pewnej chwili deszcz.

Stanowczo kręci głową.

— Nie, Kenzie. Ochronię cię przed nimi.

Krzywię się wewnątrz na ten zaborczy ton, ale Mackenzie chyba nie zwraca na niego uwagi. Za bardzo jest zajęta innymi rzeczami.

— Wszyscy mówią na mnie „Mac” — zauważa.

Och, zmiana tematu. Jak dobrze.

Szkoda, że na taki.

— Ja nie jestem „wszyscy” — odpowiadam szorstko.

Gdy patrzę na nią kątem oka, na jej ustach na moment pojawia się słaby uśmiech. Na tych słodkich, pełnych ustach, których całowanie zapamiętam do końca życia, nawet gdybym miał ich więcej nie dotknąć.

Wątpię, czy bez tego wytrzymam. Już teraz czuję się jak narkoman: chcę więcej i więcej, odkąd pierwszy raz jej posmakowałem!

— Co robisz... że masz taką... dobrą kondycję? — wyrzuca z siebie po chwili.

Och, czy ta kobieta musi rozmawiać nawet wtedy, gdy uciekamy przed bandą jakichś zbirów?!

— Chodzę na siłownię — odpowiadam jednak. Skoro chcę ją zdobyć, chyba powinniśmy się lepiej poznać, nie? — I wspinam się na ścianie. Poza tym dużo biegam.

— Też trochę biegam. Ale mam wrażenie, że w tym terenie to całkowicie nieprzydatna umiejętność.

Muszę powstrzymać uśmiech. Tutaj ma rację.

Pomagam jej przejść przez powalone drzewo, a potem niechętnie ją puszczam. Dotyk Mackenzie przypomina mi, co jeszcze nie tak dawno robiliśmy w chacie, i dobrze, że

studzi mnie ulewa, bo inaczej pewnie znowu byłbym podniecony.

Ta kobieta właśnie tak na mnie działa.

Po jakimś czasie docieramy do polanki — to wąski pas ziemi pozbawiony drzew. Gestem wskazuję Mackenzie, żeby została z tyłu, a sam sprawdzam okolicę i przekonuję się, że to szlak.

— Doszliśmy do pieszego szlaku — mówię do niej. Próbuję ignorować fakt, że Mackenzie trzyma mnie za ramię, ale moje ciało rozgrzewa się nawet na tak lekki dotyk. — Jeśli ruszymy nim w dobrą stronę, powinniśmy w końcu dotrzeć do cywilizacji.

Nie wspominam, że to może zająć naprawdę dużo czasu.

Wolę o tym w tej chwili nie myśleć.

Spoglądam na moją towarzyszkę, by zobaczyć na jej twarzy piękny, radosny uśmiech. Mackenzie sądzi, że jesteśmy uratowani, podczas gdy ja nadal mam czarne myśli. Muszę się zorientować w kierunkach świata, żeby stwierdzić, w którą stronę iść. Ale jak to zrobić, skoro zasnułe chmurami niebo nie przepuszcza ani odrobiny światła słonecznego?

— Jestem idiotą. — Uderzam się dłonią w głowę, na co Mackenzie posyła mi pytające spojrzenie. — Zastanawiałem się, jak określić kierunki świata, a przecież mamy twoją komórkę. Kompas powinien działać niezależnie od tego, czy jest zasięg. Dasz mi telefon?

Mackenzie kiwa głową i sięga do plecaka, ale w tej samej chwili słyszę dźwięk, który przybliży się do nas z każdą chwilą. Jakby... warkot silnika?

Spoglądam ze zmarszczonymi brwiami na szlak. Jest za wąski, żeby przejechał nim samochód. A jednak zdecydowanie słyszę warkot...

W ostatniej chwili orientuję się, co jest grane. Chwytam Mackenzie za ramię i ciągnę ją z powrotem między drzewa.

Oboje kładziemy się na ziemi, nie zważając na fakt, że mokre błoto przykleja się do naszych ubrań.

Chwilę później mijają nas trzy rozpędzone quady, a na każdym z nich siedzi kierowca w kurtce z kapturem na twarzy. Trzymam ramię zaciśnięte na talii Mackenzie, nie pozwalając jej wstać, nawet kiedy pojazdy znikają za zakrętem i zaroślami. Czekam, aż warkot ich silników całkiem ucichnie w oddali.

Waham się. Możemy próbować pieszo dotrzeć do najbliższego miasta, ale dzieli nas od niego pewnie jakieś trzydzieści kilometrów do pokonania w deszczu, wąskim, niebezpiecznym szlakiem. Możemy też spróbować znaleźć miejsce, do którego pojechali ludzie na quadach, i ukraść jeden z nich, żeby szybciej wrócić do miasta.

A jednak to głupi pomysł. Nie powinniśmy ściągać na siebie zainteresowania tych ludzi. Już w zupełności wystarczy, że wiedzą, iż ktoś tu jest — w końcu na pewno domyślili się po stanie ich chatki. Nie będziemy kusić losu.

Biorę od Mackenzie komórkę i szybko ustaliam kierunki.

Wychodzi na to, że jeśli chcemy dotrzeć do miasta, musimy ruszyć w kierunku przeciwnym niż pojechały quady. To się nawet dobrze składa — lepiej, żebyśmy jak najbardziej oddalili się od niebezpieczeństwa, zamiast się do niego przybliżać.

Wychodzimy na szlak i ruszamy. Cały czas jestem nerwowy i czujny, wsłuchuję się w deszcz, próbując zawczasu wyłapać odgłos zbliżających się pojazdów. Nie chcę, żeby ktoś nas tu zaskoczył, ale szlakiem idzie się dużo łatwiej niż lasem, dlatego nie mogę tego odmówić Mackenzie i sobie.

Moja towarzyszka już się nie odzywa; jej milczenie wydaje mi się dziwne, ale przyjmuję je z ulgą. Sprawia wrażenie

przestraszona i poważnej, to dobrze. Powinna traktować tę sytuację poważnie. Znaleźliśmy się na terytorium zbirów, którzy już raz porządnie nas nastraszyli, i absolutnie nie mam ochoty na powtórkę.

— Nie boisz się? — pyta jednak w pewnej chwili.

— Boję się. — O ciebie, kochanie. — Ale musimy zachować spokój. Tylko tak wyjdziemy z tego cało.

Ku mojemu zdziwieniu Mackenzie sięga po moją dłoń i ściska ją. Robi mi się zaskakująco ciepło na sercu, gdy tak po prostu chwytam ją mocno, jakbyśmy byli spacerującą po plaży parą, a nie ocalańcami z katastrofy lotniczej uciekającymi przed niebezpiecznymi facetami przez las.

Chcę dodać jej otuchy i sądząc po jej słabym uśmiechu, udaje mi się to.

Idziemy, póki wczesny poranek nie zamienia się w dzień, a ulewa przechodzi w lekki deszcz. Po drodze dzielę się z Mackenzie batonikami zbożowymi i wodą, żeby nie padła z głodu, ale ledwie jestem w stanie wcisnąć w siebie cokolwiek. Za bardzo denerwuję się całą sytuacją.

Czuję się odpowiedzialny za tę kobietę. Mogłem przed wylotem sprawdzić prognozę pogody i powiedzieć temu dupkowi pilotowi, że huragan będzie się przemieszczał zbyt blisko Molokai, by móc bezpiecznie przelecieć tą trasą.

Mogłem zrobić cokolwiek! A jednak wylądowaliśmy w tej dziczy, w dodatku ze zbirami na karku, więc to ja muszę zagwarantować, że Mackenzie wróci bezpiecznie do rodziny.

Nie pozwolę, żeby coś jej się stało.

Choćbym miał ją chronić za cenę własnego życia.

W którymś momencie znowu słyszymy warkot silników.

Zbaczamy ze ścieżki tak głęboko między drzewa, żeby nie było nas widać, i przeczekujemy kolejne kilka quadów, na

których jedzie paru facetów. Zerkam dalej w las i dostrzegam coś, co przykuwa moją uwagę.

To chyba rodzaj kolejnego drewnianego domku, ale ten nie wygląda na kryjówkę zbirów. Tamten był dużo lepiej utrzymany i w dobrym stanie, ten natomiast wydaje się bardziej zrujnowany. Zbiry raczej tu nie wpadną.

Biorę Mackenzie za rękę i prowadzę ją w głąb lasu, a kiedy pyta, o co chodzi, brodą wskazuję jej domek. Natychmiast milknie.

— To bezpieczne? — pyta jednak po chwili namysłu.

Wzruszam ramionami.

— Sprawdzę to miejsce, a ty zostaniesz między drzewami.

Dam ci znać, jeśli wszystko będzie okej.

— Na pewno powinniśmy się zatrzymać?

— Kenzie, jesteś zmęczona i musisz odpocząć — przekonuję ją. — Pomyśl: niewiele spaliśmy, poza tym potrzebujesz zmiany opatrunku na nodze. Musimy nabrać sił, żeby iść dalej, bo inaczej popełnimy jakiś błąd i damy się złapać.

Na szczęście Mackenzie kiwa głową, jakby zgadzała się z moimi słowami. To dobrze, nie potrzeba mi dodatkowych kłótni.

Zostawiam ją przy drzewach, a ona nie protestuje, gdy idę sprawdzić domek.
Wewnątrz

brakuje wygod z poprzedniego: nie ma tu zapasów, kuchenki gazowej ani łóżka polowego, jest tylko brudna podłoga z desek i rzucony na nią materac, do którego wolę się nie zbliżać. Dach jednak nie przecieka i w środku jest w miarę sucho, więc jako chwilowa kryjówka to miejsce się nada.

Wprowadzam Mackenzie do jedyne go pomieszczenia, a gdy ona rozgląda się dookoła, czuję irracjonalną potrzebę wytłumaczenia się.

— Wiem, że to niewiele i nie będzie nam się wygodnie spało

— przyznaję — ale przynajmniej jest sucho.

— Jest idealnie. — Mackenzie wzdycha, ściąga kurtkę przeciwdeszczową i rzuca ją na podłogę, po czym siada pod jedną ze ścian, krzywiąc się przy tym.

— Masz rację, muszę odpocząć. Noga mnie boli.

Zerkam na opatrunek — krew przesiąknęła przez bandaż.

Cholera. Muszę jak najszybciej to poprawić.

Mam nadzieję, że apteczka w moim plecaku, którą udało mi się zabrać z poprzedniej chatki, całkiem nie zamokła.

Rozdział 18

Mackenzie

Jestem zmęczona i wszystko mnie boli.

Ledwie udaje mi się usiąść na podłodze pod ścianą, tak bardzo drżą mi nogi. Nie chciałam pokazać po sobie zmęczenia i zamierałam dotrzymać kroku Harrisonowi, ale chyba i tak zauważył, co się ze mną dzieje, biorąc pod uwagę ten postój.

Nie podoba mi się, że on chce tutaj nocować. To oznacza więcej czasu spędzonego na terytorium tych zbirów, na których nie mam ochoty znowu się natknąć. Może i pomogłam ich szefowi, ale kiedy przypominam sobie zimne spojrzenie Miguela, przechodzi mnie nieprzyjemny dreszcz.

Nie chcę mieć nic wspólnego z tym człowiekiem.

Harrison wyjmuje z plecaka apteczkę i klnie, kiedy się okazuje, że część jej zawartości przemokła. Opatrunki znajdują się w wodoodpornym opakowaniu, ale bandaże już nie.

— Trudno. — Wzruszam apatycznie ramionami. — I tak cała jestem mokra. Zanim wrócimy do domu, chyba porosnę pleśnią.

Spojrzenie Harrisona ociepla się nieco, jakby docenił ten słaby żart, ale szybko skupia się znowu na mojej nodze.

Pracuje metodycznie i nie odzywa się ani słowem, a kiedy kończy, wytrząsa ze szklanej buteleczki dwie tabletki i mi podaje.

— Tylenol — informuje. — Powinnaś to poćknąć. Poczujesz się trochę lepiej.

Mam wątpliwości, czy środki przeciwbólowe jakkolwiek pomogą na zmęczenie, ale nie będę protestować. Popijam je resztką wody i spoglądam na Harrisona.

— Kończy nam się woda?

— Mamy jej mnóstwo dookoła. — Wzrusza ramionami. —

Daj mi butelkę, pòjdę nałapać deszczówkę. Może to i nie jest najzdrowsze, ale lepsze od odwodnienia.

Kiwam głową i podaję mu butelkę, a on ze swojego plecaka wyciąga koc.

— Był w tamtej chatce — wyjaśnia. — Ale zdążyłem zabrać tylko jeden, zresztą więcej pewnie nie zmieściłbym do plecaka. Weź go.

Przyjmuję okrycie z wdzięcznością, równocześnie myśląc, że mnie nie przyszło do głowy zabranie czegokolwiek z kryjówki zbirów, co mogłoby nam pomóc w dalszej wędrówce. Dobrze, że Harrison zachował trzeźwość umysłu.

Wychodzi po deszczówkę, a ja zostaję sama. Przymykam oczy i opieram głowę o ścianę, próbując ignorować pulsowanie w mięśniach. Wszystko będzie dobrze, powtarzam jak mantrę. Bez bliskości Harrisona nie czuję się jednak nawet w połowie tak bezpiecznie jak wtedy, gdy on przy mnie jest.

Otwieram oczy, gdy wraca do chatki. Posyła mi przepraszające spojrzenie.

— Nie chciałem cię obudzić.

— Nie śpię. — Kręcę głową. Waham się, po czym dodaję: —
Chodź do mnie.

Coś dziwnego błyska w jego oczach, ale Harrison spuszcza wzrok i nie jestem w stanie upewnić się, co to takiego. Mam jednak wrażenie, że podoba mu się, że chcę go obok siebie.

Podchodzi bliżej i siada przy mnie na podłodze, zachowując jednak odrobinę dystansu. Nie mam ochoty rozpamiętywać naszej sytuacji, dlatego pytam o pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

— Co to było? To między nami w tamtej chatce?

Czuję, jak Harrison się usztywnia, chociaż nawet mnie nie dotyka.

— Potrzebujesz jakichś etykietek?

— Potrzebuję zrozumieć, o co w tym chodzi. — Wzruszam ramionami. — Jesteś trudny do rozszyfrowania. Mówisz, że nigdy nie patrzyłeś na mnie z odrazą, ale ja tak to właśnie odczuwałam.

— Dlaczego?

— Nie wiem, po prostu twoje spojrzenia... — Urywam, bo nie potrafię tego wytłumaczyć. Nie chcę mówić mu, że przemawiają przeze mnie kompleksy sprzed lat i niska samoocena, z którą ciągle walczę i czasami po prostu przegrywam. Nie zrobiłam sobie tego sama. — Patrzyłeś na mnie tak, jakby coś ci się nie podobało.

— Bo mi się nie podobało, ale nie chodziło o ciebie —

wyjaśnia. — Chodziło o mnie. Nie podobało mi się, jak na ciebie reaguję.

— A mówisz o tym w czasie przeszłym, bo...?

— Bo już wiem, że moje pożądanie jest odwzajemnione. —

Zdziwiona podnoszę wzrok, by stwierdzić, że on wpatruje się we mnie gorąco. — Wtedy myślałam, że nie mam u ciebie szans, i frustrowało mnie, że nie mogę cię wyrzucić z głowy. Ale teraz wiem, że to nie tylko ja.

— To nie tylko ty — przyznaję cicho. Spojrzenie Harrisona ześlizguje się na moje usta i mam wrażenie, że chce mnie znowu pocałować. — Więc... chcesz mnie przelecieć?

Drga po tych słowach, jakbym go uderzyła.

— Nie chodzi o jednorazowy numer, Kenzie — zapewnia, a ja mam wrażenie, że krew uderza mi do głowy. — Chcę cię zabrać na randkę, kiedy już wrócimy do cywilizacji. Z

gòry ostrzegam, że na jednej się nie skończy.

Jest taki spokojny, kiedy to mówi, ale coś w jego oczach podpowiada mi, że te słowa wiele go kosztują. Robi mi się gorąco i odnoszę wrażenie, jakbym nagle znalazła się w alternatywnym świecie.

Od początku naszej znajomości byłam przekonana, że on mnie nie znosi. Zachowywał się w taki sposób, że nie mogłam tego inaczej zinterpretować. A teraz mówi mi, że to dlatego, że próbował z tym walczyć?

Jezu. Chyba potrzebuję czasu, żeby to przyswoić.

Harrison jednak nie czeka na odpowiedź. Obejmuje mój policzek dłonią, palcem rozchyła mi wargi i pochyla się, żeby mnie pocałować. Wychodzę mu

naprzeciw i pozwalam wsunąć język do ust, pogłębić pieśczołę; odpowiadam na nią gwałtownie i zachłannie, wplatając palce w jego włosy.

Przez chwilę całujemy się tak, jakbyśmy nie mogli się sobą nasycić, ale Harrison odsuwa się zdecydowanie za szybko.

Ma przyspieszony oddech i zamglone spojrzenie, przeczesuje włosy palcami nerwowym ruchem.

— Powinnaś odpocząć — mówi z trudem. — Spróbuj zasnąć.

Wezmę pierwszą wartę. Potem możemy się zamienić.

Kiwam głową, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu, który wypełza mi na usta.

— Dobrze — odpowiadam.

Harrison unosi brew.

— Zgadzasz się, żebym został na czatach?

— To też — przyznaję. — Ale przede wszystkim zgadzam się na randkę.

Możemy na nią iść jeszcze na Hawajach albo po powrocie do Los Angeles, jak ci wygodniej.

Przez chwilę Harrison wpatruje się we mnie z oszołomieniem, a potem, ku mojemu zdumieniu, uśmiecha się.

To pełen męskiej satysfakcji, seksowny, absolutnie zniewalający uśmiech, od którego zapiera mi dech w piersiach. Natychmiast irracjonalnie zaczynam się cieszyć, że jestem jego jedyną odbiorczynią i że nie pokazuje go zbyt często. Inaczej mogłabym mieć konkurencję!

— To świetnie — odpowiada z zadowoleniem. — Ale ja wcale nie pytałam cię o zgodę, Kenzie.

Prycham z oburzeniem, lecz on wydaje się bardzo z siebie zadowolony i w ogóle nie zwraca na to uwagi. Zamiast tego przyciąga mnie do siebie, aż kładę się na podłodze z głową na jego udach. Harrison przykrywa mnie kocem, najwyraźniej starając się, żeby było mi w miarę wygodnie.

— Śpij — poleca. — Potrzebujesz odpoczynku. Obudzę cię, kiedy będę chciał zamiany.

Przymykam oczy, uznając, że chwilowo mogę się z nim nie kłócić.

Zostawię to sobie na później.

Budzę się nieco bardziej wypoczęta, choć mocno zeszywniała.

Jęczę, podnosząc się do pozycji siedzącej i dotykając obolałego karku, ale w tej samej chwili lądują na nim

zręczne męskie palce. Rozluźniam się, bo doskonale wiem, do kogo należą.

Harrison masuje mnie bez słowa, trafiając dokładnie w te miejsca, które potrzebują odprężenia. Jego palce przesuwają się po mojej skórze w sposób, który nie ma w sobie nic erotycznego, ale to i tak mnie pobudza. Słyszę, jak zmienia pozycję, siadając za mną; wyciąga nogi po obu stronach moich ud, zamykając mnie między nimi.

— Która godzina? — pytam zachrypniętym głosem.

Gardło mnie boli. Pewnie rozchoruję się od ciągłego moknięcia na deszczu.

— Środek nocy — odpowiada. — Pada coraz słabiej. Do rana pewnie całkiem przestanie.

To dobrze. Może jednak uda się obejść bez pleśni.

— Miiałeś mnie obudzić — przypominam mu z przyganą. —

Żebyś sam też mógł odpocząć.

— Miiałem taki zamiar — przyznaje — ale trochę przysnąłem. Nie bój się, nikt nas tu nie znajdzie.

Wcale się nie boję. Ani trochę. Ani odrobinę.

W pomieszczeniu panuje półmrok, deszcz uderza o dach, ale rzeczywiście dużo słabiej niż poprzedniej nocy.

Wzdycham, kiedy uświadamiam sobie upływ czasu.

— Ominiemy wesele Celi i Hudsona? — pytam z żalem.

— Możliwe. — Nie słyszę emocji w jego głosie, gdy odpowiada. — A jeszcze bardziej możliwe, że w ogóle go nie zorganizują, bo będą zajęci szukaniem nas.

Faktycznie. Dlaczego sama na to nie wpadłam?

— Nie podoba mi się, że psujemy im wyjazd — mówię rozczarowana. — Przez nas nie będą mogli się dobrze bawić...

Urywam, czując usta Harrisona na karku. Serce podchodzi mi do gardła i gorąco uderza w moje policzki, gdy on przyciska wargi do mojej skóry i całuje mnie niespiesznie.

Jego dłonie zsuwają się do ramion i talii, by następnie objąć mnie ciasno i przyciągnąć bliżej.

Mężczyzna odsuwa mi włosy na ramię, robiąc sobie lepszy dostęp, a ja walczę o oddech, który nagle staje się nierówny i urywany. Jego dłonie wsuwają się pod skraj mojej koszulki.

— Co robisz? — pytam zduszonym głosem.

— Nie powinnaś się teraz martwić o Celię i Hudsona, tylko o siebie — mamrocze mi w kark Harrison, nie przestając mnie całować. — Oni są bezpieczni, jedyne, co im grozi, to brak dobrej zabawy. Jeśli już musisz się nad kimś użalać, to nad nami.

Ma rację. Zresztą nie psujemy im tego wyjazdu celowo.

Harrison przesuwa usta w kierunku mojej szyi i ramienia; chwyta za dekolot mojej koszulki i odciąga go nieco, całując kolejne centymetry nagiej skóry. Oddech mi przyspiesza, podbrzusze zaciska się boleśnie, czuję żar przepływający przez żyły. Nie protestuję, kiedy Harrison chwyta mnie za podbródek i odwraca mi głowę, a jego wargi lądują na moich.

Jęczę, obejmując go za kark i przyciągając do siebie bliżej.

Zupełnie nie rozumiem tego, co się między nami dzieje —

ustaliliśmy coś na temat randki, sądziłam, że tyle mu na razie wystarczy, ale kiedy mnie dotyka, czuję się tak, jakby coś we mnie budziło się do życia. Bliskość tego mężczyzny odbiera mi zdolność logicznego myślenia.

Przygryzam jego język, aż Harrison warczy z zadowoleniem. Całujemy się szaleńczo,

łapczywie, jakbyśmy nie mogli się sobą nasycić, przywieram do niego na wpół odwrócona i zsuwam mu dłonie na ramiona przykryte materiałem koszulki.

Badam jego ciało zachłannymi ruchami, a dłonie Harrisona schodzą na mój tyłek. Podnosi mnie i odwraca do siebie, sadzając sobie na kolanach i nie przerywając pocałunku. Przysuwam się do niego i w tej pozycji czuję na wewnętrznej stronie uda, że jest podniecony.

Ja też. Jestem mokra i w potrzebie, ale zamierzam ignorować to tak długo, jak to tylko możliwe. Boję się, co Harrison sobie pomyśli, kiedy się dowie...

Odrywam się nagle, wpatrując się w niego z oszołomieniem.

Spojrzenie Harrisona jest zamglone, błyszczące pożądaniem, ma w sobie żar, który płonie tylko dla mnie.

Tak bardzo chcę więcej.

Ale jak mam sięgnąć po więcej, skoro nie potrafię?

— Wszystko w porządku? — pyta zachrypniętym głosem.

Półprzyciennie kiwam głową.

— Ja... po prostu...

— To nie jest dobre miejsce, wiem — przerywa mi. —

Przepraszam. Ale nie potrafię utrzymać rąk przy sobie, kiedy jesteś tak blisko.

Wow. Nie spodziewałam się po nim takich wyznań!

— To nie ma znaczenia — mówię bez tchu. — Ja nie...

Pocałuj mnie jeszcze.

Na twarzy Harrisona wykwita zadowolenie.

— Sama to zrób.

Nie waham się ani chwili. Przechylam się do niego i ponownie łączę nasze wargi, inicjując kolejny zachłanny, pełen głodu pocałunek. Harrison obejmuje mnie ciasno w talii i przyciąga jeszcze bliżej, aż opieram się o jego twardą klatkę piersiową. Kołyszę biodrami i słyszę, jak z ust wrywa mu się jęk.

Harrison wsuwa dłoń pod moją koszulkę, odnajduje pierś i zaczyna ją pieścić. Chcę więcej, mocniej, błagam go niemo o kolejne pieszczoty, a on chętnie mi je daje. Po chwili jego druga dłoń znika między moimi udami, a palce wsuwają się we mnie, wypełniając mnie głęboko.

Zaciskam się na nim i unoszę biodra, pozwalając mu mnie pieprzyć.

Chowam twarz w zagłębieniu jego ramienia, by po chwili poczuć gorące wargi Harrisona na boku szyi.

Pojawia się znajome napięcie kołujące się w dole brzucha, rozkosz rozlewa się po mnie falami. Jest mi tak dobrze, że chcę krzyczeć, ale zamiast tego przyciskam wargi do obojczyka Harrisona. Robię to tak mocno, że chyba zostawię mu malinkę.

— Dobrze? — pyta zdyszany głosem, a ja kiwam głową. —

Boże, przez ciebie nie myślę logicznie, Kenzie...

Przeszywa mnie dreszcz, a kciuk Harrisona odnajduje moją łechtaczkę, aż jęczę niekontrolowanie. Całe moje ciało robi się ciężkie, oddycham z trudem i mam w głowie totalną pustkę. Zmieniam się w same zakończenia nerwowe, mogę jedynie odbierać pieszczoty tego mężczyzny i reagować na niego jak na żadnego innego wcześniej.

Ale to w niczym nie pomaga. Mimo że uwielbiam czuć jego palce penetrujące mnie, to, jak pieści wszystkie moje wrażliwe miejsca, zaciskając

drugą dłoń na piersi, czegoś ciągle mi brakuje. Wiem, że nie dojdę.

Harrison jest cierpliwy, ale to mnie pierwszą dopada frustracja. A potem rezygnacja. Więc robię to, co przychodzi mi do głowy i co robiłam wielokrotnie wcześniej.

Udaję.

Jestem w tym naprawdę dobra. Oszukiwałam wszystkich moich facetów przekonanych, że robią mi dobrze. Kiedy jednak usztywniam mięśnie i odrzucam głowę do tyłu, zaczynam rozumieć, że to nie to samo. Z nimi było inaczej.

Wtedy robiłam to dla nas obojga — żeby mój partner mógł skończyć bez wyrzutów sumienia i dał mi święty spokój.

Teraz czuję się jak oszustka i mam wrażenie, jakbym okłamywała Harrisona. To nie w porządku.

Ale i tak to robię.

Po wszystkim odsuwam się od niego. Nie chcę spojrzeć mu w oczy, ale Harrison chwyta mnie za brodę i do tego zmusza. Jego spojrzenie jest ostre, przenikliwe, ale też pełne pożądania.

— Wszystko w porządku? — pyta znowu szorstkim głosem.

Z trudem kiwam głową. Chce mi się płakać, ale na pewno mu tego nie pokażę. Czuję się tak źle.

Nie chcę przy nim udawać. Nie chcę być dwudziestosiedmioletnią kobietą, która ani razu nie doświadczyła orgazmu. Ale to właśnie moja codzienność, więc co poradzę? Mogę tylko oszukiwać kolejnych partnerów.

Harrison przygląda mi się uważnie, jakby nie do końca wierzył w moje zapewnienia, ale nic nie dodaje. Jakaś pokręcona część mnie chce, żeby odkrył moje kłamstwo, żeby wiedział, że to nie był prawdziwy orgazm, ale chowam ją głęboko w sobie, tam gdzie jej miejsce — między bajkami. Nie będzie żadnego mistycznego połączenia dusz.

To tylko seks.

To mi o czymś przypomina.

— Powinam... — Zerkam w stronę kroku w jego spodniach, ale Harrison kręci głową i delikatnie zmusza mnie, żebym znowu na niego spojrzała.

— Nie musisz — zapewnia miękko. — Nie dlatego to zrobiłem. Ale ty...
Między nami w porządku?

Posyłam mu słaby uśmiech.

— Jeśli pytasz o to, czy nadal chcę iść z tobą na randkę, to odpowiedź brzmi: tak.

Harrison prychnął lekceważąco.

— Już mówiłem, że nie zamierzam pytać cię o zdanie — drażni się. — Poza tym przygotuj się, że po tej randce wezmę cię do mojego łóżka i dopiero wtedy pokażę, co potrafię.

Och, nie wątpię.

Problem w tym, że dla mnie to raczej niczego nie zmieni.

Z westchnieniem opieram policzek o jego tors i przymykam oczy. Nadal jestem rozgrzana i niezaspokojona, ale przywykłam do tego. Nic mi nie będzie.

— Dziękuję — mamroczę w koszulkę Harrisona, ale nie uściłam za co.

Cały czas nie mogę się jednak pozbyć uczucia wstydu.

Rozdział 19

Mackenzie

Następnego dnia z samego rana ruszamy w dalszą drogę.

Niebo na horyzoncie się rozjaśniło, chmury odeszły i znowu możemy oglądać ten piękny błękit, który łatwo pomylić z kolorem wody. Deszcz przestał padać i na drodze czeka wilgoć czająca się na liściach drzew i w poszyciu leśnym.

Głównie milczymy, idąc wąską ścieżką w kierunku, który wczoraj wskazał kompas w moim telefonie. Chociaż cisza między nami nie ma tego napięcia co na początku naszej znajomości, i tak nie czuję się komfortowo. Ciągle rozpamiętuję to, co zaszło między nami poprzedniej nocy, i jest mi z tym źle.

Nie chodzi o to, że pozwoliłam Harrisonowi się całować, macać po cyckach i włożyć palce w cipkę. To było zaskakująco przyjemne i chętnie bym to powtórzyła. Ale nie byłam z nim szczerą i to nie w porządku wobec niego.

Oktłamałam go. Nie powinnam była tego robić.

Wątpię, czy zauważył — nie skomentował tego ani jednym słowem. Ale to niczego nie zmienia. A jeśli chcę, żeby jeszcze kiedykolwiek do czegoś między nami doszło, w końcu będę musiała wyznać mu prawdę.

Sama nie wiem, dlaczego tak mi to przeszkadza. Inaczej to wyglądało w przypadku poprzednich facetów. Zawsze tłumaczyłam sobie, że udaję głównie dla ich dobra, i to działało. Do czasu, aż spotkałam Harrisona.

— To dziwne, kiedy tak nic nie mówisz — odzywa się w pewnej chwili niskim głosem.

Spoglądam na niego kątem oka. Poważny i ponury patrzy przed siebie, pilnując, żebyśmy nie zeszli z drogi.

— Myślałam, że lubisz ciszę — zauważam kąśliwie.

Harrison wzrusza ramionami.

— Tak, ale wiem, że ty nie. — Milknie na chwilę, po czym dodaje: — Boję się, co może ci chodzić po głowie, kiedy nic nie mówisz.

Przygryzam wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Harrison chyba też nie czuje się zbyt pewnie.

— Chodzi mi po głowie, że chciałabym ci się dzisiaj odwdzińczyć — odpowiadam, zanim przekonam sama siebie, że to zbyt bezczelne słowa.

Dopiero wtedy Harrison na mnie spogląda i robi to tak gwałtownie, że aż mu strzela w karku. Wydaje się wyprowadzony z równowagi.

— Co takiego?

— No wiesz... Chciałabym cię zaspokoić oralnie. —

Uśmiecham się łobuzersko. — Chyba że masz coś przeciwko?

Przez chwilę nie odpowiada, po prostu się na mnie gapiąc, aż zaczynam się czuć nieswojo. Widzę, jak Harrison z każdą chwilą robi się coraz bardziej ponury, tracę resztki odwagi i już otwieram usta, żeby się wycofać albo obrócić moje słowa w żart, kiedy nagle on odpowiada:

— No wiesz, bardzo chętnie. O ile najpierw ty pozwolisz mi NAPRAWDĘ doprowadzić się do orgazmu.

Zatrzymuję się w pół kroku, a gorąco występuje na moje policzki.

Co takiego?!

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — kłamię nieudolnie.

Harrison staje i przewraca oczami, zakładając ramiona na klatce piersiowej.

— Kenzie, możesz przestać udawać — poleca protekcjonalnie.

— Doskonale wiem, że to próbowałaś robić wczoraj, ale nie wychodzi ci to za dobrze.

Nie wychodzi mi za dobrze?! Żaden z moich poprzednich facetów nigdy się nie zorientował!

— Niby co takiego próbowałam zrobić?

— Chcesz, żebym powiedział to na głos? — Wydaje się zagniewany, kiedy marszczy brwi. — W porządku. Udawałaś orgazm. Zamierzasz zaprzeczać?

Otwieram usta, ale nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię skłamać mu prosto w oczy, a nawet gdybym to zrobiła, on i tak by mi nie uwierzył. Już za późno.

Nie myślałam, że jestem tak prosta do rozszyfrowania.

Harrison jest pierwszym, który w ogóle to zauważył!

— Dobra. — Wyrzucam ręce do góry w geście poddania. —

Udawałam. Zadowolony?

Brwi Harrisona marszczą się jeszcze bardziej.

— Z czego niby miałbym być zadowolony? — prychnął. — Z tego, że nie dałaś mi szansy doprowadzić cię do końca? O co chodzi, tak bardzo chciałaś to już mieć za sobą, Kenzie? Tak bardzo ci się nie podobało?

On chyba oszalał!

Naprawdę myśli, że to dlatego? Przecież czyta we mnie jak w otwartej księdze. Powinien ogarnąć, jak wiele przyjemności mi sprawiał. Powinien zrozumieć!

No dobrze, jednak ciągle nie umie czytać mi w myślach.

Może nie powinnam od niego wymagać zbyt wiele.

— Nie o to chodzi — protestuję pospiesznie.

Harrison kiwa sceptycznie głową.

— Jasne. Zaraz powiesz, że chodzi o ciebie, nie o mnie.

Znowu otwieram usta i nic nie mówię. Czyżby on był jasnowidzem?

— Bo tak jest — zapewniam go uparcie. — Harrison, było mi z tobą dobrze. Czy gdybym kłamała, proponowałabym powtórkę? Zgodziłabym się na randkę? Wczoraj... było gorąco. Naprawdę. Przecież sam to wiesz! Nie zaprzeczysz, że...

— ...że jest między nami chemia? — wchodzi mi w słowo. —

Oczywiście, że jest. I było cholernie gorąco. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś tak zakończyć ten wieczór. Czuję się, jakbyś wylała mi na głowę kubeł

zimnej wody.

No proszę, a nic po sobie nie pokazał! On chyba lepiej ukrywa uczucia ode mnie.

— Przepraszam — jęczę. — Naprawdę nie chciałam cię skrzywdzić.

— Więc dlaczego, Kenzie?

Waham się, lecz nie mam dość odwagi, żeby mu o tym opowiedzieć. Ruszam w dalszą drogę, ale odwrócenie się plecami do tego faceta okazuje się bardzo głupim pomysłem.

Piszczę, kiedy przyciąga mnie do siebie z powrotem, a jego ramię oplata moją talię. Wargi Harrisona ocierają się o moją skroń, na której czuję jego gorący oddech.

— Nie odwracaj się do mnie plecami, kiedy rozmawiamy — warczy.

Spoglądam na niego ze zdumieniem. Co takiego?!

— Czy ty właśnie wywarczałeś mi rozkaz prosto w twarz?

— Widocznie tego potrzebujesz — mówi z frustracją. —

Porozmawiaj ze mną, Kenzie.

— Od kiedy to ty jesteś tym, który chce rozmawiać?!

Jego usta spadają na moje całkowicie niespodziewanie.

Harrison zaskakuje mnie w momencie, gdy właśnie mam rozchylone, bez namysłu korzystając z sytuacji i wsuwając język między moje wargi. Całuje mnie głęboko, ze złością i z pożądaniem, tym samym, którym pulsuje całe moje ciało.

Obejmuję go odruchowo za ramiona, a po chwili czuję dotyk jego dłoni na moim tyłku.

Harrison przyciąga mnie do siebie jeszcze bliżej, aż biodrami ocieram się o jego brzuch i czuję, że jest podniecony. Chryste. Niewiele mu potrzeba! Z drugiej strony ja też jestem już wilgotna, więc prawdopodobnie to uczucie jest wzajemne.

Po chwili on odrywa się ode mnie i rzuca mi pełne złości spojrzenie.

— Tak lepiej? Wolisz robić to, zamiast rozmawiać? —

warczy. — Bo jeśli chcesz, mogę zaciągnąć cię w krzaki, położyć na ziemi i wziąć, aż znowu będziesz mogła udawać pieprzony orgazm.

Moje policzki znów robią się czerwone, gdy słyszę te bezlitosne słowa. On chyba jest zły.

Opuszczam słowo „chyba”, kiedy dostrzegam wzburzenie w jego oczach.

Przygryzam opuchniętą od pocałunku wargę, a wzrok Harrisona instynktownie wędruje w to miejsce. Walczę ze sobą, bo chciałam mu powiedzieć prawdę, ale jest mi z tym tak potwornie głupio. W końcu dochodzę do wniosku,

że nie mam się czego wstydzić. Przecież to nie moja wina, że mam jakiś defekt, prawda?

— Przepraszam — szepczę. — Naprawdę nie chciałam cię zranić. Nie musisz się teraz rewanzować.

Tyle wystarczy, żeby Harrison mnie puścił. Cofam się o krok, chociaż nie chcę tracić jego gorącego dotyku.

— Ja też przepraszam — mamrocze. — Właśnie dlatego wolę milczeć. To lepsze niż mówienie bez namysłu rzeczy, które niepotrzebnie sprawiają innym przykrość.

W tym akurat się z nim zgadzam.

Obejmuję się ramionami i patrzę na niego z frustracją. Nie mam się czego wstydzić, tak?

— Nie chodzi o ciebie — powtarzam z determinacją. —

Naprawdę. Było mi wczoraj dobrze... Nie, „dobrze” to za mało powiedziane. Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze jak z tobą. Ale ja... mam ten... feler.

— Feler? — Harrison patrzy na mnie z niezrozumieniem.

— Ja... nie umiem — odpowiadam cicho.

Przez chwilę oboje milczymy. Mężczyzna wpatruje się we mnie z niezrozumieniem, po czym wyciąga ku mnie ręce i po chwili czuję jego palce na moich biodrach. Przyciąga mnie do siebie, aż znowu muszę zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Czego nie umiesz, Kenzie?

— Dojść — wyrzucam z siebie w końcu. — Nie umiem dojść.

Rozumiesz?

— Niezupełnie — przyznaje ostrożnie. — Masz problem z orgazmem?

Tak. Jak cholera. Taki, że on w moim przypadku nie istnieje.

— Można tak powiedzieć. — Śmieję się histerycznie. —

Harrison, ja... Ja nie miewam orgazmów. Rozumiesz?

Udawałam przy wszystkich moich facetach. Nauczyłam się tego, bo było mi głupio, kiedy partner się starał, a ja nie mogłam dojść. Więc... z tobą postąpiłam podobnie. Bałam się, że inaczej się zorientujesz.

Harrison wpatruje się we mnie w lekkim szoku.

— Moment. Chcesz mi powiedzieć, że z żadnym facetem nie miałaś nigdy orgazmu? — pyta z niedowierzaniem. — Jezu, Kenzie, z kim ty się spotykałaś, z samymi nieudacznikami?

Z zapatrzonymi w siebie dupkami, których nie interesowała twoja przyjemność?

To nie w porządku, że tak mówi, więc mimo że bardzo nie chcę, muszę to wyprostować.

— To nie ich wina, Harrison. — Wzdycham. — Oni naprawdę się starali. No, przynajmniej większość z nich.

Widzę, jak robi niezadowoloną minę.

— To ilu ich właściwie było?

— Okej, możemy się w to teraz nie zagłębiać? — Unoszę dłonie, jakbym próbowała się przed nim bronić. — Słuchaj, to naprawdę nie ich wina. To ze mną jest coś nie tak. Ja nawet sama nie potrafię...

Nie kończę zdania, ale Harrison natychmiast się orientuje, co próbuję mu powiedzieć.

— Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie miałaś orgazmu?

Nawet sama? Nawet się masturbując?!

No proszę. Wreszcie załapał.

Niechętnie kiwam głową, a on wygląda na totalnie zszokowanego. Nie ma w nim niewiary, czego się trochę obawiałam; nie patrzy na mnie z litością czy niesmakiem, po prostu jest zaskoczony. Nie dziwię się.

Czytałam o kobietach, które mają trudności z dojściem.

Które trzeba długo stymulować, żeby osiągnęły orgazm.

Szukałam na ten temat informacji, gdy jeszcze myślałam, że to w czymś pomoże. Czytałam o niedopasowaniu partnerów, o egoizmie w trakcie seksu, ale niewiele znalazłam na temat tego, co zrobić, jeśli W OGÓLE nie jest się w stanie dojść. Uznałam, że wolę tak żyć, niż szukać pomocy u specjalisty, i niejako się z tym pogodziłam.

Dla Harrisona to jednak coś nowego i pewnie dlatego draży temat.

— Byłaś u lekarza? — pyta.

— U ginekologa — przytakuję. — Fizycznie wszystko ze mną w porządku. Lekarz zaproponował wizytę u seksuologa, ale to chyba nie dla mnie. Pogodziłam się z tym, że coś jest ze mną nie tak, ale nie lubię mówić o tym ludziom, więc zazwyczaj podczas seksu udaję.

— To musi być okropnie frustrujące — zauważa.

Wzruszam ramionami.

— Przyzwyczałam się.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie w milczeniu, aż widzę na twarzy Harrisona determinację. Chyba właśnie podjął jakąś decyzję.

— Przy mnie nie będziesz się przyzwyczajala — oznajmia. —

Jeśli mamy to powtórzyć, więcej nie będziesz udawała.

O rany. Wjechałam mu na ambicję.

— Harrison, to nie ma sensu...

— O cokolwiek chodzi, to siedzi w twojej głowie, Kenzie — przerywa mi. — Możesz mieć orgazm, tylko z jakiegoś powodu się przed tym powstrzymujesz. Więc sprawię, że przestaniesz, a ty będziesz mnie potem mogła uważać za boga seksu.

Parskam śmiechem, ale Harrison pozostaje całkowicie spokojny.

Boże, on mówi poważnie.

— To tak niedorzeczne, że nie wiem, od czego zacząć — pryham.

On tylko kręci z politowaniem głową, po czym bierze mnie za rękę.

— Zaczniemy, kiedy będziemy mieli łóżko. A skoro już wiem, czego się spodziewać, będę przygotowany.

Wow. Mówi tak, jakby wybierał się na wojnę, ale nie mam okazji tego skomentować, bo Harrison ucina rozmowę i zmusza mnie do marszu. A kiedy próbuję go po raz kolejny zapewnić, że to bez sensu i szkoda jego sił na coś, co widocznie nie jest mi pisane, on zniemacka pyta:

— Jakie jest twoje wymarzone miejsce na randkę?

Patrzę na niego zdziwiona, ale on nie dodaje nic więcej, wpatrując się w drogę przed sobą z determinacją. Mrużę oczy. To chyba jego sposób zakończenia niewygodnego tematu i równocześnie dowiedzenia się czegoś o mnie.

Kurczę. Jak na gburę całkiem nieźle mu idzie. Oczywiście nie jest to najzręczniejsze rozpoczęcie konwersacji, ale liczą się dobre chęci!

Daję się wciągnąć w pogawędkę, którą staram się prowadzić w miarę naturalnie. Harrison wyraźnie sobie z tym nie radzi i chociaż rozmawia ze mną całkiem normalnie, gdy omawiamy jakiś problem i mamy sobie coś konkretnego do przekazania, zamyka się, gdy tylko przychodzi do small talku. Jakby nie miał pojęcia, co i jak mówić. Chyba rzeczywiście jest w tym kiepski.

Wypytuje mnie o rodzinę, a ja, ponieważ Harrison zna już mój najbardziej wstydlivy sekret, pękam i opowiadam mu także o tym.

— Ojciec zostawił mamę, kiedy oboje z Hudsonem byliśmy mali — wyjaśniam. — Znalazł sobie drugą żonę, a potem trzecią. A po nich miał jeszcze dwie narzeczone.

— Poważnie?

Wydaje się zdumiony tym faktem. Wzruszam ramionami.

— No cóż, mój ojciec zakochuje się na zabój, ale za każdym razem na krótko. W trakcie tych związków jest na nich jednak całkowicie skupiony, co oznacza, że jego dzieci idą w odstawkę. Bywały miesiące, kiedy w ogóle go nie widywałam.

— Nie rozumiem tego. — Harrison marszczy czoło. — Jak można zakochiwać się tyle razy i tyle razy żenić?

Hartowie...

— Wiem, zakochują się tylko raz — przerywam mu ze śmiechem. — I co? Nie powiesz mi, że nie byłeś nigdy zakochany.

Posyła mi nieodgadnione spojrzenie.

— Byłem — przyznaje. — Raz.

Po tych słowach robi mi się trochę przykro. Serce mnie kłuje i nie wiem dlaczego, ale myśl o Harrisonie zakochanym w jakiejś kobiecie zaskakująco mocno mnie boli.

— Więc dlaczego z nią nie jesteś? — pytam, siląc się na beztroskę.

Wygląda na zadowolonego z siebie, kiedy odpowiada:

— To tylko kwestia czasu.

Ach tak.

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Jeśli Harrison ma na oku inną

kobietę, to po co chce umawiać się ze mną? Sądzi, że to nie zrani żadnej z nas?

Chyba że... Och.

Nie, to niemożliwe.

Nie użyłby czasu przeszłego, gdyby chodziło o mnie, prawda? I nie powiedziałby tego tak swobodnie, mam rację?

— A ty? — podejmuje Harrison po chwili milczenia. — Ile razy byłaś zakochana? Ile miałaś poważnych związków?

Więc jednak wracamy do tego tematu?

Próbuję odepchnąć myśli o tym, kogo mógł kochać Harrison, i skupić się na odpowiedzi. Powiedziałam mu o sobie już tyle, że chyba mogę i to.

— Niewiele — stwierdzam. — Byłam w trzech związkach.

Ostatni zakończyłam kilka miesięcy temu.

— Dlaczego?

Serio? On zamierza napisać o mnie biografię czy jak?

— Bo to nie był dla mnie dobry facet.

Wzruszam ramionami, nie zamierzając wdawać się w szczegóły.

Powiedziałam Harrisonowi o sobie naprawdę wiele, ale nie mam ochoty wracać wspomnieniami do związku z Erikiem. Prawda jest taka, że się wstydę. Jest mi głupio, że pozwoliłam tak sobą pomiatać i nie zauważyłam wystarczająco wcześnie, jak bardzo toksyczna jest ta jego bodyshamingowa gadka i poniżanie mnie na każdym kroku.

To moja wina, że nie wyrwałam się z tego wcześniej i że w ogóle pozwoliłam mu się do siebie zbliżyć, chociaż od początku widziałam pewne czerwone flagi. Tak już mam, że przyciągam niewłaściwych facetów. Nie wiem dlaczego.

Moja odpowiedź chyba daje Harrisonowi do zrozumienia, że nie chcę drążyć tego tematu, więc litościwie milknie i nie

dopytuje więcej ani o Erica, ani o innych moich poprzednich partnerów.

Przez jakiś czas znowu idziemy w ciszy; w końcu zaczynam słyszeć szum, który stopniowo się do nas przybliża. Dopiero kiedy las po prawej stronie nieoczekiwanie się kończy, ustępując miejsca stromemu klifowi, orientujemy się, że wróciliśmy nad brzeg oceanu.

Woda w oddali jest wzburzona, a niebo czyste i niebieskie.

Słyszę, jak fale uderzają w skały na dole, ale nie podchodzę do brzegu, żeby spojrzeć.

Harrison się zastanawia.

— Chyba powinniśmy się znowu ukryć w lesie — mówi. —

Tu jesteśmy za bardzo na widoku.

Jeszcze dobrze nie przebrzmiewają jego słowa, gdy wiatr niesie ku nam echo czyichś głosów. Krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach, bo przez głowę przemyka mi, że może to ktoś, kogo będziemy mogli prosić o pomoc, i przyspieszam kroku. Zaraz potem orientuję się, że głosy dochodzą z nad wody — prawdopodobnie z podnóża klifu.

Ciągnę Harrisona w tamtą stronę, chociaż ten syczy, że to lekkomyślne.

Ponieważ jednak za bardzo się boję wysokości, na brzegu urwiska upadam na kolana i ostrożnie przechylam się do przodu, przytrzymując się rękami.

W pierwszej chwili moje serce podskakuje z nadzieją, że wreszcie znaleźliśmy kogoś, kto mógłby nam udzielić wsparcia. W niewielkiej zatoczce na dole cumuje duży jacht, wokół którego krzątają się ludzie. Już mam zacząć wołać o pomoc, kiedy przyglądam się uważniej ich twarzom i z niepokojem stwierdzam, że rozpoznaję jednego z nich.

To te same zbiry, które spowodowały nasz wypadek w drodze do Lanai City i przed którymi ukrywamy się w lesie!

— Padnij — syczy Harrison, przytrzymując mnie za kark, żebym opuściła się jak najniżej. Najwyraźniej on też to zauważył.

Posłusznie przywieram do ziemi i znowu wyglądam za brzeg klifu. Cholera. Wygląda na to, że ci ludzie mają tutaj jakiegoś rodzaju kryjówkę. To niedobrze. Jeśli się zorientują, że tu jesteśmy, na pewno nas zabiją — z każdą chwilą dowiadujemy się więcej o ich nielegalnej działalności.

Po prostu świetnie.

Rozdział 20

Mackenzie

Nie wiem, jak długo tak leżymy, bojąc się podnieść na nogi.

— Daj mi telefon — szepcze w pewnym momencie Harrison.

Wyciągam w jego stronę komórkę, nie zadając zbędnych pytań. Mój towarzysz pstryka kilka fotek jachtowi, po czym chowa aparat z powrotem do wodoodpornego woreczka, w którym noszę go od początku tej podróży. Nie wiem, co zamierza z nimi potem zrobić — jak dla mnie to jedynie kolejny powód, żeby tamci chcieli się nas pozbyć — ale nie pytam o to, bo gardło mam zbyt ściśnięte z niepokoju, żeby wydusić z siebie choćby słowo.

Mężczyźni na dole krzątają się przy łodzi, ale nie wygląda na to, by wkrótce mieli odpłynąć. Wątpię, żebyśmy mogli przemknąć otwartym terenem niezauważeni, więc

pozostaje nam tylko ponownie ukryć się w lesie. To wydłuży czas wędrówki, a już i tak burczy mi w brzuchu z głodu, bo nasze zapasy nie wystarczyły na długo. Nie mamy jednak innego wyjścia.

Podnoszę się na łokciach, żeby lepiej przyjrzeć się jachtowi i jego załodze, i właśnie wtedy czuję, jak coś zimnego dotyka mojego karku. Zastygam.

— Wstawać, tylko powoli — słyszę obcy męski głos. — No już, nie będę powtarzał.

Kątem oka zerkam za siebie, by stwierdzić, że ktoś wymierza we mnie karabin. Lufa opiera się o moją szyję; mam wrażenie, że serce zamarło mi na moment. Wystarczy,

żeby ten facet nacisnął spust, a umrę w męczarniach, dławiąc się własną krwią.

Obok niego stoi drugi, który celuje do Harrisona. Ten odwraca się i klęka, po czym lustruje uważnie całą scenę.

— Przestańcie do niej mierzyć — mówi — a zrobimy, co każecie.

Oblewa mnie zimny pot i boję się choćby ruszyć, gdy lufa karabinu zsuwa się z mojej szyi w dół ciała do miejsca między łopatkami.

— A może po prostu ją zastrzelę i będzie po kłopotcie? — zastanawia się jeden z napastników.

Widzę, jak drga mięsień w policzku Harrisona. Jezu, mam nadzieję, że on nie zrobi niczego głupiego!

— Musimy to obgadać z szefem — protestuje ten drugi. —

Trupy w tej okolicy zwrócą na siebie uwagę, a tego nie chcemy.

Panika chwytą mnie za gardło. Trupy?!

— Możecie omawiać to do woli, ale przestańcie do niej mierzyć — powtarza stanowczo Harrison. — Ona nie stanowi zagrożenia, tylko ja.

Czuję, że po policzkach spływają mi łzy. W następnej chwili ucisk na moich plecach słabnie, a ja wciągam powietrze, gdy Harrison pomaga mi wstać.

Mam nogi tak miękkie w kolanach i drżące, że ledwie mogę ustać.

Faceci stoją przed nami z opuszczonymi karabinami.

Przyglądają nam się czujnie, dlatego wiem, że ucieczka nie wchodzi w grę. Zarobiłabym kulkę, nim zdążyłabym choć trochę się oddalić. Dobrze jednak, że przestali do nas celować.

Jeden z nich wyjmuje komòrkę i dzwoni do kogoś.

— Mamy tu dwòjkę intruzòw, szefie — rzuca do słuchawki.

— Tak, to pewnie oni. Sprowadzić ich?

Przez chwilę słucha odpowiedzi, po czym potwierdza mruknięciem i kończy połączenie. Potem spogląda na nas z szyderczym uśmiechem.

— Szef zaraz przyjdzie i zdecyduje, co z wami zrobić —

oświadcza. — Mielście naprawdę sporo pecha, nie? Rozbić się akurat tutaj i wejść nam w paradę.

— Rozbić się? — powtarza Harrison.

Zbir wzrusza ramionami.

— Znaleźliśmy wrak helikoptera z ciałem pilota —

informuje. — Na pewno nie leciał sam. To stamtąd się wzięliście, prawda? I to wy znaleźliście naszą kryjòwkę w lesie? Co jeszcze wiecie?

Harrison chwyta mnie za ramię i ostrożnie przyciąga do swojego boku.

Mocno do niego przywieram i pozwalam się objąć, bo ciągle cała się trzęsę i czuję się przy nim bezpieczniej. Jesteśmy w ogromnych kłopotach i on raczej nie będzie w stanie nas z tego wyciągnąć, ale jego bliskość i tak mnie pociesza.

— Niczego nie wiemy — odpowiada beznamiętnie. — I o niczym nikomu nie powiemy, jeśli puścicie nas wolno.

— Aha — fuka jeden z bandzioròw.

— Tak samo, jak nie powiedzieliśmy o niczym, gdy moja kobieta uratowała życie waszemu szefowi — dodaje Harrison.

Jezu, nic nie poradzę na to, że fiksuję się na słowach „moja kobieta”. To brzmi tak neandertalsko, ale mimo wszystko jestem tym podniecona. Pròbuję sobie wmòwić, że Harrison mòwi tak tylko dlatego, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i chce mnie chronić, ale moje głupie serce wie lepiej.

To ròwnocześnie prymitywnie samcze i gorące. Nic na to nie poradzę!

Napastnicy tymczasem wymieniają spojrzenia, po czym ten bardziej gadatliwy kwituje słowa Harrisona pogardliwym uśmieszkiem.

— Jasne. Nie nabierzecie nas. Zresztą szef zaraz przyjdzie i wtedy się przekonamy.

Przypominam sobie moje ostatnie spotkanie z Miguelem i nagle robi mi się dziwnie zimno. Nie chcę znowu widzieć tego człowieka. Jest w nim coś przerażającego.

Wygląda jednak na to, że nie mam wyjścia.

Harrison przesuwa się nieco, bardzo powoli, zastaniając mnie częściowo własnym

ciałem przed zbirami. Mimowolnie zauważam, że to naprawdę słodkie.

Nie odpowiada nic i ja też tego nie robię. Czekamy w ciszy, a moje mięśnie robią się z każdą chwilą coraz bardziej napięte. Boję się, jak rozwinie się ta

sytuacja, i chociaż ewidentnie Miguel ma u mnie dług wdzięczności, wątpię, czy on będzie widział to tak samo.

W końcu słyszymy zbliżające się kroki i po chwili na ścieżce pojawia się facet, którego opatrywałam wtedy na drodze do Lanai City. Ma laskę, na której się opiera, odciążając zranioną nogę, ale poza tym wygląda na zdrowego. Wysoki i barczysty, o śniadej skórze i kręconych, nieco zbyt długich czarnych włosach, mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie lodowaty błysk w jego oczach.

To on sprawia, że drzę cała, kiedy pada na nas jego wzrok.

Najpierw facet jest zaskoczony, ale szybko na jego ustach wykwita zadowolony uśmiech.

— To wy — stwierdza z rozbawieniem. — Znowu się spotykamy, Mackenzie. To musi być przeznaczenie.

Raczej los mnie nienawidzi.

— Szef ich zna? — dziwi się jeden ze zbirów.

Miguel kiwa głową.

— Uratowali mi życie, gdy ten nowy głupek mnie postrzelił

— informuje. Faceci znowu wymieniają zaskoczone spojrzenia; najwyraźniej sądzili, że Harrison kłamie. — To oni lecieli tym helikopterem?

— Tak założyliśmy.

Miguel przenosi na nas pytające spojrzenie, na szczęście Harrison przejmuje ciężar rozmowy.

— Owszem, lecieliśmy helikopterem — potwierdza. —

Uderzył w nas wiatr i deszcz, pilot stracił kontrolę i rozbiliśmy się. Nie chcemy kłopotów. Pozwólcie nam wrócić do cywilizacji, a nikt nie usłyszy, że tu jesteście.

Brzmi na pewnego siebie, za co go podziwiam. Gdybym to ja miała się odzywać, jękałabym się, drżałby mi głos i prawdopodobnie już bym się rozplakała.

— Wiesz, byłbym nawet skłonny to rozważyć — zamyśla się Miguel — gdyby nie fakt, że wszechświat wyraźnie daje mi znak.

Harrison marszczy czoło.

— Jaki znak?

— Obiecałem twojej uroczej towarzyszce, że jeszcze się spotkamy. — Miguel uśmiecha się i puszcza mi oko, na co uścisk Harrisona na moim ramieniu jeszcze się wzmacnia.

— Nie zamierzałem was szukać, ale sami mnie znaleźliście.

Uratowaliście mi życie, więc powinienem pozwolić wam odejść, jednak po naszym ostatnim spotkaniu doszedłem do wniosku, że Mackenzie jest moim szczęśliwym talizmanem.

Po tych słowach krew uderza mi do głowy. Czuję, jak ciało Harrisona tężeje, jakby on też zdawał sobie sprawę, że

wpadliśmy jak śliwka w kompot.

— Mackenzie nie jest żadnym talizmanem.

— Ależ oczywiście, że jest — protestuje Miguel. —

Uratowała mi życie. Chcę ją mieć blisko na wypadek, gdybym znowu potrzebował takiej pomocy.

Co takiego?!

Harrison wydaje z siebie dziwny dźwięk, coś jakby ostrzegawcze warknięcie. Dociera to do mnie dopiero po chwili, bo jestem zbyt oszołomiona tym, co usłyszałam i co się wokół mnie dzieje.

To nie może być prawda. Wszystko musi mi się śnić! To jakiś koszmar, z którego zaraz się obudzę zlaną potem!

— Nie będziesz jej miał blisko — mówi twardo Harrison. —

Mackenzie należy do mnie i nie zamierzam oddawać jej nikomu, zwłaszcza jakiemuś gangsterowi. Jak sam wspominałeś, masz u nas dług, więc puść nas wolno i zapomnij o tym spotkaniu. My na pewno zapomnimy — już się przekonałeś, że można nam ufać.

Miguel przez chwilę nie odpowiada, przyglądając się nam z namysłem. Nie wiem, czy Harrison słusznie postąpił, zachowując się tak terytorialnie — to nigdy nie działa dobrze na samców alfa. Wiem, że próbuje mnie bronić, mówiąc takie rzeczy, ale obawiam się, że nasz przeciwnik potraktuje to jak wyzwanie.

— Jest tylko jeden problem — odpowiada w końcu Miguel, a jego spokojny ton sprawia, że jeżą mi się włosy na karku. —

Nie stoisz na pozycji, z której mógłbyś cokolwiek negocjować. Znajdujecie się na moim terenie i między moimi ludźmi. Wystarczy sekunda, żeby ktoś wpakował ci kulkę między oczy. Naprawdę tego chcesz?

Wtedy nie wytrzymuję.

— Nie, proszę — mówię jedynie, ale tyle wystarczy, żeby uwaga Miguela przeniosła się na mnie.

— Ona jednak mówi — zauważa. — Postuchaj mnie, mój szczęśliwy talizmanie. Jeśli pòjdiesz ze mną po dobroci, to nic nie zrobię twojemu kochasiowi. Nie chcesz chyba, żeby o ciebie walczył. Przecież wiesz, że nie macie z nami szans.

Lepiej rozwiązać to pokojowo, prawda?

Jezu. To się nie dzieje naprawdę. To nie może być jawa!

— Po co mam z tobą pòjść? — pytam drżącym głosem.

Miguel lekceważąco wzrusza ramionami.

— Przynosisz mi szczęście, więc chcę cię mieć blisko siebie

— oświadcza ku mojej rosnącej panice. — Poza tym twój los jest związany z moim, odkąd uratowałaś mi życie. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

On jest zwyczajnie pieprznięty. Nie ma innego wytłumaczenia!

— Ona nie pòjdzie z tobą — upiera się Harrison. — Nie ma takiej pierdolonej opcji. Zostawcie nas w spokoju i wracajcie do swoich interesów. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Miguel robi tylko jeden ruch ręką, tyle jednak wystarczy, by jego ludzie ponownie podnieśli karabiny i wycelowali w Harrisona. Ten sztywnieje, ale poza tym nie widać, by to robiło na nim jakieś wrażenie.

Na mnie jednak robi.

— Nie! — krzyczę rozpaczliwie i zwracam się do Miguela.

— Pòjdę z tobą. Pòjdę z tobą, tylko nie ròbcie mu krzywdy!

Harrison posyła mi wściekłe spojrzenie.

— Przestań, Kenzie. Siedź cicho i pozwól mi to załatwić!

— Załatwisz tylko tyle, że dasz się zabić! — odkrzykuję histerycznie, po czym znów przenoszę wzrok na Miguela. —

Pòjdę z tobą, ale obiecaj, że nie zrobisz Harrisonowi krzywdy. Właściwie... obiecaj, że nie skrzywdzisz żadnego z nas.

Przez chwilę przygląda mi się z zainteresowaniem, po czym odpowiada:

— Obiecuję. Czy możemy już skończyć z tymi dramatami?

Robię niepewny krok w jego stronę, ale Harrison chwytá mnie za ramię i ponownie do siebie przyciąga. Łąduję z twarzą w jego klatce piersiowej.

— Nie — mówi z rozpazą. — Nie możesz tego zrobić, Kenzie! Nie puszcze cię.

Wspinam się na palce i całuję go pospiesznie. W tej samej chwili czuję, jak na moich ramionach zaciskają się czyjeś ręce, ktoś ciągnie mnie do tyłu, wyrwając z objęć Harrisona. Widzę w jego oczach wściekłość, gdy rzuca się na jednego z napastników; krzyczę błagalnie, żeby zostawili go w spokoju, ale ktoś uderza go w twarz kolbą karabinu.

Harrison zatacza się do tyłu, a ja zostaję pociągnięta z dala od niego.

Dygoczę ze strachu. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. Krzyżuję wzrok z Harrisonem i on z pewnością wyczytuje to z moich oczu. Jego błędne, pełne szaleństwa spojrzenie łamie mi serce.

— Jeżeli to zrobisz, dopadnę cię — mówi i dopiero po chwili orientuję się, że chociaż wciąż patrzy na mnie, kieruje swoje słowa do Miguela. — Poruszę niebo i ziemię, żeby odzyskać moją kobietę. Rozumiesz?

Mam wrażenie, że moje serce znowu zatrzymuje się na moment. Po raz pierwszy dochodzę do wniosku, że on nie mówi tego jedynie na pokaz. Nie używa takich zwrotów

wyłącznie po to, by zaznaczyć swoją własność, ale by napastnicy wiedzieli, że jeśli spróbują mnie tknąć, czeka ich jego gniew.

Harrison naprawdę tak uważa. Chociaż znamy się krótko, chociaż jeszcze niedawno byłam pewna, że między nami jest głównie nienawiść, chociaż nie byliśmy nawet na jednej oficjalnej randce, on serio uważa, że jestem jego kobietą.

Że do niego należę.

Świadomość tego uderza mi do głowy jak mocny alkohol.

Nie mogę się jednak na tym skupiać, bo zbyt dużo się wokół mnie dzieje.

— W zasadzie masz rację — odpowiada Miguel powoli.

Słyszę jego głos tuż obok i po chwili jego dłoń zamyka się na moim ramieniu, czemu Harrison przygląda się z mordem w oczach. — Nie mogę ci na to pozwolić.

Spogląda na swoich ludzi i kiwa na nich głową, po czym wydaje rozkaz:

— Zabijcie go, gdy już odejdziemy.

— Nie! — Próbuję się wyrwać, ale uścisk Miguela tylko się zacieśnia. Szarpię się, patrząc bezradnie, jak jego ludzie obezwładniają Harrisona. Kiedy usiłuje się

bronić, dostaje kolejne uderzenie, tym razem w żołądek. — Nie, błagam, nie róbcie mu krzywdy! Obiecałeś!

— Obiecałem, że go nie skrzywdzę — potwierdza Miguel, boleśnie wykręcając mi ramiona za plecami. Niemalże rzuca mnie tym na kolana. — I nie zrobię tego. Moi ludzie mnie wyręcą.

Szarpie mnie tak mocno, że przed oczami pojawiają mi się ciemne plamy. Czuję łzy na policzkach, znowu krzyczę, błagając Miguela, żeby oszczędził Harrisona, ale on nic sobie z tego nie robi. Ciągnie mnie w przeciwnym kierunku, niż jego ludzie prowadzą Harrisona, a kiedy podwajam

wysiłki, żeby się wyrwać, spada na mnie ciężkie uderzenie pięści.

Zanim stracę przytomność, słyszę jeszcze huk wystrzału.

Potem zapada cisza.

Budzę się gwałtownie, z szybko bijącym sercem. Świat faluje mi przed oczami, gdy podnoszę głowę. Robi mi się niedobrze i muszę się bardzo starać, żeby utrzymać w sobie resztki zawartości żołądka.

Dopiero po chwili orientuję się, że falowanie nie pochodzi z mojej obolałej głowy. Niekoniecznie też dlatego jest mi niedobrze, że ktoś mnie w nią uderzył. Chyba...

Cholera.

Chyba znajduję się na łodzi.

Rozglądam się niespokojnie po niewielkiej kajucie. Serce wali mi jak szalone, gdy dostrzegam kolejne sprzęty —

stolik, dwa krzesła, przytwierdzoną do ściany koję, na której siedzę. W jednej ze ścian znajdują się okrągłe okienka, przez które wpływa tu światło słoneczne. Wstaję chwiejnie, trzymając się ścian, i powoli idę w tamtą stronę.

Mam nadzieję zobaczyć za okienkiem ląd, może wyspę, na której rozbiliśmy się z Harrisonem, ale po horyzont rozciąga się jedynie woda w kolorze nieba.

Jezu. Chyba się jednak porzygam.

Wracam na koję i siadam na niej ciężko, próbując się uspokoić. Straciłam przytomność, a oni zabrali mnie na łódź

tego człowieka. Co z Harrisonem? Gdzie jest? Czy wciąż żyje?

Rośnie we mnie uczucie paniki na myśl, że mogli go zabić.

Przestaję się zastanawiać, co się stanie ze mną, za to martwię się o niego — przecież nie mógł zginąć, prawda?

Nie mógł. To niemożliwe. Nie poszliśmy nawet na tę randkę, którą mi obiecał!

To wszystko moja wina. Gdybym nie pomogła wtedy Miguelowi w drodze do Lanai City...

To teraz jego ludzie pewnie zabiliby nas bez wahania, dociera do mnie. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia.

Kiedy drzwi do kajuty się otwierają, odwracam się gwałtownie w tamtą stronę, aż przez moją głowę przepływa kolejna fala bólu. Spinam się, widząc, jak do środka wchodzi Miguel.

Cofam się pod ścianę, nie spuszczając z niego wzroku.

Mężczyzna wygląda na bardzo z siebie zadowolonego, kiedy zakłada ramiona na klatce piersiowej, aż rękawy jego czarnej koszuli napinają się na mięśniach, i obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.

— Nareszcie się obudziłaś — mówi. — Wybacz to uderzenie.

Zrobiłbym ci większą krzywdę, gdybyś nadal się szarpała.

— Zrobiłbyś jej mniej, gdybyś puścił nas wolno — warczę.

— Co zrobiłeś z Harrisonem?

Miguel z westchnieniem opiera się plecami o ścianę naprzeciwko koi.

— Nie musisz już o nim myśleć — odpowiada złowieszczo spokojnie. — Teraz ja się tobą zaopiekuję.

— Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek się mną opiekował —

stwierdzam wrogo. — Potrzebuję jedynie odzyskać wolność i znaleźć Harrisona. Uratowałam ci życie, więc jesteś mi to winien. Wypuść mnie.

Mężczyzna kręci głową, zupełnie nie przejmując się moim ostrym tonem.

— To prawda, uratowałaś mnie — przyznaje. — I właśnie dlatego będę się tobą opiekował i dobrze cię traktował,

Mackenzie. Nie bój się, nie grozi ci z mojej strony nic złego.

Przyniostaś mi szczęście wtedy, opatrując moją nogę, więc przyniesiesz je też teraz, będąc blisko mnie.

— Pojebało cię, człowieku? — Nie przejmuję się już, że mogę go wyprowadzić z równowagi. On zrobił to ze mną i dlatego jestem odważniejsza, niż pewnie powinnam być. — Nie jestem jakąś rzeczą, którą możesz sobie zawiesić na szyi! Moi bliscy będą mnie szukać! Chcesz mieć z tego powodu problemy? Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać? I co potem, nakarmisz mną rekiny jak pierdolony współczesny pirat?!

Jego spojrzenie ociepla się nieco, gdy przesuwam nim w dół mojego ciała. Bardzo mi się to nie podoba.

— Lubię takie wyszczekane kobiety — mamrocze. — To będzie naprawdę ciekawe.

Nie wytrzymuję. Ignorując ból głowy, zrywam się z koi i rzucam się na niego z pięściami. Miguel reaguje szybko, chwytając mnie za nadgarstki, ale wtedy podnoszę nogę i kopię go kolanem, celując w miejsce, które jeszcze niedawno opatrywałam po postrzale.

Mężczyzna krzyczy z bólu, ale zanim zdąży uderzyć go kolejny raz, szarpie mnie gwałtownie i odwraca, aż policzkiem dotykam ściany. Wykręca mi ręce za plecy i naciska na miejsce między moimi łopatkami, przytrzymując mnie w miejscu.

— Tak, zdecydowanie miałem dobre przeczucia co do ciebie

— mówi mi do ucha. — Podporządkujesz się, Mackenzie, jeśli nie chcesz źle skończyć. Na razie jestem wobec ciebie miły, ale to się może szybko zmienić, jeśli ty nie będziesz taka sama. Czy to jest jasne?

Wzmacnia uścisk na moich rękach, aż całe ramiona odpowiadają bólem, więc odruchowo kiwam głową. Kiedy



mnie puszcza, odsuwam się pospiesznie, aż nogami wpadam znowu na koję.
— Świetnie — komentuje cierpko Miguel. — W takim razie zapraszam cię na kolację.

Rozdział 21

Mackenzie

Miguel przynosi mi ubrania na zmianę i poleca wziąć prysznic w przyległej do kabiny łazienki, a ja tym razem nie próbuję protestować. Nie myłam się i nie zmieniałam ciuchów od dnia, w którym wsiadłam do helikoptera, więc wyjątkowo nie zamierzam unosić się dumą.

Może to z mojej strony głupie, ale skoro już zostałam porwana, to niech przynajmniej będę czysta i ubrana w świeże ciuchy.

Plecak z moimi rzeczami zniknął gdzieś po drodze; nie pamiętam, czy mi go zabrali, czy raczej sama go zgubiłam, szarpiąc się z tymi zbirami. Nie ma to większego znaczenia, bo i tak nie miałam tam nic, co mogłoby mi pomóc w tej sytuacji. Nawet mój telefon miał Harrison, bo nie zdążył mi go oddać po tym, jak robił zdjęcia jachtowi Miguela.

Z westchnieniem ulgi wchodzę pod prysznic, a potem przebieram się w przyniesione rzeczy. Wolę nie pytać, skąd je mają, zwłaszcza że dostałam całkiem ładną, dziewczęcą sukienkę w kwiaty. Jest na mnie trochę za ciasna, ale udaje mi się w nią wbić bez rozerwania jej na szwach.

Nie dali mi niestety butów, a na samą myśl o włożeniu ponownie własnych robi mi się niedobrze, więc ostatecznie zostaję boso. Rozpuszczam włosy, pozwalając im wyschnąć na świeżym powietrzu, a kiedy przychodzi po mnie jeden z ludzi Miguela, posłusznie idę za nim.

Stół z jedzeniem rozstawiony jest na dolnym pokładzie, pod dachem, ale na otwartej przestrzeni, gdzie czuć podmuch morskiej bryzy. Idąc na miejsce, rozglądam się ukradkiem dookoła; jacht jest duży, z dolnym i górnym pokładem i częścią zamkniętą, gdzie pewnie znajdują się wszystkie kajuty. Nigdzie nie widzę szalup ratunkowych ani czegoś podobnego, co mogłoby pomóc mi w ucieczce.

I nigdzie nie widzę lądu. Znajdujemy się na otwartym morzu, co oznacza, że ucieczka nie będzie łatwa.

Miguel siedzi już przy zastawionym jedzeniem stoliku.

Burczy mi w brzuchu, gdy podchodzę bliżej, i nie zwracam uwagi na spojrzenie, jakim mnie obrzuca. Uśmiecha się z zadowoleniem, wskazując mi miejsce naprzeciwko siebie, które ostrożnie zajmuję.

— Pięknie wyglądasz — komplementuje mnie. —

Wiedziałem, że sukienka będzie idealna.

— Właściwie to jest nieco za ciasna — pryham. — Jakaś dziwka ją zostawiła czy okradłeś sklep z damską odzieżą?

Miguel krzywi się ledwie zauważalnie, ale zaraz powraca do obojętnej miny.

— Należała do mojej siostry — wyjaśnia, a mnie nagle robi się głupio. — I uważam, że leży bardzo dobrze.

Oczywiście, bo świetnie opina mój tyłek i cycki.

Ponownie burczy mi w brzuchu, co przenosi moją uwagę na stół zastawiony jedzeniem. Miguel natychmiast to zauważa.

— Na pewno jesteś głodna. Częstuj się.

Posyłam mu ponure spojrzenie i zakładam ramiona na klatce piersiowej, chociaż mam wrażenie, że mój żołądek zaraz zje sam siebie. Mój porywacz unosi brew.

— No daj spokój, Mackenzie. Chyba nie zamierzasz się głodzić na złość mnie?

— A skąd mam wiedzieć, czy nic mi po tym nie będzie? —

pytam zezłoszczona. — Równie dobrze mogłeś powrzucać do jedzenia jakiś prochy, żeby łatwiej się mnie kontrolowało. Nie licz na to, że ci się uda.

Na jego ustach wykwita paskudny uśmiech.

— Ależ jaka byłaby w tym zabawa, gdybym tak zrobił? —

rzuca, a kiedy nadal się nie ruszam, wzdycha i zaczyna odkrawać sobie po kawałku każdej potrawy. — Dobrze, spróbuję ich przed tobą. Czy to cię uspokoi? Wina też się napiję pierwszy.

Przyglądam mu się, jak je, z całkowitym mętlikiem w głowie. Jeśli nie chce mnie odurzyć, to po co to wszystko?

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz? — pytam wrogo.

Miguel przewraca oczami.

— Już ci mówiłem, Mackenzie: jesteś moim szczęśliwym talizmanem. Więc pobędziesz ze mną i z moimi ludźmi na tym jachcie, póki nie uznam, że twoje szczęście się wyczerpało. Bądź grzeczna, a nic złego ci się nie stanie.

Obiecuję, że nie będę cię do niczego zmuszał.

Mrużę oczy.

— Tak jak obiecałeś, że nie skrzywdzisz Harrisona?

— Zapomnij o tym facecie. — Mój porywacz prychnął lekceważąco. — Nie potrafił cię obronić, więc nie był cię wart. Ze mną będzie ci dobrze. Dostaniesz, o co tylko poprosisz, Mackenzie.

— Więc oddaj mi wolność — warczę.

Opiera łokieć na stole, a brodę na pięści, wyglądając przy tym, jakby się nudził.

— Możesz też cały czas się stawiać, jeśli tak wolisz — mówi zimno. — Ale to nie będzie dla ciebie przyjemne. Lepiej się podporządkuj. Nic złego cię tu spotka ani z moich rąk, ani z

rąk moich ludzi. Dostałaś kajutę, jedzenie i rzeczy na przebranie, a to dopiero początek. Będę cię dobrze traktował, a ty w zamian musisz jedynie odwdzińczyć się tym samym.

Chociaż nie wierzę w jego zapewnienia, czuję odrobinę ulgi, bo mam wrażenie, że ten człowiek jednak nie zamierza mnie zgwałcić. Przynajmniej na razie. Patrzy na mnie tak, że pewnie spróbuje mnie uwieść, a gdy mu się to nie uda, może się posunąć dalej, ale chwilowo jestem względnie bezpieczna.

Chyba.

Sięgam w końcu po jedzenie, bo mam wrażenie, że inaczej zemdleję, a muszę mieć siły, jeśli chcę planować ucieczkę.

Jem ostrożnie i tylko to, czego wcześniej spróbował Miguel, co nie uchodzi jego uwadze. Pozwalam sobie też zanurzyć usta w czerwonym winie i tylko tyle, bo wolę pozostać trzeźwa.

Milczę przez jakiś czas, analizując swoją sytuację. Byłoby lepiej, gdyby udało mi się uśpić jego czujność. Przekonać go, że godzę się ze swoim losem i nie mam już nic przeciwko porwaniu mnie i zabiciu mojego partnera. Cały czas jednak czuję się tak, jakbym z trudem balansowała na linie nad przepaścią, więc obawiam się, że to nie będzie takie proste.

Kiedy wreszcie kończę jeść, odkładam sztucce i spoglądam na Miguela.

— Czy teraz mogę wrócić do swojej kajuty?

— Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz — odpowiada. — Ale miałem nadzieję, że dasz się zaprosić na małe zwiedzanie.

Waham się. Zwiedzanie? Myślałam, że sama będę musiała szukać sposobu na ucieczkę, ale może on właśnie daje mi możliwość, by zrobić to za jego zgodą. Mogę rozejrzeć się

po jachcie i zidentyfikować wszystko, co by mi się w przyszłości przydało, w dodatku nie oglądając się za siebie, czy ktoś nie odkryje mojej obecności.

Dlatego się zgadzam, choć naprawdę nie mam ochoty na dłuższe towarzystwo tego człowieka. Chcę jedynie wrócić do Harrisona i upewnić się, że nic mu nie jest.

Wszystko w swoim czasie.

Na razie muszę popracować nad planem ucieczki.

Następnego dnia rano znowu zjadam posiłek z Miguelem.

Spałam niespokojnie; choć mogłam zamknąć drzwi od wewnątrz, by poczuć się nieco bezpieczniej. Całkowicie wykończona wydarzeniami ostatnich godzin, a nawet dni nie dałam rady czuwać całą noc, ale nie potrafiłam też dobrze wypocząć. Mój mózg nie chce się uspokoić, nieustannie rozmyślając o możliwych sposobach ucieczki.

Wczorajsze zwiedzanie było całkiem ciekawe, nawet jeśli nie przyniosło żadnego przełomu. Znalazłam miejsce, w którym położono kamizelki ratunkowe (zapewne nie bez powodu brakuje ich w mojej kajucie), ustaliłam też liczebność załogi jachtu (pięć osób plus Miguel) i dowiedziałam się, że na noc zbliżamy się do lądu i cumujemy w jakiejś prawie niewidocznej zatoczce. Kiedy jednak wstaję rano, jesteśmy już w drodze; po kierunku i pozycji słońca na niebie domyślam się, że płyniemy wzdłuż brzegu w stronę Maui. Może to tam ma być dostarczony towar, który ludzie Miguela przewożą na jachcie.

Wiem, że mają jakiś ładunek, chociaż mój porywacz nie pozwolił mi zajrzeć do części statku, gdzie jest przechowywany.

Nadal nie wiem, czego on ode mnie chce. Seksu?

Towarzystwa? Jest niezwykle wyrozumiały, biorąc pod

uwagę, jak bardzo go obrażam; wydaje się go to raczej bawić, niż irytować. Pilnuje mnie jak małego dziecka, gdy przechadzam się po górnym pokładzie, i dochodzę do wniosku, że wziął sobie jedynie na głowę dodatkowy kłopot.

Naprawdę jest aż tak przesądny?

W ciągu dnia wydaje mi się, że kilkakrotnie słyszę warkot helikoptera gdzieś nad naszymi głowami, ale to może być przypadek. W każdym razie ani Miguel, ani jego ludzie nie zwracają na to uwagi.

Po południu docieramy na Maui. Jeden ze zbirów pilnuje mnie na dolnym pokładzie, podczas gdy reszta zajmuje się towarem. Cumujemy w jakiejś dzikiej zatoczce.

Na tym etapie czuję się już nieco pewniej na pokładzie jachtu — nie tak, jakby w każdej chwili ktoś mógł mnie zaatakować. Jeśli Miguel próbuje sprawić, żebym przyzwyczała się do przebywania tutaj, to nawet mu się udaje. Dzięki temu nieco się ośmielam również w szukaniu wyjścia z mojej sytuacji.

— Więc co, sprzedajecie towar na Maui? — zagaduję pilnującego mnie człowieka, kiedy zostaję z nim sama na górnym pokładzie.

Siadam na ławeczce i wpatruję się w zielone szczyty ostro spadające w kierunku wody, które otaczają nas z trzech stron zatoczki. Staram się brzmieć nonszalancko, ale nie wiem, jak mi to wychodzi, bo facet patrzy na mnie podejrzliwie.

— A co cię to obchodzi?

— Chcę wiedzieć, z czym mam do czynienia. — Wzruszam ramionami. — Wasz szef mi ufa, nie?

Gość parska śmiechem.

— Wcale ci nie ufa — rzuca pogardliwie. — Po prostu zawrócił mu w głowie ładny tyłek i próbuje udawać dżentelmena.

Unoszę brwi.

— Ładny tyłek? Wow, dzięki — pryham. — A ja, idiotka, myślałam, że chodzi o moje umiejętności manualne.

— Tych chyba jeszcze nie zna. — Typ uśmiecha się złośliwie.

Czuję, że robię się czerwona, ale próbuję dotrzymać mu kroku w tej konwersacji.

— Ależ zna, bo to dzięki nim żyje — wyjaśniam. — Masz chyba brudne myśli.

— Kurde, to zdecydowanie ciekawsze niż przekazanie towaru — rechocze facet. — Chętnie bym ci dał poćwiczyć na sobie umiejętności manualne, lalka, ale szef by mi za to jaja urwał.

Patrzy na mnie w taki sposób, że mimowolnie drżę, a on znowu uśmiecha się paskudnie, chyba zadowolony z mojego zmieszania. To sprawia, że budzi się we mnie złość. Koleś sobie ze mną pogrywa, a to bardzo mi się nie podoba.

Może dlatego robię coś głupiego.

— Szef nie musi o tym wiedzieć. — Uśmiecham się zachęcająco. — Ale potrzebuję alkoholu.

Facet mruży oczy, przyglądając mi się uważnie.

— Alkoholu, co? — Z entuzjazmem kiwam głową. — Muszę zejść do kabiny. Poczekasz tu na mnie?

Nie może być aż tak naiwny, prawda?

Serce wali mi jak szalone, kiedy ponownie przytakuję. Facet przez chwilę milczy, jakby się nad tym zastanawiając, a ja staram się zachować pokerową

twarz. Wątpię, żeby się udało, ale właśnie wtedy...

Zbir podnosi się i grozi mi palcem.

— Nie ruszaj się stąd, lalka — poleca. — Uwierz mi: nie chcesz, żebym cię ścigał po całym jachcie.

Po jachcie? A kto powiedział, że zamierzam zostać na jachcie?

Nie mam pojęcia, gdzie jestem i jak daleko mam do cywilizacji, ale nie zamierzam siedzieć biernie i oczekiwać, aż ktoś mnie tu skrzywdzi.

Czekam tylko, aż facet zniknie, i podrywam się z ławeczki, po czym biegnę na dolny pokład. Nie kłopotczę się szukaniem kamizelek ratunkowych, tylko od razu kieruję się na tył, gdzie można bez trudu wskoczyć do wody.

Znajduję się całkiem blisko brzegu, a dno jest głęboko, widzę to po kolorze. Waham się chwilę, bo tak naprawdę nie mam żadnego planu — co zrobię, gdy już dotrę do lądu?

Dokąd ucieknę, zwłaszcza że inni natychmiast się zorientują, że zniknęłam? Nie mogę jednak nie spróbować.

Czuję uderzenie adrenaliny, gdy podejmuję decyzję. Cofam się o krok, robię niewielki rozbieg, odbijam się od pokładu i skaczę na główkę do wody.

Jest chłodniejsza, niż się spodziewałam. Wpadam do niej cała, ale wystarczą dwa kopnięcia, żebym wydostała się na powierzchnię.

Kraulem ruszam w stronę brzegu, przeciwstawiając się na szczęście niezbyt mocnym falom.

Stona woda raz i drugi zalewa moją twarz, ale w ogóle się tym nie przejmuję.

W pewnej chwili słyszę za sobą krzyki; to chyba mój strażnik zorientował się, że uciekłam. Dalej płynę do brzegu, modląc się, żeby nie zaczęli do mnie strzelać. Nie wiem nawet, dokąd dokładnie się kieruję, ale mam azymut z grubsza ustawiony na ląd.

W pewnej chwili prąd rzuca mnie na skały, o które uderzam żebrami, aż wypycha mi to powietrze z płuc. Na chwilę

tracę koncentrację i wpadam pod wodę. Odpycham się od gładów, czując ostry ból w boku; zaraz potem ponownie wypływam na powierzchnię, chwytając łapczywie tlen.

Resztę odległości dzielącą mnie od brzegu przebywam powoli i ostrożnie, chwytając się kolejnych gładów. Jestem wykończona, kiedy docieram do miejsca, w którym woda zamienia się w stały ląd. Nie ma tu plaży, tylko kolejne skały, którymi powinnam dojść na sam klif.

Mam problem z wydostaniem się z wody, ale wtedy ktoś podaje mi rękę. Zamieram.

— Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy — słyszę nad sobą rozbawiony głos Miguela.

Podnoszę wzrok. Stoi na skale nade mną, a za nim znajduje się kilku jego ludzi. Kurwa.

Świetny plan ucieczki, nie ma co!

Przyjmuję jego dłoń, a on pomaga mi wyjść z wody. Kiedy już stoję w miarę pewnie na nogach, Miguel chwyta mnie za ramię, a wolną otwartą dłonią uderza mnie mocno w twarz.

Cholera, to boli!

— To było pierwsze ostrzeżenie — mówi chłodno, lecz spokojnie. Nie potrafię się na tym skupić, bo za bardzo zajmuje mnie ból pulsującego policzka. — Nie chcesz doczekać drugiego, Mackenzie.

W tej chwili, mokra, z przylegającą do ciała sukienką i zaczerwienionym policzkiem, dochodzę do wniosku, że faktycznie nie chcę.

W nocy śpię niespokojnie i budzę się co chwilę, kiedy policzek i żebra odpowiadają rwaniem na zmianę pozycji.

Po burzliwych wydarzeniach popołudnia wieczór był raczej spokojny. Miguel znowu zmusił mnie do zjedzenia z nim kolacji, podczas której długo wyjaśniał, co się ze mną stanie, jeśli jeszcze raz spróbuję uciec, a później kazał mi wracać do kajuty. Poszłam tam grzecznie, uznając, że na dzisiaj mam dość wkurzania gangsterów.

Teraz jednak nie mogę dłużej leżeć na koi, dlatego po namyśle wstaję i zaczynam się przechadzać po kajucie. Za okienkiem widzę jakiś ciemny kształt, co z pewnością oznacza, że znowu cumujemy na noc blisko lądu. Chyba nie odplynęliśmy od Maui, chociaż zmieniliśmy miejsce po przekazaniu towaru.

Moje myśli znowu wracają do Harrisona.

Tak bardzo chcę, żeby wszystko było z nim w porządku.

Żeby jakimś cudem uciekł ludziom, którzy dostali rozkaz, by go zabić, i mógł wrócić na Lanai. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Łzy pojawiają mi się w oczach, gdy myślę, że mogli go skrzywdzić.

Nagle słyszę w oddali niespodziewanie głośny plusk wody.

Podchodzę do drzwi, wsłuchując się w odgłosy nocy. Na jachcie jest cicho, ale po chwili zaczyna mi się wydawać, że słyszę dźwięki — jakby ostrożne kroki i coś jeszcze.

Naciskam klamkę i wyglądam na zewnątrz.

Drzwi nie są zamknięte, Miguel miał zostawić na noc strażnika, żebym nie mogła się nigdzie wymknąć. Gdy jednak rozglądam się dookoła, nie widzę ani żywej duszy.

Strażnik na pewno tu był jeszcze wieczorem, ale teraz korytarz jest pusty.

Waham się. To naprawdę szalony pomysł znowu sprzeciwiać się Miguelowi. Tylko czy kiedykolwiek twierdziłam, że nie jestem szalona?

Ostrożnie wychodzę na ciemny korytarz i powoli przesuwam się w kierunku wyjścia na pokład. Po drodze muszę minąć większość kajut, więc staram się zachowywać cicho.

Nie zdążam jednak wyjść na zewnątrz.

W następnej chwili świat wokół mnie wybuchła.

Rozdział 22

Harrison

— Zabijcie go, gdy już odejdziemy.

Słyszę rozpaczliwe wrzaski Mackenzie, widzę, jak próbuje się wyrwać, błagając, by mnie nie krzywdzili, i jak ten gnój uderza ją w twarz, przez co Mackenzie traci przytomność.

Wtedy ja też zaczynam krzyczeć i nacieram na pierwszego mężczyznę, który próbuje mnie zatrzymać, ale ich jest trzech, a ja tylko jeden i do tego nie mam żadnej broni.

Obezwładniają mnie bez większego wysiłku, a któryś strzela mi pod nogi, zmuszając do zatrzymania się.

— No, idziemy — poleca. — Odejźmy kawałek, nie chce mi się ciągnąć ciała z dala od naszej kryjówki.

Nie tracę sił na dalsze wrywanie się i wołanie Mackenzie.

To ja mam teraz większe kłopoty i potrzebuję się skupić, żeby móc się z nich wydostać, a potem wrócić po moją kobietę i odbić ją z rąk tych oprychów. Żeby to jednak zrobić, muszę przeżyć.

Pozwalam się więc prowadzić ścieżką wzdłuż klifu, w jakieś bardziej, według naszych porywaczy, dogodne miejsce, i gorączkowo myślę, jak wybrnąć z tej sytuacji. Trzech na jednego, w dodatku to oni są uzbrojeni. Ale muszę się stąd wydostać. Ze względu na Mackenzie. Nie mogę zostawić jej samej.

W końcu zatrzymujemy się na brzegu klifu. Kiedy zerkam w dół, stwierdzam, że w tym miejscu nie ma plaży, nie ma nawet zbyt wielu skał; po prostu urwany gwałtownie łąd

obmywany falami oceanu. Odwracam się do gangsterów, którzy właśnie odbezpieczają karabiny, i w ciągu sekundy podejmuję decyzję.

— Zastrzelcie go — poleca obojętnie jeden z nich, więc bez namysłu obracam się i skaczę.

Nie daję sobie nawet sekundy na zawahanie albo na odgadnięcie przez nich moich zamiarów; po prostu rzucam się w dół, zanim uda im się oddać choćby jeden strzał. Pęd powietrza wyciska mi powietrze z płuc, czuję, jak moje ciało staje się bezwładne, widzę, jak woda zbliża się do mnie w szybkim tempie, i odruchowo przymykam oczy, nim uderzę w powierzchnię.

To tak bolesne, że nie udaje mi się powstrzymać krzyku. Idę pod wodę, kiedy jednak widzę, jak obok przerywają ją kolejne kule, odpycham się nogami i płynę przed siebie, jak najbliżej brzegu. Tlenu wystarcza mi tylko na chwilę, dlatego moment później wypływam na powierzchnię.

Słyszę nad sobą krzyki, a powietrze wciąż rozrywają strzały, dlatego biorę wdech i ponownie nurkuję. Odpływam tak daleko, jak tylko mogę, zanim ponownie się wynurzam.

Powtarzam to kilkakrotnie, choć płuca palą mnie coraz mocniej, aż głosy zbirów oddalają się, a następnie całkowicie zanikają.

Świetnie. Teraz jeszcze tylko muszę w jakiś sposób wrócić na ląd.

Kiedy odwracam się w pewnej chwili, widzę, jak jacht wypływa z zatoki. To zabija moją nadzieję, że zdołam wrócić po Mackenzie i wyrwać ją z rąk tych zbirów. Nie doptynę do nich wpław. Potrzebuję innego planu.

Dlatego najpierw muszę się dostać do miasta.

W końcu znajduję miejsce, gdzie mogę wrócić na stały ląd

— kawałek plaży, z którego trasa prowadzi w górę, z powrotem do ścieżki, jaką szliśmy wcześniej z Mackenzie.

Wychodzę na nią przemoczony i ledwie żywy. Z każdą chwilą gniew płonie we mnie coraz mocniej i marzę jedynie o tym, by zająć Miguela za wszystko, co zrobi mojej kobiecie.

Chryste, mam nadzieję, że jej nie skrzywdzi. Posadzą mnie za morderstwo, jeśli to zrobi.

Ruszam przed siebie ścieżką, zdeterminowany, by jak najszybciej dotrzeć do miasta i sprowadzić pomoc. W

pewnej chwili słyszę warkot zbliżającego się quada; to idealna okazja, by zdobyć środek transportu. Wcześniej nie pokusiłbym się o takie ryzyko, ale teraz sytuacja drastycznie się zmieniła. Jestem sam — nie narażę Mackenzie na jeszcze większe niebezpieczeństwo od tego, w jakim już się znalazła — a poza tym przepętnia mnie desperacja. Muszę dotrzeć do miasta.

Właśnie dlatego znajduję na brzegu lasu porządnej długości konar i uzbrojony w niego skrywam się na brzegu zarośli, czekając na nadjeżdżającego zbira.

Serce łomocze mi w piersi tak głośno, że zagłusza resztę dźwięków dobiegających z otoczenia. Mimo to nie waham się: kiedy quad nadjeżdża, wyskakuję na ścieżkę i celuję w kierowcę konarem, który trzymam w dłoniach.

Facet drze się zaskoczony i upada na ziemię, a quad ląduje w krzakach kilka metrów dalej. Podskakuję do mężczyzny, sprzedaję mu jednego kopniaka między żebra i drugiego w jaja, po czym biegnę do quada.

W życiu żadnym nie jechałem, ale to nie może być trudne.

Szybko opanowuję podstawy kierowania, wskakuję na maszynę i ostrożnie ruszam w drogę. Raz i drugi o mały nie wpadam w zarośla, ale w końcu udaje mi się wyrównać i nawet nieco przyspieszyć.

Teraz mogę sprowadzić pomoc.

Godzinę później zatrzymuję się pod posterunkiem policji w Kaunakakai, największym mieście na Molokai.

Jestem porządnym obywatelem wierzącym w ochronę przez służby mundurowe. Dlatego zastygam ze zdumienia i przez moment nie wiem, co robić, kiedy przy parterowym budynku z brązowym dachem widzę dwóch policjantów rozmawiających z mężczyznami i jednego rozpoznaję jako zbira, który o mały nie pozbawił mnie życia.

Na szczęście znajduję się na tyle daleko, że mnie nie dostrzegają. To jednak wzbudza moje podejrzenia i sprawia, że nie jestem już tak chętny do przekazania tej sprawy policji. A jeśli ci bandyci ich optacają? Skoro chcę jeszcze kiedyś zobaczyć Mackenzie żywą, muszę załatwić to z ludźmi, którym ufam.

Odjeżdżam więc quadem kilka ulic dalej; dopiero wtedy zatrzymuję się i wyjmuję komòrkę Mackenzie.

Jest zabezpieczona przeciwko wilgoci, lecz spędziłem w wodzie tyle czasu, że mam wątpliwości, czy zadziała. Z

zaskoczeniem stwierdzam, że woreczek nie przepuścił wody i telefon jest suchy; mogę z niego skorzystać. A w mieście łapie wreszcie zasięg.

Bez namysłu wybieram pierwszy numer, który przychodzi mi do głowy.

— Halo. — Mòj ojciec odbiera już po pierwszym sygnale.

— Tu Harrison. — Nie bawię się w długie powitania. —

Potrzebuję pomocy.

Muszę przeczekać chwilę, w trakcie ktòrej ojciec zaczyna wypytywać, co się z nami dzieje. Daje mnie na głošnomòwiący i po chwili do jego głošu dotarczają też te należące do matki i Celi; chwilę pòźniej przekrzykuje się

tam już kilka osòb, aż krzywię się z niesmakiem. Nie mam na to czasu, do diabła!

— Możecie wszyscy na chwilę się uciszyć? — Podnoszę w końcu głošu, a oni, o dziwo, zgodnie milkną. — Bardzo chętnie opowiemy wam z Mackenzie, co się z nami działo przez ostatnie dni po tym, jak helikopter, którym lecieliśmy, się rozbił, ale to nie jest dobry moment. Potrzebuję pomocy.

Straciłem Mackenzie i muszę ją odzyskać.

Milknę, orientując się, jak to może zabrzmieć. Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki panuje cisza.

— Co zrobięś mojej còreczce?! — słyszę w końcu piskliwy głošu jej matki.

Ja pierdolę. Dobrze, że rozmawiam z nimi przez telefon, bo gdyby ta dyskusja odbywała się na żywo, już bym kogoś skrzywdził.

— Nic jej nie zrobiłem, do kurwy nędzy — warczę. —

Została porwana przez jakichś tutejszych gangsteròw, nie wiem, chyba przemytnikòw. Muszę ich namierzyć.

— Idź na policję — rozkazuje ojciec. — I powiedz, gdzie jesteś, a zaraz tam przylecimy.

— Jesteśmy na Molokai — informuję. — I nie zamierzam iść na policję. Mam powody, by sądzić, że te zbiry optacają policjantòw. Potrzebuję twojej pomocy, tato. Masz rònne znajomości, załatw helikopter albo inny środek transportu.

Im więcej czasu Mackenzie z nimi spędzi, tym gorzej dla niej. Muszę ją odbić.

Nawet ja słyszę w swoim głošie desperację, więc oni z pewnością też. Chyba dzięki temu rozumieją wreszcie, że sprawa jest poważna.

— Potrzebny jest ktoś zaufany — odzywa się jakiś mężczyzna, chyba ojciec Mackenzie. W tle słyszę czyjś płacz. — Macie kogoś takiego?

— Tak — potwierdza mòj ojciec. — Właściciela hotelu. Jest z Los Angeles, ale sporo czasu spędza na Hawajach, na pewno będzie w stanie pomóc.

Zadzwońię do niego i dowiem się, co możemy zrobić.

Jego słowa trochę mnie pocieszają. To już brzmi jak początek jakiegoś planu.

— Udostępniam wam moją lokalizację — mówię. — Mam tylko czternaście procent baterii, więc to nie wystarczy na długo. Odezwij się natychmiast, gdy się czegoś dowiesz.

Ojciec potwierdza i odchodzi, by z drugiego aparatu zadzwonić do swojego znajomego; nie mogę jednak się rozłączyć, bo reszta mojej rodziny i bliscy Mackenzie chcą wiedzieć, co dokładnie się stało. Odpowiadam na ich natarczywe pytania półsłówkami, zbyt zdenerwowany, by bardziej się rozgadywać.

— Zarezerwowałam ci właśnie pokój w tamtejszym pensjonacie — oznajmia w pewnej chwili Celia. — Zaraz wyślę ci lokalizację. Jest już opłacony, właściciele będą na ciebie czekać.

Marszczę brwi.

— Nie jadę do żadnego pensjonatu, Sissy — protestuję. —

Muszę działać, a nie odpoczywać!

— A kiedy ostatnio spałeś? — przypomina mi. — Nie jesteś robotem, Harry. Nawet ty potrzebujesz chociaż chwili wytchnienia, żebyś potem był w stanie pomóc Mac. Po prostu pojedź tam i zaczekaj na miejscu na posiłki. Tata na pewno załatwi wszystko jak najszybciej, ale to musi potrwać.

Wiem, że Celia ma rację, ale moje ciało buntuje się przeciwko takiemu rozwiązaniu. Chcę krwi, chcę ruszyć w pościg i odbić moją kobietę, a nie chować się w pensjonacie!

Na szczęście zanim zdążę coś odpowiedzieć, wraca ojciec.

Wyprasza wszystkich obecnych z pokoju, co już mnie trochę niepokoi, i dopiero kiedy zostajemy sami, odzywa się bezpośrednio do mnie.

— Harry, mam na linii właściciela hotelu, Owena Maxwella.

Obaj jesteście na głosnomówiącym.

— Dzień dobry — słyszę obcy męski głos. Brzmi rzeczowo, dokładnie tak, jak lubię. — Proszę mi streścić sytuację.

— Sytuacja jest taka, że moja kobieta została porwana przez jakichś zbirów — opowiadam, nie kontrolując słów.

Jeśli jednak ojciec jest zdziwiony epitetem, jakiego użyłem wobec Mackenzie, nie daje tego po sobie poznać. —

Potrzebuję pomocy w odbiciu jej.

— Kto konkretnie ją porwał?

— Jakiś typ imieniem Miguel — wyjaśniam. — Natknęliśmy się na ich kryjówkę w rezerwacie na Molokai, gdy rozbiliśmy się helikopterem. Znaleźli nas i ją zabrali na jacht, który tam cumował, a mnie próbowali zabić. Muszę odnaleźć ten jacht.

— Dobrze, że nie poszliście na policję — stwierdza po chwili milczenia Maxwell. — Miguel Valles jest znany na wyspach.

To szef szajki przemytniczej. Zaopatrują niemal całe Hawaje w narkotyki. Policja na części wysp siedzi im w kieszeni, nawet nie kiwnęliby palcem, gdyby dostali zgłoszenie.

Tak myślałem, ale potwierdzenie tego i tak mnie wkurwia.

Czuję się cholernie bezradny.

— Mam zdjęcia jachtu — przypominam sobie. — Mogę je udostępnić, żeby łatwiej było go znaleźć. Możecie wezwać helikopter?

— To jest do zrobienia — przyznaje ojciec — ale muszę mieć na to kilka godzin.

— Potrzebujecie ekipy ekfiltracyjnej — dodaje Maxwell. —

Mam znajomego prywatnego detektywa, który mógłby ją załatwić. Nie jest tani, ale warto w niego zainwestować. Nie ogarniecie tego sami.

— Pieniądze nie grają roli — odpowiadamy z ojcem wyjątkowo zgodnie.

Maxwell potwierdza mruknięciem.

— Ashera nie ma w tej chwili na Hawajach, musiałby mieć kilka godzin na dostanie się tam — mówi następnie. — To porządny fachowiec i ma bardzo dobrych ludzi. Wejdą na pokład tego jachtu i odbiją waszą dziewczynę, zanim ktokolwiek choćby piśnie.

To brzmi już jak naprawdę solidny plan. Lubię mieć w zanadrzu plan, więc od razu czuję się nieco lepiej.

— Świetnie — zgadzam się. — Działajcie jak najszybciej.

Wyślę wam adres, pod którym znajdziecie mnie na Molokai.

— Jeszcze jedno — wtrąca Maxwell, zanim skończymy rozmowę. — Ten gość, Miguel Valles, nie zostawia świadków. To dziwne, że zabrał twoją kobietę, kiedy was schwytali, zamiast zabić was oboje. Znasz jego motywację?

Wiedza, jak bardzo zależy mu na dziewczynie, może się przydać.

Wiedziałem, że ten temat prędzej czy później wypłynie.

Wzdycham, ale mówię prawdę.

— Mackenzie uratowała mu wcześniej życie. Spotkaliśmy się kilka dni temu na Lanai. Właściwie to mieliśmy kraksę z ich winy. Typ był poważnie postrzelony, Mackenzie go opatrzyła, bo się na tym zna. Teraz facet twierdzi, że ona jest jego pieprzonym szczęśliwym talizmanem.

Ojciec wydaje z siebie prychnięcie, jakby miał pretensje, że dopiero w tej chwili o tym słyszy, ale staram się to zignorować. Nie mam czasu na jego fochy.

— Z jednej strony kiepsko, bo wygląda to na jakąś obsesję

— zamyśla się tymczasem Maxwell. — Ale z drugiej dobrze, bo może jej nie skrzywdzi, jeśli mu na niej zależy.

No cóż, dla mnie to niewielka różnica. Mackenzie i tak przeżywa właśnie traumę, a ja nie wybaczę sobie do końca życia, że jej przed tym nie obroniłem.

Kończymy wreszcie rozmowę, obiecując sobie pozostać w kontakcie, a ja wsiadam na quada i ruszam w kierunku pensjonatu.

Skoro czeka mnie kilka bezczynnych godzin, równie dobrze mogę rzeczywiście spróbować odpocząć.

Z niespokojnej drzemki wrywa mnie mocne pukanie do drzwi.

Za oknem jest już ciemno, co mnie frustruje, bo wiem, że dzisiaj już nie uda nam się podjąć poszukiwań. W nocy przecież niczego byśmy nie znaleźli.

Zwlekam się jednak z niewygodnego łóżka — choć dla mnie to luksus po ostatnich dniach spania na podłodze i pojedynczej polówce — i idę otworzyć. W progu stoi jakiś obcy facet.

Na oko dałbym mu trzydzieści parę lat, jest wysoki i szczupły. W jego oczach widzę jednak coś, co każe mi natychmiast nabrać do niego szacunku.

— Asher Payne — mówi, wchodząc do środka. Ściskam mu dłoń i również się przedstawiam. — Słyszałem, że macie jakąś lalkę do znalezienia.

Marszczę brwi. Lalkę? No dobra, niech mu będzie.

— To Mackenzie Allen — wyjaśniam, zatrzymując za nim drzwi. — Znasz szczegóły?

— Owen mnie we wszystko wprowadził. — Facet kiwa głową, rozglądając się po pokoju. Ma bystre spojrzenie, co mi się podoba. Wygląda na kutego na cztery nogi, a ktoś taki bez wątpienia mi się przyda. — Sorry, że jesteśmy tak późno. Helikopter już czeka, ale możemy zacząć, kiedy się rozjaśni. Spoko, znajdziemy ją.

Fajnie, że podchodzi do tego na luzie. Ale nic w tym dziwnego, w końcu dla niego to tylko jakaś obca „lalka”.

— Masz w tym doświadczenie? — pytam podejrzliwie.

Asher wzrusza ramionami.

— Na co dzień raczej biegam z aparatem, by zdobyć dowody zdrady niewiernych mężów — mówi z uśmiechem.

— Ale zdarzają się i takie akcje. Kiedyś było ich więcej, fajnie się czasami tak rozerwać. No i mam świetną ekipę, sami byli wojskowi. Znają się na rzeczy, odbiją twoją lalkę z palcem w nosie.

Brzmi na pewnego siebie, co dodaje mi otuchy. Mam nadzieję, że nie jest mocny jedynie w gębie.

— Świetnie. Macie gdzie spać?

— Znaleźliśmy dla siebie miejsce, nie martw się. — Macha lekceważąco ręką. — Chciałem się tylko przywitać, zaczynamy rano. Obudzę cię o świcie.

— To raczej ja cię obudzę. — Uśmiecham się do niego krzywo. — Wątpię, żebym zasnął na dłużej, nie wiedząc, co się dzieje z Mackenzie.

Dopiero po tych słowach Asher nieco poważnieje. Wydaje mi się, że w jego oczach widzę współczucie.

— Będzie dobrze, chłopie — zapewnia mnie. — Zobacysz: ani się obejrzysz, a lalka wróci do ciebie cała i zdrowa.

Masz jakieś jej zdjęcie?

Nie mam, ale wciąż mam komórkę Mackenzie, którą naładowałem z pomocą miłej pani z pensjonatu. Dzięki temu mogę teraz wejść w galerię i pokazać Asherowi ostatnie zdjęcie mojej kobiety, które zrobiła sobie na tle plaży w Lanai. Jest na nim taka radosna, a oczy śmieją jej się do obiektywu. Wygląda pięknie, aż moje serce ściska się boleśnie.

Asher gwizdże z uznaniem.

— Wow, jak to jest, że wszyscy trafiać na takie sztuki?

Dobra, wyślij je do mnie. — Kiedy posyłam mu spojrzenie spode łba, dodaje: — Chyba chcesz, żeby moi ludzie wiedzieli, kogo szukać, a nie złapali pierwszą

laskę, jaka im się nawinie na jachcie? Nie masz pojęcia, czy nie znajdziemy ich tam więcej.

No dobrze, ma rację, muszą zdawać sobie sprawę, jak wygląda Mackenzie. Z westchnieniem wysyłam mu zdjęcie.

Asher poklepuje mnie pocieszająco po ramieniu.

— Poważnie, nie przejmuj się. Jutro o tej porze będziesz ją miał z powrotem.

Brzmi na bardzo pewnego siebie, więc chwilowo postanawiam mu uwierzyć i zaufać.

Może dzięki temu chociaż zmrużę w nocy oko.

Rozdział 23

Harrison

Wylatujemy o świcie.

Mam pewne obawy przed zajęciem miejsca w helikopterze, biorąc pod uwagę, co się stało z ostatnim — ponieważ jednak robię to dla Mackenzie, przewyciężam je bez większego problemu.

Oprócz mnie w środku znajduje się sześć innych osób: nasz pilot, Asher i czterech jego ludzi. Ojciec i brat Mackenzie chcieli zabrać się z nami, lecz Asher przekonał ich, że nie starczy miejsca — a na boku powiedział mi, że zwyczajnie nie chciał ich na tej wyprawie.

— Już ty mi wystarczysz z nieprzeszkolonych cywili — mruknął, kiedy skończył rozmawiać z Richardem. —

Przynajmniej się do czegoś przydasz, bo widziałeś tych ludzi i jacht, ale oni? Tylko tego brakuje, żeby mi tu ktoś biadolili i robili niepotrzebną nerwówkę.

Zanim ruszymy, każdy z nas zakłada słuchawki, w których słychać głos pilota, wysokiego faceta imieniem Mark.

— Mamy niecałe dwadzieścia cztery godziny — oświadcza.

— Prognozy na jutro są kiepskie. Musimy się zmyć przed huraganem, nie chcemy tu utknąć, kiedy znowu uderzy.

— Albo powtórzyć ich wyczynu i się rozbić — dodaje Asher, a ja przewracam oczami.

Kolejne uderzenie huraganu? Po prostu świetnie.

Ludzie Ashera są małomówni i skoncentrowani na zadaniu; wszyscy już wiedzą, co się stało i czego się od nich wymaga. Wygląda na to, że mam do czynienia z profesjonalistami.

Niewiele spałem w nocy, ale jestem zbyt pobudzony, by odczuwać zmęczenie. Przypuszczam, że to się nie zmieni, dopóki nie znajdziemy Mackenzie całej i zdrowej. Innej opcji nie przewiduję.

To moja wina. Kurwa, powinienem był lepiej jej pilnować.

Jeśli coś jej się stało...

Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Asher przechyla się do mnie z siedzenia po drugiej stronie przejścia.

— Wszystko będzie dobrze, znajdziemy ją — powtarza.

Chyba widzi, że się okropnie denerwuję. — Sam zobaczysz.

Jestem kurewsko skuteczny.

Po tych słowach błyska uśmiechem, ale ja nie potrafię się rozchmurzyć. W końcu to nie jego kobietę porwał jakiś świr, szef lokalnych przemytników.

Odczuwam lekką sensację żołądkową, kiedy startujemy. W

przeciwieństwie do Mackenzie pamiętam wszystko — każdą pieprzoną sekundę spadania i upadku na skraju klifu.

Pamiętam ogłuszający huk rozrywanego metalu, szalone wycie kontrolek helikoptera i to obezwładniające uczucie, że zaraz umrzemy. Pamiętam, jak żałowałem, że nie powiedziałem Mackenzie, że ją kocham.

Opanowuję się jednak i powstrzymuję się od gwałtownych ruchów, chociaż robi mi się niedobrze i chcę uciekać.

Muszę wytrzymać. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla Mackenzie.

— Wszystko w porządku, chłopie?! — krzyczy do mnie jeden z ludzi Ashera.

— A u ciebie by było, gdyby zaraz po wypadku helikoptera znowu cię wsadzili do takiej metalowej puszki?! —

odkrzykuje inny.

— Oj, bez przesady, miał kilka dni odpoczynku!

Tak, kurwa, zajebisty to był odpoczynek. Szkoła przetrwania w smaganym huraganem lesie deszczowym podczas ucieczki przed bandą przemytników. Zabawa pierwsza klasa!

Nie odzywam się także dlatego, że zaciskam mocno zęby, chcąc jakoś wytrzymać to dzikie kołysanie. Mój żołądek trochę się uspokaja, kiedy nabieramy wysokości i pilot wyrównuje lot.

Instruuje ich, jaki kierunek mamy obrać; z lotniska Molokai mamy jakieś pięćdziesiąt kilometrów do miejsca, w którym rozbiliśmy się z Mackenzie. Docieramy tam szybko, a potem obniżamy nieco lot, wypatrując miejsca, gdzie poprzedniego dnia cumował jacht

przemytników.

Przelatujemy nad wodospadem Pu'uka'oku i żałuję, że nie dotarliśmy tu z wycieczką — widok jest niesamowity. Kilka wąskich wstążek wody spada w dół z szerokiego zielonego wzgórza. Moja kobieta byłaby zachwycona.

Na myśl o niej znowu czuję, jak wszystko się we mnie zaciska z bólu, więc czym prędzej odsuwam od siebie te myśli i koncentruję się na czekającym nas zadaniu. To w tej chwili jest najważniejsze. Użalać się nad sobą mogę potem, kiedy już ją odzyskamy.

W końcu znajdujemy też miejsce, gdzie wczoraj rozstaliśmy się z Mackenzie; Asher porównuje je ze zdjęciem, które zrobiłem, i przytakuje. Nigdzie nie ma jednak ani śladu jachtu.

— Byliby głupi, gdyby tu zostali — mówi po przekazaniu pilotowi polecenia, by leciał dalej. — Podejrzewają, że przeżyłeś i że będziesz jej szukał. Na pewno mają inne

kryjówki albo interesy do zrobienia. Ale znajdziemy ich, spokojnie. Przelecimy wybrzeżem wzdłuż wyspy.

Kolejne godziny upływają nam na mozolnym poszukiwaniu jachtu, którego nigdzie nie widać, i uzupełnianiu paliwa. Po dłuższym czasie dochodzimy do wniosku, że przemytników nie ma już na Molokai. Musieli popłynąć na inną wyspę.

Najbliżej mamy do Maui, więc tam się kierujemy.

Spotykamy po drodze parę jednostek na wodzie, ale żadna z nich nie jest tą, której szukamy. Z każdą chwilą denerwuję się coraz bardziej. Musimy ich

znaleźć. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Obrócę każdy kamień na tych pieprzonych wyspach, byleby odszukać Kenzie.

Jest już późne popołudnie, gdy w końcu go dostrzegamy.

Cumuje w jednej z dobrze ukrytych naturalnych zatoczek Maui. W pierwszej chwili nie jestem jeszcze pewien, czy to właściwy jacht, ale kiedy Mark zniża nieco lot i możemy sobie obejrzeć jednostkę dokładniej, jesteśmy zgodni.

— To oni — wyrokuje Asher. — Mamy ich.

Uderza we mnie fala adrenaliny. Ona gdzieś tam jest. Tak blisko!

— Lądujemy tam? — Wskazuję brodą kawałek plaży nieopodal zatoczki.

Asher kręci głową.

— Musimy poczekać — oznajmia. — Naszą jedyną przewagą jest element zaskoczenia. Jeśli teraz wylądujemy, wszyscy od razu się domyślą, że przyszliśmy po twoją lalkę. Mogą ją ukryć albo zrobić jej krzywdę. Nie, jeżeli to ma być udana ekfiltracja, to musimy to zrobić z głową.

Marszczę brwi.

— Czyli jak?

— Po zmroku — odzywa się jeden z ludzi Ashera, ciemnoskóry potężny facet, na którym ledwie zapięły się pasy bezpieczeństwa. — Mamy gogle noktowizyjne.

Będziemy wszystko widzieli.

Asher przytakuje z zadowoleniem, ale ja wcale nie podzielam jego uczuć.

— Dlaczego mamy czekać kilka kolejnych godzin? —

protestuję ze złością. — Nie możemy zostawiać jej tam dłużej, niż to absolutnie konieczne!

— To jest absolutnie konieczne, jeśli chcesz ją zobaczyć żywą — tłumaczy mi Asher. — Przypilnujemy jachtu i wędzemy się na pokład nocą. Tak będzie najbezpieczniej.

Wszystko się we mnie burzy przeciwko takiemu rozwiązaniu. Mackenzie jest blisko, nie chcę czekać kolejnych godzin! Dla niej one mogą znaczyć dużo więcej niż dla nas.

Zanim jednak zdążę ponownie zaprotestować, z fotela pilota odzywa się Mark.

— A co z huraganem, szefie? Będziemy mieć tylko kilkugodzinne okienko. Jeżeli się spóźnimy, nie wylecimy z Hawajów przed burzą. A jeśli dziewczyna będzie potrzebowała szpitala, może nie udać nam się jej tam zabrać.

Robi mi się niedobrze na wieść, że Mackenzie mogłaby potrzebować szpitala. Nie mogę teraz o tym myśleć!

— Musimy się wyrobić — decyduje Asher stanowczo. —

Zrobimy to szybko. Damy radę.

Jego słowa ucinają dalsze wątpliwości. Ludzie słuchają Ashera i nie kwestionują jego decyzji. Musi mieć u nich szacunek.

To dla mnie dobry znak. Najwyraźniej facet wie, co robi.

Do zmierzchu latamy po okolicy — tak, by cały czas mieć jacht na oku, ale by nie zorientowali się, że ktoś ich śledzi.

Mark ma w tym wprawę i nie narzeka ani słowem, mimo że robimy tylko jeden postòj.

Gdy zapada wieczòr, moi towarzysze zaczynają się szykować do akcji. Przyglądam się z lekkim niepokojem, jak przygotowują broń i gogle noktowizyjne; zaczynam się obawiać, by Mackenzie nie znalazła się w ogniu krzyżowym.

Kiedy spoglądam na Ashera, ten kręci głową.

— Nie ma mowy, stary. Nie idziesz z nami. Zostajesz tutaj z Markiem.

— Daj spokòj — pryham. — Nie jestem małym dzieckiem, ktòre ktoś może zostawić w domu. Idę z wami.

— Żebyśmy ciebie też musieli pilnować?

— O to się nie martw. — Coś w tonie mojego głosu sprawia, że na twarzy Ashera widzę wahanie. — Poradzę sobie.

Zastanawia się jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową.

— Lepiej, żebym tego nie żałował — ostrzega. — Bo inaczej porządnie się na tobie odegram.

Podnoszę ręce w obronnym geście i posyłam mu uspokajające spojrzenie. Ostatnim, czego chcę, to być kulą u nogi. Nie zamierzam w żaden sposób im przeszkadzać, po prostu muszę być blisko.

Muszę tam być, kiedy ją uwolnię.

Lądujemy niedaleko, w dogodnym miejscu, z ktòrego łatwo się dostaniemy do zacumowanego przy brzegu jachtu. Na szczęście Asher ma zapasowe gogle noktowizyjne, jedno z nich wręcza więc mnie. Wyruszamy pod osłoną nocy, a ja z każdym przebytym metrem denerwuję się coraz bardziej.

Chcę ją zobaczyć, ale obawiam się, co zastaniemy na miejscu.

Bez problemu zakradamy się na jacht. Przy wejściu na dolny pokład nie ma ani jednego strażnika, co każe mi przypuszczać, że Valles czuje się na tych wodach bardzo pewnie. Chyba od dawna nie napotkał tu godnych siebie przeciwnikòw, co zresztą potwierdzały słowa Owena Maxwella, zwłaszcza że nawet policja stoi po stronie przemytnikòw.

Trzymam się z tyłu, pilnuję jednak, by nie odstawać od grupy. Asher pokazuje swoim ludziom, kto w ktòrą stronę ma iść, a mnie, żebym trzymał się jego pleców. Część ekipy udaje się po cichu na górny pokład, a my ruszamy w kierunku kajut.

Strażnik wychodzi z jednego z korytarzy; ktòryś z ludzi Ashera obezwładnia go, zakładając mu chwyt na szyję i stopniowo pozbawiając przytomności. Mężczyźnie nie udaje się nawet pisnąć, żeby wezwać pomoc. Zaraz za nim jednak pojawia się drugi, ktòry błyskawicznie unosi trzymaną w rękach broń.

Rozlegają się dwa ciche strzały — Asher bez wahania powala napastnika, używając pistoletu z tłumikiem. To słuszny wybòr, bo dzięki temu nie narobimy hałasu. Nie chcemy, żeby zlecieli się tutaj ludzie Vallesa.

Asher wskazuje swojemu człowiekowi jeden z korytarzy, a mnie gestem każe iść za sobą. Wkraczamy w ciemną przestrzeń, gdzie nie widać śladòw przemytnikòw. Chyba załatwiliśmy jedynych strażnikòw na tym pokładzie.

Zbliżam się do Ashera.

— Będziemy teraz zaglądać do wszystkich kajut?

— Jeśli to konieczne — odmrucuje, po czym rusza przed siebie.

Idę za nim, trzymając się ściany i przyglądając się z boku, jak facet dociera do drzwi pierwszej z brzegu kajuty.

Otwiera je ostrożnie, ale ze środka wypada na niego jakiś facet z nożem. Asher klnie i zanim zdąży jakoś zareagować, puszcza serię z karabinu.

Nie wiem, czy robi to celowo, ale alarmuje tym wszystkich obecnych na pokładzie. Napastnik upada na deski, zaraz potem rozlegają się głosy i słyszymy ruch w pozostałych kajutach.

Kurwa, po prostu świetnie.

W zielonkawym świetle gogli widzę kolejną biegnącą do nas osobę. Asher już ostrzegawczo wymierza z broni, gdy dostrzegam, że to nie mężczyzna.

— Kenzie! — krzyczę, a Asher od razu opuszcza karabin.

Dziewczyna wrzeszczy, gdy on po nią sięga, i próbuje się uwolnić; Asher klnie ponownie, kiedy kopie go w tydkę.

Podchodzę bliżej i wyrywam ją z jego uścisku, przyciągając do siebie. Momentalnie rozluźnia się w moich ramionach, kładąc mi dłonie na piersi.

Jezu, serce chyba mi zaraz wyskoczy, tak bardzo łomocze, wyrywając się do Kenzie. Mam ją! Naprawdę ją mam!

— Harrison? — pyta drżącym głosem. — Co ty...

— Cicho — polecam jej stanowczo. — Idziemy.

Asher sięga do krótkofalówki i informuje swoich ludzi, że się wycofujemy. Wychodzimy z korytarza w tej samej chwili, gdy otwierają się kolejne drzwi. Instynktownie osłaniam Mackenzie własnym ciałem, a ona łączy się do mnie, trzęsąc się jak osika. Ściskam ją chyba trochę za mocno, ale będę się tym martwił później. Na razie musimy bezpiecznie wyprowadzić dziewczynę z jachtu.

Na dolnym pokładzie spotykamy się z drugim człowiekiem Ashera; po chwili widzę, jak pozostali wracają z górnego pokładu. Jeden z nich odwraca się, celując do kogoś, po czym posyła serię, zanim zbiegnie na dół.

— Spadamy stąd! — krzyczy Asher, ale po tych jego słowach rozlegają się strzały.

Rozbiegamy się na wszystkie strony. Ciągnę za sobą Mackenzie i lądujemy pod jedną z burt, zastonięci jakimiś skrzynkami. Unoszę się, zamykając dziewczynę między swoimi ramionami, by nie dosięgły jej kule; dostrzegam, że ludzie Ashera otwierają regularny ogień.

Trwa to chwilę, zanim Asher krzyczy:

— Uciekajcie, kiedy wam powiem! Będziemy was osłaniać!

Hart, wiesz, dokąd bieć!

Kiwam tylko głową i czekam na znak. Czuję, jak Mackenzie obok drży, trzymając mnie kurczowo za ramię, i ściskam ją pocieszająco, niemo zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Potem Asher daje znak, więc podrywam się i ciągnę ją za sobą. Biegniemy do tylnego trapu, podczas gdy ludzie Ashera strzelają do przemytników. Niemalże wrzucam Mackenzie do wody — na szczęście mamy blisko do brzegu, bo w jej stanie zapewne nie byłoby łatwo się tam dostać.

Brniemy przez wodę, aż w końcu docieramy na brzeg.

Ludzie Ashera wycofują się stopniowo za nami, ale ja i Kenzie zaszliliśmy już dalej i nie zamierzam tracić tej przewagi, bo w przeciwieństwie do nich nie mamy się jak bronić. Wciągam Mackenzie w las deszczowy i odnajduję ścieżkę, którą dotarliśmy do zatoczki z lądowiska. Moja towarzyszka nie zadaje nawet jednego pytania, dokąd biegniemy, i dobrze, bo nie mamy na to czasu.

W końcu pierwsi docieramy do helikoptera. Na nasz widok Mark pyta, gdzie reszta.

— Są za nami — informuję go. — Odpalaj, ale czekamy na nich.

Nie kwestionuje moich słów, tylko kiwa głową i zabiera się do pracy. Pomagam Mackenzie wejść do środka, po czym wyciągam spomiędzy zapasów koc i nim ją okrywam.

Kłękam przed nią, gdy siada na wolnym miejscu, zrywam z głowy gogle i obejmuję jej twarz dłońmi.

— Mackenzie — mówię spokojnym tonem. — Nic ci nie jest?

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, w których widzę zagubienie.

— Nie — odpira drżącym głosem. — Jak... Skąd...

— Potem — przerywam jej. — Teraz muszę wiedzieć, czy zabrać cię do szpitala.

Kręci głową.

— To nie będzie konieczne.

— Kenzie. — Nieco łagodzę ton, wypowiadając jej imię, i widzę, jak w jej oczach zaczynają błyszczeć łzy. — Jeśli ktoś z nich jakkolwiek cię skrzywdził, musisz mi powiedzieć.

Widzę, że masz siniaka na twarzy. Powiedz mi teraz szczerze, czy stało się coś jeszcze, cokolwiek, żebym mógł się o ciebie zatroszczyć.

Słyszę przybliżające się wystrzały, co zapewne oznacza, że nadchodzą ludzie Ashera, ale skupiam się tylko na kobiecie przede mną. Na mojej kobiecie, którą udało nam się odbić.

Teraz muszę się jedynie upewnić, że ta wątpliwa przygoda nie pozostawiła po sobie żadnych trwałych śladów.

— Nic mi nie jest — powtarza Mackenzie nieco pewniej. —

Naprawdę. Po prostu... zabierz mnie stąd.

Siadam obok i obejmuję ją mocno, a ona przywiera do mojego boku. W tym samym momencie na polance pojawiają się pierwsi ludzie Ashera. Liczę zbliżające się sylwetki. Wygląda na to, że są wszyscy.

Któryś odpowiada jeszcze ogniem, ale wreszcie udaje im się dobiec do helikoptera. Od razu zajmują miejsca.

— Startuj! — poleca Asher, a Mark kiwa głową i nie zwleka ani chwili.

Mackenzie przytrzymuje się mnie mocniej, gdy się wznosimy; mnie znowu robi się niedobrze, więc domyślam się, jak ona musi się czuć. Nawet jeśli nie pamięta poprzedniej katastrofy, wie, że ją przeżyła.

Spoglądam na Ashera, który zrywa z twarzy gogle, uśmiecha się szeroko i unosi kciuk.

— Wzorowa akcja! — przekrzykuje pracujące śmigło. — Ale się świetnie bawiłem! Oby więcej takich zleceń w przyszłości!

Oby nie.

Odpowiadam mu skinieniem głowy, po czym wracam do Mackenzie, która wcale nie wygląda, jakby wszystko było w porządku.

To moja wina. To ja nie obroniłem jej przed przemytnikami i pozwoliłem im ją zabrać, i nawet nie pomogłem specjalnie przy odbiciu jej.

Jakim cudem mógłbym na nią zasługiwać?

Rozdział 24

Mackenzie

Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdążam nawet dobrze tego przyswoić, a już znajdujemy się z powrotem na Lanai.

Oszalał mi tempo, w jakim to się odbywa. Nie wiem, kim są ludzie, którzy nam towarzyszą, ale po ich stosunku do Harrisona i do mnie domyślam się, że zostali wynajęci, by mnie odbić. Jestem w szoku, że udało mu się coś takiego zorganizować — zespół rodem ze SWAT-u i helikopter, który dowozi nas prawie pod sam hotel!

Przez całą drogę drżę jak osika, chociaż bardzo chciałabym zachować spokój, i trzymam się blisko Harrisona, czepiając się go desperacko jak jakaś idiotka. Nie rozmawiamy; dla niego milczenie jest normalne, a ja wolę mieć zaciśnięte zęby, żeby nimi nie szczekać. Poza tym z każdą chwilą widzę, jak zmienia się pogoda, gdy niebo na horyzoncie zaczyna różowieć, i obawiam się powtórki z rozrywki. Nie wiem, czy przeżyłabym kolejną katastrofę lotniczą.

Na Lanai już na nas czekają. Moja matka z krzykiem wyrywa mnie z objęć Harrisona, a ja daję się ciągnąć jak bezwolna lalka, w kółko zapewniając, że nic mi nie jest.

Mama zalewa się łzami i nawet ojciec wygląda na przejętego, gdy mnie mocno obejmuje. Hudson porywa mnie jako następną; patrzy uważnie, zapewne szukając jakichś widocznych oznak niewoli. Poza siniakiem na policzku nie mam żadnych.

— Na pewno wszystko okej? — pyta mnie po sto razy. — Bo jeśli próbujesz nas okłamywać, Mac...

— Dajcie jej trochę spokoju, nic jej się nie stało — przerywa to w końcu Harrison.

O dziwo, wszyscy milkną, przyglądając mu się dziwnie. On tymczasem podchodzi bliżej i bez namysłu bierze mnie na ręce. Piszczę, ale nie protestuję, tylko chwytam go za szyję, dochodząc do wniosku, że oddanie mu kontroli nad sytuacją wcale mi w tej chwili nie przeszkadza.

— Pakujcie się — poleca następnie Harrison. — Przykro mi, że niszczę całe wesele, ale ten świr ciągle jest na wolności i z pewnością już wie, gdzie się zatrzymaliśmy. Musimy wyjechać, jeśli nie chcemy ponownie się na niego natknąć.

Wszyscy zaczynają go dopytywać, jakiego konkretnie świra ma na myśli, ale Harrison już milczy i rusza w stronę mojego domku.

Przymykam oczy i opieram czoło o jego ramię, pozwalając się kołysać jednostajnemu krokowi. Na moment serce mi zamiera, gdy myślę, że to wszystko mi się śni — cała ta akcja, odbicie mnie, uwolnienie, podróż z powrotem na Lanai. Potem jednak stwierdzam, że gorący dotyk Harrisona nie mógłby być bardziej realny.

Jestem bezpieczna.

Zostawiamy za sobą moją rodzinę, jego rodziców i Celię; choć cieszę się z ich obecności, jestem wykończona i potrzebuję jedynie spokoju i odpoczynku. Po chwili wchodzimy do mojego domku — nawet nie pytam Harrisona, skąd ma zapasowy klucz.

Kładzie mnie na łóżku i dopiero wtedy otwieram oczy.

— Zostaniesz ze mną? — pytam.

Widzę, jak się waha. Spogląda w stronę drzwi, a moje serce ściska się boleśnie. Zamierza mnie teraz zostawić?

— Muszę iść, powinniśmy się spakować — wyjaśnia. —

Chciałbym, żebyśmy wylecieli jak najszybciej.

Naprawdę to rozumiem, ale łóżko jest takie miękkie, że nie mam siły się podnieść. Potrzebuję choć chwili dla siebie i nie chcę teraz myśleć o Miguelu i jego zbirach. Za to pragnę bliskości Harrisona. To on bronił mnie przez ostatnie dni i troszczył się o mnie, jak tylko mógł. O mało nie zginął przez to, że jakiś przemytnik dostał niezdrowej obsesji na moim punkcie.

Może ma o to do mnie pretensje? A może żałuje, że zbliżył się do mnie podczas tych dni spędzonych w dziczy?

Zastygam, czując, że do oczu napływają mi łzy. Mam nadzieję, że Harrison tego nie dostrzeże, bo nie potrafiłabym się wytłumaczyć. Nic nie poradzę na to, że czuję się psychicznie rozbita. Nie zamierzam go jednak namawiać do zostania ze mną; może po prostu nie jest to dla niego komfortowe.

— W porządku — wyduszam przez zaciśnięte gardło. —

Zaraz też się tym zajmę.

Odwracam się od niego i kulę się na łóżku, zaciskając mocno zęby, żeby nimi nie dzwonić. Nie wyobrażam sobie, że bym była w stanie się spakować, ale może poczuje się lepiej, kiedy wezmę się do jakiejś pracy. Poza tym nie mam wyjścia. Nie chcę spędzić ani dnia dłużej na tej samej wyspie, na której spotkaliśmy przemytników.

Mrużę oczy, próbując się uspokoić. Czekam, aż usłyszę oddalające się kroki Harrisona, mimo to non stop czuję na sobie jego wzrok. To trochę dziwne, ale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

Przeżyłam kilka naprawdę stresujących dni. Jakoś mi się udawało trzymanie się w garści, ale teraz moja wytrzymałość chyba się skończyła. Nie chcę okazywać słabości, to jednak silniejsze ode mnie.

Za chwilę na pewno będzie mi lepiej. Na pewno...

Słyszę westchnienie Harrisona i po chwili materac ugina się pod jego ciężarem. Wstrzymuję oddech i pozostaję w bezruchu, gdy on kładzie się za mną, po czym obejmuje mnie ramieniem w talii i przyciąga do siebie, aż plecami opieram się o jego tors. Otacza mnie znajomy zapach i od razu się rozluźniam.

Jest mi tak dobrze. Stopniowo przestaję się trząść, a ciepło jego twardego ciała przenika mnie. Harrison przesuwą dłoń i splata palce z moimi.

Chyba jednak się popłaczę.

— Tylko na chwilę — mamrocze mi do ucha. — Potem musimy się pakować.

Kiwam głową, a po chwili śpię już głęboko.

Kiedy się budzę, od razu wiem, że jestem sama w łóżku.

Po chwili dociera do mnie, co właściwie mnie obudziło.

Deszcz bębni w dach domku, co sprawia, że wracają wspomnienia z lasu deszczowego. Niekoniecznie tylko te złe.

Siadam gwałtownie i rozglądam się po pomieszczeniu. Moja walizka leży na podłodze przy otwartej szafie, chociaż z pewnością jej tam nie zostawiałam; w środku chyba znajdują się jakieś rzeczy. Ktoś mnie spakował?

Jestem w domku sama, Harrisona nie ma obok, a materac jest chłodny. Pewnie poczekał, aż zasnę, i zaraz potem sobie poszedł. Na myśl o tym robi mi się przykro. Nie chcę wracać do tego, co myślałam o nim na początku naszej znajomości, zwłaszcza że udowodnił mi, jak bardzo to myślenie było błędne, ale ciągle kołacze mi się po głowie

myśl, że on chyba nie miał ochoty spędzać ze mną czasu.

Został tylko dlatego, że żałośnie o to prosiłam.

Naprawdę źle się z tym czuję. Pozwoliłam mu włożyć mi palce do cipki, a teraz wygląda na to, że on nie chce w ogóle przebywać w pobliżu mnie. Nie mam pojęcia, co o tym sądzić.

Jestem taką idiotką.

W domku panuje półmrok, ale kiedy spoglądam na zegarek, okazuje się, że jest już po ósmej rano. Dziwne, że nikt nie obudził mnie wcześniej. Mieliśmy jak najszybciej opuścić wyspę, więc co się dzieje?

Wstaję z łóżka i dopiero wtedy zauważam, że wciąż mam na sobie tę sukienkę, którą dał mi Miguel. Zrywam ją z siebie jednym ruchem, rucam na podłogę i ruszam do moich rzeczy, żeby znaleźć coś innego. Wyciągam pierwsze lepsze szorty i koszulkę, a kiedy się przebieram, zastanawiam się, dlaczego jest tak ciemno. Zamknięte okiennice?

Dopiero gdy otwieram drzwi na zewnątrz, stwierdzam, że nie chodzi tylko o okiennice.

Rzeczywiście pada. A właściwie leje. Porywisty wiatr szarpie palmami tak mocno, że mam wrażenie, iż zaraz wyrwie je z korzeniami. Uderza we mnie mocny podmuch, siekąc ostrymi kroplami deszczu, aż cofam się z powrotem do środka i tracę oddech. Niebo nad Lanai jest sinoszare.

Wyglądam na zewnątrz, szukając wzrokiem któregoś z moich towarzyszy. Plaża jest pusta, podobnie ścieżki między drzewami prowadzące do sąsiednich domków. W

jednym z nich okiennice są jednak odsunięte, a w środku pali się światło. W tym konkretnym mieszkają Celia i Hudson — ale sądząc po sylwetkach, które widzę, jest tam znacznie więcej ludzi niż tylko ich dwoje.

Waham się. Może powinnam poczekać w domku, zwłaszcza że nie czuję się zupełnie bezpiecznie na myśl o samotnym wyjściu na zewnątrz, i to w taką pogodę. Nie mogę jednak w nieskończoność ukrywać się w tym miejscu.

Dlatego ostatecznie cofam się po klucz i wychodzę na zewnątrz, zupełnie nie przejmując się faktem, że smagają mnie fale deszczu.

Przebiegam ścieżką między drzewami, mimo to jestem zupełnie przemoczona, kiedy docieram do sąsiedniej werandy. Uchylam drzwi i przez chwilę niezauważona przyglądam się scenie w środku.

W domku Celii i Hudsona jest tłoczno. Na kanapie poza młodą parą siedzi moja matka, w fotelach usadowili się wyraźnie podirytowana Isabella i przejęta mama Harrisona.

Mój ojciec opiera się o fotel swojej dziewczyny, pan Hart z kolei przysiadł na oparciu tego zajętego przez jego żonę.

Harrison stoi nad nimi z założonymi na piersi ramionami.

— Musimy coś zrobić — mówi stanowczo. — Nie możemy tu zostać.

— Kontaktowałem się z lotniskiem — tłumaczy mu Anthony z wyraźnym niezadowoleniem. — Wszystkie loty są odwołane. Żaden pilot nie zabierze nas w taką pogodę. Poza tym nie chcemy powtórki z tego, co się stało na Molokai, prawda?

— Nie możemy tu zostać — powtarza Harrison jak zdarta płyta.

— Może nic złego się nie stanie? — sugeruje mój ojciec niepewnie. — Skoro my nie możemy się wydostać z wyspy, to oni też nie. Poza tym nie wiemy, czy ci ludzie spróbują was ścigać. Już raz mieli przez to kłopoty. Może dojdą do wniosku, że nie jesteście ich warci?

Naprawdę mam nadzieję, ale też wątpliwości, czy powinniśmy opierać nasze przetrwanie na domysłach.

— No właśnie: nie wiemy — podkreśla Hudson. — Serio chcesz uzależnić od tego nasze życia?

— Chyba nie mamy wyjścia — wzdycha moja matka. — Co innego możemy zrobić?

W tej samej chwili wzrok Celii pada na mnie; szturcha mojego brata, który podąża za jej spojrzeniem.

— Mac? Dlaczego nie jesteś w łóżku?

Dopiero wtedy wchodzę głębiej do domku i zamykam za sobą drzwi. Tu jest zdecydowanie cieplej niż na zewnątrz, ale i tak obejmuję się ramionami, bo przemokłam do suchej nitki.

— Dlatego, że nie mam dziesięciu lat i powinnam wiedzieć, co się dzieje — odpowiadam jej ostro. — Nie możemy wyjechać, tak?

— Musimy poczekać, aż huragan przejdzie — przyznaje mój ojciec. — Ale nie martw się, będziesz bezpieczna.

Ciekawe, jak zamierzają tego dopilnować?

— To nie mnie próbowali zabić — przypominam im. — To Harrisonowi grozi niebezpieczeństwo. Musimy coś zrobić.

Celia podnosi się z kanapy i bez słowa rusza do łazienki, skąd wychodzi po chwili z wielkim ręcznikiem. Podaje mi go, przyglądając mi się z troską.

— Weź go, jesteś cała mokra — mówi, a ja przyjmuję go z wdzięcznością.

Otulam się nim, dzięki czemu robi mi się trochę lepiej. Celia chce mnie posadzić na kanapie obok swojego męża, ale kręcę głową. Nie jestem kaleką i

nic mi nie będzie, jeśli trochę postoję. Nie chcę, żeby traktowali mnie, jakbym przez to porwanie stała się słaba psychicznie albo fizycznie.

Wobec tego Celia również nie wraca na sofę i zostaje obok mnie.

— Mną nie musicie się martwić — zapewnia Harrison. — To ty, Mackenzie, potrzebujesz ochrony.

Nienawidzę tego, że ma rację. Dostrzegam, jak Harrison wymienia spojrzenia ze swoim ojcem.

— W takim razie po prostu nie zostawimy jej samej — mówi pan Hart. — Będziesz pilnował Mackenzie, pòki pogoda nie poprawi się na tyle, żebyśmy mogli wyjechać. Wątpię, aby przemytnicy odważyli się wtargnąć do hotelu, nawet jeśli optacają

tutejszych

funkcjonariuszy.

Policja

może

przymykać oko na pewne sprawy, ale w przypadku otwartych działań to już nie byłoby takie łatwe.

Ano tak, ci goście nie chcieli mieszać szpitala i policji przy tamtym postrzale.

Zaskakuje mnie, że Anthony od razu proponuje, by to Harrison się mną zajął, i chyba nie tylko mnie. Moi rodzice też natychmiast zaczynają protestować.

— Lepiej będzie, jeśli ja zostanę z Mac — upiera się ojciec.

— Albo jeżeli będziemy się wymieniać. Tak będzie bezpieczniej.

Czy mógłby dać Harrisonowi bardziej do zrozumienia, że mu nie ufa?

— Richard ma rację — dodaje spokojnie Harrison. — Będzie lepiej, jeśli to wy zajmiecie się Mackenzie.

To dla mnie cios w samo serce.

Chwieję się, aż Celia musi mnie przytrzymać; posyła Harrisonowi zaskoczone spojrzenie. Ja tymczasem z każdą chwilą czuję się gorzej. Znowu chce mi się płakać.

Naprawdę go potrzebuję! Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale odkąd spędziłam z nim te kilka dni w lesie deszczowym, tylko w jego towarzystwie czuję się bezpiecznie. Może Harrison zdaje sobie z tego sprawę i dlatego się odsuwa

—
żeby odzyskała równowagę? Może uznał, że to, co nas tam połączyło, nie jest już istotne tutaj, po powrocie do cywilizacji? A może zwyczajnie... zmienił zdanie? W końcu nie jestem już jedyną dostępną kobietą.

Wyraźnie nie chce mieć ze mną więcej do czynienia, a to odrzucenie naprawdę boli. Nie spodziewałam się, że będzie aż tak źle.

Nie zamierzam go o nic prosić. Nagle robi mi się obojętne, co się dalej stanie i co postanowi moja rodzina.

— Jestem zmęczona i muszę wziąć prysznic — zapowiadam.

— Wracam do siebie. Jak coś ustalicie, dajcie mi znać.

Powstaje małe zamieszanie, bo nikt nie chce, żebym szła sama, chociaż to raptem kilkadziesiąt metrów. Odwracam się i zmierzam do wyjścia, nie zwracając uwagi na ich krzyki i nadal kurczowo trzymając rącznik od Celii.

Wychodzę, zanim ktoś zdąży mnie zatrzymać. Kiedy uderza we mnie fala deszczu, pozwalam popłynąć z oczu łzom, bo i tak nikt nie odróżni jednego od drugiego. Wlepiam wzrok w majaczący przede mną domek, podążając do niego uparcie; sama przed sobą nie chcę się przyznać, jak bardzo skrzywdził mnie tamte słowa Harrisona.

— Kenzie! Zaczekaj!

Gdybym miała wątpliwości, kto za mną idzie, pozbyłabym się ich po tym zdrobnieniu. Tylko jedna osoba go używa.

To oczywiście skutkuje tym, że się nie zatrzymuję, tylko przyspieszam kroku. Słyszę za sobą przekleństwo, ale udaje mi się dojść aż do wejścia do mojego domku, zanim czuję mocny uścisk na ramieniu.

Odwracam się niechętnie i podnoszę wzrok. Harrison też jest już przemoczony.

— Co ty wyrabiasz, Kenzie? — pyta ostro.

— Nie nazywaj mnie tak — syczę.

Chyba zaskakuję go tymi słowami. Spogląda na mnie w dziwny sposób, jakby go to... zraniło?

Nie, to chyba niemożliwe.

— Przystań się wygłupiać — odpowiada. — Nie powinnaś teraz zostawać sama. Co się dzieje?

Prycham z niedowierzaniem. On naprawdę tego nie rozumie?

— Nic — odpowiadam uparcie.

— Możesz mi powiedzieć — zapewnia nieco łagodniej, pieścizliwym gestem przesuwając dłoń po moim ramieniu. Dostaję od tego ciarek. — Powiedz mi, co się dzieje. Chcę ci pomóc, Kenzie.

Och, po prostu w to nie wierzę.

Nienawidzę tego, jak on na mnie działa, zwłaszcza że sam wydaje się totalnie niewzruszony. Nienawidzę też siebie za słabość, którą wobec niego czuję.

— Jasne — mamroczę. — Nie chcę twojej pomocy, Harrison.

Uwalniam ramię z jego uścisku, a on puszcza mnie i nie próbuje zatrzymać. Znajduję klucz do domku w kieszeni szortów i drżącą ręką otwieram drzwi. Mam nadzieję, że on sobie pójdzie, ale cały czas stoi obok jak cień.

Znowu się nie odzywa. Chyba nigdy wcześniej nie irytowało mnie to tak bardzo.

— Czego potrzebujesz? — pyta w końcu.

Staję w progu domku, przytrzymując drzwi, żeby nie próbował za mną wejść. On chyba jednak nie ma takiego zamiaru.

Zupełnie nie rozumiem tego człowieka.

— Żebyś zostawił mnie w spokoju — odpowiadam, po czym zatrzaskuję mu drzwi przed nosem.

Opieram się o nie czołem i przez chwilę trwam tak, płacząc bezgłośnie. Każda komórka mojego ciała tęskni za jego dotykiem.

Jak do tego doszło? Dlaczego tak się stało? Czy to tylko efekt kilkudniowej walki o przetrwanie, w trakcie której Harrison był moim jedynym sojusznikiem?

On nie chce mieć z tobą nic wspólnego, przemyka mi przez głowę. Dla niego to wszystko nic nie znaczyło. Ja dla niego nic nie znaczę.

Odrywam się w końcu od drzwi i idę pod prysznic.

Może gorąca woda zmyje ze mnie całe rozgoryczenie, ból i tęsknotę.

Rozdział 25

Mackenzie

Kiedy wychodzę spod prysznic, ze zdziwieniem widzę w moim domku Celię. Nie mam pojęcia, jak weszła do środka, skoro mam jedyny klucz, ale widocznie jednak nie jest taki jedyny. Dobrze wiedzieć, że w razie czego inni mogą bez mojego pozwolenia wchodzić, gdzie chcą.

— Niech zgadnę: wystali cię na przeszpiegi. — Wzdycham.

Mokre włosy wycieram ręcznikiem, zadowolona, że pomyślałam o ubraniu się jeszcze w łazience. Ponieważ zamierzam spać, dopóki nie uda nam się stąd wyjechać, a mnie nie uda się zapomnieć o dotyku Harrisona, włożyłam szorty i luźną koszulkę, pod którymi nie mam bielizny.

— To nie przeszpiegi — protestuje Celia. — Po prostu się o ciebie martwimy. Wzruszam ramionami, siadając w fotelu naprzeciwko niej.

Podkulam nogi i obejmuję je ramionami.

— Wszystko ze mną w porządku.

— Nie uśmiechnęłaś się ani razu, od kiedy do nas wróciłaś

— wypomina. — To dziwne jak na ciebie.

— Nie mam w tej chwili powodów, żeby się uśmiechać —

odpowiadam, przewracając oczami. — Niby dlaczego miałabym to robić: bo ktoś mnie porwał i o mało nie zabił

twojego brata? Tak, jestem roztrzęsiona i boję się, że znowu coś mi się stanie, zwłaszcza że ciągle siedzimy na Lanai, ale

to nic takiego. Przejdzie mi, kiedy wrócimy do Los Angeles.

Naprawdę mnie nie skrzywdzili. Możesz to wszystkim przekazać.

Celia kiwa głową i przez chwilę milczy. Dopiero wtedy dostrzegam, że na stoliku między nami leży próżniowo zapakowana kanapka i butelka soku pomarańczowego.

Unoszę brwi.

— Powinnaś coś zjeść — tłumaczy. Na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze, ale rozumiem jej intencje. — Mac...

Mój brat się o ciebie martwi.

Próbuję zignorować jej słowa i własne serce, które zaczyna po nich walić jak głupie.

— Jak wszyscy — mamroczę.

Celia kręci głową.

— Nie, nie jak wszyscy — zaprzecza. — Harrison naprawdę się martwi. Nie słyszałaś go, kiedy do nas zadzwonił po tym, jak uciekł przemytnikom. Było w jego głosie coś takiego...

— Po co mi to mówisz? — przerywam jej gwałtownie. —

Twój brat jasno dał mi do zrozumienia, jakie ma o mnie zdanie. Nawet jego ojciec zaproponował, żeby ze mną został, a on... On się wycofał. Nie chce tu

być. I dobrze, ja też wcale go tu nie chcę.

Jeśli Celia zauważyła to ostatnie kłamstwo, nic na ten temat nie mówi.

— Znam mojego brata lepiej niż on sam siebie, Mac —

zaklina się. — On po prostu uważa, że nie zapewni ci bezpieczeństwa.

Wzruszam ramionami.

— Dzięki, ale nie musisz go tłumaczyć. Jestem zmęczona i wolalabym się położyć...

— Wiem, co mu chodzi po głowie — przerywa mi. — Uważa, że cię nie obronił i na ciebie nie zasługuje. Że powinnaś mieć do niego pretensje, bo nie udało mu się ochronić cię przed porwaniem. To dlatego uznał, że nie powinien tu być i że ty z pewnością byś go nie chciała.

Wpatruję się w nią z wahaniem. Czy Harrison naprawdę mógłby tak myśleć?

Wygoniłam go i zamknęłam mu drzwi przed nosem. Jeśli poważnie tak uważa, tylko pogorszyłam sytuację.

— Przecież to nie jego wina — protestuję. — Prędzej mogłabym mieć pretensje do siebie, że gdybym nie uratowała Miguela w drodze do Lanai City...

— To nie jest wina żadnego z was — przerywa mi znowu Celia. — Przestań w ogóle tak myśleć, Mac. A co do Harry'ego... On ma silne poczucie odpowiedzialności.

Założę się, że teraz wmawia sobie, że cię zawiódł, i dlatego próbuje trzymać się z daleka. Nie sądzę, żeby wytrzymał długo.

Podrzliwie mrużę oczy.

— Dlaczego miałby nie wytrzymać?

Celia wstaje z kanapy i posyła mi tajemniczy uśmiech.

— Sama zobaczysz — mówi wymijająco. — Na razie zjedz coś i odpocznij. Dopilnujemy, żebyś była bezpieczna. Ach, i Mac... Naprawdę się cieszę, że udało ci się do nas wrócić.

Jesteś moją siostrą. Nie masz pojęcia, jak bardzo się o ciebie niepokoiłam.

Na moich ustach wykwita słaby uśmiech. Celia klaszcze z zadowoleniem.

— Nareszcie! — mówi, wskazując na mnie. — Wiedziałam, że w końcu się uśmiechniesz. Dawaj znać, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Potem wychodzi, a ja zostaję sama. Wzdycham, nasłuchując deszczu uderzającego o dach domku, a potem posyłam niechętnie spojrzenie kanapce leżącej na stoliku.

Może później.

W tej chwili zbyt mocno chce mi się spać.

Kiedy ponownie się budzę, nie jestem już w domku sama.

W pierwszej chwili panikuję, czując wokół talii czyjeś ciężkie ramię. Próbuję się odsunąć, a kiedy ktoś leżący za mną w łóżku przytrzymuje mnie, zaczynam się wrywać.

— To tylko ja, Kenzie — słyszę uspokajający głos Harrisona.

— Rozluźnij się, proszę.

Przestaję się szarpać, chociaż daleko mi do rozluźnienia.

Przez chwilę wpatruję się w okno, obawiając się choćby do niego odwrócić, a Harrison przyciąga mnie jeszcze bliżej, splatając swoje nogi z moimi. Robi mi się gorąco.

Jego dłoń wsuwa się delikatnie pod moją koszulkę i gładzi nagi brzuch. Podbrzusze mi się zaciska, a oddech przyspiesza. Czuję jego gorące wargi na karku i muszę się powstrzymać, żeby nie zacząć jęczeć.

— Co ty... tutaj robisz? — pytam zachrypniętym głosem.

Przez chwilę nie odpowiada.

— Ktoś musi cię pilnować — stwierdza w końcu.

— Jasno dałeś mi do zrozumienia, że nie chcesz być tym kimś. —

Przewracam oczami.

Po tych słowach znowu zapada cisza. Wargi Harrisona przesuwają się z mojego karku na szyję, którą całują niespiesznie, leniwie. Przepływa przeze mnie fala podniecenia, która skupia się między nogami. Jezu, co ten facet ze mną robi?

I dlaczego właściwie to robi? Nie nadążam za jego humorami.

— Myślałem, że ty tego nie chcesz — mamrocze w końcu. —

Celia wyprowadziła mnie z błędu.

Celia?

Marszczę brwi.

— Co takiego powiedziała ci Celia?

— Że prosiłaś, żebym przyszedł — odpowiada ku mojemu zdumieniu.

Podstępna żmija! Ale skąd wiedziała, że chciałabym, żeby to właśnie on przy mnie był?

Waham się przez chwilę, czy mówić prawdę, ale dochodzę do wniosku, że tak będzie najuczciwiej.

— Nie prosiłam jej, żebyś przyszedł — protestuję.

Czuję, jak Harrison sztywnieje, a jego dłoń na moim brzuchu zamiera.

— To znaczy... że mnie tu nie chcesz? — pyta ostrożnie.

Wzruszam ramionami.

— To znaczy, że nie chcę, żebyś był tu wbrew sobie —

wyjaśniam. — Powiedziałeś mojemu ojcu, że wolisz, żeby to on się mną opiekował. Skoro tak jest, nie chcę cię tu trzymać siłą. Możesz iść i zająć się tym, czym zazwyczaj w takich sytuacjach się zajmujesz. Poradzę sobie.

Znowu dłuższa chwila ciszy. Ta rozmowa jest wykańczająca.

— Nie jestem tu wbrew sobie — zaprzecza w końcu Harrison. — Chryste, Kenzie, nie masz pojęcia, prawda?

O co mu chodzi? Odwracam się w jego ramionach, żeby spojrzeć mu w oczy, i przez chwilę brakuje mi tchu.

Harrison z kilkudniowym zarostem i ze zmierzwioną ciemną czupryną wygląda bardzo nieporządnie, ale też cholernie seksownie. Zupełnie nie jak poważny facet z kijem w dupie, którym zazwyczaj jest. Przypomina bardziej mężczyznę, który bronił mnie i troszczył się o mnie przez ostatnie dni.

Chcę, żeby ten drugi do mnie wrócił.

— O czym?

— Że prawie oszalałem ze strachu, kiedy cię zabrali. — Jego uścisk na moim ciele się wzmacnia, a w ciemnoniebieskich oczach widzę desperację. — Nie wiem, co bym zrobił, gdyby stała ci się jakaś krzywda, Kenzie. Więc uznałem, że będzie lepiej, jeśli będę się trzymał od ciebie z daleka. Już raz nie obroniłem cię przed niebezpieczeństwem.

Prycham lekceważąco.

— To jakieś bzdury — stwierdzam. — Nie możesz mieć o to do siebie pretensji. Byliśmy w naprawdę kiepskiej sytuacji, a oni lepiej znali teren, mieli przewagę liczebną i broń palną. Co niby mogłeś zrobić? Chryste, zorganizowałeś ekipę ratunkową jak z jednostki SWAT i helikopter!

Odbiliście mnie i jestem cała i zdrowa! Co jeszcze miałeś dla mnie zrobić? Dać się zabić?

Harrison nie odpowiada, gapiąc się na mnie z napięciem.

Więc to dlatego odsunął się ode mnie, kiedy wróciliśmy na Lanai. Nie mieści mi się to w głowie.

— Wiesz, jak się poczułam, kiedy odmówiłeś pilnowania mnie? —

Postanawiam odkryć wszystkie karty. — Jakbyś miał mnie gdzieś. Jakby to wszystko, co zdarzyło się między nami na Molokai, nie miało znaczenia. Jeśli chcesz o tym zapomnieć, to powiedz wprost. Uprzedzam, że mnie w ten sposób zranisz, bo ja nie potrafię tak po prostu zostawić tego za sobą, ale przeżyję.

Marszczy czoło, jakby nie rozumiał, o czym mówię. Jezu.

On poważnie jest taki niedomyślny? Aż nie chce mi się w to wierzyć.

— Tego właśnie chcesz? — drąży. — Zapomnieć? Po prostu to powiedz, a ja się dostosuję.

Mruży oczy, a przez jego twarz przemyka jakiś cień. Krzywi się, jakby z bólem, i zaczynam się zastanawiać, czy słusznie na niego naciskam.

Próbuję się odsunąć, lecz on mnie nie puszcza. Wręcz przeciwnie, przyciąga mnie jeszcze bliżej, aż ocieram się o niego całym ciałem. Jeśli on chce sensownie rozmawiać, to nie jest dobry pomysł, bo jego bliskość działa na mnie podniecająco.

— Nie potrafię zapomnieć — odzywa się w końcu. —

Wystarczyło, że Sissy powiedziała, że mnie tu chcesz, i od razu przybiegłem. Zawsze od razu przybiegnę, jeśli będziesz mnie potrzebowała.

Akurat.

— Przecież zostawiłeś mnie samą.

— Musieliśmy pogadać, zdecydować, co mamy robić. —

Wzdycha. — Zanim zdążyliśmy się spakować, rozpętało się piekło. Sama widzisz. Nie przegonisz huraganu, choćbyś bardzo próbowała. Jesteśmy tu uwięzieni.

Przygryzam wargę, a kiedy Harrison spuszcza na nią wzrok, zaczynają mnie mrowić usta.

— Nie podoba ci się, że jesteś tu ze mną uwięziony, prawda?

— Nie podoba mi się, że jesteśmy tu uwięzieni, podczas gdy tamte świry są na wolności — poprawia mnie. — Ty jesteś w tym wszystkim najbardziej pozytywnym aspektem.

Chociaż bardzo chciałam trzymać dystans, nie wytrzymuję: pochylam głowę i chowam twarz w jego szyi, a Harrison

przesuwa dłońmi po moich plecach. Czuję we włosach jego wargi.

— Zostań ze mną — proszę. — Potrzebuję cię.

Po moich słowach przez chwilę w domku znowu panuje cisza.

— Bo przyzwyczyłaś się do tego podczas tych dni w lasach deszczowych? — dopowiada po chwili.

Mam ochotę wyć z frustracji albo go walnąć. Próbuję się jednak uspokoić, bo to pytanie w zasadzie nie powinno mnie dziwić. Sama zastanawiałam się nad czymś podobnym, a Harrison nie jest mistrzem wyrażania własnych uczuć.

— Bo spodobało mi się to podczas tych dni w lasach deszczowych — prostuję.

Harrison mruczy z zadowoleniem, co sprawia, że lekko się uśmiecham. Momentalnie się uspokajam, gdy leżę w jego ramionach. Przypominam sobie, jak go nie znosiłam, gdy się poznaliśmy, i zastanawiam się, jak możliwa jest tak szybka, tak gwałtowna zmiana. Czy coś jest ze mną nie tak?

Możliwe, ale prawdę mówiąc, póki on tego nie zauważy, mam to gdzieś.

— Zostanę — obiecuje w końcu.

— I nie odejdziesz znowu, bo coś sobie ubzdurasz? — naciskam.

Słyszę dźwięk, który podejrzenie przypomina śmiech. Nie rozumiem, co on w tym widzi zabawnego, więc może tylko mi się wydaje.

— Nie odejdę, póki mnie nie wyprosisz — oświadczam. — Ale ty też musisz mi coś obiecać.

Podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć. Ma dziwnie zadowoloną minę, co sprawia, że rozlewa się we mnie ciepło.

— Co takiego?

— Że pójdziesz ze mną na randkę, kiedy już wrócimy do Los Angeles.

Uśmiecham się do niego szeroko.

— Już myślałam, że zapomniawsz.

Harrison pochyla się i całuje mnie mocno. Zaplatam mu ręce na szyi i przyciągam go, rozchylając usta i wpuszczając do środka jego język. Ta pieśczoła jest namiętna, pełna desperacji, jakby on tęsknił za tym równie mocno. Jego dłonie na moment obejmują moje policzki, a potem zsuwają się w dół, do piersi przykrytych materiałem koszulki.

Potem mężczyzna przesuwają się nieco, wkładając kolano między moje nogi, a ja odruchowo je rozszerzam. Mruczy z aprobatą, zjeżdżając dłońmi jeszcze niżej, aż dociera pod brzeg mojego T-shirtu. Drzę, czując jego gorący dotyk na skórze.

— Zaczniemy, kiedy będziemy mieli łóżko — szepcze mi w usta.

Mrugam zaskoczona.

— Co takiego? — wykrztuszam.

Harrison odsuwa się o centymetr, żeby spojrzeć mi w oczy.

Wygląda na poważnego i zdeterminowanego.

— Pamiętasz, co powiedziałem ci w lesie? — Zaprzeczam, na co on kręci głową z dezaprobatą. — Powiedziałem ci, że doprowadzę cię do PRAWDZIWEGO orgazmu, kiedy będziemy mieli łóżko. To chyba dobry moment, żeby zacząć, nie sądzisz?

O rany.

Czuję, jak na policzki wyływa mi rumieniec. Jakim cudem on nie ma absolutnie żadnych oporów, żeby o tym w ten sposób mówić? Na przykład mnie to krępuje!

— Nie sądzę, żeby to był...

— Właśnie w tym tkwi twój problem, Kenzie — przerywa mi protekcyjnie.

— Za dużo myślisz. Daj się porwać chwili, zamiast ją analizować, a zobaczysz, że będzie ci naprawdę... bardzo... dobrze.

Ostatnie trzy słowa akcentuje pocałunkami w szyję, podczas gdy jego dłonie podążają w dół mojego ciała.

Oddech mi przyspiesza, a z głowy wylatują resztki protestu i wątpliwości. Chcę, żeby Harrison robił ze mną, na co tylko ma ochotę.

I właśnie wtedy, kiedy jego palce docierają do gumki w moich szortach, słyszę pukanie do drzwi.

Zastygamy wpatrzeni w siebie z frustracją. Przez chwilę nie odpowiadam, mając nadzieję, że ten ktoś za drzwiami zrezygnuje, ale słyszę natarczywy głos ojca:

— Mac, otwórz, wiem, że tam jesteś. Będę tu stał, dopóki mnie nie wpuścisz!

— Poważnie? — warczy Harrison, ale ku mojemu rozczarowaniu się odsuwa.

Wstaję pospiesznie i przyglądam włosy oraz ubranie, starając się doprowadzić do porządku. Ręce nadal mi się trzęsą i z pewnością jestem nieco czerwona, ale może ojciec uzna, że to od snu. Harrison przechodzi do salonu, ale nie idzie za mną do drzwi, zapewne uznając, że woli zachować dystans.

On chce udawać, że nic się między nami nie dzieje, przemyka mi przez głowę, gdy ruszam otworzyć ojcu, i to zaskakująco nieprzyjemna myśl. Nie chcę, żeby Harrison trzymał mnie na dystans przy swoich bliskich, bo nie jest to w porządku wobec nikogo — a przede wszystkim wobec mnie. Nie odzywam się jednak, bo nie czas na takie dyskusje.

Ojciec wpada do środka, kiedy tylko uchylam drzwi. Ma na sobie mokrą kurtkę przeciwdeszczową, którą zostawia przy wejściu, zanim pójdzie do salonu. Widząc tam opartego o fotel Harrisona, robi niezadowoloną minę.

— Przejmuję opiekę nad Mac — informuje go. — Jesteś wolny.

W ciemnoniebieskich oczach Harrisona błyszczy niezadowolenie, więc interweniuje, zanim zdążą się pokłócić.

— Wcale tego nie potrzebuję, tato — oświadczam, wchodząc między nich.

Ojciec nie zwraca na mnie uwagi, nadal wpatrzony w Harrisona.

— Mam wątpliwości, czy mogę ufać, że przy tobie mojej córce nie stanie się krzywda — oznajmia, na co przewracam oczami. Znowu do tego wracamy?! —

To z tobą była i najpierw brała udział w wypadku samochodowym, a potem lotniczym, by wreszcie zostać porwaną.

— Czy ty sam siebie słyszysz? — pytam ze złością. — To nie była wina Harrisona.

— Uważam, że...

— Nie obchodzi mnie, co sobie ubzdurales! — wchodzę mu zdecydowanie w słowo. — Nic z tego nie było winą Harrisona, nawet ten wypadek. Nie powiedział wam, że to ci przemytnicy wtedy w nas wjechali, tylko nie chcieliśmy nikomu mówić, że ich spotkaliśmy i im pomogliśmy? Wiesz, ile razy Harrison uratował mi życie? Wyciągnął mnie nieprzytomną z helikoptera, zanim ten spadł z klifu, na litość boską! Załatwił cały oddział wraz ze śmigłowcem do odbicia mnie z rąk przemytników! Naprawdę uważasz, że jest jakaś osoba, przy której mogłabym się czuć bezpieczniej?!

Zaskoczona mina ojca podpowiada, że Harrison nie podzielił się z nim wszystkimi rewelacjami. Zapewne, jak to on, ograniczył wyjaśnienia do minimum.

Posyłam mu pełne niedowierzania spojrzenie.

— Nie powiedziałaś im?!

Tylko wzrusza ramionami.

— Nie było kiedy, a oni nie pytali.

— Gdybyś czasami odezwał się sam z siebie, niepytany, to może uniknęlibyśmy takich sytuacji — pryham.

Ojciec przygląda się nam z niezrozumieniem.

— Zaraz, to znaczy... Myślałem, że on cię nie lubi...

— Wiesz co? Naprawdę nie potrzebuję twojej pomocy — przerywam mu. — Obeszłam się bez niej ostatnie dwadzieścia lat, to obejdę się i teraz, zwłaszcza że macisz tam, gdzie nie powinieneś. Tato, kocham cię, ale nie musisz próbować mi wynagradzać tego, że nie było cię przy mnie, gdy byłam dzieckiem. To nic nie zmieni poza tym, że może poczujesz się trochę lepiej.

— Nie o to...

— A ja myślę, że dokładnie o to chodzi. — Robię krok w tył i staję obok Harrisona, nie próbuję go jednak dotykać, bo widzę, jak usztywnia się na mój ruch. On poważnie zamierza trzymać nas w tajemnicy?! — Jestem bezpieczna z Harrisonem. Zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby o to zadbać. Wracaj do Isabelli, proszę.

Tata wygląda na dezorientowanego. Mimo wszystko czuję odrobinę wyrzutów sumienia, chociaż powtarzam sobie, że nie powinnam. On nie przyszedł tu zapytać o moje

samopoczucie czy upewnić się, że wszystko ze mną w porządku. Przyszedł, żeby wyrzucić stąd Harrisona, bo wydaje mu się, że chroniąc mnie przed kimś, kto niby źle mi życzy, nadrobi dwadzieścia lat, w ciągu których w większości był nieobecny. Tylko że to tak nie działa.

Ojciec tymczasem spogląda na Harrisona i to do niego zwraca się w następnej chwili.

— Naprawdę ją uratowałeś? — Ten tylko kiwa głową. —

Trzeba było powiedzieć o tym wcześniej. Cóż, dziękuję. I...

przepraszam, że miałem o tobie takie złe zdanie. Postaram się je zmienić.

Przewracam oczami. No jasne, postara się.

Harrison tylko wzrusza ramionami. Ojciec zostaje jeszcze przez chwilę, ale w końcu udaje mi się go wypchnąć na zewnątrz, gdzie wciąż leje jak z cebra.

Dopiero wtedy odwracam się do Harrisona.

— Nie mogę uwierzyć, że podczas rozmowy z moim ojcem wypowiedziałeś jedno pełne zdanie.

Harrison obrzuca mnie zadowolonym spojrzeniem.

— Za to ty broniłaś mnie jak lwica. — Jego wzrok pada na stolik, gdzie nadal czeka kanapka przyniesiona mi przez Celię. — Chodź, musisz coś zjeść, żeby nabrać sił, Kenzie.

Potem możemy wrócić do tego, co nam przerwano.

Wrócić.

Już mi się podoba.



Rozdział 26

Mackenzie

Nudzę się.

Nie sądziłam, że coś takiego będzie możliwe na Hawajach, ale huragan zmienia perspektywę. Kiedy większość rozrywek staje się niedostępna, pozostaje niewiele możliwości. Jedna z nich przychodzi sama — ledwie skończę jeść, Celia z Hudsonem zapraszają nas na brydża.

Po prostu świetnie.

Nie chodzi o to, że nie lubię brydża, bo uwielbiam, zwłaszcza gdy mam za partnera kogoś takiego jak Harrison.

Wolałabym jednak wrócić z nim do łóżka i robić różne rzeczy, które mi obiecał. Najwyraźniej nasi bliscy nie orientują się, jakie mieliśmy plany, i nieświadomie postanowili je zmienić.

Byłoby dużo prościej, gdybyśmy im o sobie powiedzieli.

Dlaczego Harrison nie chce tego zrobić? Jest za wcześnie?

— Nie rozumiem, po co w ogóle chciałam z wami grać —

marudzi Celia, kiedy ja i Harrison totalnie ich ogrywamy.

Mój partner rozluźnia się nawet na tyle, by do mnie mrugnąć, kiedy mój brat i jego żona tego nie widzą. —

Przecież było wiadomo, że i tak przegramy. Jesteś beznadziejny, Hudson.

— Ja?! — oburza się Hudson. — To ty nie umiesz blefować!

Ja rozumiem, że Harrison był jakimś tam mistrzem gdzieś kiedyś, ale jakim cudem tak dobrze dogaduje się z moją siostrą?!

Wymieniamy z Harrisonem znaczące spojrzenia, a ja chichoczę. On jednak pozostaje zupełnie poważny.

— Widocznie to porozumienie dusz — wypala Celia.

Mój brat parska śmiechem, od czego robi mi się przykro.

— Jasne — komentuje kwaśno.

Spuszczam wzrok i przyglądam się własnym paznokciom.

To naprawdę wydaje się Hudsonowi takie niemożliwe?

No dobra, wiem, że niespecjalnie do siebie z Harrisonem pasujemy. On prowadzi firmę, w której skupia się na zarabianiu pieniędzy, a ja chcę tylko pomagać zwierzętom.

On jest małomówny i ponury, a ja wiecznie się uśmiecham i usta mi się nie zamykają. On jest sztywniakiem, który najchętniej nie wyjeżdżałby z Los Angeles, ja zaś uwielbiam podróże, zwłaszcza spontaniczne, i próbowanie nowych rzeczy. W zasadzie nic dziwnego, że Hudson podchodzi do myśli o nas tak sceptycznie.

Ale to jeszcze nic nie znaczy, prawda?

— Dobra, chciałabym teraz zostać sama z moim mężem —

oświadcza Celia, zbierając karty. — W końcu to również coś w rodzaju naszego miesiąca miodowego, nie? Więc zajmijcie się dla odmiany sobą! Czy tylko mnie się wydaje, że jej słowa brzmią dwuznacznie?

Harrison się krzywi i wstaje od stolika.

— Pewnie — mamrocze. — Przyniosę nam coś do jedzenia.

Serce podskakuje mi na te słowa i uśmiecham się odruchowo. Czy to będzie coś na kształt wspólnej kolacji?

— Nie słyszałeś mojej żony? — pyta tymczasem Hudson. —

Nie chcemy jeść z wami kolacji.

Celia uderza go łokciem między żebra, aż mój brat syczy z bólu.

— Harry miał na myśli siebie i Mac — uświadamia go.

Harrison nie odpowiada ani się nie tłumaczy, tylko z zadowoloną miną wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać.

Chętnie ją przyjmuję, zwłaszcza że jego gorący, mocny dotyk jest cudownie elektryzujący. Zaskoczone spojrzenie mojego brata tylko odrobinę mnie rozprasza.

— Coś dużo czasu spędzacie ostatnio razem — zauważa podejrzliwie.

Gdy tylko stoję na nogi, Harrison mnie puszcza i odsuwa się o krok, po czym wzrusza ramionami. Nie odpowiada jednak.

Bez jego dotyku czuję się nieswojo, ale robię dobrą minę do złej gry.

— Tak to jest, kiedy się z kimś utknie na parę dni w głuszy

— żartuję.

Mój brat kiwa głową, ale nie wygląda na przekonanego.

Trudno. Jeśli Harrison ma problem z tym, że ktoś może zobaczyć w nas parę, to niech on to odkręca. Ja nie mam zamiaru.

— Odprowadzę cię, a potem przyniosę ci coś do jedzenia — mówi Harrison.

Żegnamy się z Celią i Hudsonem, zakładamy peleryny przeciwdeszczowe i wychodzimy. Harrison zachowuje dystans, co niepokoi mnie jedynie odrobinę. On już taki jest. Nie będzie się do mnie kleił tylko dlatego, że włożył we mnie palce w chatce w głuszy, prawda?

Potem zostawia mnie na chwilę samą; spodziewam się, że nie będzie go najwyżej kilka minut, ale ten czas znacznie się wydłuża. Niecierpliwie czekam na niego na sofie, próbując czytać jakąś książkę na czytniku, ale nie mam do tego głowy. Czuję się jakoś... niepewnie.

Jak właściwie powinnam nazwać tę relację? Kim my teraz dla siebie jesteśmy?

Kiedy Harrison w końcu wraca, niesie tylko jeden talerz.

— Zjadłem w restauracji — oznajmia — i przyniosłem coś dla ciebie.

Coraz mniej z tego rozumiem.

— A nie mogłeś zjeść ze mną?

Kładzie talerz na stoliku i siada w fotelu naprzeciwko, przeczesując palcami wilgotne włosy.

— Nie chciałem ci się narzucać.

— Narzucać? — powtarzam w szoku. — O co chodzi, Harrison? Jeszcze parę godzin temu wszystko było w porządku, a teraz...

Milknę i rozkładam bezradnie ręce, bo sama nie wiem, jak to określić.
Harrison marszczy czoło.

— Teraz co?

— Teraz mam wrażenie, że znowu jesteś emocjonalnie niedostępny. Chodzi o mojego ojca? O Hudsona?

Błądzą po omacku, ale czuję, że coś jest nie tak. Harrison zresztą nie zaprzecza, tylko wpatruje się we mnie z frustracją. Czuję falę paniki. Może on chce mi powiedzieć, że to między nami jest błędem? Znowu coś sobie uroił?

Na pewno możemy to przepracować. Może za bardzo naciskam, a Harrison jest zbyt przyzwyczajony do trzymania ludzi na dystans.

On tymczasem wskazuje brodą na talerz i odpowiada jedynie:

— Zjedz coś.

— Niczego nie będę jadła, pòki mi nie odpowiesz —

denerwuję się. — Nie chcesz, żeby ktoś w ogòle pomyślał, że możemy być razem?

Harrison z westchnieniem wstaje i sięga po talerz. Potem siada obok mnie i zaczyna w nim grzebać.

Sałátka, smażony ryż, duszone warzywa — przyniòsł mi same dobre rzeczy. Kiedy nadziewa na widelec kawałek fety i ogòrka, po czym spogląda na mnie znacząco, przez chwilę chcę zrobić mu na złość i nie przyjąć poczęstunku, ale szybko uginam się pod jego spojrzeniem. Rozchylam usta, a widelec wślizguje się między moje wargi. Harrison przygląda się temu wygòdniałym wzrokiem.

Chyba nie zazdrości mi jedzenia?

— Nie powinniśmy się spieszyć — wydusza w końcu.

Pospiesznie przełykam to, co mam w ustach.

— Co to właściwie znaczy? — pytam podejrzliwie. — Już nie chcesz iść ze mną na randkę?

— Chcę — przyznaje, ale słyszę, że robi to z wahaniem.

Serce zaczyna mi dudnić w klatce piersiowej. — Ale sam sugerowałem, że to powinno się stać dopiero po powrocie do LA. Jesteś skołowana, Kenzie, i masz za sobą traumatyczne przeżycia. Nie chcę, żebyś się przez to pomyliła.

Unoszę brew.

— Pomyliła?

Harrison znowu mnie karmi, a ja odruchowo przyjmuję kolejną porcję sałatki. Cały czas nie spuszczam z niego wzroku.

— Co masz na myśli, mówiąc „pomyliła”? — drążę, kiedy nie odpowiada. — Jestem dorosłą kobietą i wiem, czego chcę.

— Pomyśl: do niedawna mnie nie znosiłaś — tłumaczy spokojnie. — Zmieniłaś zdanie tylko dlatego, że uratowałem cię z helikoptera, a potem opiekowałem się tobą w lesie deszczowym. Nie chcę, żebyś weszła w tę relację z niewłaściwych powodów.

Jestem tak zaskoczona, że bezwiednie rozchylam usta, a on wsuwa w nie następną porcję jedzenia. Przełykam, zauważając, że Harrison obserwuje moje reakcje i jest wyraźnie spięty. Nie w smak mu ta rozmowa, ale chodzi też o coś innego. Karmi mnie. To takie... intymne.

Irytuję się. Nie chcę, żeby się wycofał, bo coś sobie ubzdurał.

— Wiem, co robię, Harrison — protestuję.

Mężczyzna przewraca oczami.

— Nie sądzę.

Nagle uderza we mnie fala gniewu.

Mam ochotę wytrącić mu ten talerz z ręki, dlatego wstaję gwałtownie i cofam się o krok, żeby się powstrzymać.

Harrison przygląda mi się spokojnie, po czym bez mrugnięcia okiem odkłada talerz na stół i również się podnosi. Zaciskam dłoń w pięści, bo świerzbi mnie, żeby mu przywalić.

— Jesteś protekcyjnym dupkiem, wiesz? — syczę. — Nie życzę sobie czegoś takiego. Nie będziesz mi mówił, co jest dla mnie dobre, i na pewno nie wiesz lepiej ode mnie, co czuję czy myślę! Jeśli coś ci we mnie nie pasuje, to powiedz to wyraźnie, zamiast usprawiedliwiać się chorą troską o mnie!

Harrison chwyta mnie za nadgarstki i odsuwa moje ręce na bok, jakby się zorientował, że mam ochotę go uderzyć.

Szarpię się i próbuję wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

Napiera na mnie, aż cofam się panicznie; gubię krok i

wpadam plecami na ścianę, do której on przygwaźdza mnie biodrami.

Dopiero wtedy zastygam.

Jest podniecony. Czuję wyraźnie jego twardą męskość na moim udzie.

Krzyczę na niego, a on się tym podnieca? Co się dzieje z tym facetem?!

— Chcę postępować ostrożnie, żebyś tego potem nie żałowała — wyjaśnia. No po prostu w to nie wierzę. Zaraz go walnę!

— Mam wrażenie, że jedyną osobą, która tu czegoś żałuje, jesteś ty — odpowiadam.

Harrison zamiera na moment, ja też, próbując unormować oddech.

Wpatruje się we mnie z napięciem, głodnym wzrokiem, który z każdą chwilą rozpala mnie coraz bardziej. On mnie chce. Nie wymyśliłam sobie tego. Po prostu ma namieszane w głowie i bez sensu próbuje utrzymywać dystans.

Nie zamierzam mu na to pozwolić.

Przechylam się do przodu, chwytam go za kark i całuję.

Potrzebuję jakiejś sekundy, by namówić go na rozchylenie warg. Mniej więcej tyle czasu Harrison musi mieć, by odzyskać rezon i przejąć kontrolę nad tym pocałunkiem.

Zaraz potem wszystko dzieje się błyskawicznie.

Łapie mnie w pasie i przyciąga do siebie, aż cała się o niego opieram.

Zaciska pięść w moich włosach i nawija je sobie na nadgarstek, odchylając mi głowę do tyłu, po czym pogłębia pieściznę. Wsuwa mi język w usta, pożera mnie zachłannie i przyciska do ściany, a ja poddaję mu się, wbijając palce w jego ramiona.

— Tego chcesz? — mamrocze ze złością, odsuwając się o centymetr. Kręcę głową. — Więc czego chcesz, Kenzie?

— Więcej — dyszę. — Chcę więcej.

Jego usta spadają na mnie ponownie, pocałunek jest dziki, mocny, gwałtowny. Pulsowanie między moimi nogami się wzmacnia, kiedy Harrison wkłada dłoń pod koszulkę, którą mam na sobie, i bez namysłu sięga po moją pierś. Odsuwa miseczkę stanika i zaciska na niej palce, po czym kciukiem zaczyna drażnić twardy sutek.

Jestem już mokra. Nie wilgotna, ale na tyle mokra, że powinnam zmienić bieliznę. Tak niewiele uwagi ze strony Harrisona wystarczy, żeby kompletnie mnie podkręcić. Jak do tego doszło?!

Nie wiem i nie chcę się nad tym zastanawiać.

Harrison wpycha kolano między moje nogi, zmuszając mnie, żebym rozstawiła je szerzej. Och, tak. Chyba miałam do niego o coś pretensje, ale nie pamiętam o co, skupiam się na jego gorących ustach i niecierpliwym dotyku. Chcę go tak bardzo, że to aż boli.

Jego dłonie chwytają mój tyłek, a ja bez namysłu oplątam Harrisona udami, pozwalając się podnieść i przyspilić biodrami do ściany. W tej pozycji jego wzwiedziony penis ociera się o mnie w wyjątkowo odpowiednim miejscu.

Marzę, żeby nie było między nami ciuchów.

Odchylam głowę jeszcze bardziej, kiedy Harrison zaczyna sunąć ustami do mojej szyi. Gryzie lekko, aż przechodzi mnie dreszcz. Chyba pokazuje mi w ten sposób, gdzie moje miejsce.

Jestem jego.

Słyszę dźwięk rozrywanego materiału i dopiero po chwili orientuję się, że Harrison podarł mi koszulkę. Nie mam czasu się o to wkurzać, bo on już pochyla się, by wziąć do ust jeden ze sutków. Jęczę i wplątam mu palce we włosy, przyciągając go bliżej.

— Chcę, żebyś tak jęczała, kiedy będę cię pieprzył językiem

— mruczy.

Krew uderza mi do głowy. Czy to się dzieje naprawdę?!

Jeszcze pół godziny temu ten facet był zimny jak lód!

Dreszcz przepływa przez moje ciało, gdy Harrison przygryza sutek, równocześnie zaciskając palce na mojej drugiej piersi. Poruszam biodrami, ocierając się o niego bezwstydnie, a on mamrocze coś w moją skórę — chyba jakieś przekleństwo.

Jeszcze. Chcę jeszcze!

— Trzymaj się — poleca, po czym odrywa mnie od ściany.

Kurczowo przytrzymuję się jego szyi, podczas gdy on ze mną w ramionach przechodzi przez salon i dociera do łóżka. Kładzie mnie na plecach i odsuwa się na moment, żeby przyrzeć mi się uważnie, przesywającym, ciemnym spojrzeniem. Puszczam go niechętnie, a mój żołądek zaciska się boleśnie.

— Żadnego udawania tym razem, jasne? — mówi ostro.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko kiwnąć głową.

Sapię, kiedy Harrison pochyla się nade mną i jednym ruchem ściąga ze mnie szorty razem z bielizną. Nie chcę pozostawać mu dłużna, dlatego podnoszę się nieco i zdejmuję koszulkę przez głowę, zostając w samym różowym biustonoszu.

Mężczyzna zastyga na chwilę, pożerając mnie wzrokiem, podczas gdy ja rozsuwam szeroko nogi.

— Jesteś piękna — mówi schrypniętym głosem. — Taka piękna. I tylko moja.

Zaborcza nuta w jego głosie sprawia, że drzę. Upajam się tymi słowami, aż kręci mi się w głowie.

Nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi, że jestem piękna.

W ustach Harrisona to jednak nie są puste słowa —

wyraźnie widzę zachwyty w jego błyszczących oczach i pożądanie, które niemalże mnie spala. Nikt jeszcze tak na mnie nie patrzył.

Harrison porusza się powoli, jakby obawiał się mnie splotać. Klęka między moimi nogami i chwyta tydki, rozsuwając je jeszcze szerzej, żeby zrobić sobie miejsce.

Nie mogę oderwać od niego wzroku, a gdy niespiesznie pięści skórę po wewnętrznej stronie moich ud, dostaję dreszczy. Z trudem łapię powietrze.

— Wiesz, co chcę ci teraz zrobić? — pyta ochryple.

Kręcę głową, z frustracją myśląc, że akurat w takiej chwili musiało mu się zebrać na gadanie!

— Chcę schować głowę między twoimi udami i głęboko wsunąć w ciebie język — opowiada, a moje oczy rozszerzają się ze zdziwienia. — Chcę cię nim pieprzyć, aż będziesz krzyczała moje imię. Chcę cię lizać, smakować i ssać, dopóki nie dojdiesz pod moimi ustami.

Brakuje mi tchu. Zaraz zemdleję z braku tlenu. Serce wali mi jak szalone i czuję rumieniec na twarzy, Harrison jednak nie wydaje się w ogóle przejęty tymi słowami. To każe mi się zastanawiać, jak często mówi coś podobnego kobietom.

Nie, nie będę myśleć o Harrisonie i innych kobietach, kiedy jestem z nim w łóżku!

On tymczasem nie czeka na moją odpowiedź, tylko pochyla się i chwyta mnie za biodra. Sapię, kiedy obdarza pocałunkami wewnętrzną część moich ud, aż zaczynają mi drżeć nogi. Jego gorące usta sprawiają, że mąci mi się w głowie.

W końcu dociera do cipki, w którą bez namysłu wsuwa język. Jęczę i chcę wypchnąć w jego kierunku biodra, ale zaciska na nich palce i nie pozwala się poruszyć, przyciskając mnie do materaca.

— Właśnie tak — mamrocze. — Nie powstrzymuj tego, Kenzie.

Jego stanowczy dotyk i rozkazujący ton wyczyniają ze mną cuda. Żaden facet wcześniej nie podporządkował mi tak sobie w łóżku. Nie mam ochoty się przeciwstawić, wręcz przeciwnie — chcę zrobić wszystko, co Harrison mi nakáže.

Postusznie jęczę ponownie, a on mruczy z aprobatą, po czym zaczyna mnie pieprzyć językiem.

To takie dobre, że mam ochotę miauczeć jak kotka. Spod półprzymkniętych powiek przyglądam się jego głowie między moimi nogami, kurczowo ściskając w dłoniach prześcieradło. Rozkosz mnie obezwładnia.

— Tak — proszę bez tchu. — Jeszcze... mocniej...

Harrison dokłada do piśczoty palce, uciskając kciukiem moją łechtaczkę. To tak niespodziewane, że niszczy we mnie resztki oporu. Wyprężam się i dochodzę mocno, z krzykiem, który pewnie byłby słyszalny w innych domkach, gdyby nie huragan.

Robi mi się ciemno przed oczami, a przez moje ciało przechodzą dreszcze. Szczytuję długo, a Harrison przedłuża to uczucie, wciąż posuwając mnie językiem. Utrzymuje stałe tempo i nie przestaje nawet wtedy, kiedy zaczynam się uspokajać. Piśczę i próbuję się od niego odsunąć, ale mi na to nie pozwala.

— Jeszcze nie — mruczy. — Dawaj dalej, Kenzie.

Jego usta opadają na moją łechtaczkę i są mocno, a we mnie uderza drugi orgazm, zanim w ogóle zorientuję się, co się dzieje. Wrywa się ze mnie kolejny krzyk, dygoczę cała, w oczach czuję łzy. Jezu!

Nigdy nie przypuszczałam, że to może być takie dobre!

Dopiero kiedy drugi orgazm mija, Harrison patrzy na mnie z męską satysfakcją. Jestem rozluźniona i na usta wypływa mi słaby uśmiech. On marszczy brwi, sięgając do mojej twarzy, i ociera mi łzy z policzka.

— Wszystko w porządku? — pyta szorstko, z odrobiną niepokoju.

Kiwam głową.

— Tak — zapewniam ochrypłym głosem. — Jezu, tak. Nie mogłoby być lepiej. Dziękuję.

Harrison w zamyśleniu przekrzywia głowę.

— Nie mogłoby? — powtarza sceptycznie. — Przecież ja dopiero zaczynam, Kenzie.

Och.

Chyba już wiem, co nastąpi za chwilę.

Rozdział 27

Mackenzie

Nie mam czasu się zastanawiać, jakim cudem Harrison tak łatwo wywołał u mnie aż dwa orgazmy, bo on nie daje mi chwili wytchnienia. Szybko pozbywa się reszty ubrań, po czym kładzie się na mnie, aż jego twardy penis trąca moje udo.

Zanim odrzuci na bok dresy, wyciąga z kieszeni paczuszkę z prezerwatywą. Rozchylam usta. Przyszedł przygotowany?

— Sądziłam, że nie chcesz iść ze mną do łóżka — mówię zgryźliwie.

— Zabrałem ją na wszelki wypadek — zapewnia, a kiedy zacznym chichotać, zamyka mi usta pocałunkiem.

Rozsuwa mi nogi kolanem, aż złośliwa odpowiedź wyparowuje mi z głowy. Na oślep zabieram kondoma i rozrywam opakowanie, pozwalając mu wsunąć język w moje usta. Dłonie Harrisona błądzą po moim ciele, zamykają się na piersiach, a ja sięgam do jego penisa i obejmuję go mocno, aż mężczyzna syczy. Chichoczę, a on przygryza mi wargę.

— Widzisz tam coś zabawnego, Kenzie?

Zerkam w dół, by choć przez chwilę podziwiać jego grubego fiuta. Nie mogę się doczekać, aż we mnie wejdzie.

Drżącą ręką zakładam prezerwatywę.

— Widzę tam coś, co bardzo chcę w sobie mieć — mamroczę.

Usta Harrisona lądują na mojej szyi; gryzie mnie łagodnie w ramię, przesuwając w górę moje dłonie, kiedy tylko kończę z gumką. Splata razem nasze palce i przyciska mi dłonie do materaca, po czym wchodzi we mnie jednym zdecydowanym ruchem bioder.

Krzyczę, czując, jak mnie rozciąga. Jest naprawdę duży, a ja miałam kilkumiesięczną przerwę, więc potrzebuję chwili, żeby przywyknąć do takich rozmiarów. Harrison zatrzymuje się, podnosi głowę i spogląda na mnie w sposób, który sprawia, że płonę z pożądania.

— Jesteś moja, Kenzie — mówi, aż serce skacze mi do przetyku. — Jesteś moja, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem.

Unoszę brwi.

— A ty?

— A ja jestem twój — odpowiada takim tonem, jakby to było oczywiste.

Wycofuje się, po czym znowu we mnie uderza, a ja zaciskam się na nim mocno. Harrison nie przerywa kontaktu wzrokowego, gdy wykonuje kolejne pchnięcia, z każdym nieco zwiększając tempo. Och, to takie dobre. Takie przyjemne.

Z trudem panuję nad oddechem; otaczam go udami, przyciągając bliżej i zmieniając nieco kąt. Harrison przyspiesza, po czym nachyla się, przygryza moje ucho i zaczyna szeptać mi do niego różne pikantne słowa.

Och, nie sądziłam, że on będzie tym typem, który gada podczas seksu!
W pewnej chwili puszcza moje nadgarstki i chwytą mnie za tyłek, chcąc zmienić pozycję. Łapię go mocno za ramiona, a on podnosi nas bez trudu i nawet się ze mnie nie wysuwając, siada na łóżku, oparty plecami o wezgłowie, a

mnie sadza sobie na kolanach. Odruchowo trzymam się ściany za jego głową i kotyszę się na nim, aż moje piersi ocierają się o jego tors.

Harrison wsuwa palce w moje włosy i nawija je na pięść, po czym przyciąga, żeby mnie zachłannie pocałować. Jego gorące usta sprawiają, że podbrzusze zaciska mi się boleśnie. Odsuwam się gwałtownie i piszczę, kiedy nagle uderza mnie lekko w pośladek.

— Dałeś mi klapsa — stwierdzam oburzona.

Harrison przygląda mi się z leniwym zadowoleniem.

— I dam ci kolejne, jeśli nie zaczniesz się ruszać, słonko.

Och, w sumie ma rację. Jestem na gorze, więc chyba powinnam, nie?

Robię zamyśloną minę, podnoszę się i opuszczam na niego, aż jego penis ponownie chowa się we mnie cały. Oczy Harrisona ciemnieją, kiedy przygryzam wargę.

— W taki sposób?

Masuje miejsce, w które mnie uderzył, po czym ściska pośladki i zachęca mnie do dalszych ruchów i zwiększenia tempa. Puszcza moje włosy i łąapie za biodra, pomagając mi i wychodząc naprzeciw, z każdą chwilą przyspieszając, aż pieprzymy się jak szaleni.

Mam za mało sił, żeby długo to ciągnąć, więc wkrótce Harrison unieruchamia mnie w miejscu i sam zaczyna pracować biodrami. Głośno jęczę przy każdym jego ruchu, opadam na niego i chowam twarz w jego szyi, całując go gorączkowo, a on otacza mnie ramieniem i trzyma w ciasnym uścisku, nie przestając się we mnie wbijać. Jest mi tak dobrze... Tak cholernie dobrze...

— Jesteś kurewsko gorąca, Kenzie — mruczy mi do ucha. —

Dojść dla mnie jeszcze raz, słonko.

Nie wiem, czy to efekt jego słów, czy raczej wbijającego się we mnie penisa, ale w następnej chwili czuję zbliżający się orgazm. Przymykam oczy i pozwalam mu przeze mnie przepłynąć, aż zastygam cała i gryzę Harrisona w ramię, żeby nie krzyknąć mu do ucha. Trzęsę się, podczas gdy on wykonuje jeszcze kilka ruchów i też zamiera, głęboko we mnie zanurzony, trzymając mnie mocno.

Oboje potrzebujemy chwili, żeby wrócić do rzeczywistości.

Uspokajam się, opierając spocone czoło o jego bark.

Harrison powoli przesuwając dłonie na moje plecy, gładząc mnie zmysłowo, od czego dostaję ciarek.

— Co tam mówiłaś, hmm? — mamrocze mi do ucha, wyraźnie z siebie zadowolony. — Że nie miewasz orgazmów?

Śmieję się, po czym zbieram wszystkie siły, by się odsunąć i na niego spojrzeć. Na ustach Harrisona błąka się uśmiech męskiej satysfakcji, od czego moje serce robi fikołka.

Chryste, on jest taki atrakcyjny, kiedy patrzy na mnie w ten sposób, jakbym była wszystkim, czego pragnie. Jakby moje zadowolenie było dla niego zajebistym komplementem.

Jakby nie liczyło się nic poza nami tutaj, w tym domku, w czasie huraganu.

— Co zrobiłem inaczej?

Marszczę brwi, kiedy słyszę to pytanie. Wydaje się autentycznie ciekawy.

— To znaczy?

— Coś musiałem, skoro doszłaś. — Jego zadowolony uśmiech jeszcze się poszerza. — Trzy razy. Co zrobiłem?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę. Odpowiedź jest prosta, ale nie od razu ją do siebie dopuszczam.

— Powiedziałeś, że jestem piękna — szepczę w końcu.

Harrison porusza się tak szybko, że nie zdążam mrugnąć, a już leżę na materacu. Sięga po chusteczkę ze stojącego na szafce nocnej pudełka, po czym pozbywa się prezerwatywy.

Dopiero potem wraca do mnie i kładzie się tuż obok, nadal pięknie nagi i zupełnie tym faktem nieskrępowany.

Ja najchętniej bym się czymś przykryła, ale jego gorące spojrzenie, którym omiata moje ciało, skutecznie mnie do tego zniechęca. Wyraźnie Harrisonowi podoba się to, co widzi.

Przyciąga mnie, aż leżę przytulona do jego boku, obejmuje ramieniem i mruczy coś z satysfakcją. To chyba dlatego, że jestem miękka w jego uścisku i nie próbuję się wyrwać. Za dobrze mi się leży z brodą na jego klatce piersiowej.

Nagiej klatce piersiowej, oczywiście. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, prawda?

— Nie wierzę, że nikt ci wcześniej tego nie mówił — mówi, kiedy już znajduje najwygodniejszą pozycję. — Poza tym nawet jeśli tak, to nie miałabyś problemu podczas masturbacji.

Ledwie trochę się uspokoiłam, a znowu czuję rumieniec na policzkach. Niby to normalne słowo, ale ja nie potrafię go używać tak śmiało jak on!

— Ja... nie miałam wcześniej szczęścia do facetów —

tłumaczę niepewnie.

Harrison wpatruje się we mnie, jakby chciał wyczytać rozwinięcie tych słów z moich myśli. Waham się, bo nie jestem pewna, czy chcę się tym z nim dzielić. No dobra, przed chwilą wymieniliśmy płyny ustrojowe, ale zwierzanie się sobie uważam za dużo bardziej intymne.

Jeśli jednak naprawdę chcę zbudować coś z Harrisonem, to prędzej czy później będę musiała mu powiedzieć. Równie dobrze mogę to zrobić teraz.

— W jakim sensie nie miałaś szczęścia do facetów? — drży, a coś w jego pozornie spokojnym tonie głosu mi się nie podoba. — Któryś z nich cię skrzywdził?

Aha, więc o to chodzi. Naprawdę słodkie, że on się o to martwi.

— Nie tak, jak zapewne sobie wyobrażasz. — Wzruszam ramionami. — Po prostu... w przeszłości wybierałam złych facetów.

— W jakim sensie? — powtarza uparcie.

Wzdycham. No dobra, chyba nie obędzie się bez wyznania mu całej prawdy.

— Kiedy byłam nastolatką, miałam sporą nadwagę — zaczynam, a on posyła mi pełne niezrozumienia spojrzenie.

— Inne dzieciaki się ze mnie śmiały. Hudson próbował mi pomagać, ale kiedy skończył szkołę i wyjechał, zostałam z tym sama.

— Nastolatki potrafią być okrutne — zauważa. Kiwam głową.

— To był najgorszy okres mojego życia — wyznaję niechętnie. — Wiesz, nie wyglądałam aż tak źle, ale byłam pulchna. A poza tym również wycofana i cicha. Brakowało mi pewności siebie. Byłam łatwym celem szkolnych drwin, a w domu miałam tylko matkę, która powtarzała mi, że będzie lepiej, jeśli zabierze mnie do fryzjera i na zakupy.

Jakby sukienka mogła cokolwiek zmienić.

Przewracam oczami. Harrison milczy, czekając na dalszą część tej opowieści. Właściwie wyjątkowo cieszę się, że nic nie mówi.

— Potem z tego wyrosłam, jednak niska samoocena pozostała — przyznaję.

— To pewnie ma jakiś związek z faktem, że mojego ojca nigdy nie było w domu. No wiesz:

czułam się tak, jakby mnie nie chciał. Odszedł niedługo po moich narodzinach, więc może to była moja wina, że poszedł szukać sobie nowej rodziny?

— To nigdy nie była twoja wina, Kenzie — protestuje stanowczo.

— Teraz to już wiem. — Wzdycham. — Ale wtedy...

Wszystko było powodem, żeby gorzej o sobie myśleć. I może dlatego zaczęłam trafiać na facetów, którzy podzielali tę opinię.

— To znaczy?

Harrison wygląda na zagniewanego. Za daleko już jednak zabrnęłam, żeby się teraz wycofać.

— Miałam kilku chłopaków, ale mało którego na poważnie

— wyjaśniam. — Zazwyczaj odchodzili, zanim zdążyło się tak zrobić. Bo nie chciałam z nimi uprawiać seksu albo znaleźli kogoś lepszego. Kiedy w końcu poszłam z którymś do łóżka, szybko tracił zainteresowanie. Ale najgorszy był Eric.

— To ten ostatni facet, o którym kiedyś wspominałaś? — pyta, a ja jestem zdziwiona, że to zapamiętał.

— Tak — potwierdzam. — Eric na pierwszy rzut oka wydawał się cudowny. Przystojny, zabawny, inteligentny.

Myślałam, że wygrałam na loterii, kiedy go poznałam. Ale szybko się okazało, że wcale nie jest taki idealny.

— Krzywdził cię?

Jest naprawdę kochany, że tak się martwi. Posyłam mu uspokajający uśmiech.

— Nie tak, jak myślisz — zaprzeczam. — Nie fizycznie.

Psychicznie. Na początku nawet nie zauważyłam, że to się dzieje. Zaczęło się od drobnych spraw. Powtarzania, jakie to mam szczęście, że się mną zainteresował. Jak to mógłby

być z dużo lepszą dziewczyną, ale wybrał właśnie mnie.

Potem zaczął mnie poprawiać. No wiesz: wskazywać, że to mogłabym zrobić lepiej, że tu się nie postarałam, że tamto wyszło mi kiepsko. Sugerował, że powinnam schudnąć, podając mi nawet konkretną wagę, do której miałam dążyć.

Kazał mi wyrzucać niektóre ciuchy, twierdząc, że źle w nich wyglądam.

Harrison z każdym moim słowem robi się coraz bardziej ponury. Po sposobie, w jaki zaciska szczęki i jak drży mu mięsień w policzku, domyślałam się, że jest wściekły.

— Ten człowiek kompletnie zabił we mnie poczucie własnej wartości — wyznaję. — Nawet teraz, kiedy o tym mówię, wstydzę się, że pozwoliłam, by do tego doprowadził, chociaż to nie moja wina. Krzyczał na mnie, kiedy na spotkaniu z jego znajomymi zrobiłam coś, co mu się nie spodobało. Twierdził, że ośmieszam go w ich oczach.

Krytykował, gdy czegoś nie wiedziałam. Na każdym kroku okazywał mi, że jestem gorsza, że nigdy nie będę dla niego dość dobra i że jest ze mną z litości. A co najgorsze —

uwierzyłam mu.

Milknę, gdy czuję pod powiekami łzy. Harrison bez wahania przyciąga mnie bliżej, aż leżę całkowicie schowana w jego objęciach, przytulona do niego, z twarzą w zagłębieniu jego szyi. Nic nie mówi, tylko głaszcze mnie po plecach, ustami dotykając mojej skroni.

— Żaden facet nigdy nie powiedział mi, że jestem piękna —

dodaję, choć głos mam zachrypnięty od powstrzymanego płaczu. — Do niedawna myślałam wręcz, że to moja wina, że przyciągam do siebie takich, którzy chcą się na mnie jedynie wyżyć. Byłam na tym tak zafiksowana, że twoje początkowe reakcje też wzięłam za niechęć i uznałam, że jesteś jednym z nich.

— To moja wina — kiwa głową Harrison. — Źle się wobec ciebie zachowywałam.

— Może i tak, ale to ja poszłam jedynym znanym mi tropem.

Więc odpowiadając na twoje pytanie: myślę, że to dlatego.

Wszyscy zawsze mi wmawiali, że nie jestem dość dobra, aż w końcu sama w to uwierzyłam. Może mnie to jakoś...

zablokowało? Nie wiem, nie jestem seksuolożką, ale sądzę, że to przez to. Że do tej pory nigdy nie odpuściłam na tyle, by sobie na to pozwolić.

— Na orgazm — dopowiada, a ja kiwam głową. — Powiedz to głośno, Kenzie.

Parskam śmiechem.

— Tak, na orgazm, głupku.

— No dobrze, to teraz posłuchaj mnie uważnie. — Milknę i wpatruję się w niego wyczekująco, bo po minie widzę, że przymierza się do dłuższej przemowy, a tego w jego wykonaniu nie mogę przegapić. — Gdyby ci to jeszcze umknęło,

nie jesteś gorsza. I nie jesteś winna, że ktokolwiek tak o tobie mówił. To ten typ ma jakiś problem, nie ty. Cieszę się, że udało ci się od niego odejść, i zrobię wszystko, by ci pokazać, że nie miał racji. Nie mówiłem tego na pokaz — naprawdę jesteś piękna. Zaparło mi dech w piersiach, gdy tylko cię zobaczyłem, i nie wiedziałem, co powiedzieć, dlatego zachowywałem się jak idiota. Jesteś wspaniałą kobietą. Zabawną, pełną empatii, inteligentną i słodką. Czuję się jak największy szczęściarz, że leżę z tobą w jednym łóżku.

Mrugam, żeby odgonić niepostuszną łzy. On jednak jeszcze nie skończył.

— Przepraszam, że trzymałem cię na dystans — dodaje. —

Mślałem, że... Że chcesz mojej bliskości tylko dlatego, że spędziłaś ze mną parę dni w głuszy. Że to nic poważnego, po prostu podziękowanie za uratowanie życia albo coś

takiego. Chroniłem się i mślałem, że jeśli się odsunę, ochronię też ciebie. Więcej nie zachowam się w ten sposób.

Uśmiecham się do niego radośnie.

— To dobrze — odpowiadam. — Bo bardzo mnie tym wkurzyłeś.

Na jego ustach znowu pojawia się przelotny uśmiech.

— Zauważyłem.

— Dziękuję ci za to. — Wzdycham. — Kiedy byłem z Erikiem, Hudson próbował powiedzieć mi coś podobnego, ale nie słuchałem. Z tego typu związkami jest taki problem, że nie od razu widzisz, co się dzieje. Zagłębiasz się w nie stopniowo, aż wydaje ci się, że to, co cię otacza, jest normalne.

— To tak jak z wodą — mówi Harrison. — Jak ktoś wrzuci cię do gorącej, będziesz wrzeszczeć i uciekać. Ale jak znajdziesz się w zimnej, a ktoś stopniowo zacznie ją podgrzewać, nawet nie zauważysz, kiedy zaczniesz się gotować.

Kiwam głową, zaskoczona, że on tak dobrze mnie rozumie.

— Dopiero w którymś momencie, gdy spojrzałam na to trzeźwym okiem, stwierdziłam, że nie ma w tym nic normalnego — wyjaśniam. — Więc spakowałam się i odeszłam. Hudson mi w tym pomógł. Eric był wściekły. I w pełni zrozumiałam, jakim jest człowiekiem, gdy darł się pod drzwiami mieszkania mojego brata, że jego się nie zostawia.

Wzdrygam się na to wspomnienie.

Harrison przytula mnie jeszcze mocniej i milczy przez chwilę, a potem pyta z pozoru beznamiętnie:

— Jak on się nazywa?

Posyłam mu podejrzliwe spojrzenie.

— W jakim celu chcesz to wiedzieć?

Wzrusza ramionami z obojętną miną, lecz ani przez chwilę mu nie wierzę.

— Po prostu chcę poznać wszystkie fakty.

— Żeby go wysledzić i w moim imieniu zrobić mu krzywdę?

— podsuwam.

Harrison ma na tyle przyzwoitości, by nie próbować mnie okłamywać. Uśmiecha się przepaszająco, co natychmiast mnie rozbraja.

On musi wiedzieć, jak na mnie działa jego uśmiech! To taka rzadkość, że kiedy go widzę, zapominam o całej reszcie!

— Jeszcze nie zdecydowałem, co mu zrobię.

— Nie chcę, żebyś robił mu cokolwiek! — krzyczę, uderzając go pięścią w tors, co bardziej chyba boli mnie niż jego. Cholera, ależ ma twarde ciało! — Odeszłam od niego, zamknęłam ten rozdział. Nie chcę mieć z nim nic więcej do czynienia.

Harrison marszczy brwi.

— Ależ nie będziesz miała. Ja tak.

— Nie! — Parskam śmiechem, choć jestem równie rozbawiona, co sfrustrowana. — Nie chcę tego, w porządku? Wystarczy, że tu jesteś i serwujesz mi kolejne orgazmy. Już dałeś mi więcej, niż ten duppek kiedykolwiek.

Nie chcę, żebyś przeze mnie wpadł w kłopoty.

— Załatwię to tak, że nie będzie mowy o kłopotach —
zapewnia mnie.

Jezu, nie mogę z nim. Ten facet jest niemożliwy!

Robię surową minę.

— Jeśli dowiem się, że coś mu się stało, nakopię ci do dupy.

Czy to jasne?

Harrison przytakuje i chociaż porzuca temat, nie czuję się z tym do końca pewnie. Mam nadzieję, że naprawdę nie zrobi nic głupiego.

Szybko przestaję o tym myśleć, bo jego następne słowa sprowadzają mój mózg na inne tory.

— Wiesz, jak wezmę cię następnym razem? — pyta leniwie, na co kręcę głową. — Od tyłu. Chcę, żebyś doszła, jak będziesz przede mną klęczała.

O cholera.

Już nie mogę się doczekać!

Rozdział 28

Mackenzie

Jest mi z nim naprawdę dobrze.

Ta myśl dociera do mnie, gdy budzę się następnego ranka.

Otocza mnie silne ramię Harrisona, który nadal śpi. Wtulam się w niego, kompletnie naga, i chociaż nie mam w zwyczaju spać w ten sposób, zaskakująco mi się to podoba.

Jestem wykończona. Mimo że przespałam kilka godzin, moje mięśnie nadal przypominają galaretę.

Może to dlatego, że kochałam się z Harrisonem trzy razy.

Przesuwam się na łóżku, czując parcie na pęcherz, ale Harrison podąża za mną, jakby nawet przez sen szukał

ciepła mojego ciała. Przyciąga mnie z powrotem do siebie, aż plecami opieram się o jego tors, i ustami dotyka karku.

Czuję przesuwające się po moim ciele gorące wargi i dochodzę do wniosku, że Harrison już się obudził.

— Dzień dobry — mamrocze, na co odruchowo się uśmiecham. — Jak spałaś?

— Bardzo dobrze — odpowiadam słabo. — Wykończyłeś mnie. Nie mogę już.

— Ależ możesz. — Napiera biodrami i czuję, że jest podniecony, co sprawia, że i mnie zaciska się podbrzusze.

Ach, ta poranna erekcja. — Tylko obawiam się, że nie mam już gumek.

Byłam zaskoczona, że aż tak dobrze się przygotował.

Waham się. Mam spiralę, o czym mu nie wspomniałam, ale nie wiem, czy jestem gotowa robić to z nim bez ochrony. I czy powinniśmy najpierw porozmawiać o badaniach?

Jesteśmy już na tym etapie?

Harrison całuje mnie w szyję, od czego dostaję dreszczy, a jego dłoń wędruje na moją pierś. Ściska sutek między kciukiem a palcem wskazującym, a ja jęczę. Może jednak powinnam mu pozwolić?

Zanim zdążę dojść do jakichś wniosków, słyszę pukanie do drzwi domku. Oboje zamieramy.

— Olej to, może sobie pòjdą — mamrocze Harrison.

Spoglądam na niego przez ramię.

— Oni? Skąd wiesz, że jest ich więcej?!

— Nie wiem — szepcze. — Ale lepiej, żeby było, jeśli chcą mnie powstrzymać przed wejściem w ciebie.

Śmieję się, lecz on pozostaje poważny. Chyba nie żartował.

— Muszę zobaczyć, kto to — protestuję, usiłując wydostać się spod jego ramienia. Harrison mruczy z niechęcią i mnie nie puszcza. — To może być coś ważnego.

— Ważniejszego od mojej konieczności kochania się z tobą na łyżeczkę? Mięknę na te słowa. Dobra, nadal mówi o seksie, ale to i tak słodkie. Prawie mnie przekonuje.

Pukanie rozlega się ponownie, a przez odgłosy deszczu przedostaje się głos mojego brata.

— Mac, otwórz! Chcę tylko sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku!

Marszczę brwi i spoglądam na zegarek. Jest wpół do dziewiątej, co oznacza, że przegapiłabym śniadanie, gdybym się na nie wybierała. Zazwyczaj jadalіśmy ten

posiłek koło ósmej. Ale naprawdę nie chce mi się chodzić do restauracji w czasie huraganu.

Pewnie dlatego mój brat tu jest. Martwi się, że nie przyszedł na poranny posiłek.

Wzdycham i stanowczo odsuwam się od Harrisona. Posyła mi urażone spojrzenie, ale nie próbuje oponować.

— Ubierz się — syczę. — Chyba że chcesz, żeby mój brat znalazł cię w moim łóżku.

Właściwie trochę mnie to boli, kiedy Harrison kiwa głową i zaczyna szukać ciuchów. Czy to byłoby takie złe, gdyby Hudson się o nas dowiedział?

Narzucam na siebie szlafrok i zawiązuję go mocno, żeby brat nie zauważył, że pod spodem jestem naga. Nie oglądam się na Harrisona, tylko idę do drzwi i uchylam je nieco.

Nadal pada. Na zewnątrz jest zaskakująco ciemno jak na wpół do dziewiątej rano, wieje też na tyle mocny wiatr, że Hudson aż się chwieje. Schowany pod peleryną kuli się, gdy uderzają w niego podmuchy siekące kroplami deszczu.

Zatrzymuję się w drzwiach. Właściwie powinnam go wpuścić — trzymanie go w progu jest dość okrutne. Boję się jednak trochę, co może zrobić Harrison za moimi plecami. A jeśli jeszcze się nie ubrał?

— Spałaś? — pyta brat, przyglądając mi się uważnie.

Kiwam głową.

— Byłam zmęczona — wzdycham — i nie miałam ochoty w taką pogodę iść na śniadanie.

— Tak pomyślałem. — Hudson wyciąga w moją stronę talerz przykryty drugim talerzem, zapewne żeby nie zmoczyć tego, co znajduje się w środku. — Przyniosłem ci coś na ząb.

Uśmiecham się i przyjmuję podarunek.

— Dzięki. Jesteś kochany.

— Ktoś cię pilnuje? — Widzę, jak zagląda do domku ponad moim ramieniem. — Mieliśmy się zmieniać.

— Przecież nikt by cię nie budził w środku nocy. —

Wzruszam ramionami. — Harrison ze mną został.

Nie zamierzam tego ukrywać.

Hudson marszczy brwi i popycha drzwi, aż otwierają się szerzej. Zaskoczona cofam się o krok, a on wchodzi do środka, rozglądając się.

Zerkam pospiesznie za siebie, by stwierdzić, że Harrison siedzi spokojnie na kanapie, jakby wcale nie wstał przed chwilą z mojego łóżka. Jest nieco rozczochrany i wygląda na zasnętego, ale mógłby zapewne się upierać, że spał w ubraniu na sofie.

— Nadal tu jesteś? — dziwi się mój brat. — Nie chcesz wrócić do siebie, żeby trochę odpocząć?

Harrison wzrusza ramionami, ale nie odpowiada. Nagle w obecności innych znowu będzie robił z siebie milczka?

— Myślę, że moja siostra może mieć cię dość, tylko jest zbyt dobrze wychowana, żeby ci to powiedzieć — dodaje Hudson, na co szczęka opada mi niemalże do podłogi. — No dalej, zrób sobie przerwę. Ja z nią posiedzę.

Chcę odpowiedzieć coś ostro, ale głos więźnie mi w gardle, gdy widzę, jak Harrison bez słowa wstaje z kanapy. Mam jeszcze odrobinę nadziei, że postawi się Hudsonowi i odpowie, że wcale nie potrzebuje odpoczywać, ale on nie robi nic z tych rzeczy. Po prostu kiwa głową i kieruje się do drzwi.

Zamierza mnie zostawić?!

— Harrison — wrywa mi się, zanim ugryzę się w język.

Zatrzymuje się już przy drzwiach i ogląda się na mnie. Jego spojrzenie jest dziwnie obojętne. O co tu chodzi? Dlaczego on jest taki dwubiegunowy?

— Zobaczmy się później — rzuca, po czym tak po prostu wychodzi.

Właściwie chcę za nim iść, ale spojrzenie brata osadza mnie w miejscu. Cała moja złość przenosi się więc na niego.

— No i po co to zrobisz? — syczę. — Obraziłeś go. Nie było takiej potrzeby!

— Widziałem, jak ten facet cię traktuje — tłumaczy Hudson.

— Nie chcę, żeby stał się kolejnym Erikiem.

Jezu, on nawet nie ma pojęcia!

— Harrison nie jest Erikiem — protestuję stanowczo. — To nieporozumienie. Wyjaśniliśmy sobie wszystko, kiedy wylądowaliśmy razem w dziczy. Nie musisz się o mnie martwić.

— Zabawne, bo mówiłaś to samo, kiedy Eric tobą poniewierał.

Czuję, jak krew uderza mi do głowy. Cieszę się, że mój brat jest opiekuńczy, ale to już przesada.

— Posłuchaj, rozumiem, że sytuacja z Erikiem przekonała cię, że nie można wierzyć moim osądom i że prawdopodobnie powinnam zostać ubezwłasnowolniona —

prycham, na co Hudson robi oburzoną minę. — Ale wiem, co mówię. Harrison jest w porządku, a ty powinienesz przestać się go czepiać.

— Wcale tak nie uważam — zaprzecza. — Po prostu się o ciebie martwię. Nie chcę, żebyś znowu wylądowała w podobnej relacji.

— Naprawdę myślisz, że z bratem Celi to byłoby możliwe?

Tym na chwilę zamykam mu usta. Celia kocha swojego brata, a jej zdanie jest dla Hudsona ważne. W końcu jednak kręci głową.

— Celia jest zaślepiona, jeśli chodzi o jej cudownego starszego braciszka.

— Jasne, wszystkie kobiety w twoim otoczeniu są zaślepione i tylko ty, racjonalny mężczyzna, myślisz logicznie, więc możesz nam tłumaczyć świat —

warczę, po czym odkładam talerz z jedzeniem, chwytam Hudsona za ramię i ciągnę do drzwi. Zaskoczony nawet się nie opiera.

— Wyjdź, nie mam ochoty teraz na ciebie patrzeć.

— Nie możesz zostać sama...

— Mam to gdzieś! — przerywam mu. Praktycznie wystawiam go za drzwi, po czym rzucam mu wściekłe spojrzenie. — Od dawna jestem pełnoletnia, Hudson. Jeśli chcę popełniać własne błędy, to będę to robić. I nie pozwolę ci tłumaczyć mi, co nimi jest, a co nie.

— Czyli coś łączy ciebie i Harrisona?

Przewracam oczami, po czym zatrzaskuję mu drzwi przed nosem. Może to nie było miłe, ale dostarcza mi sporo satysfakcji.

Z westchnieniem wracam do salonu i siadam ciężko na kanapie.

Czy mój brat musiał tak wszystko zepsuć?

A Harrison poddać się bez walki?

Kiedy jakąś godzinę później znowu słyszę pukanie, zrywam się z kanapy z entuzjazmem, mając nadzieję, że to Harrison wrócił do mnie na wieść, że zostałam sama. Jestem tym bardziej zdziwiona, kiedy w progu widzę jego ojca.

— Mogłbym na chwilę wejść? — Uśmiecha się zdawkowo.

— Chciałem wyjaśnić z tobą jedną kwestię.

Kiwam głową, po czym wpuszczam go do środka. Ruszam za nim do salonu, nie zamykając drzwi.

Pan Hart patrzy na mnie tak, jakby mnie oceniał. Jak zwykle w jego obecności trochę się denerwuję. Wygląda surowo i poważnie, nawet gdy życzliwie się uśmiecha.

— Kiedy lecieliśmy na Hawaje, byłem trochę zajęty i nie od razu zauważyłem, co się stało na lotnisku — zaczyna.

Unoszę pytająco brwi.

— To znaczy?

— Wszyscy założyli, że to ja zmieniłem bilety tobie i twojej mamie na pierwszą klasę — wyjaśnia.

Uśmiecham się promiennie.

— To było naprawdę miłe.

— Tyle że tego nie zrobiłem — wyjaśnia, na co uśmiech natychmiast spęta mi z twarzy. — Nie zwróciłem na to wtedy uwagi. Jak myślisz, kto się tym zajął?

Dzisiaj ta odpowiedź jest dla mnie oczywista, chociaż wtedy bym na to nie wpadła.

— Harrison?

— Owszem, mój syn porządnie się na to wykosztował — przyznaje zadowolony. Jakby wydawanie przez Harrisona pieniędzy na coś takiego mu się podobało. — Zwykle jest dziwakiem, ale czasami potrafi się zachować jak należy.

Rozlewa się we mnie ciepło. Więc Harrison naprawdę już wtedy się o mnie troszczył. I zwracał uwagę na to, co się ze mną działo, chociaż wcale go o to nie podejrzewałam. To takie słodkie!

Ale dlaczego to przede mną ukrył?

— Mój syn nie lubi się chwalić takimi rzeczami — mówi Anthony, jakby czytając mi w myślach. — Ale uznałem, że powinnaś wiedzieć. Z pewnością ma wobec ciebie dobre zamiary, tylko nie zawsze potrafi to okazywać.

Moje uczucia wahają się pomiędzy radością a konsternacją.

Skąd ten człowiek to wie i dlaczego uznał za stosowne ze mną rozmawiać?

— Też tak uważam — odpowiadam miękko.

— Czyli wiesz, że on cię kocha?

Zastygam, słysząc te słowa. Co takiego?!

Wpatruję się tępo w Anthony'ego, niezdolna do żadnej odpowiedzi. Harrison mnie... Nie. Jak to?

— Może słyszałaś o tym, że Hartowie zakochują się od pierwszego wejrzenia — dodaje Anthony, kiedy nie wydaję z siebie żadnego dźwięku. — Nie byłem pewny co do ciebie i Harrisona, dopóki nie zadzwonił do nas po tym, jak cię porwano. Nazwał cię swoją kobietą i już wiedziałem.

Dlatego pomyślałem, że z tobą porozmawiam... żebyś też wiedziała. Mój syn może i jest nieco wycofany, ale to dobry chłopak. A skoro cię pokochał, to teraz zrobi wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Z całej tej przemowy początkowo dociera do mnie tylko jedno.

— Nazwał mnie swoją kobietą? — powtarzam z niedowierzaniem, a pan Hart kiwa głową. — Przy wszystkich?!

— Nie, tylko przy mnie i właścicieli hotelu, który nam pomagał — wyjaśnia.

Siadam ciężko na kanapie. Nie potrafię nazwać emocji, które się we mnie kotłują, ale jestem tym całkowicie przytłoczona. Znamy się tak krótko... i tak słabo. Jasne,

zależy mi na nim i chcę, żeby z tego wyszło coś więcej, lecz chyba nie potrafię na razie odwzajemnić uczuć Harrisona.

Wiem, że zakochuję się w Harrisonie Harcie powoli i nieubłaganie. Ale na pewno nie jest to takie tempo, jakie on narzucił, żebym była gotowa z kimkolwiek o tym rozmawiać!

— Chciałem, żebyś wiedziała, bo od niego tego raczej nigdy nie wyciągniesz — dodaje Anthony, kiedy nie odpowiadam.

— On traktuje cię poważnie. Nie skrzywdź go.

JA mam go nie skrzywdzić?!

— Ja... nie wiem, co o tym myśleć — wyduszam w końcu.

Anthony kiwa głową.

— Musisz sobie to przemyśleć, oczywiście. Zostawię cię samą, ale gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

Po tych słowach odwraca się i wychodzi. Odprowadzam go wzrokiem, niezdolna do zrobienia jakiegokolwiek ruchu.

Harrison mnie kocha? Zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia?!

Siedzę przez chwilę na sofie, przetrawiając tę informację.

Czuję supeł w żołądku, ale nie wiem, z jakiego powodu. Czy jestem bardziej podekscytowana, czy przerażona? Nie potrafię ocenić.

Po chwili słyszę kroki i do mojego domku wchodzi Harrison.

Nie ma peleryny i jest kompletnie przemoczony, kiedy zamyka za sobą drzwi. Nie to mnie jednak uderza, a wyraz jego twarzy. Jest tak nieodgadniony i obojętny, że natychmiast domyślam się, co się stało.

— Słyszałeś naszą rozmowę?

Kiwa głową, po czym podchodzi bliżej. Wstaję i wkładam dłonie do kieszeni szortów, bo nagle nie wiem, co z nimi

zrobić. Znowu wrócił ten zdystansowany Harrison, który zniknął tuż przed tym, zanim poszliśmy do łóżka.

— Powiedz coś — proszę, kiedy on tak po prostu stoi przede mną i milczy.

Gapi się na mnie, jakby chciał to zrobić na zapas. Jakby próbował mnie sobie zapamiętać.

— Ojciec nie powinien być ci tego mówić — odzywa się w końcu zachrypniętym głosem.

Przewracam oczami.

— Z czym ty właściwie masz problem? — pytam z irytacją.

— Przed moim bratem udajesz, że nic nas nie łączy, i wychodzisz bez słowa, ledwie Hudson zasugeruje, że powinieneś. Teraz ci się nie podoba, że dowiedziałam się, co czujesz. W zasadzie nie wiem, czy to w ogóle prawda, bo na to nie wygląda.

— Nie wygląda?

— Nie podoba ci się, że ktoś mógłby uznać, że się spotykamy, więc chyba nie sądzisz, że uwierzę, że mnie kochasz?! — podnoszę głos.

Przez chwilę znowu milczy, wpatrując się we mnie z frustracją.

— W nic nie musisz wierzyć — wykrztusza wreszcie. — Ale może tak ci jest wygodniej, bo się tego boisz.

Odwraca się i rusza do drzwi. Patrzę za nim z niedowierzaniem. Zamierza znowu wyjść?!

Bez namysłu idę za nim, ale Harrison nawet się na mnie nie ogląda. Co za uparty, irytujący człowiek!

— To jest twoje rozwiązanie wszystkich problemów? —

rzucam ze złością. — Uciekasz przed nimi, zamiast ze mną porozmawiać? Harrison!

Mężczyzna wychodzi na zewnątrz, a ja nie waham się ani sekundy, tylko podążam za nim. Wstrzymuję powietrze, kiedy w twarz uderza mnie podmuch wiatru, kłując drobinkami deszczu, a ciuchy momentalnie mi przemakają, ale wcale się tym nie przejmuję. Dopiero kiedy wchodzimy na ścieżkę, Harrison się na mnie ogląda.

— Wracaj do domku, Kenzie.

— Nie, dopóki ze mną nie porozmawiasz — upieram się. —

Dlaczego taki jesteś? Rozumiem, że przeszkadzają ci inni ludzie, ale przecież nie możemy wyjechać na bezludną wyspę, gdzie nie spotkamy mojego brata i twojego ojca!

Harrison zatrzymuje się wreszcie i się do mnie odwraca, a ja mrugam, by zobaczyć go przez strugi deszczu. Nie cierpię tej cholernej pogody!

— Nie umiem postępować z kobietami — wyznaje. — Nigdy nie umiałem. Nienawidzę, kiedy ktoś próbuje to robić za mnie, jak mój ojciec, jakby z litości, bo wie, że sam sobie nie radzę. Może twój brat ma rację, może nie jestem dla ciebie dobrym partnerem. Zawsze będę w tym beznadziejny.

— Nie jesteś beznadziejny! — protestuję z oburzeniem. —

Ojciec ci tak wmówił? Bo masz inny charakter niż on i nie otwierasz się przed ludźmi?!

— Przeżyłaś okropny związek i twój brat martwi się, że wpadniesz w kolejny. Widzi we mnie jeszcze jednego Erica, prawda?

Chyba komuś zaraz przyłożę. Nie jestem tylko pewna, czy jemu, czy Hudsonowi.

— Hudson nie ma o nas pojęcia — syczę. — Martwi się, bo jest moim bratem, ale przestanie, kiedy zrozumie, że jestem z tobą szczęśliwa.

— Mam wątpliwości, czy możesz być ze mną szczęśliwa.

Rozkładam bezradnie ręce.

— Jakim cudem to ty się odsuwasz, bo dowiedziałam się o twoich uczuciach, a nie ja? Nigdy wcześniej nikomu tego nie powiedziałaś?

Wyraz jego twarzy wystarcza mi za odpowiedź.

Harrison nigdy nie wyznał nikomu miłości? Z jednej strony cieszę się, że mogę być pierwsza, ale z drugiej jest mi cholernie przykro, że tak wygląda jego życie. Sięgam po jego rękę, żeby ją uścisnąć, lecz on odskakuje, nie pozwalając mi się nawet dotknąć.

— Przestań.

— Porozmawiaj ze mną — proszę. — Wiem, że do tego nie przywykłeś, ale to przyniesie ci ulgę. Nic nie zdiagnozujemy, jeśli będziemy przed tym uciekać. Harrison, proszę.

Chyba to ostatecznie słowo sprawia, że odrobinę go zmiękczam. W jego oczach znowu widzę znajomy błysk, który jednak szybko gaśnie.

— Wróć do siebie, Kenzie.

— Nie zamierzam...

— Przyjdę do ciebie niedługo — obiecuje. — Po prostu... potrzebuję chwili. Dobrze?

Niechętnie kiwam głową, bo jeśli Harrison musi mieć przestrzeń, to mu ją dam. Choćby to bolało.

Zatrzymuję się, a on odwraca się i znowu odchodzi. Tym razem nie idę za nim, choć mam wrażenie, że wciąż nic nie jest w porządku.

Wracam zatem do domku, trzęsąca się z zimna i kompletnie przemoczona. Zatrzasnę drzwi i dopiero wtedy przystaję w pół kroku, z niepokojem rozglądając się dookoła.

Jestem przekonana, że kiedy wychodziłam, świeciło się górne światło. Teraz jednak panuje tu półmrok, zapalona jest tylko wysoka stojąca lampa w kącie pomieszczenia.

Mam sklerozę czy jak?

Potem robię krok w głąb domku i dostrzegam nogi kogoś siedzącego w fotelu odwróconym do mnie tyłem. A sekundę później słyszę znajomy męski

głos, który przyprawia mnie o lodowate ciarki.
— Nareszcie jesteś. Podejdź bliżej, Mackenzie.
Pieprzony Miguel Valles po mnie wrócił.

Rozdział 29

Harrison

Jestem pieprzonym idiotą.

Miotam się po moim domku, nie zważając na kompletnie przemoczone ubrania, i zastanawiam się, co zrobić.

Zraniłem ją. Mam co do tego pewność. Zraniłem ją i odepchnąłem, kolejny raz, ale dla odmiany całkowicie świadomie. Myśl, że ona wie, że ją kocham, i nie potrafi odpowiedzieć tym samym, jest dla mnie po prostu paraliżująca.

Przekroczyłem trzydziestkę, a ojciec nadal uważa mnie za dzieciaka, który nie poradzi sobie z kobietą — trudno mu się zresztą dziwić. To nie tak, że nie zdarzały mi się wcześniej związki. Jasne, miałem kobiety. Lecz jeśli któraś chciała się do mnie zbliżyć pomimo braku sygnałów z mojej strony, odpychałem ją, bo nie potrafiłem ani nie miałem ochoty zacieśniać znajomości. Ale do żadnej z nich nie czułem nawet ułamka tego, co czuję do Mackenzie.

Dla niej warto walczyć i warto się starać. Wchodzenie znowu w tryb obronny jest z mojej strony świństwem, zwłaszcza po tym, jak dałem jej kilka pierwszych orgazmów w jej życiu, ale do tego jestem przyzwyczajony. Nawet jeśli tym razem powody są nieco inne i obejmują ojca wtrącającego się w moje życie.

Niewiele czasu wytrzymuję w moim domku. Wkrótce ponownie wychodzę na zewnątrz, w tę paskudną pogodę, która jedynie utwierdza mnie w niechęci do Lanai. Nie

kieruję się jednak do domku Mackenzie, a w przeciwną stronę, bo najpierw muszę wyjaśnić pewne rzeczy. I mam gdzieś, że mogę przeszkadzać.

W głowie ciągle dźwięczą mi słowa ojca, które wypowiedział do Mackenzie. Oczywiście, że nazwał mnie dziwakiem. Robi to, odkąd pamiętam. Używa tego sformułowania chyba częściej niż mojego imienia.

Powinienem się przyzwyczaić, jednak za każdym razem boli tak samo. Dla niego nigdy nie będę dość dobry, mimo że w interesach idzie mi dużo lepiej niż ojcu.

Nie zamierzam jednak zdobywać Mackenzie, żeby cokolwiek udowodnić mojemu ojcu. Chcę to zrobić, żebyśmy oboje mogli być szczęśliwi.

Pukam głośno do drzwi domku, a po chwili ze środka dobiega mnie stłumione przekleństwo. Mimowolnie czuję odrobinę satysfakcji. Skoro ten typ mógł nam przerwać i mnie wkurwić, to teraz ja mogę zrobić to samo.

Po chwili drzwi się otwierają, a w progu staje rozczochrany Hudson. Bez słowa omijam go i wchodzę.

— Harrison? Co ty tu robisz? — pyta zdziwiony.

Jakbyś, kurwa, nie wiedział.

— Jesteś cały mokry! — dobiega z salonu głos mojej siostry.

— Dlaczego nie wzięłeś peleryny?! Zaraz dam ci coś...

— To naprawdę nie jest ważne — przerywam jej. Celia podrywa się z kanapy; ma na sobie tylko szlafrok, co każe mi podejrzewać, że rzeczywiście im przerwałem. Z całych sił staram się nie myśleć o mojej siostrze w tym kontekście.

— Muszę z wami pogadać.

Hudson podchodzi bliżej, staje obok swojej żony i zakłada ramiona na piersi.

— Więc gadaj.

— Kocham twoją siostrę — walę prosto z mostu.

Jego mina po tych słowach jest bezcenna. Przez moment gapi się na mnie bez słowa, jakby się spodziewał, że zaraz wybuchnę śmiechem i oznajmię, że to żart. Ponieważ jednak jestem śmiertelnie poważny, Hudson w końcu dochodzi do wniosku, że tego nie zrobię.

— Kpisz sobie ze mnie? — prychnął.

Przewracam oczami.

— Nie, nie kpię sobie z ciebie — cedzę przez zęby. Niech się cieszy, że powiedziałem, że ją kocham, bo równie dobrze mogłem stwierdzić, że się z nią pieprzę, co też jest prawdą.

Uznałem jednak, że na takie słowa Hudson nie zareagowałby zbyt dobrze.

— Kocham ją, a jej też na mnie zależy. Kiedy wrócimy do Los Angeles, zabiorę ją na randkę, ale właściwie już się spotykamy.

Mackenzie ma rację. Nie zamierzam jej ukrywać, jakby była jakimś wstydliwym sekretem. Niechętnie sam przed sobą przyznaję, że obawiałem się tej konfrontacji, ale dość tego.

Od dzisiaj będę takim mężczyzną, na jakiego ona zasługuje.

Hudson tymczasem zaskoczony spogląda na Celię.

— O czym on mówi? Rozumiesz coś z tego?

— A czego ty nie rozumiesz? — Na szczęście Celia doskonale orientuje się w sytuacji i może być moją sojuszniczką. — Harry kocha Mac. Wiem o tym od dawna.

— I nic mi nie powiedziałaś?!

Gdyby powiedziała, poważnie bym się na nią obraził.

— To sprawy między nimi — odpowiada moja siostra. — Nie powinniśmy się w nie mieszać. Harrison będzie dla niej dobry.

— Dobry?! — Hudson spogląda na mnie ze złością. —

Widziałem, jaki jesteś dla niej „dobry”. O mało nie doprowadziłeś jej do płaczu!

Cholera. Muszę ją za to jeszcze raz przeprosić.

— To było nieporozumienie — odpowiadam spokojnie. —

Posłuchaj, Hudson. Jestem tu po to, żeby wszystko wyjaśnić. Kenzie opowiedziała mi o Ericu...

— Naprawdę? — wtrąca mój szwagier z niedowierzaniem, ale ignoruję go.

— ...i zamierzam zabić tego gnoja, kiedy tylko się dowiem, jak się nazywa — kończę wypowiedź. — Ty możesz mi podać jego nazwisko. Zajmę się tym, jak już cię przekonam, że nie jestem do niego podobny i nie zamierzam skrzywdzić twojej siostry.

— Ależ oczywiście, że nie zamierzasz — mówi Celia. —

Jesteś najcudowniejszym mężczyzną na świecie, zaraz po moim mężu! A jeśli Hudson sądzi, że mógłbyś źle traktować Mac, to się na niego bardzo zdenerwuję.

Spogląda groźnie na swojego małżonka, a ten z powątpiewaniem kręci głową. Chyba mu się nie podoba, że żona staje przeciwko niemu, ja za to czuję odrobinę satysfakcji. Celia zawsze była we mnie wpatrzona jak w obrazek. Nigdy nie podzielała zdania ojca na mój temat.

— No dobra! — Hudson wyrzuca ręce do góry w geście poddania.

— Więc czego oczekujesz, mojego błogostawieństwa?

— Po prostu nie chcę dłużej ukrywać, że jesteśmy razem — wyjaśniam. — Zrobiłem to, kiedy wczoraj graliśmy razem w pokera, i to zraniło Kenzie. Popęłniłem błąd.

Hudson patrzy na mnie podejrzliwie.

— Przysięgasz, że jej nie skrzywdzisz? — Kiwam głową. — A jeśli tak się stanie, będę mógł złamać ci nos?

— Oczywiście — potwierdzam poważnie.

Brat Mackenzie waha się jeszcze chwilę. W końcu wyciąga w moją stronę rękę. Nie kryjąc zadowolenia, ściskam ją mocno.

— W takim razie zamierzam ci uwierzyć. Nie zawieź mojego zaufania.

— Przynajmniej zamierzam nie zawieść Kenzie — odpieram.

Hudson unosi brwi.

— To co tu jeszcze robisz?

Ma rację. Żegnam się z nimi, po czym ruszam do wyjścia.

Wreszcie mogę spokojnie wrócić do Mackenzie i wszystko jej wyjaśnić.

To z pewnością nie będzie łatwe, ale jestem gotów prosić ją o wybaczenie i poradzić sobie z tym, że zna już moje uczucia. Powinna była dowiedzieć się o nich ode mnie, nie od mojego ojca, ale nie mogę go o to obwiniać — to wyłącznie moja wina. To ja nie powiedziałem jej tego na czas.

Teraz spróbuję to naprawić.

Domek Mackenzie jest pusty.

Przekonuję się o tym, gdy mimo pukania nikt mi nie otwiera. Nie zapowiadałem się, więc ona nie wie, że to ja stoję pod drzwiami, co oznacza, że tak czy inaczej powinna otworzyć. Tak się jednak nie dzieje.

Po naciśnięciu klamki przekonuję się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, a potem stwierdzam, że oświetlone jedynie słabym światłem stojącej lampy wewnątrz domku jest puste. Mackenzie tutaj nie ma.

Gdzie ona mogła pójść? Czy to moja wina, że uciekła?

Po jej odbiciu z rąk tego pojeba Vallesa oddałem jej komórkę, a sam załatwiłem sobie nowy aparat. Mogę go teraz wyjąć z kieszeni i zadzwonić do Mackenzie. Słyszę dzwonek jej telefonu w głębi domku, więc ruszam w tamtą stronę; kilka sekund później przekonuję się, że komórka leży na szafce nocnej przy łóżku, ale jej właścicielki nigdzie w pobliżu nie ma.

Dlatego wybieram inny numer.

— Znowu nam przeszkadzasz? Zrozumiałem za pierwszym razem — mruczy ponuro Hudson, chociaż dzwoniłem na numer Celii.

Ignoruję jego słowa i od razu przechodzę do rzeczy.

— Jest u was Kenzie?

— Co? — Jej brat wydaje się zdezorientowany. — Nie, dlaczego miałaby tu być? Co jej znowu zrobisz?

— Dlaczego od razu zakładasz, że coś jej zrobiłem? —

warczę. — Przyszedłem do niej, ale domek jest pusty.

Zostawiła komórkę. Nie wiem, gdzie mogła się podziać.

Hudson przez chwilę milczy; zapewne się zastanawia.

— Zaczekaj tam, zadzwonię do moich rodziców — decyduje.

— Zapytam, czy ktoś ją widział.

Rozłącza się, ale tyle mi wystarczy, by w jego głosie rozpoznać niepokój.

Chowam telefon i przystępuję do dokładniejszych oględzin domku.

Nigdzie nie widać śladów walki. Może niepotrzebnie od razu się denerwuję, ale gdyby wszystko było w porządku, to czy Mackenzie zniknęłaby bez śladu? Chyba nic dziwnego, że od razu zakładam najgorsze, biorąc pod uwagę wydarzenia ostatnich dni.

Włączam górne światło i raz jeszcze obchodzę wszystkie pomieszczenia. I wtedy wreszcie coś znajduję.

Okno na tyłach budynku jest uchylone. Otwarte, ale lekko, tak że deszcz przedostaje się do środka przez wąską szparę.

Na podłodze widnieje mokra kałuża, a obok niej dostrzegam odcisk buta.

Kucam przy śladzie, ale na wszelki wypadek go nie dotykam. To nie wygląda dobrze. Raczej tak, jakby ktoś wszedł przez okno i zostawił odcisk na podłodze. A potem co, zabrał Mackenzie ze sobą?

Po chwili oddzwania Hudson.

— Nikt jej nie widział — mówi niespokojnie. — Idziemy do ciebie.

— Znalazłem odcisk buta na podłodze pod otwartym oknem

— informuję go. — Chyba ktoś u niej był. Musimy przeszukać okolicę.

Serce wali mi jak młotem, jednak staram się zachować przytomność umysłu. Będę mógł się denerwować do woli, kiedy już ją znajdę i odzyskam.

Jestem wściekły. Trochę na siebie, że zostawiłem ją samą, niepilnowaną, ale przede wszystkim na tego skurwysyna, który ośmielił się wejść tutaj i ją zabrać. Zabiję go, kiedy go znajdę. Nie pozwolę, żeby znowu zagrażał mojej kobiecie.

Hudson zjawia się po chwili w towarzystwie Celii, Richarda i mojego ojca. Jestem już wtedy przy drzwiach, gotowy do natychmiastowego wyruszenia na akcję poszukiwawczą.

Mój ojciec rozsądnie proponuje, że zawiadomi pracowników hotelu i poprosi o pomoc, uprzedzając, że napastnicy mogą być uzbrojeni i groźni. Nikt z nas nie ma ani cienia wątpliwości: jeśli Mackenzie zniknęła, to muszą za tym stać ludzie Miguela Vallesa.

Potem wychodzimy na zewnątrz i zaczynamy przeczesywać okolicę. To naprawdę trudne, gdy wokół nadal szaleje huragan i bije w nas deszcz niesiony

ostrym wiatrem.

Nawet ja w końcu decyduję się wrócić po kurtkę, ale tylko po to, żeby móc więcej sił przeznaczyć na poszukiwania.

Z każdą chwilą jestem coraz bardziej przerażony i wściekły.

To nie może znowu dziać się naprawdę! Jakim cudem ten facet wślizgnął się do domku zupełnie niezauważony? Jakim cudem wyprowadził ją na zewnątrz? I dokąd poszli?!

Niewiedza mnie dobija i modłę się, żeby wszystko było z Mackenzie w porządku. Poprzednio Valles jej nie skrzywdził, ale to było, zanim zrobiliśmy nalot na jego jacht. Kto wie, w jakim nastroju jest teraz?

Jakieś pół godziny później spotykamy się w głównym budynku hotelu. Jesteśmy przemoknięci, ale nikt z nas nie zwraca na to uwagi. Razem z pracownikami omawiamy sytuację; nikt nie widział nawet śladu po Mackenzie. Ktoś proponuje, by zadzwonić na policję, ja jednak wpadam na inny pomysł.

— Daj mi numer do właściciela hotelu — mówię do ojca. —

Poprzednio nam pomógł, może teraz też mu się uda.

Ojciec kiwa głową i dyktuje mi numer. Po chwili w słuchawce słyszę znajomy męski głos.

— Owen Maxwell, słucham.

Nie wdając się w szczegóły ani zbędne powitania, relacjonuję mu sytuację. Opowiadam o zniknięciu Mackenzie, o braku jakichkolwiek śladów, przypominam też o jej wcześniejszych powiązaniach z Vallesem.

Maxwell odzywa się dopiero po chwili.

— Z tymi ludźmi trzeba w końcu zrobić porządek, stanowią zbyt duże zagrożenie — oświadcza. — Zajmę się tym, ale to nie jest coś, co w tym momencie może wam pomóc. Czuję się odpowiedzialny, bo widzę, że hotel nie ma zapewnionej wystarczającej ochrony, skoro tak łatwo wykradzono z niego dziewczynę. Co mogę zrobić?

— Huragan nadal nie przechodzi, a my zostawiliśmy Vallesa i jego ludzi na Maui — analizuję sytuację. — Zakładając, że nie zdążyli dotrzeć na Lanai równo z nami, w co wątpię, bo wtedy pokazaliby się wcześniej, musieli przedostać się tutaj mimo złej pogody. Masz jakiś pomysł, jak to się mogło stać?

— Mają jacht — przypomina mi Maxwell. — Pływanie nim w taką pogodę z pewnością jest bardzo niebezpieczne, ale nie niemożliwe, jeśli nie wyptywają na otwarte morze.

Musieliby zacumować w którejś zatoczce na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy.

— Potrafisz wskazać konkretną? — dopytuję. — Biorąc pod uwagę pogodę i możliwość zacumowania?

— To naprawdę nie byłoby proste — przyznaje z namysłem

— ale jeśli ktoś jest zdeterminowany, to ryzykuje nawet rozbicie się o skały. Mogę wam podać ze dwie lokalizacje, które uważam za najbardziej prawdopodobne.

Dwie. Coraz lepiej. Wygląda na to, że będziemy się musieli rozdzielić, a to i tak jak szukanie igły w stogu siana.

— Dobra — rzucam do słuchawki. — Dzięki za pomoc.

Czekam na współrzędne.

Rozłączam się i odwracam się do ludzi zgromadzonych w holu. Jest tam cała moja rodzina, bliscy Mackenzie i kilku pracowników, a wszyscy patrzą na mnie pytająco.

Wzdycham.

— Skoro nie możemy znaleźć jej tutaj, poszukajmy jej tam, gdzie prawdopodobnie ją zabiorą — proponuję. — Za chwilę dostanę lokalizacje dwóch miejsc, gdzie Valles mógł

zostawić swój jacht. Rozdzielimy się i tam pojedziemy. Ale ci, którzy się na to zdecydują, muszą wiedzieć, z czym się to wiąże. Ludzie Miguela są uzbrojeni i groźni. Nie będę w stanie nikomu zapewnić bezpieczeństwa.

Choćbym miał tam pojechać sam, zrobię to. Znajdę ich i odbiję Mackenzie. A potem już nigdy nie wypuszczę jej z rąk.

Rozdział 30

Mackenzie

Jestem wściekła, sfrustrowana i przerażona, kiedy jakimś dżipem — założę się, że kradzionym — jedziemy przez wyspę w nieznanym mi kierunku.

Ręce mam skrępowane za plecami i nie odzywam się, odkąd jeden z ludzi Miguela zagroził mi zaklejeniem ust taśmą.

Złorzeczyłam na nich, kiedy Valles wyprowadzał mnie z domku, trzymając mnie cały czas na muszce pistoletu, ale potem kazali mi się zamknąć. Pewnie prawda w oczy kole.

Miguel zajmuje miejsce obok mnie na tylnym siedzeniu, a z przodu jest dwóch innych facetów, których kojarzę z jachtu.

Przez jakiś czas w aucie panuje cisza; najwidoczniej oni doskonale wiedzą, co mają robić, i nie potrzebują się między sobą kontaktować. Z każdą chwilą jestem coraz mniej przestraszona, a coraz bardziej wkurzona. Dlaczego ten facet się uparł, żeby zepsuć Celi i Hudsonowi ich krótką podróż poślubną?!

Dobrze, może powinnam raczej myśleć o sobie, ale nic nie poradzę na to, że przejmuję się przede wszystkim bliskimi.

Znowu wszyscy będą się denerwować, że zniknęłam!

— Rozumiesz, że musiałem to zrobić? — pyta w pewnej chwili Miguel.

To chyba zaproszenie do rozmowy. Może oznacza, że jednak mnie nie zakneblują, jeśli się odezwę.

— Rozumiem, że jesteś chory psychicznie — warczę.

Valles uśmiecha się protekcyjnie.

— Kiedyś to zrozumiesz.

— Kiedy dokładnie? — pytam jadownicę. — Wtedy, jak przetrzymasz mnie uwięzioną wystarczająco długo, żebym się w tobie zakochała? Myślisz, że to kiedykolwiek zadziała, koleś? A może ty po prostu lubisz robić sobie wrogów? Bo wszyscy moi bliscy będą cię ścigać, póki znowu cię nie znajdą. Mają rozległe koneksje, o czym już raz się przekonałeś, jak komandosi weszli ci na jacht!

Wprawdzie to nie byli komandosi, ale Miguel nie musi o tym wiedzieć. Nie wydaje się zresztą przejęty.

— To prawda, nie doceniłem przeciwnika — przyznaje. —

Tym razem nie dam się tak zaskoczyć.

Przewracam oczami.

— Och, jasne.

Piszczę, kiedy Valles chwyta mnie za włosy i ciągnie do siebie, aż jego twarz znajduje się tuż przy mojej. Krzywię się z bólu, bo mam wrażenie, że wrywa mi całe kosmyki razem z cebulkami.

— Będiesz okazywała mi szacunek, rozumiano? — syczy mi do ucha. — Inaczej mogę zapomnieć o tym, że obiecałem cię nie skrzywdzić. Może jak wezmę cię siłą, to ci się spodoba.

Puszczam mnie, a ja z bijącym mocno sercem odsuwam się tak daleko, jak tylko mogę, pod przeciwległe drzwi. Są zamknięte — ludzie Vallesa zabezpieczyli je, zanim ruszyliśmy — więc tędy nie ucieknę, ale czuję się przynajmniej odrobinę lepiej, zwiększając dystans między nami.

— Tylko spróbuj — cedzę, chociaż cała dygoczę ze strachu

— a urwę ci jaja.

— Jesteś pewna, że chcesz mnie prowokować? — Uśmiecha się paskudnie.

— Spokojnie, nie wezmę cię siłą, Mackenzie.

Nie potrzebuję używać siły, by zaliczyć. Poza tym wtedy przestałabyś przynosić mi szczęście.

Unoszę brwi.

— To jakiś tutejszy zabobon?

Po jego minie widzę, że znowu go prowokuję, ale nie umiem się powstrzymać. Mój instynkt samozachowawczy uciekł w stronę dal, zastąpiony przez panikę, która każe mi pleść, co ślina na język przyniesie.

— Na twoim miejscu potraktowałbym tę sytuację poważnie, bo twoje zachowanie będzie mieć duży wpływ na twoje dalsze życie — informuje mnie.

— Jeśli będziesz grzeczna, to będzie ci się ze mną dobrze żyło. Dostaniesz wszystko, co zechcesz, żeby przyjemnie spędzać czas. Dlatego lepiej, jeśli się podporządkujesz.

No oczywiście. Co za chory pojeb.

— Harrison mnie znajdzie — zapewniam go. — A wtedy cię zabije. Nie myśl, że tym razem go przechytysz, bo nadal go nie doceniasz. Zginiesz przez to, a ja będę się temu przyglądać z satysfakcją. Niepotrzebnie znów przyptynałeś na Lanai. Trzeba było dać sobie spokój.

Miguel uśmiecha się złowieszczo. Obrzuca mnie spojrzeniem, od którego cała się wzdrygam.

— Widzisz, jest pewna luka w twoim rozumowaniu —

oświeca mnie, najwidoczniej biorąc moje słowa na poważnie. — Twój goguś odbił cię poprzednim razem tylko dlatego, że miał pomoc profesjonalistów. Sam nie dałby rady, nawet gdybym osobiście przyprowadził go na mój jacht. A gdzie teraz są ci profesjonaliści? Czyżby wrócili do Los Angeles, zanim rozpuścił się huragan? Kiedy pogoda poprawi się na tyle, żeby twój kochaś znowu znalazł pomocników, którzy odwalą za niego brudną robotę, my będziemy już daleko i nigdy nas nie znajdzie.

Muszę przyznać, że te słowa na nowo budzą we mnie niepokój. Valles ma odrobinę racji. Harrison rzeczywiście potrzebował przy akcji ratunkowej wsparcia ludzi, których teraz nie może zatrudnić. Nie sądzę jednak, żeby to go powstrzymało od próby ratowania mnie.

Obawiam się raczej, że tym razem prędzej może dać się zabić.

Czy rozważam przez moment, by pójść z Vallesem dobrowolnie, tylko po to, żeby Harrisonowi nie stała się krzywda? Owszem.

Czy to oznacza, że zamierzam tak zrobić? Po moim trupie.

Po prostu muszę uwolnić się pierwsza, zanim dotrze do mnie ekipa poszukiwawcza.

To nie będzie łatwe zadanie.

Po jakimś czasie zjeżdżamy z asfaltowej jezdni na wertepy, które nie przypominają drogi, jaką mógłby przejechać samochód. W dziupie trzęsie niemiłosiernie, nie narzekam jednak ani słowem, choć nie mogę się oprzeć rękami i co chwila uderzam ramieniem w drzwi. Wyglądam przez szybę, ale niewiele widzę. Deszcz zalewa wszystko, jestem w stanie rozpoznać tylko mijane pnie drzew. To oznacza, że możemy być wszędzie.

Nie mam przy sobie komórki ani niczego, dzięki czemu Harrison mógłby mnie znaleźć. Kiedy Miguel pojawił się w moim domku, od razu zagroził mi bronią i wyprowadził

mnie stamtąd, zanim zdążyłam zabrać ze sobą cokolwiek.

Bałam się choćby krzyknąć, nie mówiąc już o ucieczce, teraz jednak żałuję, że nie podjęłam wtedy żadnej akcji.

Ale też trudno myśleć o ucieczce, gdy się idzie z pistoletem przystawionym do szyi.

Chociaż o tym nie rozmawiamy, domyślam się, że znowu trafię na znany mi już jacht. Żeby dostać się na Lanai, musieli zacumować w którejś zatoczce. Nie mam pojęcia, jak to zrobili podczas huraganu, ale może mają swoje tajne miejsce albo po prostu są na tyle wprawieni, by dawali radę. Jeszcze nie wiem, w czym mi pomoże choć pobieżna znajomość terenu, ale potrzebuję jak najwięcej informacji, żeby się z tego wykaraskać.

Wreszcie kierowca Vallesa zatrzymuje samochód. Ci z przodu wysiadają pierwsi, a Miguel posyła mi ostrzegawcze spojrzenie.

— Nie próbuj niczego głupiego, Mackenzie.

— Głupie było to, że pomogłam ci wtedy na drodze — wypalam. — Mogłam cię zostawić, żebyś zdechł z utraty krwi.

Jeśli te słowa robią na nim jakieś wrażenie, to tego nie okazuje. Bo na mnie robią. Miguel Valles to pierwsza osoba w moim życiu, której nienawidzę tak mocno, że wolałabym, by umarła. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło.

Ale też nikt wcześniej dwukrotnie mnie nie porwał i nie próbował zabić faceta, na którym mi zależy.

Valles wysiada z auta. Czekam, ponieważ nie mogę otworzyć od wewnątrz drzwi po swojej stronie, a nie ma mowy, żebym czołgała się przez siedzenia. Po chwili Valles szarpie za klamkę, po czym chwyta mnie za ramię i wyciąga z samochodu.

Nie opieram się, gorączkowo rozmyślając, co robić.

Natychmiast uderza we mnie ściana deszczu; gdybym już wcześniej nie była przemoczona, teraz z pewnością tak by się stało. Rozglądam się, by stwierdzić, że znajdujemy się w

jakimś odludnym miejscu. Otaczają nas smagane wiatrem drzewa, a w oddali słyszę szum oceanu. Jesteśmy na niewielkim parkingu, z którego odchodzi wąska ścieżka w dół, zapewne w stronę kolejnej odosobnionej zatoczki. To właśnie w tamtą stronę zaczynają mnie prowadzić porywacze.

Nie mogę znowu wejść na ten jacht. Prędzej umrę, niż dam się na niego wsadzić.

Nie zastanawiam się długo nad tym, co robię, bo wtedy mogłabym uznać, że to fatalny pomysł. Kiedy z uwagi na moje ślamazarne tempo zostajemy z Miguelem trochę z tyłu, postanawiam wykorzystać ten moment. Uderzam go ramieniem, popychając tak mocno, że z krzykiem upada na ziemię; puszcza mnie odruchowo, a ja odwracam się i biegnę przez drogę w kierunku rosnącego po jej drugiej stronie lasu deszczowego, nie zważając na skrępowane ręce.

Piszczę, kiedy słyszę dźwięki wystrzałów. W moim ramieniu eksploduje ból, ale nie zwalniam ani na sekundę. Wpadam między pierwsze drzewa, słysząc za sobą wściekły krzyk Vallesa:

— Idioci, nie strzelajcie do niej! Przyprowadźcie ją żywą!

Biegnę przed siebie, uważnie patrząc pod nogi, przez co raz i drugi obrywam gałęzią drzewa w twarz. Deszcz zagłusza odgłosy pogoni i nie jestem w stanie stwierdzić, jak daleko za mną są te zbiry. Przeskakuję nad powalonym drzewem, po czym tracę równowagę i lecę na ziemię.

Kurwa. Tłumię jęk bólu, próbując podnieść się na nogi, co ze związanymi za plecami rękami wcale nie jest proste.

Znajduję w końcu jakąś ostro zakończoną gałąź i próbuję tak nacelować na nią nadgarstkami, by przebiła taśmę.

Szarpię raz i drugi, raniąc się do krwi, ale prawie tego nie czuję, podobnie jak rany na ramieniu, z której sączy się

rew. Adrenalina przepływa przez moje ciało i tłumi wszystko, co przeszkadzałoby mi w ucieczce.

Jakieś dziesięć sekund zajmuje mi oswobodzenie rąk, ale to bardzo cenny czas, którego mam mało. Zrywam się na równe nogi, ślizgając się w błocie, w które zamieniła się ściółka. Gdy zerkam za siebie, dostrzegam między drzewami błysk ubrań ludzi Vallesa. To tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że są blisko. Muszę uciekać!

Ruszam znowu przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd biegnę. Kluczę między drzewami, chwytam się ich, podtrzymując się, by znowu nie upaść; już po chwili sapię jak miech kowalski. Przeprowa przez ten nierówny teren jest wyczerpująca.

Faceci za mną są lepiej wyszkoleni, mają dłuższe nogi i w przeciwieństwie do mnie prawdopodobnie znają te okolice.

Nic dziwnego, że przewaga, jaką sobie wypracowałam, szybko zaczyna topnieć. Jestem znacznie bardziej zdesperowana od nich i walczę o życie — to moje jedyne atuty, które sprawiają, że wciąż udaje mi się uciekać. W

pewnym momencie moja stopa natrafia na pustkę, tracę równowagę i z krzykiem spadam w dół, turlając się boleśnie po ziemi i oblepiając błotem. Zatrzymuję się dopiero w niewielkim strumyku na dnie tego nieoczekiwanego wąwozu.

Z trudem gramolę się na nogi, ślizgając się na ukrytych pod warstwą wodą kamieniach. Niemalże wyczołguję się ze strumyku, który sięga mi najwyżej do

kolan, kompletnie ignorując fakt, że taplam się w wodzie. I tak jestem przemoczona. Udaje mi się w końcu wydostać na brzeg, ale przeciwległe wzniesienie terenu jest dosyć strome. Nie dam rady się wspiąć na górę.

Wobec tego ruszam dalej dołem, brzegiem strumienia, nie mając pojęcia, czy ludzie Vallesa zorientowali się w moim

manewrze. Ociekam błotem i wodą, z ramienia nadal sączy mi się krew, mięśnie mnie palą i mam ochotę wykaszleć własne płuca, ale uparcie prę przed siebie, zdecydowana się nie poddawać.

W końcu jednak resztki sił mnie opuszczają. Znajduję miejsce, które od biedy można uznać za kryjówkę, coś w rodzaju wnęki utworzonej przez głazy na brzegu rzeki, wśród których mogę się skryć, i kucam tam, starając się wyrównać oddech, który świszczuje, jakbym przebiegła maraton. Serce wali mi jak szalone, nogi drżą i chce mi się wymiotować, ale nie tracę czujności, bo moi porywacze ciągle gdzieś tutaj są. Zastanawiam się gorączkowo, co robić.

Jestem dość dobrze ukryta, mogą mnie nie zauważyć. Ale co później? Muszę jakoś dostać się z powrotem do cywilizacji i wystać wiadomość Harrisonowi. Przecież on nie ma pojęcia, gdzie mnie szukać ani że powinien to robić! Do tej pory mógł nawet nie odkryć, że zostałam porwana. Może nadal siedzi w swoim domku i ma mnie w nosie, a ja muszę sama się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo?

Wymacuję kamień, który idealnie mieści mi się w dłoni, i chwytam go kurczowo. Wydaje mi się, że w deszczu słyszę przybliżające się kroki, ale to może być jedynie moja wyobraźnia. Może jestem przewrażliwiona. Może...

Nie. To zdecydowanie przybliżające się kroki.

Zastygam. W głowie kołtuję mi się tysiąc myśli i nie mam pojęcia, jak postąpić. Jestem tak przerażona, że mogłabym zwymiotować serce, gdybym tylko właśnie nie walczyła o życie. Napastnicy są coraz bliżej, aż w końcu widzę ich wojskowe buty poruszające się ostrożnie po kamieniach w strumyku. Ci mężczyźni mnie szukają i wcale się przy tym nie spieszą, jakby wiedzieli, że nie będę w stanie daleko uciec.

Nie widzą mnie. Patrzą przed siebie albo pod nogi, nie trzymają w rękach broni, ale widzę pistolety za paskami ich spodni. Co powinnam zrobić? Pozwolić im przejść i uciekać w drugą stronę? A jeśli się zorientują, że nie ma mnie przed nimi i że musiałam ukryć się gdzieś po drodze? Jeśli po mnie wrócą?

Nie wiem, czy mam dość odwagi, by spróbować z nimi walczyć. Ale w tej chwili posiadam jedną zasadniczą przewagę — element zaskoczenia. Jeśli nie zrobię tego teraz, potem mogę tę przewagę stracić.

Atakuję, zanim zdążę przekonać samą siebie, że to głupi pomysł. Skaczę na faceta najbliższego mi, celując kamieniem prosto w jego głowę. Zamachuję się mocno i kiedy go uderzam, słyszę trzask, jakby coś łamało mu się w twarzy.

Wpadam na niego z takim impetem, że oboje lądujemy w strumyku, i zanim zdąży dojść do siebie, poprawiam drugim uderzeniem w skroń, aż w oczach faceta gaśnie światło.

Wyszarpuję mu zza paska pistolet, staczam się na bok i celuję do drugiego, który już trzyma mnie na muszce.

— Odłóż broń — mówi spokojnie.

Zaciskam mocniej śliskie palce na pistolecie. Nie mam pojęcia, jak go używać ani czy jest odbezpieczony, ale nie przejmuję się tym. Krew szumi mi w uszach, a swój głos słyszę jakby z oddali.

— Ty pierwszy.

— Strzelę do ciebie, zanim się zorientujesz, co się stało — odpowiada beznamiętnie.

Nawet mu wierzę.

— Twój szef kazał ci doprowadzić mnie żywą — przypominam mu. — Więc lepiej rób, co do ciebie należy, i przestań we mnie celować.

— Żywą nie znaczy nieuszkodzoną — cedzi. — Jeśli będzie trzeba, postrzelę cię, a potem cię potatamy. Chcesz się przekonać?

Nie. Absolutnie nie chcę. Wtedy trudniej by mi się ponownie uciekało.

Coś z tych myśli musi chyba ukazać się na mojej twarzy, bo facet uśmiecha się paskudnie.

— No już, już. Bądź grzeczną dziewczynką i odłóż broń.

Nigdy nie reagowałam dobrze na takie słowa. Teraz też robię coś całkowicie nieprzewidzianego i lekkomyślnego.

Naciskam spust.

Szybko okazuje się, że pistolet nie jest zabezpieczony. Huk wystrzału roznosi się po lesie echem, a mój porywacz z krzykiem wpada do wody. Nie mam pojęcia, czy go trafiłam, i nie zamierzam zostawać wystarczająco długo, by się przekonać. Rzucam się z powrotem w kierunku, z którego przybiegłam, zostawiając zbira za sobą.

O dziwo, nie ścigają mnie kule, więc albo gość wie, że szef byłby niezadowolony, gdyby coś mi się stało, albo po prostu nie jest w stanie do mnie celować. Nie odwracam się, żeby to sprawdzić.

Biegnę z trudem. Nogi palą mnie żywym ogniem, w płucach świszczy, jest mi równocześnie zimno i gorąco. Nie wiem już, czy zalewa mnie deszcz, czy własny pot, czy to błoto wdiera mi się do oczu. Wdrapuję się z powrotem na wzniesienie, uciekając od strumienia i zostawionych w nim ludzi, po czym padam ledwie żywa pod którymś drzewem.

Nie ucieknę stąd. To jedno staje się dla mnie jasne. Nie mam pojęcia, dokąd biec, nie wiem, gdzie szukać pomocy ani jaka odległość dzieli mnie od najbliższych domostw.

Muszę grać na czas. Zdobyć go jak najwięcej, żeby bliscy zdążyli mnie odnaleźć. Sama sobie nie poradzę.



W dłoni nadal ściskam pistolet, którego nie mam zamiaru wyrzucić. Wprawdzie boję się, że prędzej zrobię nim krzywdę sobie niż kolejnemu

napotkanemu zbirowi, ale nie będę ryzykować. Już raz dzięki niemu uciekłam, mogę zrobić to znowu.

Delektuję się przez moment myślą, że odstrzelam łeb Miguelowi Vallesowi. Zrobiłabym to porządnie, nie jak ten partacz, który trafił go w nogę. A potem podnoszę głowę, bo wydaje mi się, że coś słyszę.

Tak, zdecydowanie coś słyszę. Poprzez szum deszczu ktoś woła moje imię. Znam ten głos.

I nie należy on do Miguela Vallesa.

Rozdział 31

Harrison

Kiedy docieramy do zjazdu do zatoki, stoi tam pusty dżip.

Od razu wiem, że to właściwe miejsce, i gratuluję swojej intuicji, która kazała mi jechać właśnie tu. Drugie miejsce, które podał nam Owen Maxwell, ma obstawiać mój ojciec wraz z pracownikami hotelu; tutaj przyjechałem z Richardem i Hudsonem, którzy chyba nie chcieli mnie spuścić z oka. Jak się zdaje, oni nadal nie za bardzo wierzą, że zależy mi na Mackenzie.

— Nikogo tu nie ma! — woła Hudson, ledwie tylko wyjdzie z samochodu, jeszcze zanim dobrze go zatrzymałem. — Na dole czeka jacht... Kurwa! Są tam chyba ludzie Vallesa.

— Widzisz coś? — pyta Richard, gdy obaj wysiadamy z auta.

— Widoczność jest kiepska — odpowiada Hudson — ale wyglądają tak, jakby na coś czekali. Gdyby mieli Mac na pokładzie, chyba właśnie by odpływali, no nie?

I wtedy przez szum deszczu przedziera się dobiegający z lasu po drugiej stronie drogi huk.

To wystrzał z pistoletu — jestem tego pewien. Niepokój eksploduje we mnie z ogromną mocą i natychmiast ruszam w tamtym kierunku. Hudson woła za mną, ale nawet się do niego nie odwracam.

— Mackenzie nie ma na jachcie, bo uciekła do lasu! —

krzyczę do nich. — Musimy ją znaleźć!

— Harrison, nie wiesz tego!

Owszem, wiem. Mackenzie to waleczna istota, która prędzej da się zabić, niż po dobroci pozwoli się znowu zaciągnąć na jacht przemytników. A Valles na pewno nie zostawiłby dżipa na widoku, gdyby wszystko było w porządku. Coś poszło nie po ich myśli i tym czymś z pewnością jest wola walki Mackenzie. Jeśli jej brat i ojciec tego nie rozumieją, to znaczy, że totalnie jej nie doceniają.

Wbiegam w las, gdzie deszcz przeszkadza trochę mniej niż na otwartej przestrzeni. Serce wali mi w piersiach; błagam wszelkie bóstwa, które zechcą mnie wysłuchać, żeby ta kula nie była przeznaczona dla Mackenzie. Valles nie chce jej zabić, prawda? Nie strzelałby do niej i nie pozwoliłby na to swoim ludziom. Ona jest dla niego jakimś pieprzonym talizmanem, martwa mu się raczej nie przyda.

Wchodzę ostrożnie między drzewa, kątem oka dostrzegając, że Hudson i Richard idą za mną. Oczy mnie bolą od intensywnego wypatrywania czegokolwiek w półmroku między zielenią gałęzi a opadającym na poszycie deszczem, wydaje się jednak, że jest tu pusto. Mimo to ani przez moment nie tracę pewności, że ona jest gdzieś w pobliżu.

— Kenzie! — krzyczę, nie zwracając uwagi na fakt, że mogę tym ściągając zainteresowanie przemytników. — Kenzie, gdzie jesteś?!

Odpowiada mi cisza. Brnę głębiej w las, mimo że Hudson za moimi plecami usiłuje mnie przekonać, że to kiepski pomysł. Ale z pewnością mam rację.

— Wracajcie i szukajcie jej na jachcie, jeśli chcecie! —

mówię do nich w pewnym momencie. — Ja wiem, że ona tu gdzieś jest.

— Niby skąd? — odkrzykuje wściekły Hudson, ale nie zwracam na niego uwagi.

Idę przed siebie, szukając czegoś — jakichś śladów, błysku między drzewami, ruchu. Wydaje mi się, że niektóre rośliny

na mojej drodze są połamane, ale nie robię sobie zbyt wielkich nadziei, bo może to nic nie znaczy.

Wmawiam to sobie, póki nie napotkam resztek szarej taśmy klejącej, którą wyraźnie coś było związane.

Podnoszę ją z ziemi i pokazuję Hudsonowi i Richardowi.

Obaj robią zdziwione miny.

— Myślisz, że ją tym związali? — pyta mój szwagier.

— Tak, a ona się uwolniła. — Kiwam głową. — To mądra dziewczynka.

Ruszam dalej, nadal wykrzykując imię Mackenzie.

Rozpraszamy się nieco i Hudson oraz Richard idą równo ze mną, ale obok, w pewnej odległości, by przeczesać więcej terenu. Chyba dopiero teraz uwierzyli, że Mackenzie rzeczywiście może znajdować się gdzieś w pobliżu, i postanowili pomóc.

Las jest jednak pusty i cichy. Szumu deszczu nie przerywają ani kolejne wystrzały, ani niczyje głosy poza moim własnym.

Nie poddaję się jednak i idę dalej, wypatrując kolejnych śladów i wołając Kenzie.

Aż w końcu ktoś mi odpowiada.

Głos jest cichy i dochodzi z daleka. Przez deszcz nie jestem też pewien, co dokładnie krzyczy, ale wydaje mi się, że moje imię. A jeśli mam rację, to musi być Mackenzie! Nikt inny by mnie nie wołał.

Przyspieszam kroku, ruszając w stronę, skąd dobiega ten niewyraźny głos. Nadal krzyczę jej imię, nie przejmując się, że gdzieś tu mogą być także ludzie Vallesa. Najpierw chcę znaleźć moją kobietę — potem będę martwił się resztą.

W końcu ją dostrzegam. Naprawdę ją widzę! Zalewa mnie fala ulgi, gdy tylko udaje mi się ją dostrzec między drzewami. Przyspieszam kroku, bo wszystko we mnie się do

niej wrywa, gotowe sprawdzić, czy jest cała i czy nic jej się nie stało; serce z każdą chwilą wali mi coraz mocniej, jakby chciało uciec z klatki piersiowej.

Mackenzie prezentuje się koszmarnie — włosy ma w strąkach, jest nie tylko mokra, ale też cała umazana błotem.

Jej ciuchy są brudne, a twarz wygląda tak, jakby szorowała nią po mocno nasiąkniętej wodą ziemi. Idzie w moją stronę, zataczając się i potykając, ale w jej oczach widzę determinację, a w ręce trzyma... pistolet.

Może więc to ona wtedy strzelała? Jeśli tak, kocham ją za to jeszcze bardziej. To niesamowite, jaka ta kobieta jest odważna i jak potrafi się obronić!

Hudson dopada do niej pierwszy, bo ma bliżej. Widzę, jak ją obejmuje i pyta o coś gorączkowo, i mimo woli jestem o to zazdrosny. Przez to jeszcze przyspieszam, aż niemalże do niej biegnę.

— Kenzie!

Dziewczyna odwraca się i wyrwa się z uścisku Hudsona, żeby do mnie pobiec, a jej przerażony wzrok utkwiony we mnie momentalnie łagodnieje. To rozgrzewa mi serce i prawie je łamie. Ona naprawdę się cieszy, że mnie widzi.

Chociaż to stwierdzenie to spory eufemizm.

Wpada mi w końcu w ramiona, a ja obejmując ją, czuję, jak bardzo drży. Tulę ją mocno, chcąc w ten sposób sprawić, by zapomniała o wszystkich złych rzeczach, które ją ostatnio spotkały.

— Przepraszam, Kenzie — mamroczę jej do ucha. —

Przepraszam, że cię zostawiłem.

Odsuwa się i spogląda na mnie półprzymkniętym wzrokiem.

— Chyba postrzeliłam człowieka — wyznaje.

Przyciągam ją do siebie ponownie, uspokajająco gładząc po plecach. W tej chwili dobiegają do nas Hudson i Richard; obaj próbują wyrwać mi Mackenzie, lecz ani ona nie chce mnie puścić, ani ja jej. Stają więc obok i wymieniają spojrzenia, jakby kontaktowali się między sobą w myślach.

— Musimy uciekać — mówi cicho Mackenzie. — Oni gdzieś tu są.

— Valles? — wtrąca Hudson.

Mackenzie kiwa głową.

— Uciekłam im i jednego jego człowieka pozbawiłam przytomności, a drugiego... chyba postrzeliłam. W

samochodzie było ich trzech, więc jeśli Miguel nie wezwał posiłków z jachtu, to jest tu gdzieś sam. Uzbrojony.

— Gdyby wezwał posiłki, na jachcie nie byłoby tak spokojnie — zauważa Hudson, po czym chwyta Mackenzie za ramię. — Chodźmy. Spadajmy stąd.

Obejmuję ją mocno, nie zamierzając w ogóle wypuścić jej już z rąk, po czym kierujemy się z powrotem do drogi.

Wzrok mam utkwiony albo w Mackenzie, albo w drzewach dookoła, bo cały czas wypatruję potencjalnego zagrożenia.

Valles ciągle jest gdzieś niedaleko i podejrzewam, że nie odpuści tak łatwo.

Mackenzie cały czas dygocze i szczeka zębami, i wątpię, żeby powodem był chłód. Moim odruchem jest ją chronić, więc tylko przyciągam ją do siebie mocniej i prowadzę przez las, aż w końcu całą czwórką wychodzimy z powrotem na drogę.

Deszcz akurat trochę zelżał, dzięki czemu możemy zobaczyć, że okolica jest zupełnie pusta. Wiemy jednak, że musimy się spieszyć, bo na dole, na jachcie, czekają ludzie Vallesa, a on sam krąży w okolicy. Wraz z Mackenzie pakuję się na tylne siedzenie samochodu, nie pozostawiając

Hudsonowi innego wyjścia, jak sięść za kierownicą, a Richardowi — zająć przednie miejsce pasażera. Ojciec Mackenzie natychmiast się do niej odwraca.

— Wszystko w porządku, kochanie? Nic ci nie zrobili?

Mackenzie kręci głową, a w tej samej chwili Hudson klnie i rusza z piskiem opon. Słyszę uderzenia w karoserię i orientuję się, że ktoś strzela. Instynktownie pochylam Mackenzie, kładąc jej dłoń na głowie i zmuszając, by położyła mi ją na kolanach, i osłaniam ją, rozglądając się wokół. Valles stoi na brzegu lasu i strzela do nas z pistoletu, a kiedy kończą mu się naboje, rusza do swojego dżipa.

— Jedź szybciej — warczę do Hudsona.

— Chcesz, żebyśmy zjechali z klifu?! — wrzeszczy w odpowiedzi, mimo to przyspiesza.

I wtedy dzwoni mój telefon. Chcę go zignorować, ale zmieniam zdanie, gdy na wyświetlaczu widzę, że to ojciec.

— Znaleźliście ją? — pyta bez ogródek, gdy odbieram.

— Tak — mamroczę. — Jedziemy z nią z powrotem, ale Valles siedzi nam na ogonie.

Kiedy zerkam przez tylną szybę, widzę, że przemytnik rzeczywiście za nami jedzie. Ten facet jest pojebany. Każdy normalny człowiek na jego miejscu już dawno by odpuścił.

Co mu siedzi we łbie?!

— To się nawet dobrze składa — odpowiada ku mojemu zdziwieniu ojciec.

— Jedźcie do nas.

— Co? To znaczy gdzie?

— W stronę drugiej zatoczki — wyjaśnia. — Zastawimy na niego pułapkę.

Pułapkę?!

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? — pytam niespokojnie. — Nie chcę niepotrzebnie narażać Kenzie.

— I tak nie jesteście bezpieczni, prawda? — prychna ojciec.

— Po prostu mi zaufaj. Jedźcie do nas. Resztą się zajmiemy.

Rozłacza się, zanim zdążę coś odpowiedzieć, a kiedy Richard patrzy na mnie pytająco, powtarzam im słowa mojego ojca. Obaj są zaskoczeni, ale nie próbują protestować.

Na szczęście miejsce, o którym mówi ojciec, mamy po drodze, bo gdybyśmy musieli zawracać, to pewnie plan byłby niewykonalny. Hudson przyspiesza, a ja jeszcze mocniej obejmuję Mackenzie.

— Co chce zrobić twój ojciec? — pyta cicho.

— Nie wiem — wyznaję niechętnie — ale na pewno coś, dzięki czemu wreszcie będziemy bezpieczni. Poradziłaś sobie naprawdę świetnie, Kenzie, a teraz możesz już odpuścić. Zajmiemy się tobą.

Czuję, jak jej drobne palce zaciskają się na moim przedramieniu.

— Obiecujesz, że ty się mną zajmiesz?

Mam wrażenie, jakby na moment zabrakło mi oddechu. Czy mógłbym odpowiedzieć przecząco na takie pytanie?

— Obiecuję — potwierdzam poważnie, spoglądając w jej zielone oczy. Widzę w nich odrobinę strachu, ale też nadzieję. Chcę wyjść z siebie i stanąć obok, oglądając ją w takim stanie. Powinna być uśmiechnięta i radosna jak zwykle i zamierzam zrobić wszystko, żeby znowu taka była.

— Obiecuję, Kenzie. Już zawsze.

To się ze mnie wyrywa i w pierwszej chwili nawet nie zdaję sobie z tego sprawy; dopiero gdy jej oczy się rozszerzają, domyślam się, że powiedziałem coś głupiego. Kurwa.

Nie mam jednak okazji tego sprostować, bo w następnej chwili coś uderza w tył dżipa.

Mackenzie krzyczy i chwyta się mnie kurczowo, a ja odwracam się, by stwierdzić, że Valles uderza przednim spojlerem w nasz tylny zderzak. Hudson miele między zębami kolejne przekleństwo, ale ręka nawet mu nie drgnie. Cholera, chyba nie doceniłem tego faceta. A przecież to tylko fotograf!

— Daleko jeszcze? — pyta niespokojnie Richard.

Hudson zerka na nawigację.

— Najwyżej kilka minut — zapewnia. — Tu jest za wąsko, żeby ten świr bardziej nam zagroził. Dojedziemy.

— I co później? — pyta Mackenzie niespokojnie.

Jej brat odwraca się do niej na ułamek sekundy i posyła dziewczynie uspokajający uśmiech.

— O to się już nie martw, siostrzyczko.

Sam się zastanawiam, co takiego wymyślił mój ojciec, ale postanawiam mu zaufać.

Wytrzymujemy w milczeniu kolejne uderzenie, a przy trzecim Hudson na moment traci panowanie nad autem.

Klnie i skręca gwałtownie kierownicę, udaje mu się jednak nie zjechać z drogi i wyrównać. Czuję, jak z każdym uderzeniem Mackenzie obok mnie coraz bardziej sztywnieje, więc zapewniam ją, że wszystko będzie dobrze.

A potem nagle droga rozszerza się, tworząc coś w rodzaju sporej zatoki nad klifem. Po jej drugiej stronie wyjazd blokują dwa duże czarne samochody z przyciemnianymi szybami, więc Hudson daje po hamulcach i skręca, w ostatniej chwili stając na skraju wolnego terenu, tuż obok pierwszych drzew. Valles hamuje gwałtownie i zatrzymuje się na środku drogi, po czym wrzuca wsteczny, ale zanim

zdąży uciec z zatoczki, drogę zajeżdża mu trzecie auto. To SUV mojego ojca.

Z czarnych nieoznakowanych fordów wypada dwóch facetów w kamizelkach kuloodpornych i celuje w samochód Vallesa, krzycząc do niego, żeby wysiadł i się poddał. Nie mam pojęcia, skąd się wzięli, skoro podobno policja na wyspach jest skorumpowana, ale nie zamierzam teraz o to pytać, tylko znowu pochylam Mackenzie i zasłanianiam ją własnym ciałem, obawiając się strzelaniny.

Ponownie wyglądam przez szybę i stwierdzam, że dwaj faceci skuwają właśnie Vallesa na masce jego własnego samochodu. To nie policjanci. Z tyłu na kamizelkach mają napisy „DEA”.

Kiedy uznaję, że jest już bezpiecznie, otwieram drzwi auta.

Po chwili zjawia się przy nich mój ojciec.

— Jak ich znalazłeś? — pytam zaskoczony, patrząc, jak funkcjonariusze odstawiają Vallesa do jednego z ich pojazdów.

Ojciec wzrusza ramionami.

— Sami się znaleźli — wyznaje. — Skontaktowali się ze mną, bo byli źli, że rozwaliliśmy im akcję. Podobno od dawna obserwowali Vallesa, a wasze wtargnięcie na jego jacht pokrzyżowało im szyki. Zdecydowali o aresztowaniu go, ale potem stracili go z oczu, a huragan nie pozwolił im wezwać posiłków. Zostali z dwoma agentami na wyspie.

Tylko odrobinę im pomogliśmy.

Pomagam Mackenzie wydostać się z samochodu; Hudson i Richard, którzy wysiadają tuż po nas, bez słowa patrzą, jak obejmuję ją ramieniem i do siebie przyciągam.

— Zadzwońię do matki, że ją odbiliśmy i jest bezpieczna —
mamrocze Hudson.

Richard tymczasem podchodzi i wyciąga do mnie dłoń.

— Przepraszam, że cię nie doceniłem — mówi poważnie. —

Widziałem cię podczas tej akcji. Naprawdę ci na niej zależy.

Bądź dla niej dobry.

— Zamierzam. — Ściskam jego dłoń, po czym wskazuję na agentów DEA. —
Chodźmy, musimy się przywitać i podziękować za pomoc.

Ruszamy w ich stronę, a Mackenzie podnosi wyżej głowę.

Zalewa mnie fala dumy i czułości. Po tym wszystkim, co się stało, ona chce jeszcze wyglądać na spokojną i pewną siebie, jakby kontrolowała sytuację i wcale nie dała się nastraszyć.

Ta kobieta jest niesamowita.

Rozdział 32

Mackenzie

Budzę się z gwałtownie bijącym sercem i przez moment patrzę na sufit, nadaremnie próbując się uspokoić.

Jestem bezpieczna. Leżę w jednym łóżku z Harrisonem, który przybył mi z pomocą, w jego — nie moim — domku na Lanai, i nic mi już nie grozi, bo Valles siedzi w areszcie, a jego ludzie prawdopodobnie spieszą właśnie do Meksyku.

Odwracam się z westchnieniem do mężczyzny obok i przytulam się do ciepłego, twardego ciała. Jego ramiona obejmują mnie mocno, choć po równym oddechu jestem przekonana, że nadal śpi. Przymykam oczy i daję sobie chwilę, żeby przestać się trząść.

Czuję się, jakbym przez ten ostatni dzień postarzała się o kilka lat. To, co się wydarzyło, nadal nie mieści mi się w głowie. Porwanie, ucieczka przez las, znalezienie Harrisona, mojego brata i ojca, pościg samochodowy i na koniec poznanie agentów DEA. Tego wszystkiego jest po prostu za dużo!

Musieliśmy złożyć wyczerpujące zeznania, zanim nas puścili. Agenci byli bardzo niezadowoleni, że weszliśmy im w paradę — z jakiegoś powodu nie podobała im się zwłaszcza akcja odbicia mnie na jachcie przez Ashera i jego ludzi — ostatecznie jednak nie wyszło im to na złe, bo dzięki nam mieli podstawy, by ubiegać się o nakaz przeszukania kryjówek Vallesa. Niewiele poza tym mnie

interesuje — chcę tylko, żeby ten świr zgnił w więzieniu.

Marzę o powrocie do Los Angeles.

Nadal pada, ale zdecydowanie lżej, i wygląda na to, że niedługo pogoda zacznie się zmieniać. To spora ulga, bo nie mam ochoty dłużej siedzieć na Lanai, nawet jeśli mogę ten czas spędzić w ramionach Harrisona.

To były naprawdę zwariowane dni, i to nie tylko w ten negatywny sposób. Zobaczyłam wiele ciekawych rzeczy, spędziłam aktywnie czas z moją rodziną, a także byłam świadkiem, jak ojciec rozstaje się z Isabellą. To nowość, która zwłaszcza mamie przysporzyła sporo satysfakcji.

O co poszło? O dziwo, o mnie. Isabella miała pretensje, że wszyscy zajmują się mną, a ona siedzi beczynnie w domku i się nudzi. Poważnie. I ojciec w końcu nie wytrzymał.

Te dni spędziłam także na poznawaniu mężczyzny leżącego obok — i chociaż totalnie się nie spodziewałam, że coś takiego się stanie, zwłaszcza w tak krótkim czasie, zakochałam się w nim. Widzę zmianę, jaka u niego zaszła: choć nadal jest milczący, a w towarzystwie naszych rodzin raczej ponury, wobec mnie zachowuje się zupełnie inaczej.

To takie słodkie.

Jeśli z jakiegoś powodu miałabym się obawiać powrotu do Los Angeles, to tylko dlatego że nie chcę go stracić, a mam wątpliwości, jak sobie poradzimy z tak świeżym związkiem.

Zamierzam jednak zaryzykować, bo wiem, że dla Harrisona warto.

Chowam nos w zagłębieniu jego szyi, a w następnej chwili czuję gorące wargi na ramieniu. Chyba już nie śpi.

— Jak się czujesz? — pyta ochrypłym głosem.

To takie cudowne, że jest to pierwsze, co przychodzi mu na myśl. Uśmiecham się.

— Dobrze — mamroczę. — Zdecydowanie lepiej, kiedy tu jesteś ze mną.

Harrison przez chwilę nie odpowiada. Jego dłonie wsuwają się pod moją koszulkę i gładzą nagie plecy. Dostaję od tego ciarek i ściska mnie w podbrzuszu. To naprawdę przyjemne.

— Przepraszam, że mnie nie było, kiedy cię porwał — szepcze.

Przewracam oczami. Już mi to wcześniej mówił.

— To nie twoja wina — zapewniam stanowczo. — Gdybyś wtedy ze mną był, Miguel znalazłby inny moment, żeby mnie uprowadzić. Nie mogliście pilnować mnie cały czas.

— Ale wtedy mogłem być z tobą. Gdybym tylko nie ześwirował i nie uciekł.

Wzdycham i odsuwam się nieco, by spojrzeć mu w oczy.

Wygląda tak cholernie atrakcyjnie ze zmierzwionymi włosami i z kilkudniowym zarostem, aż oblewa mnie gorąco. Chyba wolalabym w tej chwili robić coś innego, a nie z nim gadać.

— Nie mów tak — protestuję. — To dla ciebie nowa sytuacja. Rozumiem, że potrzebujesz czasu.

— Zraniłem cię, Kenzie — odpowiada uparcie. —

Zostawiłem cię, bo nie umiałem sobie poradzić z twoją bliskością. Nigdy na żadnej kobiecie nie zależało mi tak jak na tobie, rozumiesz? I nie potrafię o tym rozmawiać.

Moim zdaniem idzie mu całkiem nieźle.

— W porządku — uspokajam go, gładząc po policzku. Jego pociemniałe spojrzenie łagodnieje chyba pod wpływem tego gestu. — Nauczymy się rozmawiać o swoich uczuciach.

Wiem, że to może na początku nie być łatwe, ale damy radę. Dopiero się poznajemy, nic dziwnego, że pojawiają się między nami nieporozumienia. Poradzimy sobie z tym.

— Chcę to opowiedzieć do końca. — Harrison łąpie mnie za biodro i przyciąga do siebie bliżej, aż czuję na brzuchu jego poranną erekcję. To sprawia, że przechodzi mnie dreszcz pożądania. Hmm, jeśli chce rozmawiać, chyba nie powinien robić takich rzeczy, bo mogę nie skupić się na tym, na czym powinnam. — Naprawdę nigdy wcześniej nikomu nie wyznawałem uczuć. Nie wiem, jak to się robi, ale kiedy wczoraj poprosiłem, żebyś dała mi czas, poszedłem do Hudsona i o wszystkim mu powiedziałem.

Robię wielkie oczy.

— Naprawdę?

— Oni powinni wiedzieć — wyjaśnia. — Nie zamierzam dłużej nas ukrywać. Kenzie, ja... Zawsze miałem z tym problemy. Z wyrażaniem uczuć, z rozmowami z kobietami.

Ojciec od dziecka nazywał mnie dziwakiem...

— Nie jesteś żadnym dziwakiem! — protestuję z oburzeniem, ale on nie zwraca na to uwagi.

— ...i przyzwyczałem się do tego. Ty pierwsza sprawiłaś, że chciałem się dopasować. Zachowywać się normalnie, żebyś spojrzała na mnie inaczej. Nie wiem, czy miałbym okazję, gdyby nie ten wypadek helikoptera... Ale nieważne, udało się i nie zamierzam cię teraz

stracić. Jesteś najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek poznałem, i jeśli ktoś mówił ci inaczej, to znaczy, że jest idiotą i nie ma o niczym pojęcia.

Czuję łzy w kącikach oczu. Chyba moje hormony urządziły sobie szaloną zabawę. Ale co mogę na to poradzić, skoro nigdy w życiu nie słyszałam niczego piękniejszego?

— Harrison...

— Więc tak, kocham cię — wchodzi mi w słowo, a jego ton sugeruje, że przygotował sobie wcześniej to, co zamierza powiedzieć, i nie chce, żebym mu przerywała. — Nieistotne,

że usłyszałaś to najpierw od mojego ojca. To prawda.

Kocham cię i chcę się z tobą spotykać. Daj mi szansę, Kenzie.

Uśmiecham się do niego ciepło.

— Oczywiście, że dam — mówię takim tonem, jakby sugerowanie, że mogłoby być inaczej, było wariactwem. —

Ja też tego chcę. I kocham w tobie wszystko, Harrison, niezależnie od tego, czy jest dziwne, czy nie. Nie musisz się dla mnie zmieniać, wystarczy, że teraz cię rozumiem.

Naprawdę cię rozumiem.

Widzę już zupełnie innego faceta niż wtedy, kiedy go poznałam. To nie arogancki dupek, który nie chce mieć nic wspólnego z nieciekawą siostrą szwagra. To po prostu nieco zagubiony, społecznie niezręczny mężczyzna, który na swój sposób radzi sobie ze światem wokół. Nie wiem, jak mogłam nie dostrzec tego od początku — byłam chyba zbyt zafiksowana na sobie i zbyt łatwo oceniałam ludzi. To niezła nauczka.

Harrison uśmiecha się leniwie i to dla mnie najlepsze lekarstwo na wszelkie złe myśli. Ten pełen męskiej satysfakcji uśmiech jest tak seksowny, że brakuje mi tchu.

Mężczyzna przysuwa się do mnie jeszcze bliżej, kolanem bez trudu rozchyła mi nogi i popycha, aż kładę się na plecach; wtedy on nakrywa mnie swoim ciałem.

Och, tak. Nareszcie przechodzimy do rzeczy.

Patrzy na mnie w taki sposób, że wszystko się we mnie zaciska. Jakby już się ze mną kochał. Przez chwilę milczymy i po prostu się w siebie wpatrujemy, w końcu Harrison robi pierwszy krok. Pochyla głowę i całuje mnie w szyję,

przyciskając wargi do miejsca, gdzie bije mój puls. Kiedy czuję na skórze jego język, przymykam oczy.

— Nie mogę uwierzyć, że tu ze mną jesteś — szepcze mi do ucha.

Te słowa z jakiegoś powodu mnie rozczulają. Odnoszę wrażenie, że mam w sobie tyle uczuć, że mogłabym od nich pęknąć.

— Ale jestem tu i nigdzie się nie wybieram — odpowiadam.

— Musisz się z tym pogodzić.

Jego kolano wsuwa się między moje nogi, dłonie błądzą po moim ciele, aż w końcu zakradają się pod koszulkę. Jęczę, gdy Harrison zaciska palce na piersiach, zaczyna je pieścić mocno, podsuwa materiał wyżej, po czym schyla się, by wziąć jeden z sutków w usta. Ocieram się o niego biodrami i chwytam go za miękkie kosmyki włosów.

— Nie musimy posuwać się dalej, jeśli nie chcesz — mamrocze.

Posyłam mu przerażone spojrzenie.

— Dlaczego uważasz, że mogłabym nie chcieć?

— Bo przeżyłaś naprawdę trudny dzień. — Odrywa się na chwilę od mojej piersi, co kwituję pełnym niezadowolenia grymasem, i spogląda mi w oczy. — Zrozumiem, jeśli nie masz nastroju.

— Gdybym nie miała nastroju, z pewnością bym ci powiedziała — zapewniam go nieco protekcjonalnie. —

Uwierz, potrafię zaprotestować, kiedy coś mi się nie podoba.

Harrison znowu uśmiecha się w ten leniwy, absolutnie oszałamiający sposób.

— Bardzo mnie to cieszy. Ale chciałbym cię wziąć inaczej.

Robię zaciekawioną minę. Dla mnie każda pozycja jest dobra... ale jeszcze lepiej, jeśli będzie zawierała choć trochę przytulania.

Harrison wraca do pieszczenia mnie; wiję się pod jego dotykiem, skupiona wyłącznie na jego gorących ustach i

śliskim języku, i zębach, które skubią mój sutek. Och, jest mi tak dobrze. Tak zajebiście dobrze...

Piszczę, kiedy obraca mnie na lewy bok, a sam kładzie się za mną, przywierając do moich pleców klatką piersiową.

Znowu czuję jego kolano między nogami i ogarnia mnie ekscytacja, że taką pozycję ma na myśli. Nigdy wcześniej nie kochałam się na tyżeczce!

Całuje mnie w kark, jego dotyk jest zachłanny i podniecający. Kładzie dłoń na moim brzuchu, przyciąga mnie bliżej, aż jego zwiedziony penis dźga mnie w pośladek. Jęczę i wypinam do niego pupę.

Palce Harrisona przesuwają się w dół, pod gumkę moich spodenek i prosto do już mokrej cipki. Głowa opada mi bezwładnie na poduszkę, oczy wywracają się, z ust wydobywa mi się bezradne sapnięcie. Harrison trafia we wszystkie odpowiednie punkty, jakby miał już ogromne doświadczenie w szybkim doprowadzaniu mnie do orgazmu. Rwie mi się oddech, a całe moje ciało się napina.

— Czy dzisiaj też jesteś... przygotowany? — dyszę z trudem.

Kiedy jego usta przesuwają się po mojej skórze, wyczuwam, że się uśmiecha.

— Owszem — przyznaje. — Masz coś przeciwko?

Czy mam coś przeciwko?! Chryste, nie. Nie zniósłabym, gdyby nie mógł we mnie wejść, i prawdopodobnie pozwoliłabym mu to zrobić bez gumki, gdyby jej nie miał!

— Jesteś cudowny — szepczę tylko.

Na tym ta konwersacja się kończy, bo zajmują nas ciekawsze rzeczy. Harrison zsuwa ze mnie spodenki i gładzi pośladki, po czym niespodziewanie daje mi klapsa. Piszczę; chyba to lubi. Jeśli to w ogóle możliwe, robię się jeszcze bardziej mokra.

Nawet nie wiem, kiedy pozbywa się swoich dresów i nakłada prezerwatywę. Przytrzymuję się materaca, czując, jak wsuwa się we mnie od tyłu, powoli, ale nieubłaganie prąc do przodu. Rozciągam się, przyjmuję go całego, a z ekscytacji za chwilę chyba się uduszę, tak cudowne i niesamowite jest to uczucie. Chyba nigdy do tego nie przywyknę.

Dłoń Harrisona łąduje na moim wzgórku łonowym, palce odnajdują łechtaczkę. Zaczyna się we mnie poruszać, dobijając głęboko, aż jego jądra uderzają w mój tyłek, a gdy chcę wyjść mu na spotkanie biodrami, unieruchamia mnie z warknięciem. Całuje mocno moją szyję, aż wyginam ją, by dać mu lepszy dostęp. Żar przepływa przez całe moje ciało, temperatura między nami wzrasta tak bardzo, że mam wrażenie, iż moglibyśmy podpalić łóżko. Pchnięcia Harrisona stają się coraz szybsze, coraz bardziej niecierpliwe, wbija się we mnie mocno, wydobywając ze mnie kolejne głośne jęki.

Błagam go, by nie przestawał, a on w odpowiedzi jedynie wzmacnia pieczyoty. Penetracja i masowanie łechtaczki sprawiają, że żar we mnie przelewa się, a potem skupia w krytycznym punkcie między nogami. Nie próbuję go powstrzymywać — zaciskam powieki i dochodzę mocno, krzycząc imię Harrisona.

On kończy krótko po mnie; zamiera, przyciąga mnie jeszcze bliżej, chwytając kurczowo za biodro, i mruczy mi seksownie do ucha. Czuję, jak jego ciało drży, kiedy ogarnia go orgazm. Instynktownie odwracam głowę i szukam jego ust, a on obdarza mnie długim, namiętym pocałunkiem.

Potrzebujemy dłuższej chwili, żeby dojść do siebie.

Przymykam oczy, czując, że zbierają mi się łzy. Jezu, znowu?

Robi się ze mnie prawdziwa beksa!

— Nie wiem, czy to dobry znak, że płaczesz za każdym razem po seksie ze mną — mamrocze Harrison zachrypniętym głosem.

Śmieję się nieco histerycznie.

— To komplement.

— Jesteś pewna? — Przygląda mi się sceptycznie. — Coś bardzo niewyraźnie mówisz.

Chichoczę i uderzam go pięścią w klatkę piersiową, ale mam wrażenie, że w ogóle tego nie poczuł, bo moje mięśnie są jak z galarety.

— To twoja wina. Wykończyłeś mnie.

— Ależ kochanie, ja dopiero zaczynam — zapewnia.

Ziewam i odwracam się, wtulając się w niego mocno.

Harrison obejmuje mnie ramionami i wplata mi palce we włosy. Czuję na skroni jego wargi i ten słodki dotyk sprawia, że boli mnie serce.

— Dobrze, ale za chwilę — mruczę. — Daj mi odpocząć.

Potem chyba zapadam w sen.

Następnego dnia wracamy do Los Angeles.

Wreszcie przejaśniło się na tyle, by zostały wznowione loty i można było bezpiecznie opuścić Lanai. Nie ukrywam, że robię to z ulgą, nawet jeśli to znaczy, że ostatecznie przyjęcie weselne Celi i Hudsona nie doszło do skutku.

— Nadrobimy to w LA — obiecuje beztrąsko moja bratowa.

— Ta impreza przecież musi się odbyć, nie ma innej opcji!

Zgadzam się z nią i cieszę się, że nie upierają się, by robić ją na Hawajach.

Harrison prawie nie odstępował mnie na krok, chociaż w towarzystwie naszych rodzin robi się znacznie bardziej milczący i spięty. Przeprowadzam z nim na lotnisku bardzo jednostronną dyskusję o ponownym przeniesieniu biletów moich i mamy do klasy biznesowej, po czym przegrywam ją, mimo że on się prawie nie odzywał. Nie wiem, jak to możliwe, ale ten człowiek zaczyna zwyciężać w kłótniach ze mną, nawet gdy to ja jestem jedyną osobą, która się kłóci.

Lot powrotny jest dla mnie niczym sen. Na Lanai tyle się zdarzyło, że mam wrażenie, jakbym spędziła tam sto lat i wracała do życia, którego już kompletnie nie pamiętam.

Równocześnie czuję ulgę i obawę, jak się ułoży między mną a Harrisonem, gdy już powrócimy do codziennego życia.

Uznaję jednak, że martwienie się o to nie ma najmniejszego sensu, i próbuję po prostu cieszyć się chwilą.

Z Harrisonem rozstaję się na LAX-ie. Nie bardzo mam na to ochotę, ale chcę odwieźć mamę, a on musi się zająć pewnymi obowiązkami w pracy, które zaniedbał przez tak długą nieobecność. Dziwnie jest się z nim żegnać po całym tym czasie, który spędziliśmy razem, ale wiedziałam, że prędzej czy później to musiało nastąpić.

— Zadzwoń — szepcze, kiedy zatrzymuje mnie, zanim wsiądę do taksówki. Czuję jego dotyk na przedramieniu, które pieści powolnym ruchem, aż pojawia się napięcie w dole mojego brzucha. — Jak tylko załatwię wszystko w pracy, dobrze?

Kiwam głową, nie spuszczać z niego wzroku. Harrison wzdycha.

— Proszę, nie patrz tak na mnie, Kenzie, bo mam ochotę od razu zaciągnąć cię do łóżka — mruczy. Na policzki występuje mi rumieniec. — Mogę wpaść do ciebie wieczorem?

Jak zaczarowana kiwam głową.

— Wyślę ci adres SMS-em...

— Wsiadasz czy nie? — pyta niecierpliwie mama z tylnego siedzenia pasażera. — On nie idzie na wojnę, niedługo się zobaczycie!

Parskam śmiechem, wspinam się na palce i całuję go ostatni raz. Harrison obejmuje mnie w talii i przesuwa dłońmi po dole moich pleców, ale nie odważa

się złapać mnie za tyłek. Może i dobrze, skoro w taksówce siedzi moja mama, a obok do drugiej ładują się Hudson z Celią.

Kiedy w końcu docieram do swojego mieszkania, wydaje mi się straszliwie puste i smutne. W lodówce widzę jedynie światło, powietrze w pomieszczeniach jest zastęte, a cisza wokół dziwnie deprymująca. Kręcę się przez chwilę bez celu, biorę prysznic i zaczynam rozpakowywanie walizek, ale nagle porzucam to w połowie — chociaż moje łóżko przypomina pobojuwisko — przebieram się i wychodzę.

Początkowo zamierzam udać się po jakieś zakupy, szybko jednak weryfikuję te plany, gdy nogi same niosą mnie do hotelu dla zwierząt, który prowadzę wraz z przyjaciółką.

Mam wrażenie, że nie rozmawiałam z nią kopę lat, i to mi się bardzo przyda, poza tym z powodu huraganu nieco przedłużyłam swój urlop i Penny na pewno chętnie skorzysta z pomocy.

Poza tym ona jeszcze nie wie o Harrisonie.

Kiedy wchodzę do budynku, dostrzegam Penny stojącą za ladą. Recepcja jest pusta, z oddali dobiega szczenięcie któregoś z naszych gości. Przyjaciółka na mój widok rozpromienia się i wybiega zza kontuaru, żeby mnie zamknąć w silnym uścisku.

— Mac! Czemu nic nie mówiłaś, że wracasz?! Nie spodziewałam się!

Śmieję się i również ją obejmuję.

— Dopiero rano pogoda się polepszyła. Sama nie wiedziałam, kiedy uda się przylecieć.

— Tak mi ciebie brakowało! — Penny odsuwa się i przygląda mi się uważnie.

— Opaliłaś się! Wyglądasz fantastycznie. I w ogóle jesteś jakaś taka... inna. Czy na Hawajach wydarzyło się coś, o czym nie wiem?

Oczywiście muszę jej o wszystkim opowiedzieć.

Penny słucha mnie z niedowierzaniem, ale też fascynacją, i przerywa jedynie w odpowiednich momentach; jest wdzięczną słuchaczką. Podobnie jak mnie nie mieści jej się w głowie, że na tygodniowym wyjeździe mogłam znaleźć miłość. Kręci głową, aż ciemnoczekoladowe sprężynki — bo tak wyglądają jej włosy — tańczą wokół jej twarzy, i układa usta w idealne O.

— Chyba sobie ze mnie żartujesz.

Mówi to wcale nie tak, jakby nie dowierzała, raczej z podziwem. Uśmiecham się, ale zanim zdążę coś odpowiedzieć, rozdzwania się dzwonek nad wejściem do recepcji.

Odwracamy się, a ja w zdumieniu patrzę, jak do środka wchodzi Harrison. Najwidoczniej zdążył wziąć prysznic i przebrać się do pracy, bo ma na sobie dopasowane — z pewnością szyte na miarę — garniturowe spodnie i białą koszulę, a marynarkę przewiesił przez ramię. Jest ogolony

— po tym poznałam, że zdążył się odświeżyć — i zabójczo przystojny.

Rozgląda się z ciekawością dookoła, a Penny zbiera szczękę z podłogi.

Naprawdę. Ona nawet jeszcze nie wie, że to ten facet, o którym trajkotałam jej przez ostatni kwadrans, a już się do niego ślini.

— Witamy w Pet Hotel! — szczebiocze, kiedy odzyskuje głos. Dopiero wtedy przenikliwe spojrzenie Harrisona pada na nas, a ja dostaję ciarek. — W czym możemy panu pomóc? Potrzebuje pan może tymczasowego opiekuna dla swojego zwierzaka? Jesteśmy w tym najlepsi w mieście!

— Nie wątpię — mamrocze w odpowiedzi Harrison, po czym rusza w naszą stronę. — Nie, nie potrzebuję opiekuna i nie mam zwierzaka.

Penny robi zdezorientowaną minę, a ja uśmiecham się szeroko. Coś we wzroku Harrisona podpowiada mi, że przyszedł tu, bo za mną tęsknił. To cudowne, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że rozstaliśmy się jakieś dwie godziny temu.

Pokonuje resztę przestrzeni między nami i bez słowa bierze mnie w ramiona. Słyszę za sobą zaskoczone sapnięcie przyjaciółki, ale nie mam czasu się tym zajmować, bo Harrison właśnie wplata mi palce we włosy, odchyła moją głowę do tyłu i całuje mnie mocno, od razu wsuwając język do moich ust.

Obejmuję go za szyję i zatracam się w tym pocałunku.

Dotyk, zapach tego mężczyzny — to całkowicie wystarczy, żeby opuściły mnie resztki rozsądku. Moje serce się do niego wyrwa. Chryste, naprawdę tęskniłam za nim przez dwie godziny!

— Co, do... — słyszę za plecami, ale potem Penny milknie.

Harrison odrywa się ode mnie i opiera swoje czoło o moje.

To taki romantyczny gest, że zupełnie mi do niego nie pasuje.

— Mam wrażenie, jakbym cię nie widział rok, a nie kilka godzin — szepcze.

Uśmiecham się do niego radośnie. Mam podobnie wrażenie.

— A twoja praca?

— Wpadłem tam tylko, wydałem kilka poleceń i uciekłem — wyznaje.

Marszczę brwi.

— Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

— Zapytałem Hudsona. — Wydaje się z siebie bardzo dumny. — Dzwoniłem do ciebie, kiedy nie zastałem cię w twoim mieszkaniu, ale nie odbierałaś, więc skontaktowałem się z twoim bratem. Od razu stwierdził, że na pewno poszłaś do pracy. — Zamyślam się, jakim cudem nie słyszałam dzwonka telefonu, po czym przypominam sobie, że chyba zostawiłam komórkę w domu. Ups. — Co powiesz na kolację jeszcze dzisiaj? Możemy od razu połączyć ją ze śniadaniem.

Parskam śmiechem. Nic nie poradzę, że mam taki dobry nastrój.

— W takim tempie za miesiąc będziemy ze sobą mieszkać.

Widzę zadowolenie malujące się na twarzy Harrisona, gdy kąciki jego ust podnoszą się nieznacznie. Chyba chciałby się uśmiechnąć, ale JAK TO TAK, W MIEJSCU

PUBLICZNYM?

— Nie mam żadnych obiekcji — odpowiada.

— Chwila. TO jest Harrison?! — piszczy za moimi plecami Penny. — Ale... Zaraz... Cholera, Mac!

Doskonale wiem, co oznacza ten ton. Penny akceptuje Harrisona — przynajmniej pod kątem wizualnym. Cóż, wcale jej się nie dziwię.

— Chcesz zobaczyć naszych podopiecznych? — proponuję niewinnie. —
Mamy pod opieką kilka piesków i kotków...

Zwłaszcza mojego ulubieńca, labradora Micky'ego. Kocham labradory.

Zawsze chciałam mieć jednego, ale bałam się, że sama nie poradzę sobie z takim dużym zwierzakiem.

Harrison wzrusza ramionami.

— Jasne — zgadza się. — Ale najpierw chciałbym zobaczyć ciebie z rozłożonymi nogami. Jest tu jakieś ustronne miejsce?

— Biuro na tyłach — odpowiada niewinnie Penny.

Chowam twarz w dłoniach, próbując zignorować jej chichot. Harrison jednak już chwycił mnie za rękę i ciągnie w kierunku zaplecza. Po drodze zatrzymuje się, by przedstawić się mojej przyjaciółce.

— Cześć. Jestem Harrison i spotykam się z Kenzie.

— No właśnie widzę — komentuje rozbawiona, po czym podaje mu dłoń. —
Mam na imię Penny. I serio, wow.

Jej oczy skrzę się śmiechem, kiedy Harrison niemal wpycha mnie na zaplecze. Całkowicie się z nią zgadzam. Wow.

Gdy wpadamy do naszego biura na tyłach budynku, mogę myśleć już tylko o jednym. Dłonie Harrisona są wszędzie; dobitnie mi okazuje, że nie zamierza tracić czasu.

No więc okej, może jednak poradzimy sobie również z daleka od Hawajów.

Całuję go, a on wsuwa mi rękę pod bluzkę i zręcznie odpina biustonosz. Staram się nie pozostawać dłużna i rozpinam mu spodnie.

A potem wszystko toczy się jeszcze szybciej. I jest naprawdę dobrze.

Chyba lepiej już być nie może.

Epilog

Harrison

Trzy miesiące później

Wolałbym zostać w łóżku z Mackenzie, niż przychodzić na tę imprezę, ale Celia jasno dała do zrozumienia, co mi utnie, jeśli się nie pojawię, a zamierzam z tej części ciała zrobić jeszcze dobry użytek. Więc jestem.

Niechętnie, ale jestem.

Wszystko tak pięknie się układa, że czasami się obawiam, że zaraz obudzę się ze snu i okaże się, że jej nie ma. Ale codziennie budzę się z nią u boku. Najpierw Kenzie udawała jeszcze, że mieszkamy osobno, co było bardzo uciążliwe, ale jakiś miesiąc temu poddała się i przeniosiła swoje rzeczy do mojego apartamentu, a we mnie coś triumfalnie zawyło. Nie pomogłem jej się urządzić, bo uwielbiam patrzeć, jak się szarogęsi w mojej przestrzeni, zagarniając ją dla siebie, i podobało mi się, jak robiła dla siebie miejsce w mojej szafie i w komodach, ale obraziła się za to na mnie. Długo musiałem ją potem przeproszać. To było naprawdę przyjemne.

Dzisiaj wygląda tak obłudnie, że ubierała się dwukrotnie.

Ma na sobie zwiewną, sięgającą do ziemi ciemnozieloną suknię bez rękawów i ze sporym dekoltem. Ubranie przykuwa uwagę głównie dwoma rozcięciami: przez nie widać obie szczupłe nogi Mackenzie. Włosy spięta w nieporządny kok, który stał się jeszcze bardziej nieporządny po tym, jak rozebrałem ją z tej sukienki; na szczęście udało

mi się nie naruszyć jej dyskretnego makijażu poza szminką, którą musiała ponownie nałożyć.

Moja kobieta jest rozluźniona i spokojna i chyba każdy, kto głębiej zajrzyłby jej w oczy, domyśliłby się powodu.

Wygląda na dobrze wypieprzoną, bo właśnie tak jest. Kiedy na nią patrzę, znowu robi mi się ciasno w moich garniturowych spodniach, a dopiero co weszliśmy na imprezę.

Mam krawat pod kolor jej sukienki i oczu, ale ona chyba tego nie zauważyła. Uśmiecha się uprzejmie do kolejnych gości i uparcie ciągnie mnie naprzód.

Przyjęcia weselnego nie dało się zorganizować w kilka dni.

Dopiero teraz Celia i Hudson nadrabiają to, czego nie zdołali dokonać na Hawajach przez huragan i przemytników. Ci goście, którzy nie dolecieli wtedy na Lanai, mogą być chyba usatysfakcjonowani — nasi rodzice wynajęli jeden z największych i najlepszych hoteli w Los Angeles, Mr. M, po czym znacznie powiększyli grono zaproszonych. Dzięki temu mamy tu dziś dziki spęd ludzi, z którymi wolałbym nie mieć do czynienia.

Kiedyś pewnie by mnie to denerwowało. Sprawiałaby mi fizyczny ból konieczność dopasowania się, prowadzenia bezsensownych pogawędek i

zachowywania się uprzejmie w towarzystwie kobiet. Teraz jednak mam u boku najpiękniejszą z nich. Z Kenzie nic nie jest mi straszne.

Może poza jednym, ale to czeka w naszym apartamencie.

Nie zwariowałem jeszcze całkiem, żeby załatwiać takie sprawy podczas przyjęcia weselnego na sto osób.

Kenzie wydaje się tylko odrobinę onieśmielona, kiedy witamy się z kolejnymi gośćmi. Jest cudownie naturalna i urocza, prowadząc swobodne pogawędki z ludźmi, którzy w ogóle mnie nie obchodzą, a ja przyglądam jej się z mieszaniną dumy i zazdrości. Nie dlatego, że idzie jej to

lepiej ode mnie, ale dlatego, że szafuje uśmiechami, które powinny być przeznaczone tylko dla mnie.

Ale Mackenzie taka już jest. Nic na to nie poradzę i nawet nie zamierzam próbować.

W końcu docieramy do głównej pary wieczoru otoczonej przez moich i Kenzie rodziców. Wszyscy wyglądają bardzo szykownie, a Celia ma na sobie tak głęboko wyciętą sukienkę, że na miejscu Hudsona raczej nie wypuściłbym jej w takim stroju z domu.

Z drugiej strony... Ja wypuściłem Mackenzie w sukni z rozcięciami do samej góry ud, więc może w tej kwestii nie mamy po prostu nic do powiedzenia.

— Cieszę się, że przyszlście! — piszczy Celia na nasz widok i wiesz mi się na szyi. Przytulam ją odruchowo. — Już się bałam, że Mac nie zdoła cię wyciągnąć na taki spęd.

— To dlatego do ostatniej chwili kazaliście mi ukrywać przed nim liczbę gości? — pyta moja kobieta z rozbawieniem, a ja nagle czuję się zdradzony.

— Gdyby wiedział wcześniej, że będzie sto osób, na pewno by się wymówił — prychna Celia, po czym uśmiecha się do mnie promiennie. — A tak nie miał wyjścia i musiał przyjść.

Mackenzie parska śmiechem, a ja zastanawiam się, czy mogę jeszcze odwołać to, co czeka na nią w domu. Ona wyraźnie nie jest moją sojuszniczką!

— Oj, nie bocz się już, kochanie — mówi, przesuwając dłoń po moim przedramieniu, a ja natychmiast mięknię.

Uwielbiam, kiedy tak mnie nazywa i kiedy dotyka mnie, gdy przebywamy w miejscach publicznych. — Wiesz, że miałyśmy rację. Serio chciałybyś ominąć wesele własnej siostry?

No wiadomo, że nie.

Mamrocze coś pod nosem, a one uznają to za zaprzeczenie i zadowolone wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Z

jednej strony się cieszę, bo wiem, że Celia zawsze chciała mieć siostrę i znalazła ją w Mackenzie, a z drugiej obawiam się, co jeszcze mogą wspólnie wymyślić przeciwko mnie.

Składamy życzenia młodej parze, przekazujemy prezenty, a potem wymieniamy uprzejmości z moimi i Mackenzie rodzicami — Susan i Richard, o dziwo, stoją koło siebie i nawet na siebie nie warczą. W pewnej chwili mój ojciec spogląda na mnie z zadowoleniem i mówi:

— Cieszę się, że trzymasz się tej dziewczyny, Harry.

Wyraźnie sprawia, że wychodzisz na ludzi.

Słyszę, jak obok mnie Mackenzie prycha, ale nic nie odpowiadam, tylko kiwam głową. Na szczęście w następnej chwili siadamy do stołów, bo inaczej moja towarzyszka na pewno zrobiłaby coś szalonego.

— Co to w ogóle miało znaczyć? — pyta, gdy kelnerzy zaczynają podawać kolację. — Prowadzisz jego firmę, na liłość boską. Jesteś dorosłym facetem, który świetnie sobie radzi w życiu. A on ciągle zdaje się widzieć w tobie niezręcznego nastolatka...

— Mój ojciec zawsze taki był — odpowiadam ze znużeniem.

— Odpuść, Kenzie. To przecież nie ma znaczenia.

— Oczywiście, że ma — zaperza się.

— Liczy się tylko to, co ty o mnie myślisz — protestuję. — I cieszy mnie, że chcesz o to walczyć, ale nie warto sobie psuć krwi. Naprawdę, odpuść.

Po tych słowach Mackenzie łagodnieje i obdarza mnie pięknym uśmiechem, od którego zapiera mi dech. Mam jednak wrażenie, że nie odpuści tak całkiem. To nie byłoby w jej stylu.

Po kolacji Celia i Hudson tańczą swój pierwszy taniec, a potem inne pary dołączają do nich na parkiecie. Mackenzie ciągnie mnie za rękę, lecz kręcę głową.

— Ja nie tańczę, Kenzie.

— Przecież tańczyłaś na Lanai — droczy się, a kiedy widzi, że nie zamierzam zmienić zdania, robi obrażoną minę. — Ja tak czy inaczej zamierzam zatańczyć, więc skoro ty nie chcesz, na pewno znajdę innego partnera. Widziałam, jak jeden z kumpi Hudsona się do mnie uśmiechał...

O, po moim trupie.

Wstaję gwałtownie i prowadzę ją za rękę na parkiet, a ta czarownica ma jeszcze chęć chichotać po drodze. Już ja jej pokażę, co grozi za droczenie się ze mną... Niech tylko wrócimy do domu.

Akurat leci jakaś wolna piosenka, więc mogę bezkarnie przyciągnąć do siebie Mackenzie i objąć ją, kładąc jej dłoń w dole pleców, aż dostaje od tego gęsiej skórki. Łączy nasze dłonie, a drugim ramieniem obejmuje moją szyję, i spogląda na mnie.

To niesamowite uczucie mieć ją w ramionach, taką silną i kruchą jednocześnie, i wiedzieć, że należy tylko do mnie. Że już zawsze będzie moja, a ja będę jej. Że będzie na mnie patrzeć z taką czułością i ufnością, jakby mówiła „wiem, co robisz, i oddaję ci prowadzenie”.

Kocham w niej to, jak równocześnie potrafi być słodka i ostra. Drżę z niecierpliwości i nie mogę się doczekać, aż wrócimy do domu. Uwielbiam, że potrafi mi się sprzeciwić, ale zazwyczaj po prostu tego nie chce.

— No widzisz? Całkiem nieźle ci idzie — mówi z przekąsem, a potem, na szczęście, opiera policzek o mój tors i przytula się do mnie.

Zajebicie ją tak czuć. Mógłbym z nią tańczyć całą noc, gdyby to tylko oznaczało, że będzie tak blisko, taka miękka i ciepła w moich ramionach.

Przypominam sobie nasze początki i z niedowierzaniem kręcę głową. Chyba nie sądziłem wtedy, że coś mogłoby z tego być. Robiłem z siebie przy niej idiotę

i byłem pewien, że ona mnie nienawidzi. Nie mam pojęcia, czy cokolwiek z tego by się udało, gdyby nie tamten przerażający wypadek helikoptera, więc pewnie nawet z tych najgorszych rzeczy, jakie przytrafiły nam się na Lanai, wynikło coś dobrego. Nie chcę jednak wracać do tego myślami. Chcę być jedynie tu i teraz, przy mojej kobiecie.

Piosenka jednak dobiega końca, a po niej zaczyna się szybki, skoczny, elektroniczny utwór, do którego nie mam najmniejszego zamiaru podrygiwać. Wzdrygam się i Mackenzie to dostrzega; śmieje się, po czym bierze mnie za rękę i ściąga z parkietu.

Gdy idziemy z powrotem w stronę naszego stolika, drogę zastępuje nam jakaś para. Odnoszę wrażenie, jakbym gdzieś tych ludzi już widział, ale nie mogę ich odpowiednio umiejscowić. On jest jakoś przed czterdziestką, ma ciemne, szpakowate włosy i szyty na miarę garnitur, ona wydaje się od niego sporo młodsza. Niewysoka i drobna, ma na sobie kremową sukienkę, która ładnie podkreśla jej kształty, a wokół ślicznej twarzy wiją się jasne blond włosy, w których ma różowe pasemka.

Różowe pasemka. Poważnie.

— Harrison, prawda? — zagaduje mnie facet, wyciągając rękę. Kiwam głową. — Owen Maxwell. Pomagałem wam na Lanai, pamiętasz?

O cholera. Jak mógłbym zapomnieć? Przecież to człowiek, któremu zawdzięczam odbicie Mackenzie z rąk porwaczy!

Przytakuję, mocno ściskając jego dłoń. Wydaje się zadowolony z tego spotkania.

— Poznajcie moją żonę, Reese. — Wskazuje na blondynkę obok, która uśmiecha się szeroko. — A to pewnie Mackenzie?

Przedstawiamy się sobie, ale zanim zdążę coś powiedzieć, moja kobieta przejmuje stery w tej rozmowie.

— Bardzo dziękuję za całą twoją pomoc na Lanai — odzywa się z przejęciem. — Wiem, że to ty załatwiłeś Ashera i jego ekipę. Gdyby nie oni...

— Och, daj spokój, to nic takiego. — Owen macha lekceważąco ręką, po czym zwraca się do żony. — To właśnie ludzie, o których ci opowiadałem, kochanie.

Niesamowita historia miłosna!

Cholera, naprawdę tak to odebrał?

— Faktycznie niesamowita — przyznaje Reese. —

Obejmująca katastrofę helikoptera i porwanie przez przemytników. Tylko ty mogłeś w tym dostrzec historię miłosną. Bo jesteś nienormalny.

Mackenzie parska śmiechem i wymienia porozumiewawcze spojrzenia z Reese. Mam wrażenie, że oto niewerbalnie zaczyna się dogadywać z kolejną osobą na tej imprezie.

— Nie jestem nienormalny! — protestuje Owen. — Nie słyszałaś go wtedy, Reese! Facet był absolutnie zdesperowany i gotowy na wszystko, żeby ratować tę biedną dziewczynę. Chyba nigdy nie słyszałem w czyimś głosie takiej determinacji. To się od razu wie, tylko trzeba mieć trochę wrażliwości.

Reese prychnie z pobłażaniem.

— I niby ty masz tę wrażliwość, co?

— Ale to prawda, twój mąż ma trochę racji — wtrąca w końcu Mackenzie.

— To rzeczywiście w pewnym sensie była historia miłosna. A katastrofa helikoptera i porwanie przez przemytników... Cóż, to faktycznie stało się po drodze, ale na pewno nam nie przeszkodziło. Wręcz przeciwnie.

Żona Maxwella jest wyraźnie zachwycona tą odpowiedzią, lecz zanim zdąży jakoś zareagować na słowa Mackenzie, dzwoni jej komórka. Wyciąga ją z torebki i krzywi się.

— To Debbie — mówi do męża. — Odbiorę. Może coś z Fordem...

— Kochanie, Fordowi nic nie jest — zapewnia ją Owen niecierpliwie, na co ta przewraca oczami.

— Dobra, ale i tak się upewnię. Dwie minuty.

Rzuca nam przepraszający uśmiech, po czym odchodzi, odbierając równocześnie telefon. Owen rozkłada bezradnie ręce.

— Wybaczcie. Mamy w domu sześciomiesięcznego syna, a ponieważ długo staraliśmy się o adopcję, Reese czasami trochę odbija, zwłaszcza gdy mały zostaje z opiekunką. A wracając do was... Naprawdę bardzo chciałem was poznać osobiście, dlatego zapytałem, czy jako właściciele hotelu moglibyśmy pojawić się na przyjęciu weselnym. Nikt nie miał obiekcji.

Czyli Mr. M też należy do Maxwella.

— Nam też jest bardzo miło — odzywa się znowu Mackenzie, a ja uświadamiam sobie, że odkąd spotkaliśmy tę parę, nie powiedziałem jeszcze ani słowa. — Ogromnie się cieszę, że możemy was poznać. Nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie twoja pomoc, Owen. Jeśli moglibyśmy się jakoś odwdziżyć...

— Nie ma takiej potrzeby — zapewnia ją Maxwell. — Po prostu bądźcie szczęśliwi. To mi w zupełności wystarczy.

Dopiero wtedy udaje mi się cokolwiek wykrztusić.

— Dziękuję — mówię tylko i tym razem to ja wymieniam spojrzenia z Maxwelllem.

Zdaje się, że on doskonale rozumie, jak wiele to dla mnie znaczy.

Spędzamy trochę czasu z Maxwellami, którzy jak na obcych ludzi okazują się zaskakująco mało uciążliwi i łatwi w rozmowie. Potem próbujemy wrócić do stolika, ale mnie po drodze zatrzymują znajomi z pracy — poważnie, ojciec zaprosił na wesele swojej córki niektórych dyrektorów z naszej firmy — a Mackenzie ucieka, zanim zdąży ją zatrzymać.

Dopiero kiedy udaje mi się sptać moich rozmówców i podejść do stolika, przy którym siedzimy razem z naszymi rodzicami, dostrzegam tam Mackenzie, która gestykulując, rozmawia z... moim ojcem. Czuję odrobinę niepokoju.

Przyspieszam w samą porę, by usłyszeć końcówkę jej wypowiedzi.

— ...że Harrison to najbardziej wartościowy mężczyzna, jakiego w życiu poznałam — mówi, co sprawia, że nogi wrastają mi w posadzkę. — Jest niesamowity i nie rozumiem, jak możesz tego nie widzieć. Ale jeśli uważasz, że

dołowanie go każdego dnia takimi uwagami jest w porządku, to oświadczam ci, że nie, absolutnie nie jest.

Mòj ojciec przez chwilę przygląda się Mackenzie zaintrygowany, po czym mówi tylko:

— Mòj syn ma szczęście, że z nim jesteś.

— Nie, to ja mam szczęście — protestuje moja kobieta. —

Właśnie o tym mówię. On zasługuje na twój szacunek tak samo jak Celia czy ja, czy ktokolwiek inny. Zaharowuje się i robi wszystko, czego od niego oczekujesz, żeby to

udowodnić, a tobie zawsze jest mało. Czy nie mógłbyś wreszcie zacząć go traktować jak wspaniałego syna, który naprawdę doskonale radzi sobie w życiu? Bo tak właśnie jest. Harrison to cudowny, absolutnie niezwykły człowiek i musisz wreszcie to dostrzec.

I wtedy kończy się moja cierpliwość. Ponieważ obawiam się odpowiedzi ojca, zmuszam się, by do nich podejść, a kiedy mnie dostrzegają, oboje sznurują usta. Prawie swobodnym gestem obejmuję Mackenzie, kładąc dłoń na jej biodrze, i ocieram się policzkiem o jej włosy, wdychając słodki, cytrusowy zapach.

— O czym rozmawiacie?

Zamierzam udawać, że nic nie słyszałem. Właśnie tak.

Mackenzie jak zwykle posyła mi ten swój ciepły, oszałamiający uśmiech, ale nie odpowiada; za to ojciec patrzy na nas z namysłem, by w końcu stwierdzić:

— Twoja dziewczyna mnie poucza.

Robię zaskoczoną minę, bo nie sądziłem, że tak wprost to przyzna;

Mackenzie porusza się niespokojnie i zaczyna:

— Nie miałam na myśli...

Ale wtedy mòj ojciec kończy zdanie, przerywając jej:

— I wiesz co? Chyba ma rację.

Coś takiego!

Nigdy nie sądziłem, że powie coś podobnego. Jestem tak zdziwiony, że zapominam, iż nie powinienem wiedzieć, o co chodzi, i nawet nie dopytuję o szczegòły. Dopiero po chwili spoglądam na Kenzie z dumą.

Ona o mnie walczy. Jak lwica. Nie pierwszy już raz.

Może sobie myśleć, że jestem niesamowity i że ona ma szczęście, że ze mną jest, ale ja znam prawdę. To ona jest

najcudowniejszą kobietą na tej planecie, a ja musiałem w poprzednim życiu zrobić coś bardzo dobrego, że na nią zastażyłem.

No dobra, nie wierzę w reinkarnację.

Więc może po prostu uznam, że Mackenzie to najlepszy możliwy prezent od losu.

Jest naprawdę późno — a właściwie już wcześniej — kiedy wreszcie wracamy do naszego apartamentu. Mackenzie jest na rauszu, ale nie pozwoliłem, by całkiem się upiła, bo mam jeszcze wobec niej plany. Trochę się za to na mnie obraziła i nazwała mnie niszczycielem dobrej zabawy.

No còż, trudno. Ja jej jeszcze pokażę dobrą zabawę.

— Było super! — krzyczy, kiedy zamykam za nami drzwi.

Zrzuca szpilki i na bosaka wbiega do salonu, a ja podążam za nią, kręcąc głową i włączając światło, żeby nie obita się po drodze o żaden mebel. — Celia i Hudson są słodcy, a moja mama ROZMAWIAŁA z tatą, uwierzysz?! No i Maxwellowie... Wymieniłam się z Reese numerami telefonów. Idę z nią na kawę!

— To super — mamroczę. — Kenzie, błagam, ciszej, słyszeli cię chyba w San Francisco.

— Co?! — Odwraca się do mnie, chwiejąc się lekko.

Marszczę brwi. Może powinienem poczekać z tą niespodzianką, aż będzie trzeźwa. — Że jestem AŻ TAK

głośna?! No wiesz co!

Fuka na mnie, co jest naprawdę słodkie, więc podchodzę bliżej i chociaż Kenzie się opiera, zamykam ją w ramionach.

I wtedy słyszę piszczenie dochodzące od strony sofy, czyli z tego miejsca, gdzie kazałem zostawić postanie.

Mackenzie zamiera. Najwyraźniej też to usłyszała.

— Co to?

— Moja niespodzianka dla ciebie — oznajmiam, nie mogąc dłużej ukrywać podekscytowania. — Chodź.

Biorę ją za rękę i ciągnę w stronę sofy, przy której na postaniu leży szczeniak — czekoladowy labrador. Na nasz widok unosi głowę, po czym wstaje i zaczyna merdać ogonem. Kenzie wpatruje się w niego jak zauroczona.

— Co... Jak...

— Mòwiłaś, że chcesz mieć psa — przypominam jej. — Że kochasz labradory. Wiem, że nie chciałaś żadnego brać, bo bałaś się, że sama sobie nie poradzisz. Więc... Już nie jesteś sama. Zajmiemy się nią razem.

Mackenzie spogląda na mnie, a ja ze zdziwieniem stwierdzam, że jej oczy błyszczą od łez.

— Kupiłeś mi psa?!

— No tak — odpowiadam z niepokojem. — To źle? Chciałaś go, prawda?

— Jezu, oczywiście! — Niespodziewanie rzuca mi się na szyję i obdarza mnie mocnym pocałunkiem. — Jezu, nie myślałam, że coś takiego przyjdzie ci do głowy! Mam najcudowniejszego faceta pod słońcem! Jezu...

Czuję jej łzy na skórze, ale już wiem, że to dobry znak.

Właściwie nie powinno mnie to dziwić po tym, jak wiele razy Kenzie zdarzało się płakać w naszym łóżku.

Obejmuję ją, ale w tej samej chwili psiak podchodzi do nas niezgrabnie, więc Mackenzie natychmiast się ode mnie odrywa i kieruje zainteresowanie z powrotem na psa, ciągnąc mnie obok siebie na kolana. Głaszcze szczeniaka i mówi do niego, a ja przyglądam się temu z rosnącym zadowoleniem. Boże, ona jest taka słodka.

— Zostawiłeś go tu samego na cały wieczór? — słyszę w pewnym momencie jej pełen pretensji głos.

Wydaję z siebie dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdybym się tak bardzo nie denerwował.

— Nie, cały czas była z nim opiekunka — uspokajam ją. —

Wysłałem jej SMS, że może się zbierać, już gdy jechaliśmy do domu. I to nie jest on, tylko ona. To suczka.

Jeśli to możliwe, Mackenzie uśmiecha się po tych słowach jeszcze szerzej.

— Jak ma na imię? — pyta.

Adrenalina uderza we mnie z pełną mocą.

— Honey — odpowiadam. — Ma plaketkę z imieniem przyklejoną do obroży. Sama zobacz.

Wstrzymuję oddech, gdy Mackenzie szuka wspomnianej plaketki. Nie spuszczam z niej wzroku, w napięciu czekając na to, co za chwilę nastąpi. Ona w końcu ją dostrzega, wiszącą na obroży pod pyskiem labradorki, a potem...

Zamiera.

Tkwi tak bez ruchu naprawdę długą chwilę, aż zaczynam się niepokoić. W końcu Honey piszczy, skacząc przednimi łapkami na Mackenzie, i dopiero to ją odblokowuje.

— O rany! — krzyczy zdecydowanie zbyt głośno. — Czy ty naprawdę PRZYCZEPIŁEŚ DO PLAKIETKI Z IMIENIEM

PIERŚCIONEK ZARĘCZYNOWY?!

Już się nie krzywię. Skoro Mackenzie wrzeszczy o pierścionku zaręczynowym, mogą ją słyszeć nawet w San Francisco. Nie mam nic przeciwko.

— Owszem — potwierdzam, starając się brzmieć na spokojnego i wyluzowanego. — Zdejmiesz go?

Trzęsą się jej palce, kiedy odpina obrożę i zdejmuje pierścionek — bardzo prosty, z białego złota, lecz nie mogłem sobie odmówić sporego brylantu. Dzięki klasycznemu stylowi nie jest krzykliwy, ale doskonale widać go z daleka. Celia pomogła mi go wybrać miesiąc temu i aż do tej pory czekałem na odpowiedni moment.

A kiedy widzę oszołomioną minę Mackenzie, zastanawiam się mimo woli, czy to rzeczywiście właśnie ten.

— Nie wierzę — szepcze, a potem znowu podnosi głos. —

Kupiłeś mi labradora i pierścionek zaręczynowy?!

— Kupiłbym ci psa i bez pierścionka — zapewniam pospiesznie. — Ale oba znaczą to samo. Że chcę się zaangażować...

— O rany, naprawdę to zrobiłeś! — przerywa mi, co jest trochę niefajne, bo długo przygotowywałem sobie tę przemowę. — Chcesz się ze mną ożenić?!

— Tak, Kenzie — przytakuję cierpliwie. — Wiem, że to szybko, ale chciałem tego, od kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem. Już wtedy wiedziałem, że...

— Oświadczasz mi się?!

Jej piskliwy głos jest pełen niedowierzania. Wznoszę oczy do sufitu, po czym wracam do niej z nowymi pokładami cierpliwości.

— Zrobię to, jeśli tylko przestaniesz mi wchodzić w słowo.

— Przepraszam — mamrocze ze skrucą. — Ale to po prostu... Boże! Serce zaraz wyskoczy mi z piersi!

No proszę. A myślałem, że tylko ja się tak czuję.

— Kocham cię, Kenzie — mówię szybko w obawie, że znowu mi przerwie. — I odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem, wiedziałem, że chcę z tobą spędzić resztę życia. Pozwolisz mi na to?

Wyjmuję z jej drżącej dłoni pierścionek i spoglądam na nią pytająco.

Z jej oczu znowu płyną łzy. Próbuje je otrzeć wierzchem dłoni, ale to niewiele daje, bo na ich miejsce pojawiają się następne. Nie mam serca jej mówić, że rozmazuje sobie właśnie makijaż, bo nie chcę, żeby tak zapamiętała scenę naszych zaręczyn.

Dla mnie to bez różnicy. Kocham ją z makijażem w stylu pandy i bez niego. Kocham ją w wieczorowej sukience i w dresie. Kocham ją i trzeźwą, i kiedy jest na rauszu. Nic z tego nie ma znaczenia poza jej odpowiedzią.

— Tak — szepcze, a ja czuję się, jakby właśnie złożyła mi u stóp cały świat.

Wsuwam jej pierścionek na palec, a ona zostawia na chwilę labradorkę i znowu się do mnie przytula. Dopiero wtedy czuję, jak cała drży. Chwytam jej twarz w dłonie i całuję ją gorączkowo, namiętnie.

— Nie płacz, słonko — proszę. — Nie płacz. Wszystko jest dobrze.

— To najszczęśliwszy dzień mojego życia. Kocham cię —

wyznaje, a mnie znowu ogarnia to niesamowite ciepło, które czuję tylko przy niej.

Popycha mnie na podłogę; pozwalam jej na to, ze śmiechem lądując na plecach, podczas gdy ona jest na górze.

Uśmiecha się promiennie i myślę, że to najszczęśliwszy dzień także mojego życia. Potem całujemy się jak szaleni, a Honey z piskiem wgrzyza się w rękaw mojej koszuli.

Jest idealnie.

KONIEC

Będzin, sierpień – wrzesień 2021



Spis treści

Rozdział 1
Mackenzie
Rozdział 2
Harrison
Rozdział 3
Mackenzie
Rozdział 4
Mackenzie
Rozdział 5
Mackenzie
Rozdział 6
Mackenzie
Rozdział 7
Harrison
Rozdział 8
Mackenzie
Rozdział 9
Mackenzie
Rozdział 10
Mackenzie
Rozdział 11
Harrison
Rozdział 12
Mackenzie
Rozdział 13
Mackenzie
Rozdział 14
Mackenzie
Rozdział 15
Mackenzie
Rozdział 16
Mackenzie
Rozdział 17
Harrison
Rozdział 18
Mackenzie
Rozdział 19
Mackenzie
Rozdział 20
Mackenzie
Rozdział 21
Mackenzie
Rozdział 22
Harrison

Rozdział 23
Harrison
Rozdział 24
Mackenzie
Rozdział 25
Mackenzie
Rozdział 26
Mackenzie
Rozdział 27
Mackenzie
Rozdział 28
Mackenzie
Rozdział 29
Harrison
Rozdział 30
Mackenzie
Rozdział 31
Harrison
Rozdział 32
Mackenzie
Epilog
Harrison